

JACEK KOMUDA

CZARNA BANDERA

*Historie najgroźniejszych piratów, szmuglerów,
bukanierów i handlarzy czarnym towarem,
ich bluźniercze wyczyny i zbrodnicze rabunki*

Ilustracje
Jarosław Musiał

Lublin 2008

Scanned by Scannerman

Sześćset cetnarów piekła

Osiem palców dla Buskena * Niedowiarek Bane * Szczurołap * Tajemnica fluity * Krew na pokładzie * Zapiski truposza * Groza w kapitańskiej kajucie * Diabelski fracht * Podstęp Wallisa * Prowiant dla maluczkich * Taniec z umrzykiem * Zapłata

1. *Osiem palców dla Buskena*

Życie bez palców jest niewesołe. To jasne jak słońce, które nigdy nie zachodzi nad Port Royal, że nie da się wówczas nie tylko grywać na flecie czy obmacywać wystawionych na sprzedaż wdzięków portowych narożnic. Nie da się także, a może przede wszystkim, zawiązać węzła na kołkownicy statku. A to oznacza pożegnanie z żegluga po błękitnych wodach. Koniec dostarczania do hiszpańskich i holenderskich osad pewnych rzeczy tudzież odbierania stamtąd towarów, których każdy funt przewieziony do portów starej ładacznicy Europy zamienia się na jakże miło brzęczące pesety i dublony. Koniec chleba z omastą. Koniec... wszystkiego?

Dlatego dla czcigodnego pana Jamesa Wallisa, szypra i właściciela dwumasztowej sniggi Speedy Fortune, trudniącego się przewożeniem - nazwijmy rzecz po imieniu - kontrabandy ukrytej pod pokładem przed wzrokiem celników i strażników portowych, utrata jednego palca stawała się bardziej bolesna niż urwanie połowy kuśki razem z korzeniami.

Niestety, w tej chwili i w obecnej sytuacji strata owa była równie prawdopodobna jak to, że po sztormie następuje cisza. Wallis siedział bowiem w tawernie Pod Ślepym Komodorem przywiązany liną do krzesła, z rękoma ułożonymi na stole, palcami unieruchomionymi między gwoździami wbitymi w równych odstępach w brudny, zalany rumem i winem blat. Sytuacja była nad wyraz przykra i paskudna, a przedstawienie zbliżało się do finału, albowiem rosły jak góra i śmierdzący niczym beczka zjełczałego sadła Negr zwany Tomem przeciągał właśnie z lubością i zgrzytem osełką po ostrzu marynarskiego noża.

Osiem palców! Na zrośniętą piczę świętej Zuzanny! Każdy z nich wart był dokładnie tyle, co rulon złotych hiszpańskich monet. Osiemset dublonów! Taką sumę Wallis winien był Pietowi Corneliszoonowi Buskenowi, holenderskiemu lichwiarzowi z Rybnego Targu w zachodniej części Port Royale, człowiekowi równie wyrachowanemu, co bezlitosnemu, któremu okaleczenie bliźniego przyczyniało mniej więcej tyle wyrzutów sumienia, co rozgniecenie dorodnego karakana.

Ma się rozumieć, że wcześniej, podczas swobodnego kolokwium poprzedzającego przyszpilenie rąk do stołu, Wallis w swej desperacji uczynił wszystko, aby poczet palców, które miał obciąć Tom, zmniejszyć do czterech, co w sumie byłoby dość rozsądną liczbą. W końcu, jak umawiali się w skrypcie dłużnym, jeśli czcigodny pan James nie będzie w stanie oddać pożyczonych pieniędzy, zapłaci palcami, z których każdy liczyć się miał za dwieście dublonów. Na nieszczęście, Holender okazał się równie nieugięty, co archanioł Michał wążący złe uczynki grzeszników, niespodziewanie do całej sumy doliczył bowiem pokaźne kwoty za zwłokę, wynoszące ni mniej, ni więcej, tylko pięćdziesiąt od sta. A ponieważ w jego umyśle, przypominającym księgę strat i zysków, rubryki ma i winien musiały się równoważyć, po dodaniu zaległych sum każdy z czterech palców wart był już ponad czterysta dublonów, a jeśli doliczyć w dodatku zwykłe procenty, wynoszące dwadzieścia od sta za każdy dzień zwłoki, wychodziło z tego jakieś czterysta dwadzieścia sześć dublonów i jeden pistoń na paznokiec.

I tu, niestety, Wallis musiał przyznać z rozpaczą, iż wszystko zgadzało się jak w angielskim zegarku. W sumie winien był Buskenowi grubo ponad tysiąc sześćset dublonów. Nieszczęściem lichwiarz nie był skłonny zawyżyć wartości palca. Zamiast liczyć każdy z nich po czterysta dwadzieścia sześć złotych monet, podzielił całą sumę przez dwieście, jak się umawiali w skrypcie, co dawało właśnie ową feralną liczbę ośmiu palców, które już za chwilę urznąć miał Tom. I trzeba przyznać, iż całość została obliczona wyjątkowo skrupulatnie. Holender nie był bowiem okrutnikiem, zwyrodnialcem czy szelmą, ale po prostu przeklętym matematycznym geniuszem. Niestety, zamiast poszukać sobie do towarzystwa kogoś o umyśle Newtona albo Boyle'a, marnował swój talent w Port Royal na Jamajce, wśród ladacznic, piratów i portowego błota. W każdym razie Wallis był o tym przekonany,

z każdą chwilą coraz bardziej. Tylko dlaczego, do złamanej stengi, zamiast używać liczydeł, potrzebował do swych matematycznych rebusów palców Wallisa?

Tom przeciągnął ze zgrzytem osełką po ostrzu. Obejrzał nóż pod światło, mlasnął tłustymi, spękanyimi wargami. Minę miał niczym artysta, który właśnie doszlifował ostatni detal na pięknym posągu Wenus.

- Tom już gotów, massa! - zameldował uniżenie swemu panu.

Piet Corneliszoon uśmiechnął się krzywo, nie wypuszczając spomiędzy poźółkłych, poszczerbionych zębów ustnika fajki. Wśród lichwiarzy Port Royal - przygarbionych, opasłobrzuchych gnomów lub gderliwych starców - Busken wyglądał niczym angielski lord, wysoki, chudy, w skórzanym kapeluszu z błyszczącą sprzączką. Z krótką brodą i okiem przesłoniętym przepaską sprawiał wrażenie kapitana albo kwatermistrza z pirackiego statku, a nie człeka rozmieniającego ludzkie żywoty i palce na pistole, pesety i dublony. W jego przypadku pozory wszakże myliły, o czym boleśnie przekonał się Wallis, podobnie jak wielu portowych awanturników przed nim.

Szyper szarpnął się, lecz więzy trzymały mocno. Chciał krzyczeć, ale to już było zupełnie bez sensu. Tutaj, na tyłach Starego Kościoła, na zapleczu zamtuza mamy Bonelli, w tawernie będącej jedną wielką wylęgarnią wszy, francy i pluskiew, przerażające krzyki tudzież przedśmiertne jęki ludzi polechtanych żelazem były równie powszednią rzeczą, co dźwięk kościelnych dzwonów bijących na nieszpory.

Negr pochylił się nad stołem. Nieszczęsny przemytnik zajęczał, załkał i zaszlochał. Sprzedałby teraz duszę diabłu i dołożyłby cnotę swojej siostry, byleby tylko wyjść z tej krotchwili ze wszystkimi palcami na swoich miejscach.

Holender zaśmiał się, zacharczał, wyjął na chwilę fajkę z ust.

- Boicie się, mynheer Wallis?! - mruknął, bardziej stwierdzając, niż pytając. - Stawiam sto dublonów, że macie już pełno w gaciach.

Wallis pokiwał głową. Miał może strugać bohatera? Chyba tylko po to, aby pożegnać się ze wszystkimi dwudziestoma palcami, które w swej łaskawości Pan przydzielał każdemu człowiekowi.

- To oczywiste, że przepelnia was strach - pokiwał głową Holender. - Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, albowiem znaczy, że zeszlście wreszcie z

ciernistej drogi grzechu i występku.

Nieszczęsny dłużnik ponownie pokiwał głową, chłonąc gadaninę Buskena niczym świeżo nawrócony katolik błogosławieństwa padające z ust papieża.

Lichwiarz nie spieszył się. Obojętnie stuknął fajką o kant stołu, wytrząsnął popiół z główki i uśmiechnął się promiennie, niczym słońeczko widziane zza więziennych murów.

- Mam chyba dzisiaj dzień dobroci dla niewypłacalnych klientów, mynheer Wallis. Dalibóg rzeknę wam, że sam siebie nie poznaję. To źle, to bardzo źle, ale chyba się zestarzałem, mój panie. Ale do rzeczy, bo czas nagli, czas płynie i ucieka, a nie zatrzymać go nam wiosłem ni kijem. I powiem tyle, że Fortuna stoi dziś po waszej stronie. Nie tylko bowiem możecie zachować większość palców, ale - jeśli Opatrzność Boża będzie czuwać nad wami - spłacić dług, a nawet wyjść na swoje.

Jezu... To chyba nie mogło być prawdą! Wallis od razu zwrócił uwagę na słowo słodkie jak miód, które spłynęło z ust lichwiarza. WIĘKSZOŚĆ palców. Miał cichą, skromną nadzieję, że liczba ta, choć z samego założenia mniejsza od dziesięciu, będzie wszelako większa od pięciu albo sześciu.

Tak czy owak, każde słowo Buskena miało teraz wagę owych nieszczęsnych ośmiuset złotych hiszpańskich dublonów, wziętych na borg i pogrzebanych na dnie oceanu razem z kontrabandą, którą Wallis wyrzucić musiał za burtę, uchodząc przed pościgiem dwóch holenderskich tjalków, które chciały się dobrać do jego rzyki niczym ogary do rannego jelenia.

- Ja... Ja wszystko... Co tylko każecie... Zawsze! Zaraz, już... - wybełkotał.

Holender starannie ubijał w fajce nową porcję tytoniu. Powoli, bez pośpiechu. Wszak jego interlokutor nie wybierał się na żadną przechadzkę. Nie pędził do kościoła ani do sprzedajnej dziewczki.

- Zależy mi na frachcie z pewnego statku - rzekł w końcu. - Stara holenderska fluita, trzy maszty, szeroki kadłub. Wrak, który osiadł przy wysepce zwanej Lwią Głową, jakieś cztery mile na zachód od Isla de Pinos. Morze tam roi się od raf i skał jak tyłek kurwy z Port Royal od pryszczy.

Wallis nerwowo przytaknął.

- Fluita siedzi na skałach od kilku dobrych lat. Ale ponieważ spoczęła w

lagunie osłoniętej od fal, zachowała się w całkiem niezłym stanie. Co tu dużo gadać, mynheer, wiozła srebro, skóry i korzenie. Popłyniesz tedy do niej, wejdiesz na pokład, a potem przywieziesz mi tutaj przynajmniej sześćset cetnarów cynamonu, wanilii i innych rzeczy, które ocalały na statku. A które ja odkupię od ciebie po uczciwej cenie, odliczając twój dług wraz ze wszystkimi procentami. Co wy na to, mynheer?

Fluita... Wrak na skałach. Na rany Chrystusa, Wallis gotów był rzucić się prosto w morze już zaraz i pożeglować tam na byle desce, aby tylko wyrwać się z cuchnących łap Toma. I nie oglądać złośliwego uśmiechu Buskena, od którego dobrej woli i fantazji zależało, czy James ciągle będzie liczył się w przemytniczym fachu, czy też stanie się pogardzanym kaleką.

- Oczywiście - jęknął. - Co tylko chcecie, panie Busken. Ja zaraz, natychmiast... Od razu.

- Za cztery dni - jakby na potwierdzenie swych słów Holender stuknął czterokrotnie wskazującym palcem w brudne dechy stołu - chcę tu mieć przynajmniej sześćset cetnarów korzeni. W beczkach, skrzynkach, workach oraz czym tam jeszcze... I nie przeciągajcie struny, mynheer. Bo jeśli - ściszył głos, przypalił świeżo nabitą fajkę od świecy - jeśli zawiedziecie mnie i tym razem, tedy klnę się na Lewiatana, Belzebuba i Asmodeusza, na moce piekieł i wodne żywioły, że znajdę cię nawet w szcurzej norze, choćbym przeszukać miał całe Indie Zachodnie! A wtedy zajdę do ciebie z Tomem - dalibóg - utnę ci nie tylko wszystkie dziesięć palców, ale zagram twoimi oczami w marelles, a jajca sprzedam wędrownemu sprzedawcy komfortatywy dla starych grzybów, co chcą udawać, iż są młodymi ogierami. Czy wyrażam się jasno, mynheer?

Busken zawsze wyrażał się jasno. Wallis nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zwłaszcza w tym miejscu i w tych okolicznościach.

- Spiszemy to sobie wszystko na papierze - rzekł Holender. - Abyś nie liczył czasem, że moja pamięć jest zmurszała jak wręgi starego wraku, i nie zapomniał, iż *pacta sunt servanda*, mój przyjacielu.

Diabeł by porwał taką przyjaźń, odważył się pomyśleć Wallis. A potem, przeczuwając, że Busken ma chyba dobry dzień, odważył się spytać go o coś jeszcze:

- Chciałbym... - urwał, kiedy Holender wbił w niego spojrzenie przekrwionych oczu. - To jest jak... nazywa się ten statek?

- To był - Busken przez chwilę obracał w rękach cybuch fajki, jak gdyby chciał pokazać, że w przeciwieństwie do Wallisa jego palce zawsze były, są i będą na własnym miejscu - Eenhoorn... Taaaak, mynheer. Ale to nie ma nic do rzeczy. Bo ty popłyniesz, choćby nazywał się tak jak sam szatan! Fluita wpakowała się na skały jakieś cztery lata temu, nie wiem nawet, czy załogę odratowali, czy też żarłacze miały z nich smaczny posiłek. W każdym razie wrak leży tam od dawna, choć z każdym rokiem coraz bardziej osiada na dnie. No, to już wszystko... Tom! - Lichwiarz dał znać niewolnikowi. - A niech tam, uwolnij go.

Negr łypnął boleściwie oczyma, potarł szczękę, żałując, iż ominęła go sposobność do pokazania swego rzeźnickiego kunsztu. Nie kryjąc niechęci, uchwycił cęgami łeb pierwszego bretnala. Wyrывał gwoździe po kolei; Wallis z trudem rozprostował zdrętwiałe palce prawej dłoni. Potem Tom zakrzętnął się przy jego lewicy. Ale kiedy doszedł do najmniejszego palca, lichwiarz wstrzymał go ruchem fajki.

- Ten paluszek - mruknął, wypuszczając spoza żółtych zębów, niczym z czeluści piekielnego wulkanu, kłęb dymu - zostanie z nami. Ku pamięci i przestrodze, że lepiej igrać z ogniem niż z mynheer Buskenem!

Wallis zawył, zakrzyczał, zaszarpał się.

Bez sensu, bo nikt nie zareagował na jego jęki. Zresztą Tom był tak wprawnym artystą w swoim fachu, że przemytnik prawie nie poczuł bólu.

- Cztery dni. - Holender wesoło pogroził Wallisowi obcięty, zakrwawionym palcem. - Żebyś nie pomyślał, mynheer, że my tu stroimy sobie żarty. Albo przywieziesz nam sześćset cetnarów korzeni, albo Tom przykroi cię tak chwacko, że nawet najstarsza narożnica z północnych doków pogubi zęby ze śmiechu, kiedy zobaczy, co zostało z twojej kuśki, mynheer Wallis.

2. *Niedowiarek Bane*

- Fluita... Isla de Pinos... Wyładowana korzeniami. Taaaaak. Czy ja mam może kaktusa zamiast rzyci? Albo dwa kutasy na czole, brachu? Prędzej kupię kota w worku niż tę wierutną bzdurę. Gadaj to zdrow - starym babom na śmiech!

- Nie było mi do śmiechu, kiedy ten przeklęty Negr Buskena zabawiał się moimi palcami. - Wallis uniósł lewą, zakrwawioną i zabandażowaną rękę na wysokość nieogolonej gęby. - Myślisz, że miałem dzisiaj z Holendrem przyjacielską pogawędkę o pogodzie nad londyńskim parlamentem? Ten diabeł nie lubi rzucać słów na wiatr i jeśli w ciągu czterech dni nie dostarczę mu sześciuset cetnarów korzeni, zabierze mi pozostałe palce, wyrwie rzyć i wyłupi oczy. Więc rusz się, do kurwy nędzy! Musimy jutro podnieść żagle i płynąć na ten przeklęty wrak.

- To wszystko jedna wielka głupota - warknął Bane, najlepszy, jak sam twierdził, pilot na Antylach. Obecnie służył w załodze Speedy Fortune. - Fluita wyładowana towarami o wartości królewskiej fortuny... Po pierwsze, dlaczego nie roztrzaskał jej do reszty sztorm? Po drugie, jakim cudem ładunek przeleżał nieruszony tyle lat? I nie stał się łupem morza albo podobnych nam ryzykantów? Toż to nie do wiary!

- Jak nie chcesz, to nie wierz. Tak czy owak, jutro podnosimy kotwicę, płyniemy na Isla de Pinos, na zachód od niej szukamy małej wysepki zwanej Lwią Głową, a potem zdejmujemy z tego łba skrzynie pełne wanilii i cynamonu.

- O ile sami nie stracimy wcześniej własnych. - Bane splunął do wody poprzez wyblinki grotwantów. - Lwia Głowa... To mi coś mówi, do stu francowatych kurewnic! Czekaj, tam chyba naprawdę leży jakiś wrak.

- Mówiłem. - Wallis podniósł w górę prawą rękę i pogroził mu wskazującym palcem. - To miejsce jest prawdziwe. Zresztą klnę się na brodę papieża, że jeśli nie ma tam wraku, gotów jestem nawet ograbić kogoś z naszych kompanów, aby tylko zwalić na łeb Buskenowi przeklęte sześćset cetnarów korzeni!

- Lwia Głowa - mamrotał Bane. - Coś mi świta we łbie! Do diabła, tam są skały i rafy większe niż rogi i guzy na łbie morskiego Lewiatana! Myślisz może, że nasza

ślicznotka przefrunie nad nimi jak pierwszy raz chędożona młódka nad sterczącym kutasem?!

- Z twoim sprytem zmieniałbyś w morską nimfę najgrubszą krypę w Port Royal - wycharczał Wallis. - Pomyśl, kamracie, jak nawigować statkiem, abyśmy nie skończyli na rafach, a ja zajmę się resztą.

- Sam przygotuję Speedy Fortune do morskiej podróży.

- Zbytek łaski.

- Zajmę się tym - czerwonawe oczy Bane'a nie wyrażały teraz absolutnie niczego - bo ciebie czeka inna robota.

- O co ci idzie?

- Musisz pogadać z niejakim Samuelem Beckettem zwanym Starym Benem. Bo właśnie świta mi, że on chyba pływał na Lwią Głowę do jakiegoś wraku. I coś mi się kołacze, że nie była to wyprawa na niewinne dziewice. Kamraci wrócili w jednej szalupie, kiedy sztorm porachował im kości lepiej, niż kostucha policzy nasze grzechy na Sądzie Ostatecznym. Ale jeśli dopłynęli do wraku, to pewnie będzie wiedział, co nas czeka między skałami. Czego się strzec i jak uniknąć raf.

- Gdzie go znajdę?

- Na plaży w Północnych Dokach. Ten stary moczygęba gnieździ się gdzieś koło Fortu James.

- Dobrze, Bane. Załatwię to jeszcze dzisiaj.

- No to byczo, kamracie. Tylko uważaj na szczury.

- Na... szczury?

- Sam zobaczysz.

3. Szczurołap

Domostwo Samuela Becketta wyglądało jak miejskie śmieciowisko, w środek którego padł granat z wojennego liniowca. Czyli, mówiąc krótko: zgoła żałośnie.

Była to zmurszała ze starości, pochylona od wiatrów szopa ukryta między rybackimi sieciami. Podparta sękatymi balami, obwiązana resztkami postrzępionych lin okrętowych. Uwadze Wallisa nie uszło, że wszystkie szpary zostały starannie zabite deskami, a w oknach rozwieszono sieci. Chociaż próchno sypało się z desek, Stary Ben z dziwną pieczołowitością załatał każdą dziurę i wgłębienie w ścianach swej rezydencji.

Szopa śmierdziała przerażająco - gorzej niż dolny pokład niewolniczego galeonu po czterech miesiącach morskiej podróży. Jednak nie była to woń brudu i odchodów, wstrętny odór wydobywał się ze wzdętych ciał zdechłych szczurów, których całe tuziny leżały pod ścianami lub też zwisały przywiązane za łapy lub łyse ogony do tyczek i kijów rozstawionych przed sadybą Becketta. Nie ma co gadać - stary musiał mieć nos ze stali, aby mieszkać w takim miejscu.

Na wołanie nikt nie wyszedł. Nikt również się nie odezwał, kiedy szmugler zaczął walić w zamknięte drzwi. Wyglądało na to, że są zaryglowane od środka, zatem Ben musiał przesiadywać wewnątrz swego kasztelu, przy którym nawet najstarsza i najbardziej zagnojona obora przypominała pałac cudów z czarodziejskiej bajki.

Wallis wkrótce zmęczył się wołaniem. Obejrzał wejście, a potem wbił nóż w szczelinę i po kilku próbach uniósł w górę zasuwę. Zajrzał niepewnie do mrocznego wnętrza. Kontrast z gorącym, zalanym blaskiem słońca wybrzeżem był tak ogromny, że w pierwszej chwili miał wrażenie, iż spogląda prosto w mroczną paszczę Maelstromu. Uczynił krok, potem drugi. Usłyszał szcęk metalu i...

Zawył z bólu, kiedy ponacinane ząbkowato ostrza zwarły się na jego prawej stopie.

Wszedł prosto w kurewską pułapkę na szczury, rozstawioną na wprost drzwi! Na szczęście gruba skóra butów uchroniła nogę przed zmiżdżeniem.

- Ben! Murwo w zadek francowatym kusiem chędożona! - zawył. - Zabiję cię, pokrako!

Klnąc dalej na czym świat stoi, jęcząc i złorzecząc cholernemu staruchowi, rozchylił szczęki, uwolnił nogę, cisnął z furią pułapkę na ziemię i dopiero wtedy rozejrzał się po śmierdzącym przybytku.

Pod ścianami dostrzegł beczki, gliniane garnki i słoje z jakąś mętną zawartością, zwoje lin, kawałki drutu, żelazne noże i szpikulce oparte o ścianę. Kopnął żeliwny kociołek, a kiedy postąpił bliżej, z mroku wyłoniło się cuchnące, jak wszystko tutaj, drewniane wyrko zbite z poszczerbionych klepek, nad którym zwieszała się gęsta rybacka sieć. Na barłogu leżał staruch z brodą niby wiecheć słomy, odziany w skórzany kaftan i koszulę, które śmiało mogłyby służyć miejscowym rybakom do połowu fląder zamiast niewodów. Co mogłoby się okazać o wiele skuteczniejsze niż tradycyjny sposób, gdyż Wallis był święcie przekonany, że smród przyodziewku nawet pod wodą zabiłby każdą żywą istotę w promieniu pięćdziesięciu stóp.

Stary Ben wyglądał jak martwy, kiedy jednak James zobaczył rozrzucone wokół posłania puste butelki, od razu zrozumiał, że stary zdryfował ku najdalszym łądom pełnym źródeł tryskających rumem i gorzałką. A ponieważ jasnym było, że mógłby krzyczeć do pijanicy i gadać równie długo, co cnotliwy prezbiterianin do katolickiego obrazu, rozplątał sieci nad łóżem, podniósł cuchnący, przelewający się przez ręce zewłok, a następnie wyciągnął go na światło dzienne.

Tutaj nie bawił się we francuskiego galanta. Znalazł baryłkę, nappełnił ją wodą, a potem chlusnął prosto w zarośnięte oblicze starego. Musiał powtórzyć tę czynność trzykrotnie, zanim moczygęba zachrypiała jak stara pompa w zęzie, zadygotała, wydał z siebie ryk niby głos rozwścieczonego walenia, a potem zamrugnął kaprawymi oczkami.

- Czego! - wycharczał, wstrząsając głową i rozbryzgując wokół siebie krople morskiej wody. - Co jest, kurwisynu?

- Coś zgubiłeś, stary bukanierze! - Wallis potrząsnął przed kostropatą gębą glinianą butlą z rumem.

- Dawaj!

James sprawnie cofnął rękę, dłoń Starego Bena przecięła tylko puste powietrze.

- Eenhoorn, parchaty diable. Wrak stary jak świat, który osiadł na skałach w pobliżu Isla de Pinos, przy wysepce zwanej Lwią Głową. Gadają w porcie, że kiedyś szukałeś na nim gładkich syren, jurny ogierze.

- Eenhoorn... - wychrypiał Stary Ben. - Nie... Nic ci nie powiem, do starej kurwy narożnicy. Nie o nim. Za żadną cenę.

Wzrok przeczył jego słowom; stary obszarpaniec wodził spojrzeniem za butelką niczym młoda ladacznicza za złotym dukatem w ręku nadobnego gacha.

- Posłuchaj, Ben, będziesz miał tę butelkę. Jak zechcesz, to i drugą. A może nawet trzecią. O ile tylko wykazesz się rozsądkiem.

Pozwolił, by staruch capnął naczynie, pociągnął łyk, drugi, trzeci, aby przyssał się do szyjki jak pijawka, po czym... Wyrwał z trudem flaszkę z ręki starego.

- Nie będę tu sterczeć do sądnego dnia! - warknął. - Gadaj, jak dopłynąć do Eenhoorna, nie zostawiając przy tym własnej rzyzi na skałach!

Stary Ben zadygotał jak w febrze, a Wallis niespodziewanie dostrzegł na jego obliczu strach.

- Nic ci nie powiem - wycharczał Beckett. - One wszystko słyszą, kamracie... Przyjdą po ciebie, tak jak po mnie... Nie, nie zmusisz mnie!

- A jeśli dodam ci do flaszki jeszcze dziesięć reali? - Wallis zabrzączał miedziakami w kabzie. - Może to rozjaśni ci we łbie, smrodliwy szelmo?

- Nie płyn na Eenhoorna. - Starzec drżał. - Byłem tam... Z chłopakami, szalupą. Tam jest bogactwo... Korzenie... Ale nie tylko one.

- Jak dopłynąć do wraku?

Pozwolił staremu na kilka łyków.

- Opłyn od zachodu dwie skały układające się w kształt rogów - wycharczał Ben, widząc, że Wallis lekce sobie waży głos rozsądku. - Kiedy zobaczycie wrak, nie żeglujcie od razu do niego, rzućcie kotwicę przed piaszczystą łachą. Do Eenhoorna dopłyniecie tylko w szalupach... Inaczej pójdziecie na dno w tysiącu kawałkach. Na rafach i skałach... Ale nie wchodźcie do wraku... Na rany Jezusa Chrystusa, nie włączcie do tej starej, parszywej krypy!

- Dlaczego, Ben? - James nachylił się nad moczygębą. - Dlaczego mamy tam nie wchodzić? Coś tam widziałeś? Coś, co sprawiło, że nie możesz żyć bez flaszki?

Staruch zadygotał od czubka brody aż po bosc pięty oblepione ziemią.

- Tam były szczury - wycharczał. - Tysiące...

Poderwał się, skoczył na nogi, uderzył plecami o ścianę szopy, a potem

chwycił szypra za rękaw wamsa, przytrzymał trzęsącymi się rękoma.

- Zapamiętały mnie - wychrypiał. - Przychodzą co noc. Niepokoją za dnia. Wdzierają się przez każdą szczelinę do mojej szopy. Chcą pożreć mi żywcem serce, wydrzeć oczy...

Wallis próbował się wyrwać, ale palce Starego Bena trzymały go niczym kleszcze.

- Walczę z nimi co dzień - charczał starzec. - Zabijam ogniem i żelazem... Ale ciągle się mnożą... Wciąż pamiętają, że byłem na Eenhoornie. Nie zabijesz ich wszystkich. - Ben szarpnął gwałtownie zaskoczonego kapitana ku sobie, niemal wciągając go do szopy. - Ale weź, weź to. - Prawą ręką szukał czegoś na skrzyni, wśród pustych butli po rumie i glinianych garnców. W końcu znalazł i wcisnął w dłoń przemytnika dużą, zakorkowaną flaszkę z mętną zawartością. - To jest trucizna na szczury - wycharczał. - Robią ją Indianie z Maracaibo, wyciągają z węży i ropuch. Nie, nie dawaj im tego od razu. Nie dolewaj do strawy. One poznają... Nie ruszą. Bądź mądrzejszy od tych bydła. Znajdź świnię, psa albo kota i wlej mu to do gardła. A kiedy zdechnie, podrzuć im ścierwo. Bierz, bierz, inaczej nie przeżyjesz... To diabelska fluita, przeklęty Latający Holender pełen zarazy i szczurów... Tak, tak...

Nagle zeszywniał, łowiąc uchem jakiś szmer, a potem skoczył do szopy.

- Już idą! - zawył. - Słyszę, jak wypełzają z nor! Uciekaj, głupcze! Uchodź stąd natychmiast! Precz!

Gdy Wallis cofnął się przed jego furią, Stary Ben zatrzaskał drzwi szopy, zaryglował je z chrzęstem. Słyszać było jeszcze, jak miota się w ciasnym wnętrzu, tłukąc butelki, wrzeszcząc i jęcząc ze strachu.

Przemytnik odszedł, ściskając bezwiednie w ręku flaszkę pełną trucizny.

4. Tajemnica fluity

Zrobili dokładnie tak, jak radził Stary Ben. Speedy Fortune - niewielka snigga, która nie raz wymykała się smakom holenderskich i hiszpańskich strażników

wodnych - płynęła między skałami baksztagiem, ze zrzuconym fokiem i grotem, rejami zbrasowanymi na wiatr i wybranymi szotami marsli. Opłynęli od zachodu dwie skały ukształtowane na podobieństwo rogów, przemknęli obok ukrytej w odmętach rafy. Bane stał na dziobie, obok majtka z ołowianką, czasem rzucał krótkie komendy przycupniętemu za rudlem Wallisowi. Doprawdy ten pilot miał wyjątkowego nosa do prowadzenia statku między płycznami. Nie raz i nie dwa wyminęli ostre jak brzytwa krawędzie skał, przemykali się po tak płytkich mieliznach, że szyper odruchowo wtulał głowę w ramiona, spodziewając się, iż lada chwila łoskot trzaskających desek zakończy ich doczesną egzystencję. A jednak za każdym razem gdy myślał, że Speedy Fortune nie ma cienia szansy, aby zmieścić się między ostrymi grzbietami raf, statek jakimś cudem unikał niebezpieczeństwa.

Wreszcie, kiedy uporali się z pułapkami, gdy przed dziobem zaświecił długi, szeroki pas piaszczystej mielizny, dostrzegli przed sobą ciemny zarys żaglowca. To była fluita Eenhoorn. Ich cel, bogactwo, fortuna, sława i przekleństwo.

Z pozoru nie wyglądała groźnie. Przechylony na sterburtę i do przodu kadłub szarzał wśród skał niczym cielsko zdechłego żarłacza. Straszego za życia, lecz po śmierci groźnego tyle co solidna wołowa ćwierć wystawiona na ławie przez rzeźnika.

Eenhoorn leżał okaleczony, pozbawiony masztów, z których zostały tylko kolumny grot i fokmasztu, odarty z żagli jak trup z szat. Wichry i fale morskie wcisnęły fluitę głęboko na skały - rufa uniosła się, odsłaniając tylnicę i ślad po oderwanej płetwie sterowej. W kadłubie widniały dziury i szczeliny, a w miejscach, gdzie pianki rozstały się pod wpływem wilgoci - wręgi i wzdłużniki sterczały jak kości pradawnego olbrzyma. Pomimo iż dziobnica była prawie cała zagrzebana w piachu, spora część kadłuba ledwie dotykała wody - zapewne dlatego morskie nawałnice i wichury nie zdołały zmienić Eenhoorna w stos gnijących klepek i potrzaskanych bali.

Szybko rzucili kotwicę i spuścili szalupę. Marynarze naparli na wiosła i wkrótce mknęli już ku obłej burcie wraku. Wallis nakazał podpłynąć do rufy, gdzie obok stewy tylnej ziała ogromna dziura, szczerząca do nich ułamki desek i wzdłużników niczym paszcza krakena. Wkrótce dobili do brzegu, wyciągnęli

szalupę na płaski odłam skały, a potem rzucili liny z hakami, zaczepili o postrzępione krawędzie sznurową drabinę i wspięli się do otworu; Wallis pierwszy zajrzał do mrocznego wnętrza. Serce biło mu jak oszalałe.

W środku pełno było potrzaskanych bali, gnijących pianek, beczek, przegniłych worków. Widać w czasie sztormów woda waliła do wnętrza statku wszystkimi otworami, bo na ściankach kadłuba osiadły zgniłe wodorosty, a w kałuży, jaka utworzyła się na przegniłych deskach wynurzających się spod piasku, leżało kilka śniętych ryb. Nozdrza przemytnika poczuły stęchlą woń zbutwiałego drewna. Było tu wilgotno, cicho i ciemno, choć przez szczeliny w górnych pokładach przedostawały się wątle smugi światła.

Duża ilość porozbijanych i butwiejących beczek wskazywała na to, że trafili do komory prowiantowej. Gdy fluita wpadła na skały, burta z lewej strony poszła w drzazgi - drewniane wręgi zapadły się do środka, a ciężar osiadającego statku roztrzaskał kil i pokład pomieszczenia. Na szczęście ocalała pokryta pleśnią i porostami gródź prowadząca zapewne do ładowni albo do komory prochowej. Wallis dojrzał niską, częściowo zbutwiałą furtę, podszedł do niej ostrożnie po pochyłości utworzonej przez skały i stare deski, przyłożył ucho do mokrego drewna. Nic. Z wnętrza statku nie dochodził żaden szmer.

Pociągnął za żelazny pierścień. Niespodziewanie drzwi stawily mu opór. Pchnął z całej siły, ustąpiły z trzaskiem. Rozpadły się na kawałki tak nagle, że stracił równowagę, wpadł w mrok, potoczył się po mokrej, uginającej się podłodze, wpadł między beczki i antały, zmoczył w płytkiej, cuchnącej wodzie. I jeszcze zanim cokolwiek zobaczył, zaczął krzyczeć, wyć, miotać się w półmroku.

- Co jest, do stu tuzinów chędożonych syren?! - zaryczał jakiś głos. Złotawa poświata lampy rozjaśniła wnętrze. Wallis zamarł. Zobaczył posępne gęby Bane'a i jeszcze dwóch ludzi z załogi.

To sprawiło, że oprzytomniał i rozejrzał się dokoła. Byli chyba w ładowni - w szerokim, woniejącym zgnilizną pomieszczeniu. Wszędzie poniewierały się beczki - jedno przegniłe, zanurzone w mętnej wodzie, inne roztrzaskane w czasie gdy Eenhoorn strądownał. Jednak te, które znajdowały się wyżej - wciąż zabezpieczone sieciami i linami - zachowały się w dobrym stanie.

Wallis poderwał się na nogi. Nigdzie nie było szcurów ani morskich bestii. Ot, zwykła ładownia zniszczonego, zbutwiałego statku.

- No to zdobyliśmy Eldorado - mruknął Bane przez zaciśnięte zęby. - Zobaczmy, czy nasze złoto stanie się złotem głupców.

Szybko przeciął sieć przytrzymującą beczki. Wspólnie z resztą ludzi ściągnęli pokazałą baryłkę, wytoczyli ją na środek ładowni. Bane odbił wieko toporem.

Wallis zerknął mu przez ramię i zadygotał, jak gdyby się obawiał, że w beczce skrywało się coś, co miało niewiele wspólnego z korzeniami i przyprawami. W świetle latarni ujrzeli długie, brązowawe, żłobkowane ziarna...

- Kakao, do kroćset! - rzekł Bane. - Patrzcie, ile tu tego jest, kamraci!

Istotnie - wzdłuż ścian ładowni piętrzyły się beczki, skrzynie i worki pełne towarów. Znaczna ich część była zniszczona - morze zalewające w czasie przyływu najniższy pokład żaglowca zabrało ze sobą towaru za kilka tysięcy funtów. Jednak część beczek rozmieszczonych na górnych pokładach mogła pozostać nienaruszona.

Bane wytoczył kolejny antał. Topór błysnął, rozwalając wieko. W świetle latarni dojrzeli długie, wąskie, brązowawe rurki. Wallis drgnął, widząc, jak poruszyły się nagle... Nie, to było tylko złudzenie, gonitwa cieni od chybocącego płomienia latarni.

- Cynamon! - zakrzyknął Bane. - Jesteśmy bogaci!

- Na górny pokład! - zarządził bosman Killick. - Tam będzie tego więcej! Razem, kamraci!

Szybko skoczyli w stronę gretingu, zamykającego luk na górny pokład, spoza którego przenikały wąskie smugi słonecznego blasku. Wstąpili na poszczerbione stopnie, naparli na kratę, potrząsnęli mocno. Nie ustąpiła.

- Jak to trzyma, pioruństwo! - zawył Bane. - Podeprzyjcie, chłopcy, a mocno!

Pchnęli plecami kratownicę, zaparli się na stopniach. Pilot uderzył obuchem topora raz, drugi, trzeci...

- Dźwigajcie, kamraci!

Stęknęli z wysiłku, gdy greting poddał się wreszcie, poderwał w górę, złamał z trzaskiem. Usłyszeli dudnienie - widać jakaś beczka stała na pokrywie luku.

Wallis wszedł pierwszy na wyższy pokład Eenhoorna. Bane świecił mu

latarnią, choć było tutaj znacznie widniej i przestronniej niż na dnie fluty. Panował tutaj prawdziwy chaos - worki i beczki składowane pod ścianami wypadły w czasie katastrofy z sieci, uwolniły się z więzów, zalegając podłogę. Wszędzie leżały splątane, postrzępione liny, resztki desek, wiader, potrzaskane klepki, spleśniałe worki i pakunki. Nigdzie jednak, poza nielicznymi dziurami w kadłubie, nie widać było śladów niszczycielskiego działania wody.

Kapitan ruszył w stronę rufy - tam gdzie musiała być komora prochowa. I zaraz zatrzymał się niepewnie.

Pierwszy trup leżał na plecach. Ciało wyschło, koszula i pludry oblepiły szkielet okryty gdzieniegdzie resztkami skóry. Czaszka przewiązana spłóviałą chustą spoglądała na nich z zadumą. Wallis pochylił się nad trupem. Trudno było dociec, jak zginął ten majtek. Szukał śladów złamań, może kuli tkwiącej wśród wysuszonych żeber klatki piersiowej, ale nie znalazł niczego podobnego. Czerep także nie wyglądał na zmiażdżony. Nic nie wskazywało, że potraktowano go pałaszem albo toporem.

I wtedy nagle, zupełnie niespodziewanie, pusta, poźółkła skorupa poruszyła się, obróciła na bok! Wallis jęknął...

Bane, śmiejąc się, pchnął czaszkę czubkiem buta. Kopnął z rozmachem, posyłając ją w mrok ładowni.

- Parszywy umrzyk! - zarechotał grubo. - Kamraci, tu jest ze dwadzieścia ton korzeni! Na co truposzom przyprawy! Dalej do lin i toporów! Wszystko jest nasze!

Skoczyli do stosów beczek. Bane rąbał toporem wieka, przecinał liny, rozwaliał skrzynie i worki...

Eenhoorn okazał się fortuną, Eldorado i źródłem wiecznej młodości w jednym! W antałach i półbeczkach leżało kakao, cynamon, wanilia, miedź i skóry. Ładunek warty więcej, niż gdyby cały statek zbudowany był ze złota.

- Cisza! Spokój, do stu diabłów! - Wallis uciszył krzykiem rozhukanych kompanów. - Brać się do roboty, trutnie! Musimy to wszystko przewieźć na Speedy Fortune, zanim zapadnie zmrok!

A tak naprawdę czaszkował już, czy mając takie bogactwa w ładowni, nie spróbować okpić Buskena i nie sprzedać wszystkiego na Hispanioli znajomemu

kupcowi.

- Killick! - Bane przywołał bosmana. - Bierzcie srebro i skóry, potem korzenie. Zabierać beczki z góry! Popłyniecie z tym na statek i wróćcie, kiedy zwalicie to wszystko do ładowni! Ruszać się, bo zaraz brodacz Neptun wsadzi wam w tyłek trójząb i zakręci nim tak, że aż zgłupiejecie!

Bosman popędził spełnić polecenie. Bane nie żartował. Słyszeli, jak wiatr wzmagął się, świszczwał w szparach kadłuba. Morze szumiało coraz głośniejsze i być może była to zapowiedź nadchodzącego sztormu.

Wallis nie patrzył na krzątających się majtków. Spoglądał przez otwartą furkę do komory linowej. Między zwojami zbutwiałych lin dostrzegł kolejny szkielet. Ten spoczywał na posłaniu ze skór, wciśnięty między beczki i tarcice, nakryty płócienną płachtą. Wyglądało, jakby śmierć dopadła go w trakcie snu.

- Bane - mruknął, nie odwracając głowy - chodź tu!

- Co się dzieje?!

- Jak myślisz, na co oni umarli?

- Na melancholię z powodu straconej cnoty. - Pilot splunął pod nogi i roztarł ślinę butem. - Albo z pragnienia, kiedy skończył się rum. Naprawdę nie macz poważniejszych zmartwień? Co za bies cię ukąsił, że nagle zmieniłeś się w dobrego samarytanina?! Zmów za nich paciorek i daj mi spokój, do czarta.

- A czy nie widzisz, że coś z tymi truposzami jest nie tak?! Żaden nie ma połamanych gnatów, śladów po kuli ani cięciach pałaszem. Po prostu chciałbym wiedzieć, co tu się działo.

- Po co ci to?

- Bo nie wiem, czy Busken nie chce wplątać nas w znacznie większą kabałę niż odrzycanie moich palców.

- To nie był statek piracki, bo który korsarz pływa na takiej krypie - wzruszył ramionami Bane. - Za ładunek pewnie już dawno zapłaciła Kompania Wschodnioindyjska, a armator przehulał odszkodowanie w zamtuzie.

- Muszę zobaczyć kapitańską kajutę. Chodź ze mną.

Bane pokiwał głową. Dobrze, że nie stawał okoniem, bo Wallis za żadne skarby nie przyznałby się, że trochę mu straszno zapuszczać się samotnie w

zakamarki wraku. Rażno skierował się ku zejściówce i ruszył w górę. Luk prowadzący na górny dek nie był przykryty gretingiem, więc szyper nie musiał odwoływać się do pomocy kompana.

Pokład zalany był słońcem, zavalony piaskiem. Wiatr świszczwał na porwanych linach, łopotał płótnami bezana, z którego po licznych sztormach i nawałnicach, wpychających kadłub coraz głębiej między skały, pozostały smutne resztki nie większe od domowego obrusa. Fokmaszt zwałił się za burtę, zapewne wówczas gdy statek uderzył w skały, pozostały z niego tylko resztki kolumny z lewoburtowymi wantami. Grotmaszt także poszedł w diabły - dolna część była nienaruszona, ale stenga pękła, odłamała się na salingu i teraz leżała na deskach w oplocie porwanych sztagów.

- Hej, co to jest?!

Wallis szedł ku forkasztelowi - niewielkiemu, osłoniętemu burtami - jak to zwykle na fluitach. Drzwi do kwatery załogi były uchylone. Na poszarzałych deskach ktoś nakreślił spłowiały, ledwie widoczny znak. Biały krzyż przypominający znak świętego Andrzeja...

- Słodki Jezu! - Bane prawie jęknął. - Poczekaj!

Wallis zamarł, strwożony zmianą, która zaszła nagle w głosie kompana. Zatrzymał się przed rozchwierutаныmi drzwiami.

- Co się stało?

Słowa Bane'a były jak wyrok, niczym lodowy gwóźdź wbity w głowę Wallisa.

- To znak zarazy. Oni umarli na czarną śmierć!

Szyper rzucił się w tył, potknął, omal nie przewrócił pilota.

- Zdrada! - jęknął i począł się otrzępywać, jak gdyby chciał oczyścić kaftan i wams z miazmatów choroby. - Busken wysłał nas na śmierć! Wszyscy zdechniemy od powietrza! Bane! Baaane! Uchodzimy stąd! Zwijamy żagle! Zaraz, już, natychmiast!

Pilot chwycił go za kaftan i kołnierz pod szyją, przytrzymał, potrząsnął.

- Gdzie chcesz płynąć, głupcze?! Przed zarazą nie ma ucieczki! Jeśli śmierć ma nas dopaść, tedy lepiej od razu żałujmy za grzechy i śpiewajmy psalmy!

- Zabieramy się na statek - zajęczał Wallis. - Nie chcę zdechnąć jak pies!

- Powiedziałem: stój! - ryknął Bane i zaraz dodał spokojniej: - Nic nam nie grozi. Ile lat temu rozbiła się tutaj ta krypa?

- Kilka... lat. Chyba... - wybełkotał Wallis. - Sam Busken nie wiedział.

- Kiedy Hiszpanie w Portobello poznali, że służyłem na pirackim okręcie Coxona, chcieli zrazu skrócić mnie o głowę. Potem zmienili zdanie, bo w mieście szalała zaraza. Kazali nam - dobrym angielskim prezbiterianom - grzebać trupy, które wynosiliśmy poza mury. A jednak nie umarłem, nie miałem czarnych znamion ani dymienic pod pachami. Nie zachorował żaden ze skazańców. Przestań tedy wyć jak zwierzę, bo od kilkudniowego nieboszczyka nigdy nie zarazisz się morem. Nawet gdybyś wychędożył go na obie szpary!

Wallis przestał drzeć, ale tylko trochę.

- J-j-j-jak to?

- Tak to! Ten wrak leży tutaj wystarczająco długo, abyś nie musiał bać się zarażenia.

- Mówisz prawdę?

- Przecież żyję. A wtedy w Portobello dotykałem zmarłych gołymi rękoma. Przestań się trząść.

Wallis palnął się w czoło otwartą dłonią, jak gdyby o czymś sobie przypomniał.

- Racja - mruknął. - Ależ głupiec ze mnie. Po tylu latach nie pozostał tu nawet ślad po zarazie. Tyle w tym wszystkim dobrego, że pewnie dzięki temu znakowi nikt nie ograbił Eenhoorna. Ze świecą można szukać śmiałków, którzy weszliby na zarażony statek. Dobra! Chcę zobaczyć, co jest na forkasztelu.

- Nie radzę.

Wallis pchnął jednak nogą drzwi i wkroczył do mrocznego wnętrza. Wychylił się jeszcze i zabrał od Bane'a latarnię.

A potem rozległ się jego jęk.

To nie był miły widok.

W niskiej nadbudówce wisiały stare, zbutwiałe hamaki z okropną zawartością. Dwanaście trupów. Dwanaście powykręcanych, poczerniałych ciał, które słońce i ptaki zmieniły w wyschnięte szkielety. Jedne leżały spokojnie, z kościstymi rękoma

złożonymi do modlitwy, inne zakończyły życie w męce. Wallis widział ich powykrzywiane ciała, częściowo zwisające z hamaków, powykręcane dłonie zaciśnięte w okolicach gardła, jakby umierający przed śmiercią walczyli o łyk świeżego powietrza. Na podłodze, na lichych barłogach, leżeli kolejni zmarli. Szyper ukrył twarz w dłoniach, przeżegnał się i wycofał tyłem, gdyż widok był tak straszny, że od samego patrzenia jego puls skoczył w górę, a gorączka ogarnęła czoło, jak gdyby miał już w sobie pierwsze oznaki czarnego moru.

- Dokąd?! - zagrzemiał Bane, widząc, że James zmierza ku zejściówce.

- Nie mogę na to patrzeć.

- Od kiedy zrobiłeś się taki wrażliwy?! Idziemy do kajuty kapitana.

- Mam dość.

- Przecież sam chciałeś zajrzeć do szkatuły szypra!

- Prawda.

Ruszyli w stronę rufy, przechodząc ponad strzaskanymi rejami. Liny i sztagi plątały im się pod nogami, wyschnięte wodorosty naniesione przez sztormy oblepiały fałszyburty.

Niespodziewanie drzwi do kapitańskiej kajuty stawily im opór. Wallis szamotał się z nimi bezskutecznie, kopał, walił rękojęścią pałasza. Wyglądało na to, że zostały zaryglowane od wewnątrz. Z pomocą przyszedł mu Bane. Rąbał toporem, poprawiał solidnymi kopniakami, zziąjął się szybko i zmęczył. Wreszcie wpadł na inny pomysł, rozrąbał próg, wcisnął ostrze w szczelinę. Porwali razem za stylisko, wspólnymi siłami podnieśli drzwi w górę, wyważyli z zasuw, popchnęli. Padając, furta pękła z trzaskiem na pół.

W wąskiej i ciasnej kapitańskiej kajucie panował mrok. Dwa małe okienka zabito szczelnie deskami. Właśnie... Zabito. Wallis z mieszanymi uczuciami skonstatował, że równie starannie pozabijano szczeliny w grodzi, a odrzwia wzmocniono drewnianymi deskami. Kabina była pusta. Na podłodze leżał postrzępiony dywan, pod ścianą widniała koja, stary, pokryty kurzem stół, fotel, kilka skrzyń i worków. Bane skoczył do nich, otwierał po kolei, wyrzucał zbutwiałe koszule, cizmy, podziurawiony kaftan, pusty mieszek.

- Nie ma złota! - warknął wściekle.

Wallis rozglądał się za dziennikiem okrętowym. Nie widział nigdzie opasłej księgi. Zerknął pod przewrócony fotel, przeszukał porośnięte pleśnią posłanie, zajrzał do dwóch skrzyń. Okna zabite deskami, wzmocnione drzwi, zatłkane szpary - nawet dziury po sękach w deskach podłogi... To wszystko coś mu przypominało.

Do diabła! Nigdzie nie było ciała kapitana.

- Gdzie jest szyper?

- Co? - Bane zajęty był właśnie rozbijaniem skrzynki. - Co jest, do kurwy nędzy?!

- Skoro kajuta była zamknięta od wewnątrz, tedy co się stało z tym, kto zabarykadował się w środku?

- Nie masz większych kłopotów? - Uparty zamek odskoczył wreszcie. Lecz Bane zaklął wściekle, bo w kufrze były stroje i cizmy.

Wallis milczał, bo nie wiedział, co ma rzec o tym wszystkim. Co tu się stało? Dlaczego szyper zamknął się w kajucie i zabił drzwi deskami? Napadli na nich piraci? Morski potwór? Ale na pokładzie nie widać było śladów walki!

- Zabieramy się stąd, Bane! - rzekł do pilota. - Im szybciej postawimy żagle, tym lepiej. Ruszajmy pod pokład zobaczyć, jak radzi sobie Killick!

5. Krew na pokładzie

Zeszli do mrocznej, wilgotnej ładowni we dwóch, niosąc lampę rzucającą chybotące, rozmazane cienie. Trzeci kompan odsunął greting na pokład, spuścił im na dół długi powróż z pętlą.

- Bierzemy tylko srebro i cynamon! - wycharczał Davies, rozglądając się po beczkach zabezpieczonych sieciami i linami. - Mamony starczy nam do końca życia.

- Czy aby na pewno nie usłyszą? - zaniepokoił się drugi. - Wallis wyrwie nam żywcem serca, jeśli nakryje nas przy tej robocie.

- Wallis i Bane chleją rum w kajucie. Osiądą na dnie, kiedy my znikniemy ze

srebrem. Sprzykrzyło mi się już szorowanie pokładów pod okiem tego angielskiego fircyka. Tu, na tej przeklętej Speedy Fortune, urobisz się, brachu, po łokcie, a wszystkie twoje udziały wciągną nosem lichwiarze, kurwy i dłużnicy naszego zafajdanego szypra! Spływam stąd z pierwszym przyływem! Bierz się za beczkę!

Speedy Fortune żeglowała po wzburzonym morzu. Był wieczór, pół dnia minęło, od czasu gdy wyciągnęli parę ton frachtu z Eenhoorna, przeładowali na sniggę i wyruszyli przez wiatry i burze do Port Royal. Humory psuł tylko fakt, że nader szybko ubywało rumu w beczkach.

- Szalupa gotowa. - Trzeci z buntowników zszedł do ładowni. - Dawajcie, bracia, z całej siły.

- Coś ciężka - zasapał któryś. - Raaaazem! Rrrrówno!

Ostrożnie zestawili potężną beczkę. Zadrżeli, kiedy wydało im się, że się poruszyła.

- Ki diabeł?! - warknął Davies. - Co jest, brachu?

Beczka zadygotała, choć żaden z nich nawet jej nie tknął. Zatrzeszczała, jakby w środku kotłowały się ze dwa tuziny diabłów i jedna diablica, której wszeteczna chuć była przyczyną całego zamieszania.

- Co, do kroćset! - warknął Davies. Uniósł w górę topór, zawahał się...

- Nie ru... - jęknął jego kompan. Nie zdążył nawet domówić tych słów.

Jedno mocne uderzenie zabrzmiało jak łoskot katowskiego topora. Wieko beczki odbite obuchem spadło na pokład ładowni. Majtek przeżegnał się, ale przemógł strach i zajrzał do środka...

...czyniąc zadość przysłowiu, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Coś poruszało się między laseczkami cynamonu. Czarne, włochate kształty wygrzebywały się na swobodę spomiędzy korzeni, kłębiły w beczce.

Szczury?!

Davies odskoczył z rykiem, gdy uświadomił sobie, co kryło się w beczkach, skrzyniach i workach. Rozmazany, bezkształtny kłęb wyrwał się z wnętrza antała, runął w jego stronę. Okrutne stwory oblażyły go ze wszystkich stron, pokryły ciało i członki...

Kompani zawyli jednym głosem. Ten, który stał dalej, rzucił się ku schodni.

Wypuścił lampę, która upadła z hałasem na pokład, świeca w środku zgasła, pogrążając ładownię w ciemności. Przez chwilę słychać było głośnie wycie, a potem dziwny szmer i chrobot.

Krzyki Daviesa i jego kompanów zbudziły wszystkich majtków na statku. Schodnie załomotały pod ciężarem stóp, na głównym deku rozległy się krzyki i nawoływania. Wnet na górze ładowni pojawiło się wątłe światło, rozrosło do rozmiarów poświaty, opuściło w dół razem ze schodzącym Wallisem. Bane zeskoczył na deski zaraz po nim. Cutlas i pistolet miał w pogotowiu. Za nimi tłoczyli się marynarze.

- Ahoój! Jest tu kto!? - zawołał szyper. Niesiona przez niego latarnia wydobywała z mroku zarysy beczek i baryłek pod burtami statku.

- Sprawdźcie, czy są wszyscy! - rzekł Bane. - Dalej, policzyć się, bałwany!

- Brakuje Daviesa i tych, co zeszli z psiej wachty! - wybełkotał blady z przerażenia Killick. - Davies! Daaavies! Odezwij się, synu starej murwy!

Wallis postąpił w głąb ładowni. Latarnia wydobyła z mroku czarny kształt beczki wyciągniętej ze stosu antałów i skrzyń. Serce od razu skoczyło mu do gardła. Ktoś wyciągnął baryłkę z cynamonem! Ktoś chciał obrabować jego statek!

- Davies, skurwysynu! - zawył. - Patrzcie tu tylko! Chcieli nas okraść! Powieszę złodzieja na najwyższej marsrei! Obedrę ze...

Umilkł i nie skończył zdania, bo wszystko, co najgorsze, już spotkało niedoszłych rabusiów. Zadygotał, gdy w słabym żółtawym świetle dostrzegł leżące na pokładzie ładowni trzy obrane z mięsa, jeszcze parujące... szkielety.

O Jezu!

Cokolwiek to uczyniło, było szybkie i głodne. Na zakrwawionych kościach pozostały poszarpane resztki koszul, galotów i pludrów. Na pokładzie leżał zapomniany but, szable i pałasze oraz niewystrzelony pistolet z odwiedzioną skałką...

- Niedobrze wyglądasz, Davies - wydyszał Bane.

A potem zgiął się wpół, gdy chwyciły go torsje.

Jęk, krzyki i wrzaski dobieły się z ust marynarzy. Najpierw cisnęli się do zakrwawionych szkieletów, wiedzeni ciekawością, aby potem jeszcze szybciej

odsunąć się od beczki. Żegnali się nabożnie, klękali, wodzili dokoła półprzytomnym wzrokiem. Wallis poczuł się tak, jakby śnił na jawie.

- Kto to zrobił!?!?

- To nie człowiek! - jęknął Killick. - Żaden z nas, kamraci... Diabeł! Morski Lewiatan, zitrion, upiorna bestia!

- Jesteśmy zgubieni! - załkał inny. - Przekłęci! Naruszyliśmy spokój zmarłych na Eenhoornie i teraz będą pić naszą krew każdej nocy. Aż wreszcie zostanie jeden, który zabarykaduje się w kapitańskiej kajucie.

Nie dokończył. Wallis chwycił go za koszulę pod szyją i rzucił na beczki, potrząsnął, zakolebał, wpatrzył się prosto w oczy.

- Milcz, do stu diabłów, parszywy durniu! Szukajcie! - zaryczał. - Szukajcie na całym pokładzie! Ten, kto to zrobił, nie wyjdzie żywy z ładowni! Znajdziemy go, a potem obedrzemy żywcem ze skóry i przeciągniemy pod kilem!

- Hejże, za mną! - ryknął Bane, który wreszcie zebrał swój żołądek w garść. - Pomścić Daviesa! Bies nie bies, damy mu popalić!

Kilku strachliwych zawahało się, ale pilot i szyper nie dali pozostałym czasu do namysłu. Płazując pałaszami, pokrzykując, potrącając, zmusili ich do biegania ze światłem po ładowni, zagładania we wszystkie zakamarki. Sprawdzili kabelgat i komorę prochową, zajrzeli do komory prowiantowej. Nic.

Bane zatrzymał się przed otwartą beczką. Zajrzał do środka, ale zobaczył tylko korzenie. Dopadł do kolejnego antała, wytoczył go z trudem, odbił wieko. Wewnątrz był cynamon i nic więcej. Żadnego diabła. Żadnego biesa, ani nawet zdechłego szczura!

Marynarze w amoku miotali się po ładowni. Wallis zakrył płócienną płachtą krwawe szkielety. Przeżegnał się. Bane w desperacji zanurzył obie ręce w cynamonie. Pogrzebał w beczce, jak gdyby się spodziewał, że coś tam znajdzie. Przymknął oczy, gdy jego dłonie błądziły między sypkimi korzeniami, a potem niespodziewanie rozwarł źrenice.

- Kamraci, coś tu jest! - stęknął. - Poczcie...kajcie!

Wallis doskoczył do niego. Bane wyciągnął jakiś przedmiot ukryty w przyprawach. Szyper patrzył na jego ręce z niepokojem i wciąż nie mógł uwierzyć w

to, co zobaczył.

Pilot trzymał w ręku plik papierów.

- Jakies kwity - mruknął z oburzeniem i cisnął papierzyska na podłogę, a potem znowu zanurzył ręce w cynamonie. - Nic nie ma! - zawyrokował w końcu.

- Dawajcie następną!

Kapitan podniósł z podłogi zwitek zapisany niewyraźnym, gęstym pismem. Podniósł go do oczu i zaraz opuścił.

- Killick - przywołał bosmana. - Pozbądź się TEGO... - wskazał szkielety.

- Tak, panie. Tylko - zawahał się oficer - co mam zrobić? Spalić?

- Wyrzuć za burtę! - ryknął Wallis. - A potem przetrząśnijcie cały statek od kilu po wimpel na grotmaszcie!

- Tak jest!

- A ty, Bane - ściszył głos - przestań szukać diabła w korzeniach i chodź do mojej kajuty.

- Co się stało?

- Właśnie znalazłem odpowiedź na wszystkie nasze pytania.

6. Zapiski truposza

- To są zapiski ich szypra - wybełkotał Wallis pijackim głosem. - Całą załogę i oficerów wydusiła czarna śmierć. Płynęli z Curacao do Europy, ale po drodze mieli uzupełnić zapasy na Martynice. Dopłynęli tam jako żywe trupy...

Kiwali się nad piątą butlą rumu w kapitańskiej kajucie Speedy Fortune. Gorący deszcz bił o ściany rufowej nadbudówki, zacinał skosem, siekł żagle i wanty na pokładzie.

- Zaraza zaczęła się trzeciego dnia. Kiedy dotarli do Martyniki, nikt jeszcze nie umarł. Złożyli chorych na forkasztelu i to właśnie ich zgubiło! Gdyby wyrzucili zdychających kamratów za burtę, zdołaliby zacumować. A tak Francuzi od razu wyczuli pismo nosem. Zamknęli port łańcuchami i kazali im się wynosić na otwarte

morze. Wiedząc, że mają za mało wody i żywności, aby płynąć do Europy, kapitan próbował zawinąć na Barbados. Ale wieści już się rozeszły - na redzie w Bridgetown powitały ich działa i galeony wojenne, bo nikt nie chciał przyjąć statku pełnego chorych na zarazę. Szyper - Wallis zakołysał się nad stołem, czknął potężnie - zmienił kurs, próbował szczęścia w San Juan i na Tortudze. Wszędzie jednak witali go uzbrojeni żołnierze, pozamykane porty i okręty z nabitymi działami...

Pociągnął spory łyk z butelki.

- Krążyli po Karaibach - od portu do portu. Nikt nie udzielił im schronienia... Kończyła się woda. Kiedy trzymali się jako tako na nogach, wyrzucali trupy za burtę. Ale gdy cała załoga legła na hamakach, nikt już się o nich nie troszczył. Konali w mękach na deskach pokładu i w ładowni. A statek pędził gnany wiatrem.

Bane wyrwał butlę z ręki kompana, opróżnił ją jednym haustem, nie odrywając ust od szyjki, puste naczynie rozbił o własną głowę.

- Umarli wszyscy poza szyprem. Kapitan pozostał sam na statku śmierci; na fluicie, której nikt nie chciał przyjąć do portu. Płynął gnany wiatrem, aż wreszcie... - Wallis zachrypiał i umilkł. Podniósł ze stołu poślódką kartę przesiąkniętą wonią cynamonu jak świąteczny placek.

- To 28. dzień zarazy - przeczytał. - Wszyscy umarli, zostałem sam na pokładzie pełnym trupów. Piję deszczową wodę, przegryzam zatęchłe resztki sucharów znalezione w ładowni. Nie mam sił, by wyrzucić za burtę ciała moich majtków. Statek gna przez sztorm na marslachs. Ster pękł, więc nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie wola Pana. Przerywam ten pamiętnik i ukrywam go w beczce z cynamonem. Może szczęśliwy traf wyrzuci ją na brzeg. Idę, aby zamknąć się w kajucie i czekać na śmierć. Nie wiem, dlaczego nie zachorowałem, ale zdaje mi się, że one mają wobec mnie inne plany. Jest ich coraz więcej, mnożą się... Czuję, że wkrótce zaatakują. Teraz już wiem, że przenoszą zarazę i obgryzają trupy do kości. Podejrzewam w tym wolę Złego, myślę, że pragną rozprzestrzenić się i podbić cały Nowy Świat... Czy mam stać się narzędziem w ich rękach? Nie mogę do tego dopuścić. Idę do kajuty i niechaj Bóg zmiłuje się nade mną...

Bane podniósł głowę.

- Na kardynalskie kutasy, Wallis! - wycharczał z wściekłością. - W jakie łajno nas wprowadziłeś! Co to jest? Kim są owe one?

- Kiedy Stary Ben przyłynął w licznej kompanii, aby obrabować wrak, były tu szczury. Tysiące szczurów!

- Nie widziałem na Eenhoornie nawet cienia łysego ogona! - warknął pilot. - Jeśli nawet rozpleniło się tam szare tałatajstwo, to zdechło parę lat przed naszym przybyciem.

- A jednak wygląda na to, że szyper fluity zabarykadował się w kajucie przed nimi... Nie znaleźliśmy jego ciała. Czyżby skończył jak Davies? Bo pomyśl sobie sam, kto mógł mu zrobić tak straszną rzecz? Gotów jestem poniechać ładownic i rumu, jeśli to kara boża za to, że chciał zwiać, podwędziwszy mi parę beczek ładunku! Ale, do stu francowatych kurew, czy ja wyglądam na biskupa, że Niebiosa mają mnie w opiece? Pytam się ciebie, do kurwy nędzy, kto obgryzł do kości trzech naszych ludzi? Przecież nie pchły w zębie!

- Myślisz, że to szczury? Przeszukaliśmy wszystkie kąty ładowni i każdy pokład! Grzebałem nawet w korzeniach i skórach, które wzięliśmy z Eenhoorna! Nie widziałem nic! Zupełnie i zwyczajnie nic!

- Co robimy?

- Ty tu jesteś szyprem! Tyś nas ściągnął na tę przeklętą fluitę! Ty teraz poczaszkuj. Ja powiem ci jedno - schodzę na ląd w najbliższym porcie! Jeszcze mi życie miłe.

Ktoś załomotał do drzwi kajuty.

- Kapitaanie! Kapitanie! - usłyszeli płaczliwy jęk.

- Co się dzieje?! - Wallis, zataczając się, podszedł do wyjścia, odsunął skobel i pchnął furtę. W ciemności stał przed nim Killick. Wielki chłop dygotał jak osika na wietrze.

- Obcy... Na pokładzie. Na fordeku. Na forkasztelu! Stoi... Kapitanie, błagam...

Wallis wyskoczył na główny dek. Cała załoga zgromadziła się przed rufową nadbudówką. Wszyscy w komplecie. Jedenastu chłopów, zbrojni po zęby - z nożami, cutlasami, toporami, ściskając w garści pistolety i półhaki.

- Tam! - Bow wskazał w stronę fokmasztu. - Tam ktoś jest! Wyszedł... na pokład. Stoi. Nie rusza się.

Wallis otrzeźwiał w mgnieniu oka. Porwał za pałasz, skoczył do kajuty i

chwycił pistolety. Jeden wcisnął za pas, drugi podsypał prochem, odciągnął skalkę.

- Za mną! - rozkazał i ruszył przodem.

Speedy Fortune nie była duża - wyminął kołkownicę grotmasztu, stanął na gretingu osztauowanym płótnem i linami. Drobny deszcz siekł twarze, okręt kołysał się na wzburzonych falach, więc kapitan ledwie rozróżniał zarysy dziobowego relingu, przy którym majaczyła w ciemności smukła kolumna fokmasztu. Killick nie kłamał. Tam naprawdę ktoś stał. Wyniosła postać w kapeluszu, otulona długą peleryną. Nie poruszała się.

Podeszli bliżej forkasztelu. Ktoś zajęczał, inny modlił się cicho, charkotliwie. Bane kłął - jak pobożny Anglik miotał bluzgi na wszystkich świętych i Hiszpanów, wiele miejsca i uwagi poświęcając w szczególności jezuitom i dominikanom.

Wallis pierwszy wspiął się po drewnianych szczeblach. Marynarze cisnęli się za nim. Choć było gorąco jak w piekle, czuł chłód. Do kroćset, co tu się działo?

Nieznajomy nie ruszał się. Stał odwrócony tyłem. Gdy światło latarni padło na jego pelerynę, kapitan uniósł brwi ze zdumienia. Coś kotłowało się pod mokrą tkaniną. Dziwne zgrubienie wędrowało po plecach nieznajomego, jak gdyby niewielki garb przemieszczał się pod jego oponczką. Potem pojawił się trzeci, czwarty...

- Hej, ty?! - Jeśli Wallis chciał odegrać człeka twardego niczym skała, to właśnie jego aktorska kariera legła w gruzach. Głos załamał mu się, zabrzmiał piskliwie, prawie z płaczem. - Co tu robisz, na Boga?

Nieznajomy odwrócił się przodem do całej załogi.

James zamarł.

W tej jednej chwili pożałował, że nie może schować oczu do sakwy. Ktoś z tyłu zaśmiał się histerycznie, inny zawył, zakrzyczał, jakiś majtek jęczał przeciągle. Marynarze cofnęli się, pozostawiając kapitana sam na sam z obcym.

W postaci nieznajomego wprost trudno było doszukać się podobieństwa do człowieka. To był trup. Wysuszony, kościsty, oblepiony resztkami skóry niczym indiańska mumia. Ślepił na nich dwojgiem białych, nieruchomych oczu.

Ale nie to było najstraszniejsze...

Był cały pokryty czarnymi, ślepymi szczurami. Łaziły po jego piersi, po

kościastych ramionach, poprzez dziury w wamsie i pelerynie wślizgiwały się do wnętrza, śmigły pod zasuszonymi żebrami, przemykały między nadgniętymi jelitami, chowały się w dziurach i otworach ciała. Ich długie, łyse ogony wiły się wśród kości, wąsate, ruchliwe łebki wynurzały co chwila z kłębowiska mięśni i ścięgien. Spoglądając na tę okropną postać, Wallis miał wrażenie, że człek, który stoi przed nimi, spoczywał w grobie przez lata - aż zgnił i zmurszał ze szczętem. Jedynym zaś, co ożywiało tę wstrętą figurę, były szczury, które przemykając wśród zasuszonych wnętrzności, zdawały się wprawiać w ruch mięśnie oraz ścięgna, tym samym przydając zwłokom pozorów życia.

Wyschnięte wargi upiora poruszyły się. W czeluści jego ust dojrzeli złośliwy łeb czarnego szczura i jego małe, pokryte bielmem oczka - niczym dwie plamki na sierści. Wallis miał wrażenie, że gryzoń mówi do nich, wykorzystując strupieszalą powłokę człowieka.

- Przejmuję statek, kapitanie - wycharczał trup. - Ja, Szczurzy Szyper... Przy mnie komenda... Przy mnie wola i siła.

Wallis w pierwszej chwili miał ochotę się roześmiać. To coś mówiło... Mało tego - żądało, aby załoga słuchała jego rozkazów. O, do stu... Co to miało znaczyć?!

- Kim ty jesteś, człowieku?! - wybełkotał. - Co tu robisz?!

- Jestem szyprem szczurów z Eenhoorna...

- Co, do kroćset, uczyniłeś naszym ludziom?!

- Uczynię tak każdemu, kto nie posłucha - wycharczał z trudem truposz, a właściwie, jak sam był łaskaw się przedstawić - Szczurzy Szyper.

Wallis cofnął się, chciał wmieszać się w tłumek marynarzy, ale cała załoga, nawet Bane, odsuwali się odeń, jak gdyby na jego ciele pojawiły się właśnie pierwsze oznaki zarazy.

- Idź do diabła! - wybełkotał. - Szczeźnij, maro!

Marynarze krzyczeli, szlochali. Ktoś padł na kolana, inny rzucił się do ucieczki.

- Wracaj do piekła, przeklętniku! - zaryczał Killick. - Na co czekacie, kamraci?! Zarąbcie go i po strachu!

Jednym ruchem uniósł pistolet i strzelił. Kula ugodziła Szczurzego Szypra

prosto w brzuch, strąciła na pokład jednego szczura. Napuchły zewłok upadł z cichym łoskotem, jak worek pełen grochu, znacząc mokre deski krwią. Poruszał przez chwilę łapkami, walił ogonem, wreszcie znieruchomiał.

Killick skoczył z pałaszem na truposza. Nie zdążył do niego dobiec. Nagle usłyszeli pisk i chrobot. Szuranie i drapanie. Wallis spojrział w tył, dostrzegł, jak pokład wokół gretingu zaczyna roić się od czarnych plam... Jak plamy te łączą się w czarną, zbitą masę. Jak masa sunie przez główny dek w stronę forkasztelu, wspina się po drewnianych stopniach i ścianie dziobowej nadbudówki. Jak z szybkością błyskawicy pełźnie w ich stronę...

To było jak ósmy krąg piekieł. Ktoś wrzasnął, ktoś strzelił. Pokład zadudnił od kroków uciekających marynarzy. Jeden z majtków z wrzaskiem rzucił się za burzę. Kilku skoczyło na główny dek, popędziło ku fokwantom, szotom i brasom.

Szczury wpadły na dek forkasztelu, zaroily się między nogami tych, którzy wytrwali w miejscu, przemknęły po deskach w stronę Killicka.

Bosman zaryczał, opędzając się od nich pałaszem. Wrzasnął, kiedy czarne kształty poczęły wbiegać mu na nogi, kąsać go w ręce, wdzierać się pod koszulę, pludry, kaftan. A gdy drgające ciała pokryły go zupełnie, Wallis przymknął oczy.

Pałasz Killicka padł na pokład - prosto w szczurzą cizbę. Na jedną krótką chwilę pokryte czarną sierścią ciała rozstąpiły się, odsłaniając deski. Broń zadudniła głucho, zabrzęczała na piankach fordeku. A kiedy Wallis odważył się otworzyć oczy po raz drugi, nie było już Killicka, a tylko czerwony od krwi, objedzony do czysta szkielet spoczywający na deskach pokładu!

Nie było dokąd uciekać. Ci z marynarzy, którzy rzucili się na śródkręcie, wracali teraz tyłem w stronę forkasztelu. Pozostali zbili się w gromadkę. A Szczurzy Szyper szedł ku nim wolno, pokryty harcującymi gryzoniami.

- Musicie słuuuuchać - wycharczał z takim trudem, jak gdyby od samego mówienia miał rozpaść się zaraz na kawałki. - Być posłuszni...

Ktoś zaśmiał się złowieszczo.

- Obierzcie kurs - wycharczał Szczurzy Szyper - prosto na Martynikę... Zbrasujcie reje, poluzujcie szoty... Ruszać się, bo nakarmię wami moje dzieci!

Marynarze posłuchali bez zbędnych słów. Spełniali rozkaz sprawniej i szybciej

niż najprostsze polecenia Wallisa.

- Do lin i brasów! - zagrział Bane. - Szybciej, psiekrwie! Zmieniać kurs!

Wallis złapał się za głowę, gdy uświadomił sobie, że właśnie pozbawiono go dowództwa. Najgorsze zaś, że nic nie mógł uczynić - absolutnie i nieodwołalnie nic. No, może tylko strzelić sobie w łeb z króciicy.

Szczury cofnęły się. Poczęły znikać w luku, pod poszarpaną, poprzegryzaną płachtą zakrywającą greting. Zaś szczurzy szyper ruszył przed siebie, doszedł do rufowej zejściówki, wstąpił na schody i w jednej chwili, niczym duch, zniknął w ładowni.

7. Groza w kapitańskiej kajucie

Dopadli go, ledwie przekroczył próg kajuty. Dostał w łeb, poczuł, jak chwytają go dłonie stwardniałe od lin, smoły i pracy na morzu. Wydarto mu pistolet zza pasa, wyciągnięto pałasz z pochwy, wykręcono ręce w tył.

- Dawać go tu! - warknął ostry głos. Był wielce znajomy Wallisowi. Może dlatego zdawał się kaleczyć niby cierń.

Wallis zamrugał oczyma. Był w rękach swoich własnych ludzi - Bane'a i pięciu marynarzy. Ich miny i zaciśnięte pięści wymownie świadczyły o tym, że nie wpadli na przyjacielską pogawędkę nad butlą rumu. Wyglądało na to, że nie ruszą się stąd bez głowy byłego kapitana Speedy Fortune.

- Koniec z tobą, Wallis - zawarczał Bane. - Ty nas ściągnąłeś na tę przeklętą fluitę; sprawiłeś, że staliśmy się niewolnikami w ręku czarta. Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, abyśmy dzięki tobie uwolnili się z matni.

Najmniej spodziewanie dla wszystkich, a zwłaszcza dla samego siebie, Wallis zachichotał.

- Myślicie, że Szczurzy Szyper wypuści was z garści?! Chcecie mej głowy, to ją sobie weźcie! Pytanie tylko, co dalej, Bane? Gdyby ten charakternik pożądał mej

duszy, tedy wierzajcie, pozostałyby ze mnie same kości, jak nie przymierzając z Daviesa albo Killicka. Nie, stary diable! On potrzebuje załogi i nie wypuści was z pokładu tak długo, dopóki nie dopłyniemy tam, dokąd zmierza.

- Ale my opuścimy jego. - Bane podniósł z podłogi drewniany ceber. - Przelejemy twoją krew, kompanie. Poderżniemy ci gardło, aby napełnić to wiadro po same brzegi. A potem odsuniemy greting i zlejemy krew do ładowni. Na koniec zaś wrzucimy tam twojego trupa. Te małe futrzane diabły powinny wpaść w szal, czując tyle posoki. A kiedy szczury będą zajęte sprawianiem ci pogrzebu, spuścimy szalupę na wodę i poszukamy sobie lepszego towarzystwa! Przytrzymajcie go!

Stojący najbliżej Bow wyszczerzył w uśmiechu połamane zęby. Wyciągnął zza pasa marynarski nóż o szerokim ostrzu. Majtkowie unieśli Wallisa, przekręcili na płask tak, iż jego głowa znalazła się niżej niż reszta ciała. Bane podszedł z wiadrem, Bow złapał swego kapitana za włosy. Szarpnął głowę w górę, odsłaniając szyję.

Wallis nie protestował. Było mu w zasadzie wszystko jedno, czy wykrwawi się w ramionach zdrajców, czy za chwilę zeżre go gromada rozwścieczonych szczurów. A może nie protestował właśnie dlatego, że w przeciwieństwie do swych oprawców widział to, co znajdowało się za ich plecami. A mianowicie drzwi do kajuty, w których stanął właśnie nieproszony gość ubrany w szaty prezentujące grobową elegancję nieboszczyka świeżo wyciągniętego z krypty.

- Moje dzieci są głodne!

Głos zabrzmiał niczym pisk szczura, który spadł wprost do ognia. Przeszedł w charkot i warczenie, ledwie mogli rozróżnić poszczególne słowa. W kajucie powiało grozą. Majtkowie i pilot odwrócili się w stronę wejścia.

Na progu stał Szczurzy Szyper... Wyniosły, ogromny, przerażający. Szczury biegały po nim z piskiem. Czasem nadstawiały łebki ku ludziom, jak gdyby wietrząc ich przerażenie.

- One są głodne... Czują głód. Muszą jeść.

Bane nie był już taki pewny siebie. Cofał się, a Wallis czuł, że jego zdradliwy kompan z chęcią czmychnąłby teraz za plecy majtków. Znał go od lat i wiedział, że pilot na Speedy Fortune bywał odważny tylko do pierwszego błysku miecza albo kropli krwi przelanej w bitwie.

- Jeden z was - wykrztusił Szczurzy Szyper. - Jednego oddamy... moim dzieciom...

- Ten, panie. - Bane skłonił się niczym przed monarchą i wyszczerzył wargi w obłudnym uśmiechu. - Wallis znaczy... Dobry będzie. Sami go sprawić chcieliśmy.

Decyzja zdawała się słuszna, bo pomysł Bane'a od razu doczekał się pomruku aprobaty, a Bow - potężne chłopisko o barach jak niedźwiedź, zarechotał głośno.

- Bierzcie go, panie szczurzy. Nada się najlepiej z nas wszystkich!

- Taaaak... Taaaaak... Chodźcie, moje dziatki.

Wallis zamknął oczy, słysząc nadciągający szmer setek miękkich łapek. Zajączał głośno, kiedy rzucono go na pokład. Wcisnął głowę w ramiona, skulił się, nie chcąc, aby szczury zaczęły nadgryzać go od twarzy, zaszlochał, wyczekując chwili, gdy poczuje pierwsze, jeszcze nieśmiałe igielki bólu po ukąszeniach.

Nieludzkie wycie zmroziło mu krew w żyłach. Ale to nie był jego głos.

To krzyczał Bane. Szczury wbiegły na niego - obsiadły mu głowę, nurkowały pod ramionami, którymi nadaremnie młócił powietrze. Mógł strząsnąć z ciała dwa, trzy, lecz na ich miejsce zaraz pojawiały się następne. Wgryzły się w oczy, gardło, przebiły kaftan, docierając do brzucha, wciskając swe zwinne, okryte czarnym włosiem ciała w trzewia, odbyt, w usta i pod pachy. Bane ryczał; wył, gdy wielki czarny szczur wszedł w sam środek jego żywota, przegryzał się przez wnętrzności... Przez chwilę widzieli długi, łysy ogon wystający z krwawej dziury pod mostkiem pilota. Potem cały schował się wśród dymiących trzewi...

Wallis już nie patrzył. Nikt nie patrzył. Wszyscy stali, jakby nagle zamienili się w słupy soli. Każdy mógł być następny. Wystarczył tylko jeden gest Szczurzego Szypra.

Furia gryzoni zdawała się nie mieć końca. Tym razem nie bawiły się w ogryzanie ciała. Najpierw przecięły ścięgna, mięśnie i kości na ramionach, w pachwinach. Oderwane członki Bane'a poleciały w sam środek zwierzęcej ciżby, znikły pod krwiożerczą masą. Tylko co pewien czas na powierzchnię czarnego, futrzastego morza wynurzała się koścista, pokrwawiona ręka czy noga rwana mocnymi siekaczami potworków, a za każdym razem gdy pojawiała się w polu widzenia, było na niej coraz mniej mięsa...

Szyper Eenhoorna odwrócił się ku bladym majtkom, wyszczerzył w uśmiechu trupie usta.

- Ładownia - wycharczał. - Chodźcie... pod pokład. Będziecie mi potrzebni.

8. Diabelski fracht

Choć było ich tylko siedmiu, pracowali za trzydziestu. Szybciej i sprawniej niż grupa portowych tragarzy i brokerzy posortowali skrzynie i beczki na cztery części.

- Te wyładujecie na Martynice - charczał Szczurzy Szyper, kiedy zabezpieczali fracht linami i siecią. - Sprzedacie kupcom, podrzucicie na statki... Które zawiozą je do wszystkich portów Nowego Świata. A tam...

Nie musiał kończyć. Wallis wiedział dobrze, co stanowiło zawartość skrzyń. Przegniły szczurzy diabeł otwierał je przy nich po kolei, a wówczas cynamon, wanilia i srebro zmieniały się w czarne szczury wijące się wśród odpadków.

- Śpijcie spokojnie - świszczwał szyper. - Poniesiecie śmierć do wszystkich miast i osiedli. Pomścicie załogę Eenhoorna. Traficie do portów, w których nie chciano udzielić nam schronienia. Taaaak, moje dzieci. Dzięki wam zrozumiałem, co mam czynić... Płyńcie dalej. Tamte skrzynie - wskazywał ręką z wyciągniętym kościstym paluchem, na którym przysiadł jeden ze szczurów - będą dla Barbados, dla San Juan, Tortugi i Port Royal. Dla Maracaibo, Vera Cruz, Hawany, Santo Domingo... Bo odwiedzimy te wszystkie porty.

Wallis słuchał tego z przerażeniem. Już wiedział, jak pokrętny i złowieszczy plan zrodził się w umyśle potępieńca przemielonym na krwawą sieczkę zębami gryzoni. On chciał rozesać zarazę po całych Karaibach, ponieść czarną śmierć do miast i osiedli! Pomścić cierpienia i śmierć swoich towarzyszy.

To już nie było ważne, czy Szczurzy Szyper wymyślił ten szaleńczy dramat, czy też - co niekiedy podejrzewał herszt przemytników - był strupieszalym zewłokiem, poruszonym przez gryzonia niczym pacynka w jarmarcznym teatryku, i tak naprawdę tylko przekazywał wolę przeklętych krwiożerczych stworów.

Najważniejszy okazał się fakt, iż Wallis nie był w stanie uczynić nic. Absolutnie nic, aby pokrzyżować mu szyki.

Płynęli do Martyniki, położonej prawie na krańcu wielkiego archipelagu zakręcającego na mapach ku południowi. Wiatr mieli jak na nieszczęście prosto od rufy, ocean spokojny i gładki jak lustro.

Co będzie potem? - myślał Wallis. Co stanie się, kiedy rozładujemy już wszystkie skrzynie i beczki, kiedy nie będziemy potrzebni Szczurzemu Szyprowi? Czy wtedy czeka nas dno? A może skończymy w żołądkach małych, włochatych bestii wiecznie spragnionych ludzkiej krwi?

Nie miał sił o tym myśleć. Dźwigał skrzynie, przetaczał beczki jak prosty tragarz albo majtek, a pot leciał mu jajcami. Cóż było robić - szyper z Eenhoorna baczył na każdy ich ruch, a jego dzieci przysiadły w kątach ładowni, na schodni i wokół luku, wodząc wąsatymi pyszczkami za krzątającymi się ludźmi.

Kiedy skończyli, Szczurzy Szyper podszedł do nich wolno.

- Cho...odźcie tu... - wycharczał. - Potrzebuję was...

Podeszli dygocący, przerażeni.

- Moje dzieci - wystękał potępieniec - są głodne... Trzeba... Trzeba mi ochotnika. Spośród was.

Ktoś zaszlochał. Inny rzucił się na kolana. Wallis modlił się, aby tym razem nie padło na niego.

Ma się rozumieć, iż nikt nie wystąpił. Na szczęście żadnemu z majtków nie przyszło na myśl, aby wskazać dawnego kapitana sniggi Speedy Fortune. A ten przymknął oczy, poczuł, jak serce bije mu w piersi z taką siłą, że jeszcze chwila, a rozwali żebra!

- Nie ma chętnych - wycharczał Szyper. - Doobrze... Sam wybiorę.

Wszedł między struchlałych majtków, jak śmierć, która szuka hożego zalotnika, by puścić się z nim w tany. Jednym ruchem smagnął po ramieniu Bowa, rozdarł mu koszulę, rozchlastał rękę. Poprawił po plecach, jeszcze raz i jeszcze... Marynarz wrzasnął, poleciał na beczki, skrzynki. Świeża krew trysnęła na pokład, na kłębiące się szczury!

I podziałała na nich jak czerwona płachta na rozjuszonego byka. W mgnieniu

oka rzuciły się na Bowa, pokryły jego plecy, tors, ramiona, wspinały się na głowę. Majtek zaryczał. Wył i szlochał, dopóki pyski małych diabląt nie zaczerwieniły się krwią, dopóki miał jeszcze gardło i usta w całości...

Potem był tylko bezwładnym kłębem kotłujących się szczurów. A w chwilę później - zakrwawionym, doszczętnie objedzonym z mięsa szkieletem.

Szczurzy Szyper wyszczerzył bezzębne usta. Wszystkie gryzonie, które kłębiły się na jego ciele, zbiegły na pokład, aby przyłączyć się do ucztujących pobratymców, więc teraz wyglądał niczym wysuszony trup - odarty ze skóry, z powygryzаныmi dziurami i wnętrznościami na wierzchu.

Wallis spoglądał na niego i nagle oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Bez swoich dzieci Szczurzy Szyper zdawał się równie niebezpieczny, co nieboszczyk wyciągnięty po trzech miesiącach z grobu.

Biesiada była skończona. Szczury odstąpiły od szkieletu Bowa. Całymi stadami wchodziły do skrzyń i beczek, zagrzebywały się w śmieciach i resztkach przypraw.

- Nie zmieniajcie kursu - wycharczał Szczurzy Szyper. - Jutro wyznacicie... jednego z was. Dla moich dzieci. I tak każdego dnia. Obudzę się na... Martynice. Chyba że mnie zdradzicie. Wtedy przyjdę wcześniej... Bywajcie.

Podszedł do największego z kufrów, odrzucił wieko, ukazując wnętrze pełne szczurów kłębiących się wśród stosów śmieci, kości i odpadków. Wszedł do środka, wyciągnął się wśród gryzoni jak na puchowej pierzynie. Wieko zamknęło się z trzaskiem, z brzękiem opadł skobel. I wszystko ucichło.

A Wallis uśmiechnął się w duszy. Bo właśnie przyszło mu do głowy, co powinien uczynić.

- Rum, kamraci - rzekł do oniemiałych marynarzy. - Mam w kajucie beczkę rumu. Przyjdźcie do mnie za chwilę. Na frasunek dobry trunek.

I na szczury, dodał w myślach. Na szczury też!

9. Podstęp Wallisa

Nalewał im do pełna i udawał, że pije. Lał rum do garnców, dzbanów, kubków, czapek i kapeluszy. Nie protestował, kiedy zanurzali głowy w baryłce, oblewali trunkiem łby i ramiona, zataczali się, wyli i wrzeszczeli.

Czekał.

Szybko zaczęli się zataczać. Bełkotali coś do siebie, obściskiwali się, przyrzekając dozgonną przyjaźń, obiecując zaraz, za chwilę, rozwalić toporem łeb Szczurzego Szypra albo wymyślić sposób, aby uciec z tego statku jak najdalej.

To było dawno i nieprawda. Rosłe, czerstwe chłopcy, z którymi jeszcze dwie niedziele wcześniej sprawnie wymykał się Hiszpanom i Holendrom, dziś były równie bezradne jak roczne dzieci. Wallis wiedział, że starczy jedno skinienie krzywego palucha szczurzego władcy, a narobią w spodnie albo poderzną gardło temu, kogo jeszcze przed chwilą zwali swoim kompanem. A wszystko po to, aby oddalić choć na kilka chwil moment, kiedy szczurze hordy rzucą im się do gardła.

Pili rum. Ryczeli pieśni. Wygrażali szczurom.

Bawcie się dobrze!

Zaczął się od małego Bonnie, na którego wszyscy wołali Prince. Ten pierwszy padł na kolana, chwycił się za brzuch, zacharczał. A potem zwrócił na pokład wypity przed chwilą rum, zwałił się na twarz, miotał się i szarpał kaftan na piersi.

Przyjęto to krzykami i rubasznym śmiechem. Nic nie wzbudziło podejrzeń majtków, nawet gdy gruby Potts, ten sam, z którym Wallis przetrwał dwa sztormy i pogoń hiszpańskiego galeonu wojennego, oparł się o ścianę, osunął na deski i począł jęczeć, trzymając się za żywot.

A potem zaczęło się już na dobre. Padali wszyscy, klnąc i złorzecząc, miotani torsjami, drgawkami. Rzucali się w konwulsjach, wypluwając najpierw nieprzetrawiony trunek, a potem plamiąc ręce i pokład krwią.

Umierali w mękach na oczach Wallisa, który nie wypił ani kropli rumu. Jęczeli i złorzeczyli, nie rozumiejąc, co się dzieje. Jedyne Prince zwrócił pobladałą, wymęczoną twarz ku swemu kapitanowi, wpatrzył się w jego oczy, które mówiły tak wiele. Bonnie zrozumiał, co się stało, lecz nie starczyło mu sił, by rzucać klątwy na

głowę Wallisa.

Kapitan odczekał, aż wszyscy padną pokotem, a potem podjął ze skrzyni ciężki abordażowy topór, wziął piłę i ruszył ku drgającym ciałom. Pochylił się nad Boninem i uśmiechnął zimno.

- Męczysz się, chłopie - wyszeptał. - Nie bój nic. Zaraz... pomogę ci skończyć.

Wziął zamach toporem i jednym ruchem odrąbał tamtemu głowę.

10. Prowiant dla maluczkich

Dwie klangi później - o ile miałby kto je wybijać - Wallis wytoczył się na główny pokład, taszcząc ogromny, zakrwawiony toból pełen porąbanych ludzkich szczątków. Wywalał z płachty pod grotmaszt ręce, nogi, korpusy i głowy, z których otwartych ust wciąż jeszcze zwisały nitki śliny lub sączyła się krew. A potem odsunął luk ładowni, spojrział w dół, na szczury wałęsające się wokół beczek i pakunków zabranych z przeklętej fluty, strzepnął płachtę nad otworem, strząsając krople krwi na buszujące po pokładzie diablęta z łysymi ogonami.

- Chodźcie, dziecieczki! - zarechotał wesoło i cisnął łachman w dół. - Przygotowałem dla was ucztę! Prowiant dla maluczkich! Dalejże, strawa czeka!

Nie musiał ich dwa razy prosić. Wnet czarna fala szczurów wdarła się po stopniach, wypadła na pokład, zwietrzywszy krew. A potem rzuciła się w stronę stosu, na którym skończyli wszyscy marynarze Speedy Fortune z wyjątkiem ich kapitana.

Wallis śmiał się. Okrutnym, zimnym, bezlitosnym śmiechem, kiedy szarpały uda i golenie, przegryzały głowy, by dostać się do wnętrz czaszek, wyjadały oczy i policzki, szamotały się w zakrwawionych trzewiach.

A potem, kiedy szczury objadły szczątki do samych zakrwawionych kości, dobył pałasza i począł schodzić w głąb ładowni.

11. *Taniec z umrzykiem*

Jednym uderzeniem topora rozwalił skobel największej ze skrzyń wyciągniętych z wraku Eenhoorna. Kopnął w boczną ściankę i odsunął się.

- Wstawaj, sparszywiały trupozu! - rozdarł się tak głośno, że, zda się, zadrzały ściany ładowni. - Nie dopłyniesz na Martynikę. Pójdiesz na dno w tylu kawałkach, na ile będę łaskawy porąbać twój śmierdzący zewłok. Wyłaż ze skrzyni, szczurzy śmierdzielu!

Wieko odskoczyło tak nagle, że aż zadygotał. Śmieci, skrawki porwanej, zgniłej materii, kawałki drewna - wszystko to poleciało w górę. Ze szczurzych odchodów, trocin i pyłu poderwał się wyschnięty, strupieszwały zewłok.

Szczurzy Szyper...

Stali na wprost siebie w mrocznej ładowni. Potępieniec i kapitan najsłynniejszej sniggi przemytniczej na całej Jamajce. Władca szczurów i pan głębokich mórz. Obaj z długami zaciągniętymi u niewdzięcznych ludzi.

- Co to... zzzznaczy? - wychrypiał szyper Eenhoorna. Na jego ciele nie było ani jednego szczura - wszystkie pobiegły na krwawą ucztę z załogi Speedy Fortune, popędziły na główny dek, aby wyszarpać dla siebie smakowite kęsy ludzkiego mięsa.

- To znaczy, że nie płyniemy na Martynikę - wyjaśnił prosto z mostu Wallis. - Jeden z nas wysiada za burtę, panie szyper! Albowiem już najwyższy czas zakończyć wspólną nawigację.

- Dzieci... - wycharczał upiór. - Moje dziateczki najmilsze. Chodźcie tu do mnie. Zaraz, jak najszybciej! Czeka na was...

Wallis nawet nie zadrzał. Nawet nie spojrzął na schodnię, na której miał pojawić się tłum rozwścieczonych gryzoni.

- Choooooódzcie - głos Szczurzego Szypra przeszedł w charkot, utonął w wyschniętej, pełnej dziur gardzieli, zniknął, szezeł. Nikt nie odpowiedział na jego wezwanie. Żaden szczur nie pojawił się w ładowni.

Wallis zarechotał. Śmiał się jak szaleniec, a potem uniósł pałasz.

- Wołaj zdrów! Jeden z nas zatańczy dzisiaj z diabolicami, mości kapitanie!

Szyper Eenhoorna zasyczał jak szczur broniący małych. Wallis spadł nań jak tajfun, tnąc pałaszem, rąbiąc abordażowym toporem, który przerzucił do lewej ręki. Potępieniec odskoczył, chlasnął przeciwnika po rękawie długimi, zakrzywionymi szponami, zasyczał jeszcze głośniejszym, gdy pałasz rozrąbał mu ramię. Wallis ciął jeszcze raz, poprawił toporem prosto w klatkę piersiową. Zaklął wściekle, gdy żebra poddały się z trzaskiem, a ostrze wbiło się między pozółkłe gnaty, uwięzło wśród zasuszonych ścięgien i kości. Szarpnął stylisko w tył, ale dostał po rękę długimi paznokciami, krzywymi niczym ostrza mauretańskich szabel. Wrzasnął, kiedy pazury przejechały mu po ciele, wypuścił broń, odskoczył w bok. Potknął się, zwałił między beczki i worki, poderwał na nogi, wyrznął barkiem w skrzynię. Szczurzy Szyper szedł na niego z rozczapierzonymi szponami.

- Dzieci... - wycharczał. - Gdzie moje dzieci... Oddaj, szelmo!

- Masz! - Wallis podniósł pałasz, zastawił się przed atakiem, pierwszym ciosem ciął truposza w łeb, drugim odrąbał mu lewą rękę, przeciął z chrzęstem zmurszałe ciało i kości pod łokciem.

Upiór zawył. Nie bacząc na tkwiący w klatce piersiowej topór, rzucił się na Jamesa, godząc szponami w oczy kapitana.

Chybił!

W ostatniej chwili przemytnik zastawił się ostrzem, rąbnął na odlew, poprawił, umknął spod kościstego ramienia i rycząc z wściekłości, począł ciąć przeciwnika. Bił, krzyczał, chlastał pałaszem; odrąbał drugą rękę, rozwałił czerep, uderzył w obojczyk z taką siłą, że ostrze zatrzymało się na żebrach pod pachą.

Zakończył walkę, a w zasadzie egzekucję, efektywnym płaskim ciosem. Z chrzęstem i trzaskiem zdjął okrutnemu wrogowi czerep z karku, uwolnił chude, kościste barki potępieńca od paskudnego łba ozdobionego parą wytrzeszczonych trupich oczu.

A potem pozostało już tylko rąbać. Prać ile tchu w piersi, rozwalać kości i żebra, kruszyć pod obcasami odrąbane ręce i dłonie.

I to już był koniec. Wallis przyjrzał się rozrzuconym na pokładzie szczątkom, a potem otarł krew i pot z czoła. Sięgnął po lampę, przechylił ją, wylał oliwę na to, co

pozostało jeszcze po Szczurzym Szyprze, a potem podpalił. Przez chwilę patrzył, jak ogień liże kości, strzępy skóry i zetlałej materii. A potem odszukał beczkę z rumem, rozrąbał ją toporem, oblał skrzynie i baryłki zabrane z Eenhoorna. Długo rozkoszował się widokiem płomieni, które szybko objęły półbeczki, sieci, liny i pakunki, skoczyły w górę, zahuczały i wzniosły się aż do odsuniętej kraty górnego luku.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku ruszył na pokład. Powoli stawiał kroki, jak gdyby do każdej z nóg miał doczepiony dwudziestofuntowy odważnik. Po desperackiej walce opadł z sił, w głowie czuł narastający zamęt, po całym ciele rozchodził się ból krwawiącej ręki rozszarpanej szponami Szczurzego Szypra.

Na głównym deku, wokół grotmasztu, panował spokój, ale bynajmniej nie porządek. Za taki bajzel Wallis gotów byłby powiesić wachtowego na noku grotrei - gdyby oczywiście jeszcze było kogo wieszać na tym wymarłym statku. Deski usiane były setkami, tysiącami zdechłych czarnych szczurów. Spoglądał na ich zakrwawione pyski, wydęte brzuchy, zwieszające się bezradnie łyse ogony. I śmiał się. Wył tak, że zdawać by się mogło, iż słychać go aż na Cubie i Martynice. W Maracaibo i na Florydzie. I wszędzie tam, dokąd chciał ponieść zarazę przeklęty szczurzy pomiot z Eenhoorna. Wallis miał tylko nadzieję, że sam nie poczuje któregoś dnia dymienic pod pachami. To niepokojące przeczucie kołatało się gdzieś w głębi jego duszy, powracało wciąż, natrętne niby stary lichwiarz nachodzący klientów. Lecz teraz nie miał siły, aby je rozpamiętywać.

Zabił szczury flakonem trucizny, którą dał mu Beckett na wybrzeżu Port Royal.

- Nie, nie dawaj im tego od razu, nie dolewaj do stawy... - zaszemrały mu w uszach słowa starego moczygęby. - Znajdź świnię, psa albo kota i wlej mu to do gardła. A kiedy zdechnie, podrzuć im ścierwo...

Pocziwy Stary Ben pewnie nie przypuszczał, że truciznę można było podać najpierw człowiekowi.

Tak jak uczynił Wallis. Zamiast szukać świni czy psa, dołał indiańskiego eliksiru do beczki z rumem, którym uraczył swych marynarzy. A potem zatrute porąbane kawały ludzkiego ścierwa podrzucił na główny pokład, nakarmił nimi

szczury potępionego szypra.

Ot i wszystko. Sposób równie prosty, co kolumna grotmasztu. Lecz jakże skuteczny.

Wytoczył na pokład beczki z rumem i oliwą. Opuścił szalupę. A potem polał płynem szczury, pokład i gretingi, podpalił i przez chwilę wpatrywał się w ogień pożerający Speedy Fortune, na której odbył tyle szczęśliwych rejsów. I tyle razy wymykał się celnikom, marynarce, poborcom. Palił swoją fortunę razem ze szczurami, z zakrwawionymi kawałami ludzkiego ścierwa, które pozostały po jego towarzyszach, z resztkami Szczurzego Szypra. I z ponad sześcioma setkami cetnarów srebra, korzeni i towarów zrabowanych z Eenhoorna, które w ładowni zamieniły się w żywe, porośnięte czarnym futrem bestie z łysymi ogonami.

Podpalał jak szaleniec wszystko, co tylko się dało. A potem, kiedy płomienie poczęły sięgać aż do żagli, napiętych szotów i brasów, cisnął pochodnię przez otwarty luk do ładowni, zszedł po drewnianej drabince do szalupy, aby raz na zawsze opuścić splugawioną i skrwawioną Speedy Fortune.

12. Zaplata

Dorwali go, kiedy topił wspomnienia ostatnich dni w podłym rumie w tawernie przy Rybnym Rynku na Martynice. Dorwali zupełnie niespodziewanie, w tak niewiarygodny sposób, że szyper Speedy Fortune gotów był podejrzewać Buskena o czarnoksiężskie praktyki. Wszak Wallis nie nazywał się Wallis, ale La Molle i był czcigodnym poddanym któregoś tam z kolei Ludwika Burbona. Wszak nie był takim głupcem, aby po zniszczeniu sześciuset cetnarów frachtu wracać jak gdyby nigdy nic do Port Royal, by wpaść w łapy dyszącego żądzą zemsty lichwiarza.

A jednak stało się... Tom i jeszcze dwóch roślących, śmierdzących dziegiem drabów porwało go za ręce, wykręcili je do tyłu, aż zatrzeszczały stawy. A potem powlekli szypra do małej izdebki na tyłach karczmy. Ma się rozumieć, iż Wallis wrzeszczał, kwiczał jak zarzynane prosię, stawał się, ale nic nie wskórał. Nikt z gości

nawet nie podniósł głowy, gdy wywlekali go z gościnnej izby. Buskena i jego ludzi nawet tu, we francuskim Fort-Royale, otaczała zbyt ponura reputacja, aby podniósł się chociaż jeden głos protestu. Więc każdy z żeglarzy, pijaków i bywalców tawerny kładł uszy po sobie, wtulał głowę w ramiona i modlił się w podzięce do Jezusa i wszystkich świętych, że to nie on wije się jak karaluch w mocarnych łapskach Toma.

Na zapleczu posadzili Wallisa na krzesle przy stole, na którym spoczywały długie bretnale, nóż o szerokim ostrzu, a także ciesielska piła w niezbyt miłym towarzystwie również ciesielskiego dłuta.

- Towary! - wysyczał, ćmiąc fajkę, Piet Corneliszoon Busken, który zasiadał po przeciwnej stronie blatu. - Fracht z Eenhoorna, mój ty niegrzeczny chłopcze! Miałeś dostarczyć go po czterech dniach, a tymczasem minęły już dwie niedziele. Czy ja zawsze muszę przypominać ci o naszych kontraktach po czasie?

- Te przeklęte korzenie, skóry i srebro leżą na dnie morza! - warknął Wallis. - Zgłoś się do Lewiatana po swoją należność, Busken, bo ja nie jestem głupcem i nie będę rabował dla ciebie przeklętych statków!

- Jaka szkoda - pokiwał głową Holender. - Mój drogi przyjacielu, spieszę cię ostrzec, że w takich okolicznościach będziesz miał niejakie trudności z dostarczaniem kolejnej kontrabandy do holenderskich i hiszpańskich osad. Wiesz, co to znaczy?!

Szyper wiedział aż zanadto dobrze.

- A może masz coś na swoją obronę, mynheer Wallis?

- Ura...towałem Nowy Świat! Port Royal! Ciebie, tych wszystkich... Przed zarazą. Którą chciał roznieść... Szczurzy Szyper - wydyszał Wallis. - Ocaliłem twój zadek przed czarnym morem, ty lichwiarska, francowata zarazo!

- Tak myślałem. - Holender wsunął cybuch fajki pomiędzy zęby, ćmił ją przez chwilę, wydmuchując dym w kształcie kólek. - Kłamie, kręci i łże prosto w oczy. Tom, poczynajcie!

Wallis krzyczał z przerażenia, potem wył z rozpacz, gdy Negr przybijał jego rękę gwoździami do stołu. Wzywał pomocy, kiedy niewolnik ostrzył nóż. A gdy rozpoczął dokonywanie smutnej czynności, obłądny ryk kapitana poniósł się ulicami aż do samego Mount Pelee i w drugą stronę - do północnych doków. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przechodnie odwracali głowy i spieszonym krokiem

odchodzili spod starej tawerny. I tylko w duchu cieszyli się szczerze, że to nie im przypadła rola interlokutora w tym niewesołym kolokwium z lichwiarzem Pietem Corneliszoonem Buskenem.

Oprawca

Egzekucja* Zdrada ladacznicy * Talary mają lepszy smak od wiary * Przeklęty przyz * Czaszka i cutlas
* Witaj, kostucho! * Czterdziestu chłopca na Rackhama skrzyni * Jo, ho, ho! * Śmierć i chwala * Pod
żaglami Oprawcy * Kto jest bez grzechu... * Epilog

1. Egzekucja

Morze, rozgniewane i złe, uderzało o burty, bryzgi piany strzelały pod niebo, zalewały mokry pokład galeonu. Wysoko w górze wiatr szarpał zniszczonymi żaglami i ciałami wisielców. Na rejach świeże, napuchnięte trupy kiwały się pospołu z wyschniętymi zwłokami sprzed miesiąca. Martwe, szkliste oczy patrzyły na główny pokład. Nad głowami zmarłych łopotała piracka flaga. Wymalowany na niej kościotrup z kosą kiwał się na wietrze do taktu wisielcom.

Na pokładzie oberwani, poznaczeni bliznami piraci prowadzili w stronę grotmasztu młodego chłopaka w postrzępionym rajtroku. Jeniec nie był związany, ale nie szarpał się. Nie miał dokąd uciekać. Zewsząd otaczały go plugawe, zarośnięte gęby morskich rozbójników, z głowami nakrytymi chustami i kapeluszami. Wzrok młodzieńca prześlizgiwał się po kikutach rąk i nóg poprzewiązywanych zakrwawionymi bandażami, po nieruchomych czerwonych od pijaństwa twarzach.

Podprowadzono go do zakrwawionego katowskiego pieńka przy grotmaszcie. Majtkowie złożyli na nim lewą rękę chłopaka, przycisnęli ją mocno do pniaka.

Kapitan dał znać. Jeden z piratów podniósł w górę pałasz. Zawahał się.

- Tnij! - syknął szyper.

Ostrze załśniło złowrogo, a potem ze świstem opadło w dół. Ryk bólu wstrząsnął pokładem okrętu. Piraci spuścili wzrok.

Na katowskim pieńku leżała odcięta dłoń...

2. Zdrada ladacznic

Kapitan John Bartholomeu Rackham, zwany przez kamratów i swoją piracką załogę Johnnym Szczęściarzem, pływał. Niestety, na razie nie po szmaragdowych wodach Karaibów. Zanurzał się bowiem w balii napełnionej wodą z mydlinami na piętrze zamtuza mamy Fratelli w równie osławionym, co plugawym Port Royal na Jamajce. Korsarz pochylał głowę, aby Boney, najładniejsza dziwka w burdelu, której cnota warta była czterech pesos za noc, mogła polać mu głowę wodą ze srebrnego dzbana. Dziewczyna usiadła na brzegu balii, tuż za plecami Rackhama, a gdy ten strząsnął z czoła krople wody, położyła dłonie na ramionach mężczyzny i poczęła masować je delikatnymi ruchami. Schyliła się tak nisko, że John poczuł woń orchidei wetkniętej w jej czarne włosy.

- Ach, mój panie - powiedziała - jakże miło widzieć cię znowu w mych ramionach.

Jak zwykle kłamała.

- Nie narzekałaś chyba na brak towarzystwa - skrzywił się Rackham. - Nie było mnie raptem trzy miesiące. Z gachów, których miałaś co noc, dobry kapitan skompletowałby załogę niejednego okrętu.

- Ależ, panie - wyszeptła mu prawie do ucha, a prawdę powiedziawszy, musnęła je językiem (i to bynajmniej nie trochę). - Cóż ma począć biedna, samotna kobieta w tak strasznym miejscu jak Port Royal? - Porzuciła masowanie pokrytych bliznami pleców gościa, aby dotknąć wargami jego szyi. - Mój panie, nie odepchniesz mnie, gdy dziś w nocy przytulę się do twojego boku?

- O ile w ogóle jej dożyję - mruknął Rackham. Boney paplała dalej, o pół głosu wyżej niż zwykle, co też od dłuższej chwili nie uchodziło uwagi Johnny'ego Szczęściarza. Instynkt, dzięki któremu ciągle tułał się po morzach Indii Zachodnich, nie zawiódł go i teraz. Boney była dla niego aż za miła, mówiła zaś stanowczo za wiele i zbyt głośno. A wszystko po to, by czujne ucho kapitana nie dosłyszało dochodzącego z dołu i zbliżającego się powoli złowieszczonego stukotu drewnianej nogi...

Johnny westchnął i poszukał wzrokiem cutlasa. Nigdzie nie dostrzegł broni

ani pendentu, na którym nosił lewak. Powoli wszystko stawało się jasne. Gniew mężczyzny, zdrada kobiety, jak zawsze. Można by o tym napisać sztukę. Tylko po co?

Stukot zbliżał się, a Rackham rozejrzał się dokoła. Piętro zamtuza mamy Fratelli było jedną wielką salą, którą podzielono kotarami na zaciszne alkowy. Tego skwarne popołudnia na początku czerwca roku Pańskiego 1683 nie było wielu gości. Chyba nawet był jedynym klientem. Ciekawe jednak, gdzie przepadł Robert, jego sługa? Czyżby obściskiwał w kuchni służącą? W tym portowym mieście i w tym miejscu Rackham nie mógł wykluczyć zarówno tego, iż chłopak gzi się z dziewczką podesłaną mu przez mamę Fratelli, jak i tego, że właśnie dogorywa w rynsztoku z nożem wbitym w plecy.

- Boney - rzekł cicho - będziemy mieli gości.

Piękne ciemne oczy ladaczniczy zrobiły się okrągłe. Zupełnie jak gdyby nie wiedziała, o co chodzi. Jakaż była niedomyślna... Ale Rackhama nie sposób było zwieść. Johnny Szczęściarz naprawdę miał szczęście.

Z łoskotem trzech podkutych butów i stukotem drewnianej nogi do alkowy wkroczyło dwóch mężczyzn. Pierwszy był średniego wzrostu, zgarbiony i postarzały. Miał brodę przeplataną warkoczykami i ogorzałą od słońca gębę, a właściwie pół, gdyż drugą połowę jego zniekształconego, pokrytego bliznami oblicza zakrywała szeroka marynarska chusta i przekrzywiony na bok kapelusz. Mężczyzna kuśtykał na drewnianym kulasie. Drugi z niezapowiedzianych gości był wyższy, przyodziany w niegdyś dostatni, wyszywany jedwabiem kaftan. Dziś jego strój przypominał łachmany, którymi dziewczki służebne mamy Fratelli ścierały z podłogi rozlany rum, wino i krew. Obaj piraci trzymali dobyte z pochw pałasze.

Kapitan znał obu jegomościów aż za dobrze. Kuternoga był sławnym okrutnikiem i grabieżcą, holenderskim piratem znanym jako Bernhardt van Beltroop. Lewą nogę urwała mu przed laty kula z dwunastofuntówki. Towarzyszył mu niejaki Jim Darkweld, zwany z kolei Sinogębym od częstego nadużywania rumu - słaby korsarz, lecz bezwzględny okrutnik, którego na Hiszpanioli zwano czasem Darkwoldem Cyrulikiem. I bynajmniej nie dlatego, że potrafił sprawnie wyrwać zęby...

- Mynheer Rackham! - Beltroop wyszczerzył się, ukazując poczerwiałe pieńki pozostałe po zębach. - Cóż za miłe spotkanie!

- Szukaliśmy pana kapitana cały miesiąc - dorzucił Darkweld. - I już się martwili, że nie znajdziemy Johnny ego Szczęściarza wśród żywych. I proszę, Opatrzność Boża czuwała nad wami, mości kawalerze. Bo nie tylko żywiście, ale i bawicie się zacie, zażywając kąpeli w towarzystwie damy. Nie będzie to zacna śmierć dla kapitana... Ale że żeglarzem byliście kiepskim, tedy zamiast na merchancie czy galeonie pójdziecie na dno w zwykłej balii. W tym zasranym, zapluskwionym zamtuzie.

- Po prawdzie - rzekł Rackham - to nie szukałem waszego towarzystwa, mości panowie.

- I niesłusznie, bo kto szuka, he, he, nie błądzi. - Darkweld bezceremonialnie podniósł do ust dzban z winem, którego Szczęściarz nie zdążył jeszcze popróbować, i pociągnął spory łyk. Czknął z powagą, splunął i otarł wargi wierzchem dłoni. - Onegdaj w Zatoce Czarnych Świń my także szukaliśmy jaśnie wielmożnego pana Rackhama przez całe dwie niedziele.

- I jakież było nasze zdziwienie - uzupełnił wywód Darkwelda kuternoga van Beltroop - kiedy zamiast waszego statku, mynheer Rackham, pojawiły się trzy francuskie galeony wojenne. Nieładnie to z waszej strony, panie Szczęściarzu.

Rackham postanowił zagrać w otwarte karty.

- Znacznie gorzej byłoby - zaczął - gdybym popłynął z wami na Petit Goave, jak stało w umowie. Tam czekał już na mnie hiszpański gubernator, cztery setki żołnierzy i świeżo narychtowana szubienica. A ja przecież bardzo nie lubię przeciągów, mynheer Beltroop.

- Zdradliwa to rzecz przeciągi. A i wy tutaj przecie świeżo po kąpeli... No, nie trwóście się, panie. Choćbyśmy teraz okna otworzyli, to - wierzajcie mi - tym razem nie zdążycie nabawić się kataru!

- A gdzież to macie broń, panie Szczęściarzu? - zapytał Darkweld z udawaną troską w głosie. - Ha, nigdzie nie widzę tutaj waszego gdańskiego cutlasa... Gdzie go zgubiliście?

Boney, widząc utkwiony w niej wzrok klienta, drgnęła i spuściła głowę.

- To bardzo źle, że posialiście gdzieś broń, mynheer Rackham - cmoknął van Beltroop. - Bo my tu gadu-gadu, a tam w szynku Pod Ślepym Komodoreem czeka na nas zacna kompanija. Kończyć nam trzeba to, cośmy zaczęli. - Holender postąpił ku balii.

Szybkim, zdecydowanym ruchem Rackham wyciągnął rękę spod wody. W jego dłoni błysnął pistolet.

- Cofnąć się pod ścianę! - syknął. - No już! Ruszać się.

Piraci zamarli.

- No, no, mynheer Rackham... - Van Beltroop pokręcił z niedowierzaniem głową. - Chybaście z najwyższej rei na pokład na łeb upadli albo franca rozum wam wyjadła. Chcecie zabić nas z mokrego pistoletu?

- Ten półhak - wycedził Johnny Szczęściarz - nie boi się wody. Zrobił go dla mnie monsieur Jean Le Douc, francuski mistrz rusznikarzy z Martyniki. Krzesiwo i panewka są zamknięte w metalowej puszcze, a ząbkowany zatrzask chroni proch przed wysypaniem. Dzięki temu - Rackham uśmiechnął się szeroko - pistolet może strzelać nie tylko wtedy, gdy zanurzy się go w morzu, ale nawet w balii w tym plugawym zamtuzie. Chcecie spróbować?

- Mynheer Rackham - rzekł pojednawczo Holender - no, daj spokój. Na żarty nam się zebrało. Ot, przyszli my, aby po przyjacielsku pogawędzić, stare dzieje sobie przypomnieć, a ty nas straszysz pistoletem. I po co? Wszak my o dawnych urazach już zapomnieliśmy, prawda, mynheer Darkweld?

- A ja ciekawym wielce, panie Rackham - zagadnięty pirat oblizwał spieczone wargi - na którego z nas tę kulę przeznaczyć chcecie. Bo wszak tylko jedną macie w pistolecie?

- Na was, panie Darkweld! Boście odważniejsi.

Pirat zawahał się, zadrżał, ale kuternoga skoczył w stronę balii, biorąc szeroki zamach. Rackham pociągnął za spust i...

Strzał nie padł!

Piraci wrzasnęli gromko i rzucili się w stronę ofiary. Van Beltroop z prawej, a Darkweld z lewej. Zabłyśły pałasze i opadły w dół, aby przeciąć nić życia Szczęściarza, ale ten był szybszy!

Jednym błyskawicznym ruchem kapitan przechylił się, rzucił w bok, przeważając balię. Brudna woda chlusnęła na deski zamtuza, a kadź przewaliła się, podcinając van Beltroopa. Holender krzyknął, zatoczył się, jego drewniany kulas pośliznął się na mydlinach. Pirat przewrócił się, wyrzucił głowę o podłogę, pojechał po niej, a Rackham przeskoczył nad nim, wymknął się cudem spod ostrza Darkwelda i biegnąc nago wzdłuż prowizorycznej ścianki, wrzasnął głośno na służę:

- Robert!!! Bywaj tu!

Uskoczył, gdy z boku rzucił się nań Anglik, wywijając opętańczo ostrzem. Rackham rozejrzał się. Gdzie, do diabła, był jego cutlas! Gdzie ta dziwka go ukryła?!

Przeturlał się po podłodze, wpadł pod kotarę oddzielającą alkowę od reszty sali. Sinogęby ciął wręcz, potem wlew, zamierzył się z zamachu. W ostatniej chwili ręka Rackhama chwyciła ucho srebrnego dzbana. Kapitan zastawił się naczyniem, przetoczył dalej, rwąc zasłonę. Rozwścieczony Darkweld wpadł za nim do sąsiedniego pomieszczenia.

- Robert! - krzyknął Rackham najgłośniej jak mógł. - Robert! Do mnie!

Darkweld ciął wlew z całej siły, Rackham uchylił się zwinnie jak tancerka, uszedł spod ostrza, które opadło na kotarę, rozpruło ją prawie od sufitu do podłogi. Przeciwnik ryknął głośno i zamierzył się znowu, lecz nie trafił, zamotany w strzępy materiału. Od uderzenia rozleciał się na kawałki stół z kielichami, pękł drążek trzymający kolejną zasłonę. Rackham znowu zastawił się dzbanem. Darkweld ciął niby drwał rąbiący drzewo. Od uderzenia naczynie rozpadło się w ręku Szczęściarza. A z tyłu... Zza pleców Rackhama jak na złość dobiegł skrzyp i łoskot drewnianej nogi van Beltroopa. To doprawdy nie było pomyślnie popołudnie dla Szczęściarza.

- Stevenson! Przestań chędożyć dziewczkę! Cutlas! Daj mi cutlas!

Coś świsnęło w ciemności, brzęknęło, padając pod stopy Rackhama. Kapitan schylił się, porwał ostrze spod nóg.

- Ratusz się, panie! - usłyszał. Sługa stał na schodach, wpatrzony w piratów.

Kapitan zwinnie wywinął się spod wrażeń kling. Skoczył w bok, a potem ruszył z młynem na kuternogę. Teraz, gdy miał broń w ręku, znów był Rackhamem Szczęściarzem. Odbił w locie ostrze holenderskiego pałasza i ciął po ręku Beltroopa.

- Wyciągać kulasy, stare diabły! - ryknął wesoło. - O wy rury, stare dziady!

Ruszać wam się nie chce?!

Beltroop zawył i runął na kapitana ze wzniesioną bronią, brnąc przez zwały płótna, skorupy garnków i poprzewracane misy. Wskoczył na łożę, a wówczas Rackham szarpnął za postrzępioną narzutę. Holenderski pirat zawył, zamachał w powietrzu drewnianym kulasem, a potem padł na plecy. Zanim zdążył się zerwać, Rackham wsadził mu ostrze cutlasa pod brodę. Beltroop zakrzuszył się własną krwią, zacharczał, próbował jeszcze wstać, ale bezskutecznie. Przekręcił się na bok i tak pozostał w kałuży krwi.

Rackham skrzyżował broń z Darkweldem. Teraz poszło szybko. Sinogęby walił pałaszem jak cepem. Szczęściarz złożył się do zastawy, odpowiedział krótkim ciosem wlew, a potem jednym szybkim ruchem przerzucił broń do lewej ręki i chlasnął przeciwnika po oczach.

Korsarz zawył. Oślepiiony krwią rzucił się na Rackhama. Kapitan zszedł mu z drogi, skulił się, podciął nogi, a potem walnął ręką cutlasa w głowę. Stary pirat poleciał przed siebie jak kula wystrzelona z kartauny, wyrznął głowę w okienko, przewalił się na drugą stronę i po przekrzywionym okapie stoczył na ulicę. Chciał wstać, ale w tej samej chwili tuż nad nim rozległo się chrapanie koni. Rozpędzony powóz wpadł na gramolącego się z kolan Anglika. Cztery podkute kopyta wbiły Darkwelda w śmierdzący bruk Port Royal. Potem przetoczyły się po jego ciele koła karocy. Doprawdy Darkweld był chyba najbardziej pechowym piratem w tym przeklętym mieście.

Rackham podszedł do drzwi. Przez chwilę mierzył się wzrokiem z Boney. Ladacznica pisnęła ze strachu i rzuciła się do ucieczki. Nadaremnie! Kapitan dopadł ją w trzech krokach. Chwycił za włosy i przyciągnął bliżej.

- Zdradziłaś mnie, ty suko! - wycedził. - Sprzedałaś Darkweldowi i Beltroopowi! Zapłacę ci za to!

Odrzucił ją od siebie. Krzyknęła i chciała uciekać, ale zanim zrobiła krok, kapitan ciał ją w twarz cutlasem, rozcinając czoło, brew i policzek aż do kości.

- Teraz nie zechce cię nawet pijany żebrak! Masz za swoje!

Boney zawyla. Upadła na kolana, trzymając się obiema rękami za oszpeconą twarz. Jęczała i złorzeczyła.

Rackham przywołał gestem Roberta. Podszedł do okna i wyjrzał. Na środku ulicy stała szykowna, doskonale mu znana karoca.

Skrzypnęły drzwiczki. Na schodkach pojawiły się najpierw delikatne safianowe cizmy ozdobione srebrnymi klamrami. Potem jedwabne pludry, wams wyszywany złotą nicią, ozdobiony koronkami. Później ręka dzierżąca gałkę mahoniowej laski. Z ciemnego wnętrza wygramolił się młody, szczupły mężczyzna z przystrzyżoną w szpic bródką. Oczy podmalowane miał czarną barwiczką. Długie, misternie trefione włosy, wymykające się spod kapelusza, splecione były w kilka warkoczyków ozdobionych kosztownymi błyskotkami.

Mężczyzna spojrział na wybite okno zamtuza, w którym stał nagi Johnny Szczęściarz, a potem skrzywił się.

- Monsieur Rackham! - rzekł z wyrzutem. - Niegrzeczny chłopcze! To ja cię szukam po całym Port Royal, a ty znowu nurzasz się w pijaństwie i rozpuście w miejskim burdelu. I w dodatku bratasz się z pospólstwem!

Tu przerwał i z obrzydzeniem trącił końcem laski leżącego pod kołami karocy, zdychającego z pianą na ustach Darkwelda.

- Mon Dieu! - Elegant załamał ręce. - Dopiero południe, a ten już pijany! A fe! Od kiedy przestajesz z takim motłochem, kapitanie?!

Rackham narzucił na siebie koszulę i szarawary, chwycił pod pachę kaftan i kapelusz, w drugą rękę wziął pas i cutłas. Coś mu nie pasowało.

- Robert, a gdzie moja sakiewka?

- Nie było jej, sir! - zameldował służący. - Pewnie ukradli!

Rackham zmełł w ustach przekleństwo. Wzwał buty. Nie chciało mu się iść schodami, więc wyskoczył oknem wprost na okap nad wejściem. Drewniana konstrukcja zatrzeszczała, na ziemię posypały się dachówki, ale wytrzymała.

Kapitan, w przeciwieństwie do Stevensona, który idąc w ślady swego pana, wywinął kozła i zwałił się na piasek, miał więcej szczęścia i zgrabnie wylądował tuż przed elegantem. Doskonale znał wymalowanego jegomościa. Był to Thomas Cunningham zwany Czarnym Rothem albo za plecami Timem Sodomitą. Dla nikogo z morskiego bractwa nie było bowiem tajemnicą, że dowódca pinasy Roanoke łasy był bardzo na wdzięki młodych chłopców. I nawet w czasie rejsu trzymał na swym

statku kilka męskich dziwek. Jednak w Port Royal, największej stolicy rozpusty w Indiach Zachodnich, nie robiło to na nikim wrażenia.

Przywitali się uściskiem ręki. Czarny Roth wskazał otwarte drzwi karocy.

- Monsieur Rackham - rzekł - zechciej udać się ze mną do szynku Pod Krzywym Ryjem na High Street. Mamy do obgadania kilka kwestii. Niezwykle ważnych, ma się rozumieć.

Rackham bez namysłu wskoczył do pojazdu. Znał Cunninghama wystarczająco długo, aby wiedzieć, że zacny Thomas na pewno nie niepokoiłby go w jakiejś błahej sprawie. Zresztą Roth był groźnym piratem. Ten dupkowaty, sfrancuziały piękniś potrafił zabić człowieka w czasie szybszym, niż potrzeba na zdmuchnięcie świecy, a załoga jego statku rzadko kiedy wracała z rejsu z pustymi kabzami. Wsiadł więc i skinął na sługę, aby zajął miejsce obok niego.

- Widzę, że nasz dzielny Robert zmężniał - rzekł Cunningham i pieszczotliwie poklepał młodego Stevensona w okolicy kolana. - Kapitanie, czy nie czas już, aby twój sługa stał się prawdziwym mężczyzną?

- Zostaw Roberta, sodomito! - warknął Rackham.

Znudzony uśmiech zagościł na obliczu pięknisia.

- W moim towarzystwie, monsieur Rackham, nie musisz używać żargonu portowej hołoty. Nie chciałbym być natrętny, ale zdecydowanie wolę określenie pederasta.

Szczęściarz pokręcił głową. Czasami naprawdę miał dość arystokratycznych manier Cunninghama.

- A cóż to za sprawa, którą chcesz ze mną omówić?

Czarny Roth zatrzepotał zalotnie rzęsami, a potem skinął na Roberta.

- Poczekaj, monsieur - rzekł. - Za chwilę będziemy Pod Krzywym Ryjem. Zawierzaj mi, że chcę przekazać ci naprawdę poufne informacje.

3. Talary mają lepszy smak od wiary

- Pan Hackham, pan Cunningham. - Joshua Joskowitz, gdański Żyd, który prowadził w Port Royal tawernę i skład win, a tak naprawdę zaopatrywał pirackie okręty, podniósł w górę kościsty paluch. - Ja witać szanowny pan w moja skhomna tawehna. Ja witać, bo ja mieć intehes. Bahdzo zacny intehes.

Siedzieli przy szklanicach brandy w małym pokoiku na tyłach szynku. Od niepamiętnych czasów Joskowitz załatwiał tu interesy, za które ludziom z jego nikczemnego stanu groziła prosta i jakże skuteczna kara - konopny stryk dobrze nasączony oliwą, lub - gdyby wpadł w ręce Hiszpanów - bolesna i śmiertelnie powolna garota.

- Do rzeczy - mruknął niechętnie Rackham i wychylił zawartość naczynia jednym haustem. - Ostatnim razem, gdy miałeś do mnie interes, mój statek przez dwa miesiące stał w doku, bo jakimś dziwnym trafem przy merchancie, który niby miał podróżować samotnie, znalazł się okręt wojenny. Informatorzy, Joskowitz, którzy zdobywają dla ciebie wieści, to lenie, głupcy albo pijacy, których pierwszy lepszy hiszpański szyper wyprowadzi w pole.

- Tym hazem jednak - Żyd skulił się - tym hazem pan kapitan haczy mnie wysłuchacz. Ja wiedziecz, stahy Joskowitz się mylicz, ale błędzenie jest rzecz ludzka. Ale tehaz ja mówicz phawda, sama phawda i tylko phawda. I jeśli pan kapitan wysłuchacz, to pan kapitan bycz bogaty, że ho, ho!

- Allez! - Cunningham odpędził kilkoma pacnięciami swej śnieżnobiałej chusteczki tłustego czarnego szczura, który dobierał się do jego kielicha z brandy.

- No, więc co tym razem wymyśliłeś, Joskowitz? - Rackham dolał sobie trunku.
- Może chcesz, abyśmy napadli na armadę skarbową? Albo na dwór wicekróla Havany? Chętnie o tym posłucham.

- Jest taki hiszpański galeon - wtrącił niepewnie Cunningham. - Wypływa z Maracaibo. A wiezie pod pokładem beczki, w których jest jakieś szesnaście tysięcy

dublonów w złocie. O tym właśnie statku chcielibyśmy z tobą porozmawiać, monsieur kapitan.

Jeśli Cunningham myślał, że Rackham zakrzusi się teraz z wrażenia, to grubo się pomylił.

- Ciekaw jestem zatem - czknął Johnny Szczęściarz - co robi tyle złota na jednym nędznym galeonie? A może gubernator Maracaibo chce ofiarować je jako jałmużnę piratom? No cóż, pomagając takim łotrom, nie zyska zbyt wielu szczebli w drabinie wiodącej do rajów. A może, w co bardziej wierzę, galeon ma towarzystwo? Na przykład trzy okręty wojenne, o których pańscy informatorzy, panie Joskowitz, jakoś zapomnieli?

- Galeon nie ma żadnego towarzystwa, panie Rackham - rzekł Żyd. - W tym hoku flota skahbowa płynie innym szlakiem. Nie zawija do Mahacaibo, więc gubernator wysyła coroczne daniny i podatki na własnych statkach do Havany.

- Wiem już o tym - mruknął Rackham. - Połowa obwiesiów z Port Royal ostrzy sobie zęby na te bogactwa. A druga połowa rozmyśla, jak poderznąć gardło tym pierwszym i zagarnąć złoto dla siebie. Największym kłopotem jest dla nich decyzja, czy zrobić to, zanim ich kompani zrabują złoto, czy też zaraz po tym.

- Nie, to nie tak, pan kapitan! Tzi statki wojenne, które mają przewieźć złoto, to tylko przynęta dla piratów. Gubernator chce wyphowadzić w pole bukaników i wysyła w tajemnicy złoto na pokładzie innego okrętu. Galeon Santa Mahia wypływa wkhótcie z Mahacaibo. A pod pokładem w beczkach z mąką ma ukryte dublony. Złote dublony, panie kapitan. Takie z kółem Hiszpanii wybitym na awesie.

Rackham dolał sobie brandy. Doprawdy nie wiedział, co o tym myśleć.

- Skąd wiecie o wszystkim, panie Joskowitz? Wyczytaliście w kabale? A może powiedział wam o tym jakiś żydowski prorok?

- Aj waj, żeby ja tak cebulami we Gdanzku handlował, jeszliby ja zełgał! - Joskowitz ściszył głos. - Dowiedział się o tym nie ja, ale kapitan Spey. I chciał na Hiszpanów napaść. Ale buzia shoga przyszła i zatoniła pinasa pana kapitana, a wszystko to stało się koło Ahuby. A tylko dziennik okrętowy Speya ocalał. Znaleźli go moi ludzie i odczytali... A tam były wszystkie plany kapitana.

Ta opowieść mogła być prawdziwa. Andrew Spey rzeczywiście przepadł bez

wieści jakiś czas temu razem z okrętem. Plotki zaś głosiły, że zamierzał napaść na Hiszpanów gdzieś blisko Maracaibo.

- Pokaż mi ten dziennik.

Żyd wydobył zwój postrzępionych papierów. Wyglądało to jak fragment dziennika okrętowego wyrwanego z księgi. Część wpisów była nie do rozpoznania - papierowe karty zniszczyła wilgoć i morska woda. Na górze pierwszej strony widniał fragment jakiegoś zdania, zaczynającego się prawdopodobnie na poprzedniej karcie: *...uwolnijcie z piekła i niechaj Bóg Miłosierny ma nas w swojej opiece...* He, he, od kiedy to Andrew Spey zrobił się taki religijny?

Dalej jednak były znacznie ważniejsze wpisy: *Wyruszamy, aby zacząć się na Santa Marię w połowie drogi do Havany. Gubernator Maracaibo przewozi 16 tysięcy dublonów corocznych danin i podatków z hiszpańskich kolonii. Załadowano prowiant, prochy i kule...*

Te wpisy naprawdę wyglądały na autentyczne. Zresztą podpisał się pod nimi własnoręcznie Spey.

- Zaczaimy się na Santa Marię przy południowym brzegu Grande Caymane. - Cunningham przysunął się blisko do Rackhama. - Nieopodal Czarciej Rafy. Jak wyliczyłem, podróż do Havany zajmie Hiszpanom przynajmniej dziesięć dni. Tak więc piątego dnia żeglugi Santa Maria osiągnie Caymany. A zatem, monsieur Rackham... - Cunningham poufale położył rękę na udzie kapitana. - Tam urządzimy zasadzkę.

Szczęściarz milczał. Czarcia Rafa cieszyła się złą sławą. Co roku rozbijały się tam jakieś statki, a pływaczki i wybrzeża w południowej części wyspy pełne były wraków i ludzkich kości. Z drugiej jednak strony miejsce w sam raz nadawało się na to, aby posłać tam na dno kilku hiszpańskich diabłów.

- Jak uzbrojony jest ten statek?

- W dzienniku Spey napisał, że galeon ma nie więcej niż szesnaście dział. Z tego głównie falkonety i szlangi. Załoga nie jest liczna, choć dowodzi nią doświadczony szyper.

Rackham znowu łyknął brandy.

- Co ja z tego będę miał?

- Pan kapitan wie dobrze, że ja ućciwy Zid jestem - zagadał Joskowitz. - Ućciwy, skhomny, phacowity i ubogi. Dlatego wezmę z udziałów jedynie ośm tysięcy dublonów. Heszta, panie wielmożny, podzielicie się...

Ręka Rackhama chwyciła go za żabot na piersiach. Kapitan bez wysiłku podniósł kupca, i to tak szybko, że Joshua nie zdążył nawet zadzwonić na swoich ludzi - kilku podłych łotrów i oprychów, zwykle siedzących w głównej izbie szynku. Czuwali oni dzień i noc, aby w razie potrzeby bronić życia swego pana, które przynajmniej raz na tydzień bywało w niebezpieczeństwie. No cóż, Joskowitz nie zajmował się przecież handlem cebulą. Poza rumem i sucharami dla piratów sprowadzał niewolników, a z Europy białe irlandzkie dziewczyny kupowane od Anglików i zamieniane w ładacznicę.

- Powtórz to raz jeszcze, Judaszu - wycedził Rackham - a wepchnę ci twój parszywy jęzor w dupę tak głęboko, że poczujesz się, jakby dosiadało cię dziesięciu czarnych niewolników!

- Aj-waj! Panie kapitan - wykrztusił Żyd - giewałt, giewałt się dzieje! A jak pan kapitan język mi wepchnie, to ja już nie powiem, kiedy galeon wypływa. I co wasie wielomości zhobią wtedy? Gdzie go poszukają? I kiedy? Za miesiąc? Za tydzień? Ho, ho, morza tu szehokie i głębokie! Siedem tysięcy.

- To wszystko jest opisane w dzienniku Speya - prychnął Rackham. - Możemy spokojnie ukręcić ci kark, zabrać papiery i sami podzielić się całym łupem.

- He, he, a ja był sphytny. Bahdzo sphytny. Ja wyjął kahtę z data wypłynięcia Santa Mahii i schował ją. Ona być dobrze ukhyta!

Rackham zaklął plugawie.

- Monsieur Joshua, to bardzo niegrzeczne z twojej strony. - Cunningham spokojnie napełnił szklanicę brandy. - Dlaczego zachowujesz się jak prostak? Niegodne to, by szanowany angielski kupiec był takim szelmą i wyzyskiwaczem. Chyba zatem zrozumiesz wzburzenie monsieur Rackhama i weźmiesz trochę mniej złota. Na przykład tysiąc dublonów, co?

- Pięć tysięcy! - wycharczał Żyd. - I ani dublona mniej!

Rackham rozluźnił uścisk. Joskowitz opadł na nogi, a jego ręka od razu wyciągnęła się w kierunku dzwonka. Ale kapitan był szybszy. Błyskawicznie dobył

lewaka i wbił sztylet dosłownie o cal od rozczapierzonych palców kupca. Żyd zamarł, jęknął ze strachu.

- Ja mieć ośm ludzi w sali. Jeśli coś mi zhobicie...

- A ja myślę, że weźmiesz cztery tysiące, kochaneńku - wycedził Rackham. - A wiesz, dlaczego cztery, a nie pięć? A dlatego - rzucił, nie licząc widać na szybko odpowiedź - że spuszczę ci pludry, przycisnę do stołu, a pan Czarny Roth sodomii z tobą popróbuje. Prawda, panie Cunningham?

- Sacrebleu! - jęknął z zachwytem pirat i oblizwał się nad wyraz paskudnie. - Toż to czysta perwersja. Od tyłu... Starozakonnego? Mam tylko jeden warunek: ty, monsieur Rackham, zostaniesz i będziesz patrzył!

- Czte... cztehy tysiące - wystękał przerażony Żyd. - Cztehy, niech wam będzie, do khośset!

- A więc cztery tysiące dublonów dla pana, panie Joskowitz, za informację o galeonie, a po sześć dla nas, panie Cunningham. Ładna sumka. Nawet jeśli się okaże, że galeon jest dobrze uzbrojony, a któryś z nas straci okręt, to i tak każdego będzie stać na co najmniej dwa statki.

- Moi ludzie przegrali już w kości wszystko, co zdobyli na poprzedniej rejsie, roztrwonili jak głupie panny dobre uczynki - roześmiał się Cunningham. - Nie powinni tedy narzekać, że znowu szykuje się okazja do skrojenia kilku Hiszpanów.

- Panie Joskowitz - mruknął Rackham - proszę przygotować papier i inkaust. Spiszemy umowę.

- A ja jestem ciekaw - odezwał się Cunningham - kiedy ten złoty galeon wypływa z Maracaibo, panie Joskowitz? Powiecie nam o tym wreszcie?

Żyd wyciągnął ze skrzyni papier, pióro i butlę inkaustu.

- Za pięć dni.

- A zatem mamy jeszcze trochę czasu.

- Za kilka dni - rozmarzył się Czarny Roth - będziemy bogaci...

- Albo martwi.

Pirat sodomita uśmiechnął się:

- Jakoś wcale mnie nie martwi, że trafię do nieba. Talary, monsieur Rackham, zawsze mają lepszy smak od wiary.

John Rackham nic nie powiedział. Złożył zamaszysty podpis na karcie z umową.

4. Przeklęty przyz

Wiało w stronę lądu. Był wczesny świt. Słońce wschodziło wolno, skryte za welonami mgieł wiszącymi nad postrzępionymi skałami Czarnej Rafy. Elizabeth, trójmasztowy galeon Rackhama przebudowany z okrętu niewolniczego, płynął szparko fordewindem na północny wschód. Wiatr napelniał żagle, a załoga trwała na stanowiskach. Piracki okręt pędził jak ptak, a smukły kadłub ślizgał się po grzywach fal. Kilwater pieniał się wściekle za rufą. Rackham oderwał wzrok od perspektywy. Stał na samym dziobie, przy bukszprycie, tuż przed forkasztelem, mokry od bryzgów morskiej wody. W zalegających nad powierzchnią morza i rozganianych przez wiatr oparach czasem nie widział prawie nic. Stracił z oczu nawet Roanoke Cunninghama - szybką pinasę, przecinającą fale w odległości ćwierć mili na prawo. Daleko z mgieł wyłaniały się zdradliwe, ostre grzbiety skał za Czarcią Rafą. Wysoko w górze przez chmury przebijał się piękny, czysty błękit nieba - był to znak, że lada moment słońce wynurzy się zza skał, a wówczas mgła opadnie, odsłaniając oba pirackie okręty.

Pułapka była już zastawiona. Santa Maria miała przepływać na południe od skał i raf. Zadaniem Elizabeth było ostrzelanie hiszpańskiego galeonu, związanie go pojedynkiem artyleryjskim i zniszczenie olinowania, natomiast Roanoke miała zająć go od tyłu, a potem przeprowadzić abordaż, do którego dołączyć miał także okręt Rackhama.

Mgła zaczynała rzednąć. Jednolity mleczny opar począł dzielić się na kłęby, chmury i pojedyncze tumany.

- Ramblind! - ryknął Rackham na bosmana, wielkiego, zwalistego chłopca z uchem i nosem przebitymi złotymi kolczykami, bez lewego oka i prawej dłoni. -

Łapcie za liny. Zrzucić grota i fok!

- Aye, aye, sir! Ruszać się, morskie dupy! Luzować szoty! Wybierać talię refową! Do lin, śmierdzie! Razem! Już! Wybierać gejtawy i gordingi! Powoli, razem!

W tupot bosych stóp na pokładzie wmieszały się dalsze krzyki i wyzwiska bosmana. Majtkowie zabrali się za zrzucanie głównych żagli - wszystko po to, aby uprościć manewry wykonywane w czasie bitwy i zabezpieczyć płótna przed iskrami z armat.

Rackham przyłożył perspektywę do oka. Mgła opadała - przed sobą, na wprost, miał spienione grzbiety fal, dalej mleczny opar, a za nim poszarpane, oświetlone żółtym blaskiem słońca skały.

- Do dział!

Kapitan czuł, jak narasta w nim niepokój. Było to uczucie pojawiające się przed każdą bitwą. Chłód podszedł mu do gardła, serce zaczęło bić coraz szybciej i szybciej. Kochał ten stan, kiedy wiedział już, że za chwilę postawi swoje życie na szali przeznaczenia, że poleje się krew, a działa jego okrętu będą siał strach i zniszczenie.

Marynarze skoczyli do schodni. Szybko i sprawnie zajmowali miejsca na pokładzie działowym.

- Podnieść ambrazury!

- Aye, skipper!

Pokrywy maskujące lufy dział uniosły się. Okręt zwolnił - szedł teraz nieco więcej niż połową szybkości.

- Ładować kule łańcuchowe.

Żelaza i łańcuchy zagrzechotały po całym pokładzie. Rackham nie zamierzał zatopić Santa Marii. Chciał zgruchotać jej maszty, pociąć liny, aby bezbronny okręt padł łatwym łupem wilczej załogi Cunninghama.

Koła ciężkich szlang załomotały pod pokładem. Wnet przez otwory strzelnicze wysunęły się złowieszcze pyski armat.

- Gauthier, trzy rumby w prawo!

Zaufany sternik Rackhama posłusznie przesunął rudel; okręt wyostrzył - zamiast iść ku wznoszącym się stromo skałom przy Czarciej Rafie, płynął teraz

wzdłuż nieprzyjaznego wybrzeża Grande Caymane.

- Flaga na maszty!

Banderę angielską spuszczone z masztu. Na jej miejscu załopotiała czarna flaga Rackhama, przedstawiająca trupa z dwiema szablami.

Rackham rozejrzył się po morzu. Daleko, jakieś trzy mile od Elizabeth, widział maszty i żagle Roanoke.

- Sir! Statek z prawej! - krzyknął majtek z bocianiego gniazda.

Rackham uchwycił się wanty i jednym szybkim ruchem wskoczył na reling. Mgła rzedła, wschodziło słońce. Ocean nabierał błękitnej barwy. Okręt zakołysał się, wysoko w górze pokrzykiwały mewy. Kapitan zlustrował uważnie linię horyzontu... Zamarł. Daleko wśród mlecznych oparów dostrzegł czarny kształt. Głęboko osadzony w wodzie trójmasztowy galeon płynący ostro do wiatru. Na pierwszych dwóch masztach miał żagle rejowe, a na ostatnim skośny bezan zwieńczony renowym stermarslem. A jednak coś dziwnego kołysało się na końcach rei Hiszpana, na nadbudówkach, rufie i śródokręciu. Jakież kształty zaburzające linię kadłuba, masztów i żagli... Czyżby klatki?

- Gauthier, kurs na wiatr! Idziemy na spotkanie! Szykować działa! Z życiem, chłopcy! Tam płynie szesnaście tysięcy dublonów!

Elizabeth położyła się lekko na lewą burtę i popłynęła prosto na spotkanie wrogiego okrętu.

- Przetniemy ich kurs jakieś ćwierć mili przed galeonem - rozkazał Rackham. - Powitamy Hiszpana salwą z bakburty. I dołożymy ze sterburty.

Elizabeth skrzyła, szła znowu szybciej, z wiatrem. Santa Maria zbliżała się coraz bardziej. Jednak na jej pokładzie nie widać było oznak paniki.

- Wystrzelcie z działa!

Huk wstrząsnął okrętem. Na hiszpańskim galeonie na pewno ich zauważono. Santa Maria zrobiła zwrot i popłynęła półwiatrem w stronę pirackiego statku.

Błysk i grzmot prawie rzuciły Rackhama na kolana. Kula działowa przemknęła ze świstem nad pokładem, uderzyła w morze daleko za statkiem.

- Odgryzają się, hiszpańskie kupczyki! - mruknął Ramblind.

- Nabijać muszkiety!

- Najlepsi strzelcy na marsy!

Grupy abordażowe, kulące się za nadburciami, sięgnęły po prochownice. Piraci podsypali panewki, aby w stosownej chwili ostrzelać pokład nieprzyjacielskiego statku. Hiszpan najwyraźniej gotował się do walki. Rackham skulił się za burtą. Wyraźnie widział wysoki forkasztel, strzelisty bukszpryt i umieszczony pod nim galion - ogromną figurę... nie, wcale nie Matki Boskiej... To był mężczyzna w kapturze.

Nie było czasu na podziwianie wrogiego okrętu. Kapitan chciał dopłynąć blisko galeonu, dokonać zwrotu przez rufę i będąc w martwym polu ostrzału - dać ognia ze wszystkich dział. Potem zrobić kolejny zwrot, ustawić się pod wiatr i poprawić salwą z drugiej burty.

Santa Maria szła ostro do wiatru. Rackham dostrzegł, że na pokładzie przygotowywano się do zwrotu. Dobył zatem cutlas i krzyknął do sternika:

- Lewo, trzy rumby! Działa w gotowości.

Elizabeth skrzyła pięknie, jak na paradzie, ustawiła się całą prawą burtą do przeciwnika.

- Ognia!

- Bij skurwysynów!

- Na pohybel!

Działa huknęły niskim basem. Błysk przeleciał wzdłuż prawej burty. Kule łańcuchowe świsnęły, mknąc z zawrotną chyżością w stronę galeonu. Rackham zobaczył, jak w powietrzu zatańczyły oderwane liny, jak fok i marsel na fokmaszcie wrogiego okrętu poszły w strzępy. A potem... Nim zdołał wydać rozkaz zwrotu, galeon obrócił się do nich prawą burtą. Rackham ujrzał wymierzone w siebie dwa rzędy otworów najeżonych czarnymi oczkami dział. Wiedząc, co się święci, rzucił się na pokład.

- Padnij! Wszyscy padnij!

Hiszpan dał ognia z całej burty. Czerwony błysk rozjarzył mgłę i prochowe dymy. Ze straszliwym łoskotem, gwizdem i wyciem kule uderzyły w burty i pokład Elizabeth. Tuż obok Rackhama śmignęły w powietrzu deski i bale wyrwane z nadburcia, zwała się z góry potrzaskana marsreja. Okręt zatrzęsł się i zakołysał.

Oberwali mocno.

Kapitan porwał się na nogi. Chwycił za ramię marynarza obok i... ręka tamtego została mu w dłoni. Majtek leżał zmasakrowany, wyl, trzymając się za kikut ramienia.

- Ramblind! Zabrać go do chirurga! - wrzasnął Rackham. Ale bosman stał daleko. Cały pokład zbryzgany był krwią, kapitan usłyszał jęki, krzyki i rżenia umierających.

A potem ujrzał coś, co przejęło go trwogą. Santa Maria właśnie odwracała się do nich lewą burtą. Jak? W jaki sposób wyładowany, ciężki galeon był w stanie zrobić zwrot tak szybko?

- Nabijać działa - ryknął. - To jeszcze nie koniec.

Elizabeth sprawnie położyła się na burtę i zaczęła obracać rufą do wroga.

Rackham skoczył na śródokręcie, pośliznął się na świeżo rozlanej krwi, pojechał na kolanach po deskach, walnął łbem w nagielbank.

Elizabeth złapała wiatr, popłynęła szybciej, oddalając się od galeonu. A potem zrobiła kolejny zwrot.

- Całą burtą ognia!

Tym razem byli szybsi. Działa na lewej burcie odpaliły niemal jednocześnie. Huk wstrząsnął pokładem. Na Santa Marii nie widać było jednak śladów zniszczenia.

A potem galeon ustawił się bokiem. I bluznął ogniem z dział lewej burty.

Spadły na nich kule łańcuchowe. Wirujące ostrza i łańcuchy zawyły, zaświszczały w powietrzu, tnąc płótno, liny, wyszczerbiając drewno, uderzając ze straszliwą siłą w pokład. Z trzaskiem i hukiem poszła część prawych want, świsnęły przecinane fały, szoty i gordingi. Z grotmasztu zwała się na pokład uwolniona z fałów, brasów i topenant reja bramsla, ciągnąc za sobą płachtę porwanego żagla.

Rackham z przekleństwem na ustach dźwignął się spod zwałów płótna, wygrzebał spomiędzy potrzaskanych desek. Tuż obok świszcząca i wyla śmierć - rozpędzone kule łańcuchowe trafiały wprost w grupy strzelców kulących się przy nadburciach, tnąc ludzi na części, rozrywając ciała na sztuki, zmieniając marynarzy w krwawe strzępy.

- Matko, matko!!! Jeeezu! - wył jakiś majtek, trzymając w ręku odcięty pod pachwiną kikut nogi. - Niiieeee! Niiiee! - szlochał, przykładając go do straszliwej rany, z której tryskały strumienie krwi.

Okręt spowity był dymem, pyłem, zalany strugami krwi, zasypany resztkami odciętych członków, zmasakrowanymi ciałami marynarzy. Kapitan przedarł się w pobliże głównego luku prowadzącego na pierwszy pokład. Potknął się o dygocącego pólleżącego człowieka i omal nie wrzasnął. Obracające się wokół własnej osi kule łańcuchowe przecięły marynarza na pół. Umierający wył, spoglądając na dolną połowę swego ciała...

Kapitan skoczył na schody. Kanonier, przekazujący jego rozkazy kolegom, leżał ze zdruzgotaną czaszką. Pokład działowy pełen był dymu.

- Ładować kule żelazne - ryknął Rackham do swoich ludzi. - Dalejże, odpowiemy psim synom. Nabijajcie obie burty!

Kanonierzy nie ulegli panice, skoczyli do dział. Rackham wbiegł na górę po schodach. Omal nie zderzył się z Ramblindem. Dopadł relingu, wyrwał zza pasa perspektywę. Galeon został trochę w tyle, widocznie kanonierzy nabijali działa, szykując się do drugiego starcia.

- Kurs na południe! - krzyknął do sternika. - Zebrać rannych! Stawiać wszystkie żagle! Uprzątnąć liny! Cunningham, gdzie jest Cunningham! - wyszeptał kapitan, szukając na morzu znajomej sylwetki pinasy. - Do stu piorunów, nie wytrzymamy drugiego ataku!

Jego rozbiegane oczy dostrzegły w końcu trójmasztową pinasę. Była tuż za rufą galeonu ścigającego Elizabeth. Roanoke sposobiła się do abordażu!

- Patrz! - syknął do bosmana. - Nasi zachodzą ich od rufy. Nie damy zginąć Czarnemu Rothowi! Na nich!

- Przygotować się do abordażu! - ryknął Ramblind. Kurs na wiatr!

Elizabeth nabrała prędkości. Szła znowu na spotkanie czarnego galeonu. Była coraz bliżej... Wszyscy marynarze dostrzegli Roanoke gotującą się do ataku. Zaczęli krzyżeć - już wkrótce cały okręt rozbrzmiewał posępnym bojowym rykiem piratów. Statek rozpędzał się.

- Naprzód, kamraci! - darł się bosman. - Oskubiemy Hiszpanów! Na pohybel

skurwysynom!

- Po dublony! Po złoto! Złoto, złoto!

A potem stało się coś, co zmroziło serce Rackhama. Znienacka galeon dokonał zwrotu przez sztag, w ostatniej chwili wymknął się pinasie Cunninghama. Ustawił się do niej burtą i dał ognia... Ognia ze wszystkich osiemnastu kanon!

Rackham widział, jak ze statku Czarnego Rotha lecą strzepy olinowania, jak wali się bezanmaszt, kruszą deski poszycia. Stał z dłońmi zaciśniętymi w pięści, patrząc, jak pierwsze języki płomieni zaczynają lizać żagle na grotmaszcie, jak z głównego deku i rufowej nadbudówki skaczą do morza płonący ludzie...

A potem nagły błysk sprawił, że przymknął oczy. Wybuch prochów rozsadził kadłub Roanoke, wyrzucając statek wysoko w górę.

Bojowe okrzyki ucichły. Cała załoga Rackhama milczała, patrząc ze zgrozą na hiszpański galeon, na morze usiane resztkami statku i szamocącymi się niedobitkami załogi Cunninghama.

Kapitan poczuł, jak w jego ciele rozlewa się gniew, jak dłonie zwierają się w pięści, jak usta wykrzywia grymas wściekłości.

- Wystrzelili działa - huknął. - Teraz są nasi! Do żagli! Bić ich, bracia, bez litości! Naprzód, wiara!

- Bij! - ryknęli piraci jednym głosem. - Za Czarnego Rotha!

- Nie brać jeńców!

- Na przyz!

Rackham podpłynął na dwieście, może trzysta jardów, a potem dał zwrot przez sztag. Stanęli burta w burte, rufa do rufy.

- Całą burtą ognia!

Działa ryknęły jak jeden mąż. Rackham zobaczył, jak kule wbijają się w burty wrogiego galeonu, jak zmiatają marynarzy z pokładu. Galeon przetrwał atak, odpadł w lewo, zaczął powoli robić zwrot.

Coś zalśniło na śródokręciu Santa Marii. Kapitan chwycił perspektywę. Pomiędzy zwojami splątanych lin dostrzegł wyniosłą postać w kapeluszu. To był hiszpański kapitan. Patrzyli na siebie wprost z pokładów swych statków, obserwowali się wzajemnie przez lunety, spokojni i opanowani wśród śmierci.

Rackham nie mógł oderwać oczu od galeonu, czarny statek bez przerwy przykuwał jego wzrok.

- Panie kapitanie! - Ktoś szarpnął go za ramię. Oderwał oko od perspektywy i zobaczył z przerażeniem, że Hiszpan zrobił zwrot, ustawiał się drugą burtą do Elizabeth... Ale... to było niemożliwe!!! Który handlowy statek miał załogę zdolną w tak krótkim czasie nabić działa z obu burt?!!!

- Zwrot przez rufę! - zarządził. - Wszyscy padnij!

Galeon zbliżył się, a potem szybko - zbyt szybko jak na kupiecki statek - obrócił do nich całą burtą! Rackham zadrżał. Ten statek był za zwrotny, zbyt sprawnie przeprowadzał manewry. Aż nie chciało się wierzyć, że takie zwroty przeprowadzał ciężki, wyładowany towarami merchant.

Błysk i huk, okrutny grom wystrzałów wstrząsnął morzem. Elizabeth pochyliła się na burtę, a trzaskowi pękającego drewna towarzyszyły okrzyki bólu, wycie i złorzeczenia. Kule uderzyły wprost w kadłub. Prosto w działa lewej burty. Ogromna ćwierćkartauna wyrwana z obejmy szarpnęła się wstecz, uderzyła w podstawę masztu, miażdżąc ręce i nogi kanonierom.

- Stopa wody w ładowni! - ryknął jeden z wachtowych. - Mamy przeciek, kapitanie!

- Do pomp! - huknął bosman. - Ruszać się, kurwy zajebane!

- Pożar w kubryku!

- Wiadra, wiadra dajcie!

- Lekarza! Medyyyyyyka! Kamraci!!!

- Boli, Boże, jak booooooli!

- Nie, nie ruszaj się! Dajcie szarpie!

Rackham czuł się jak we śnie. W głowie huczał mu odgłos ostatniego armatniego wystrzału. Spoglądał po śliskim od krwi pokładzie. Widział okaleczonych marynarzy tarzających się we własnych wątpiach. Porozrywane martwe ciała w oplotach postrzępionych lin, przykryte urwanymi rejami i płachtami żaglowego płótna. Okręt, spowity prochowym dymem, trzął się od okrzyków.

- Kapitanie! - zakrzyknął Morgan, kwatermistrz okrętu, i potrząsnął Rackhama za ramię. Ale Johnny Szczęściarz nie zareagował. Przez cały czas wpatrywał się we

wrogi statek.

- Henry, patrz! Patrz tam, na reje!

Kwatermistrz wytrzymał wzrok. Na rejach hiszpańskiego galeonu kołysały się jakieś postaci...

Trupy powieszonych. Zwłoki. Jedne stare, zamienione w zeschnięte truchła lub szkielety, a inne świeże, napuchłe, z oczyma wydlubanymi przez ptaki. Na nadbudówkach, na rufie i dziobie zawieszono żelazne klatki z trupami. Krążyło tam wiele mew.

- Kurważ mać! - jęknął Morgan. - Co to jest? Mieli bunt na pokładzie?

- To nie Santa Maria - wydyszał kapitan. - To nie może być Santa Maria...

- Sir, mamy trzydziestu dwóch rannych! - zameldował bosman.

- Przeciek w drugiej ładowni!

- Zatkajcie pakułami.

- Ruszać się, ścierwa! Do pomp!

- Sir, pożar się rozszerza!

Kapitan spojrział na śródokręcie. Popatrzył na wycieńczoną, zdziesiątkowaną załogę.

- Sternik! Kurs na wschód! - zawołał. - Wycofujemy się! Postawić wszystkie żagle.

Piraci popatrzyli z niedowierzaniem. Rackham wyczytał w ich oczach własną klęskę.

- Ruszać się, kurwy! - ryknął bosman. - Do żagli! Stawiać grota i foka, i co tam jeszcze zostało!

Elizabeth położyła się w zwrocie, pozostawiając za rufą galeon. Pokrwawieni majtkowie opuścili z łoskotem marsie. Galeon ruszył półwiatrem. Kilwater za rufą zapienił się, zasyczał.

- Kapitanie - krzyknął bosman - ludzie za burtą!

Rackham poczuł, że serce zamiera mu w piersi. Dopadł burty i spojrział w dół. Przepływali właśnie obok miejsca, w którym wyleciała w powietrze pinasa Cunninghama. Część załogi przeżyła katastrofę - majtkowie dryfowali teraz uczepieni desek, baryłek, rej i drewnianych bali. Bosman spojrział pytająco na

kapitana. Lecz Rackham unikał jego wzroku.

- Sir, czy podejmiemy rozbitków?!

Kapitan obejrzał się. Galeon był nie dalej niż pół mili. Rozwinął czarne żagle i szedł ślad w ślad za Elizabeth.

- Nie ma czasu - jęknął Rackham. - Jeśli staniemy w dryf, hiszpański diabeł rozniesie nas na strzępy!

Morgan splunął obojętnie do wody.

- Kij im w rzyć - mruknął. - Co komu pisane, to go nie ominie.

- Ale przecie... Sir, Cunningham to nasz, swój...

- Do żagli! - ryknął Rackham. - Ruszać się, skurwysyny! Luzować szoty! Znieść na dół rannych. I uprząć ten cały bajzel! - Z rozmachem kopnął kawałek strzaskanej rei leżącej na pokładzie. - Bosman! Co to, kurwa, ma być?! Czy to jest okręt, czy burdel?!

- Tak jest!

Rackham spojrział na ciemne morze... Nie chciał patrzeć na rozbitków, ale coś zmusiło go do tego.

Oczy... Czyjeś głęboko osadzone oczy śledziły go uważnie... Do diabła, Cunningham przeżył! Dryfował w morzu, obejmując zakrwawionymi rękami kawał masztu, i patrzył... wprost na Rackhama.

Kapitan zadrżał. Zaklął i odszedł od burty. Nie mógł pomóc kompanowi. Musiał ratować statek i... życie. O ile w ogóle było ono jeszcze do uratowania.

Na widok ponurego, milczącego kapitana majtkowie rozpierzchli się szybko. Bosman wydawał krótkie rozkazy. Rannych zniesiono pod pokład. Trupy i dogorywających piratów ciśnięto za burtę. Wnet morze przy statku zaroilo się od trójkątnych płetw rekinów.

Rackham przeszedł na rufę. Skinął na jednego z wachtowych, a potem wręczył mu perspektywę.

- Słuchaj, Atkins - rzekł. - Masz dobre oczy. Czy dasz radę zobaczyć, co nosi na galionie ten przeklęty galeon? Matkę Boską?

Majtek posłusznie przyłożył oko do perspektywy. Patrzył długo. A potem krzyknął, luneta wypadła mu z ręki.

- Ten... Ten okręt...

- Mów, coś widział, chłopcze?!

- Ten sta... statek... na galionie ma... męża w kapturze, z mieczem w ręku...

Panie! Toż to wypisz, wymaluj kat. Oprawca.

- Oprawca? Nie może być! - Rackham chwycił się za głowę. - Kto by tak nazwał statek?! To nie jest Santa Maria!

- To nie jest przyz, na który polowaliśmy! - syknął Morgan. - Wpadliśmy w pułapkę, ktoś cię oszukał, kapitanie Rackham.

Johnny Szczęściarz w milczeniu popatrzył mu w oczy. Wzrok miał dosyć złowróżbny.

- Kurs na wiatr - zarządził po chwili. - Wymknijmy się Oprawcy.

5. Czaszka i cutlas

Podpokład zawalony był rannymi. Spoczywali wszędzie - pomiędzy łozami armat, na noszach i podłodze. W powietrzu słycać było jęki, krzyki, złorzeczenia. Deski pokrywała zeskorupiała krew, czerwona posoka zastygła pomiędzy stanowiskami potrzaskanych dział, mieszała się z cuchnącą, słoną wodą wylewaną przez majtków pracujących w luku wiodącym do ładowni. W powietrzu unosił się prochowy dym, czuć było smród krwi, wymiocin, gówna i moczu.

- Boli, Boże, jak boli... Jezu Chryste! Zmiłuj się nad nami...

- Kurwa! Kurwa! Kurwica! Dziwka pierdolona, jebana!

Rackham unikał wzroku piratów. Schodzili mu z drogi, ale oglądali się, gdy przechodził.

- Ramblind! - krzyknął w stronę zakrwawionego, pokrytego pyłem i sadzą bosmana.

- Tak... Sir?

- Za kwadrans w mojej kajucie. Zawołaj kwatermistrza, pierwszego oficera i

sam też przyjdź!

Ramblind nie odpowiedział. Skinął tylko wolno głową. Patrząc ponad jego ramieniem, Rackham dostrzegł Wattsa, pokładowego chirurga, zwanego też trupiarzem. Wspólnie ze swym pomocnikiem przyciskał do stołu szamocącego się majtka.

- Koniec, stary diable! - rechotał Watts, uważany przez resztę załogi za prawdziwego szaleńca i zwyrodnialca, mimo iż potrafił w kwadrans zeszyć rozbitą czaszkę i zalutować ją złotym realem. - Już nie potańcujesz w szynku! Obie nogi do urznięcia! Tim, dawaj piłę! Piłę, głupolu! Na co mi dłuto!... No, co tam się stało? Odłamek w łokciu? Nic to, wydłubiemy! A może urzniemy rękę? Tak na wszelki wypadek, co? Aby nie było gangreny, he, he, he...

Kapitan ruszył dalej. Pośliznął się w kałuży krwi, wpadł i zaplątał w niewielki stos odciętych nóg, stóp i rąk. Z wściekłością kopnął dwa szczury, które już dobrały się do ludzkiego mięsa.

- Kapitanie, prosimy - wycharczał Watts. - Świeża porcyjka ślicznych kończynek. Jeszcze ciepłe. Hej, będą płakały chłopaki!

Rackham ruszył dalej, do swojej kajuty. Pchnął drzwi, a potem, zakrwawiony i brudny, zwałił się na fotel. Większość okien była rozbita, przez otwory wdzierały się bryzgi morskiej wody i wiatr.

Macając rękoma jak ślepiec, znalazł flaszkę rumu i pociągnął solidny łyk, potem jeszcze jeden i jeszcze... Ale nie czuł ukojenia. Zresztą nie powinien pić. Wyprawa się nie udała. Załoga poniosła ciężkie straty. Musiał zatem teraz zadbać o swoją pozycję. Wiedział, że to nie będzie łatwe.

Drzwi się otwały. Do kapitańskiej kajuty wszedł pierwszy oficer Joseph Blauvelt - potężny, siwowłosy drab ze złamanym nosem i dziurą po kuli na skroni, która sprawiła, że jego lewe oko zapadło się w głąb czaszki. Zdjął z głowy przestrelony, wystrzępiony kapelusz, utarł nos dłonią bez trzech palców, które urwała mu kiedyś kula z muszkietu. Za nim wkroczył Randolph „Henry” Morgan - szczupły i niewysoki mężczyzna, utykający na lewą nogę, z głową owiniętą chustą. Na prawym policzku miał wytatuowaną wielką czarną czaszkę, a na ramieniu kostuchę odmawiającą różaniec. Na końcu wtoczył się kulejący bosman. Kolczyki w

jego uszach, nosie i brwiach połyskiwały blado. Czerwona chusta na głowie splamiona była krwią.

Morgan jednym ruchem ręki strącił na podłogę flaszkę rumu.

- Tylko, kurwa, nie pij! - ryknął. - Nie pij, bo za chwilę zadyndamy na rejach! Ty myśl, co teraz robić. Co robić, rozumiesz! - Chwytał Rackhama za kaftan i potrząsnął mocno.

Rackham szarpnął się wstecz. Był silniejszy.

- Wrobił nas Joskowitz! - syknął. - To była pułapka. Jak wrócimy na Jamajkę, wsadzę mu cutlas w rzyć tak głęboko, że zacznie śpiewać pieśni po żydowsku!

- Ty myśl lepiej, co nam zrobi załoga! Przeciągnie pod kilem? Marunuje? A może tak jak robił L'Exterminateur Hiszpanom - nasi zacni wyprują nam flaki, przybiją do pokładu i popędzą dookoła grotmasztu? Co wolisz? Mamy prawie trzydzieści trupów. Trzydziestu zabitych, człowieku! A będzie więcej...

- Spokój - warknął Blauvelt. - Johnny tu nie zawinił. Czyś ty, człowieku, widział galeon, który jest w stanie posłać pinasę Cunninghama na dno jedną salwą burtową? Ten stary pierdziel marzył o hiszpańskich dublonach, a teraz chędoży na dnie morza syreny!

- Skąd tu się wziął ten statek, ten, ten... Oprawca?! Zaraz, jaką banderę miał na maszcie? Zauważył ktoś?

Zapadła cisza.

- Wilki morskie, kurwa wasza mać - rzekł Rackham. - A bandery nie zauważyli.

- Ta sprawa szyta jest grubymi nićmi - mruknął Morgan. - Wojenny galeon i przegrana bitwa. Obiecywałeś nam góry złota, Rackham. A teraz trzeba będzie przeciągnąć cię pod kilem, bo wszystko wskazuje na to, że wpadliśmy w hiszpańską zasadzkę.

- A mi się nie podoba ten statek, sir - mruknął Ramblind. - Żaden galeon wojenny nie wykonałby takich zwrotów, i to w tak krótkim czasie. To diabeł, to Latający Holender. Ten Hiszpan pośle nas na samo dno piekła!

- Dość! - uciął Rackham. - Nie chcę słyszeć o żadnych diabłach! Panie Ramblind! Proszę zebrać załogę na śródkręciu!

Narastający gwizd i syk nie pozwoliły Rackhamowi dokończyć tych słów. Okna w tylnej części kabiny rozleciały się w drzazgi, zasypując ich deszczem tłuczonego szkła. Armatnia kula strzaskała ściankę kabiny, przebiła ją, uwięzła w poszyciu na lewej burcie.

Poderwali się na nogi. Rackham chwycił perspektywę, doskoczył do dziury. Nie dalej jak pół mili za rufą Elizabeth tańczył na falach Oprawca, ścigający piracki okręt pod pełnymi żaglami.

- Czarny mistrz małodobry - wyszeptał bosman i przeżegnał się. - Będzie za nami gnał aż do śmierci! Powiesi nasze dusze na rejach, wychędoży...

Blauvelt z całej siły grzmotnął go kulakiem w plecy.

- Milcz, panie Ramblind! - syknął. - Bo zaiste zawiśniesz, ale zgoła nie na tej rei, na której ci się marzy!

Rackham przyłożył do oka perspektywę. Patrzył długo, aż wreszcie jęknął.

- To nie jest Hiszpan!

- Jak to?!

- On nie ma kastylijskiej bandery na maszcie!

- Co?

- Sir... - Ramblind zadygotał z przerażenia. - Jak wygląda jego bandera? Jak?!

- Kościotrup z kosą - rzekł Rackham. - To pirat? Hiszpański? Nie może być!

Błysk rozjarzył bukszpryt wrogiego okrętu. Kula uderzyła w wodę tuż za rufą Elizabeth. Morska piana bryznęła im w oczy. Ramblind osunął się na ziemię i przeżegnał.

- Święty Boże, zmiłuj się nad nami - wyszeptał. - To Oprawca... Kat Morrisa...

Rackham odłożył perspektywę.

- Nie poniechał nas. A zatem dobrze... Sam tego chciał! Panie Morgan!

- Tak, kapitanie?

- Kurs na Caymane Minor - wydyszał Rackham. - Przeprowadzisz nas przez Długą Płyciznę.

- Co takiego? - jęknął Morgan. - To udało się tylko raz! Jeden jedyny raz! Do kroćset, od tamtego czasu Elizabeth stała się gruba jak stara kurwa z Port Royal! Jeśli nie zrzucimy kilku tysięcy funtów ładunku, utkniemy na skałach.

- Wyrzucić za burtę wszystko, co się da. Nawet kule łańcuchowe, rum i suchary, ubrania i łyżki!

Morgan był blady, drżał na całym ciele.

- Nie możemy ryzykować. Jeśli stracimy okręt, to zawisniemy na rejach.

- Oprawca musi się zanurzać przynajmniej na dziesięć stóp. Elizabeth przejdzie nad rafami, a Hiszpan utknie. A wtedy pogadamy z nim inaczej.

Zapadła cisza.

- Panie Ramblind - rzucił rozkaz Rackham - proszę zebrać załogę i wyrzucić za burtę, co tylko się da! Prowiant, armaty z rufy i dziobu, cały zapas kul łańcuchowych, połowę zapasu prochu i rum. Ruszać się! Do roboty, lenie!

6. Witaj, kostucho!

Długa Płycizna - najeżona skałami i rafami mielizna u zachodnich wybrzeży Caymanów - nie była przyjaznym miejscem. Fale łamały się tutaj na ostrych grzędach skał, pomiędzy którymi rozciągały się rozległe piaszczyste łachy. Gdy następował odpływ, mielizny i rafy - zwykle prawie nie do dostrzeżenia - wynurzały się z odmętów.

Pomiędzy Długą Płycizną a brzegiem wyspy rozciągał się pas głębokiej wody, szeroki na pół mili, jednak od południa zamykały go wznoszące się stromo skały, a od północy rzędy raf, między którymi trudno było znaleźć bezpieczne przejście.

Elizabeth Rackhama kierowała się właśnie w stronę mielizn - prawie niedostrzegalnych na wzburzonym morzu. Kiedyś kapitan zgubił tu ścigający go francuski okręt wojenny - przemknął się na Elizabeth nad mieliznami przy końcu przyływu, a potem, gdy przedostał się na głęboką wodę przy brzegu, zawrócił i zaatakował idący w ślad za nim galeon. Francuski okręt osiadł na mieliznie, oberwał mocno, a jego załoga skapitulowała po kilku godzinach beznadziejnego ostrzału. Do dziś fragmenty wraku rozrzucone były po całej płyciźnie.

Rackham chciał powtórzyć tę samą sztuczkę - przejść przez mielizny na

początku odpływu, a potem zaatakować galeon i zmusić go do pozostania na niebezpiecznych wodach. Biorąc pod uwagę fakt, iż Oprawca zanurzał się przeszło dwukrotnie głębiej niż Elizabeth, nie był to zły plan - wrogi okręt powinien wejść na mieliznę bądź rozpruć sobie kadłub o skały.

- Dziesięć sążni - krzyknął Atkins, wyciągając sondę.

- Pół rumba w lewo! - zakomenderował Morgan, wypatrując miejsca, gdzie płaska tafla wody zwiastowała niebezpieczną mieliznę. - Ruszać się, kurwie syny!

Oprawca szedł za Elizabeth trop w trop. Wisiał jej na bakburcie, ogromny, czarny, straszący ciałami powieszonych i żelaznymi klatkami na nadbudówkach rufowych. Znowu dał ognia z przedniego dział. Niecelnie - kula przeleciała nad grotmasztem, uderzyła w wodę pół kabla od statku Rackhama.

- W prawo, tylko wolno! - ryknął Morgan. Kadłub zatrzeszczał, przebijając się przez płytką piaszczystą łachę. Elizabeth, odładowana z prowiantu, części amunicji, zapasów rumu i prochu, szła baksztagiem ze zrefowanymi żaglami, manewrowała dziarsko między skałami.

- Rumb w lewo! - rozkazał Morgan, który najlepiej z całej załogi znał te wody. - Dobrze, tak trzymać, a teraz dwa rumby w prawo! O kur...

Statek nie posłuchał steru. Pomędzy mieliznami był jakiś dziwny prąd albo martwa fala, która znosiła ich coraz bardziej w stronę lądu. Coś się zmieniło na Długiej Płyciznie od ostatniego czasu. Okręt zmienił kurs, ale było już za późno. Ostre skały i płaska mielizna zamajaczyły blisko lewej burty!

- Wszyscy na prawą burtę! - ryknął Rackham, chcąc choć trochę dociążyć okręt w czasie wykonywania zwrotu. - Na prawą burtę, śmierdziele!

Majtkowie rzucili się w stronę fałszyburt, chwycili za wanty. Okręt lekko przechylił się w prawo. Usłyszeli i poczuli, jak kadłub otarł się o skały, przemknął tuż obok ławicy piasku.

Morgan otarł pot z czoła. Od głębokiej wody dzieliło ich ledwie kilkanaście stóp. Chciał dać znać sternikowi, aby wziął kurs na wiatr, ale nim zdążył to zrobić, majtek siedzący na dziobie zamachał do niego ręką.

- Sir, płycizna! Przed dziobem!

- Kurwa! - jęknął Morgan. Wytatuowana czaszka na jego policzku zbladła. -

Jak to??? Jaka płycizna?

Szybko jak błyskawica dopadł do burty. Rzeczywiście, przed dziobem galeonu rozciągał się szeroki pas lśniącej płytkiej wody. Wcześniej nie było tu mielizny! Najwyraźniej ostatnie sztormy naniósł tu kilka łąch piachu.

- Zgubiliśmy farwater! Zrzucić marsie! - ryknął Rackham. - Cztery rumby w lewo!

Marynarze rzucili się do żagli. Ale było już za późno. Mokry piach pod kadłubem zazgrzytał pod poszyciem, okręt zadygotał i stanął. Martwa fala wpełchnęła go głębiej na mieliznę, powlokła w stronę brzegu. Elizabeth została schwytana w pułapkę.

- Stoimy na mieliźnie! - ryknął Morgan do Rackhama. Kapitan był blady. Od strony rufy zbliżał się Oprawca. Nie dopłynął jeszcze do Długiej Płycizny, ale wyraźnie sposobił się do ataku. Marynarze refowali żagle do położenia bojowego.

W oczach Rackhama odbiło się wszystko, co działo się dookoła... Panika na statku. Przerazone krzyki marynarzy, modlący się pierwszy oficer, trzeszczący kadłub.

- No, skurwysyny - zaryczał Ramblind. - Odmawiajcie paciorki! Zaraz diabeł porwie was do piekła! Tam potańczycie z czarcimi dziwkami!

Rackham pojął, że to koniec, koniec jego statku, jego załogi, jego życia. Stracił swoje szczęście. Stracił je ostatecznie tu, u wybrzeży Caymane Minor.

- Kurwa! - ryknął i potrząsnął bladym jak śmierć Ramblindem. - Bosman! Postawić wszystkie żagle! Przebijemy się przez mieliznę. Ona nie jest szeroka! To samo błoto! Ruszać się! Do kogo mówię! - krzyczał kapitan, rozdając szczodrze kuksańce i kopniaki. - Blauvelt! - huknął na oficera. - Weź ośmiu ludzi i idź pod pokład. Wyrzucie wszystko, co tylko się da! Na działo zostawić sześć kul i beczkę prochu, nie więcej! Ruszać się! Raaaazem!

Żagle opadły z łoskotem. Wiatr powiał w stronę lądu. Elizabeth napała na mieliznę, kadłub zatrzeszczał, zadygotał, okręt przesunął się do przodu. Rackham zwijał się jak w ukropie.

- Wyrzucić półkartauny!

Oprawca zrobił zwrot przez sztag. A potem dał ognia. Kule gwizdnęły tuż nad

głowami marynarzy, z trzaskiem pękły deski nadburcia, na pokład poleciały wyrwane klepki, drzazgi i kawałki lin. Ktoś jęknął, ktoś zwałił się do wody.

Elizabeth zatrzeszczała, pełny wiatr porwał ją do przodu, dziób wbił się głęboko w płyciznę, uniósł do góry. I okręt z łoskotem przebił się przez piaszczystą łachę, spłynął na głęboką wodę i ruszył szybciej, gnany baksztagiem.

Załoga zawyła. Pokład rozbrzmiewał okrzykami i wrzaskami. Piraci, uczeplieni want i burt, darli się, krzyczeli, machali kapeluszami.

- Do dział! - zakomenderował kapitan. - Ruszać się, psie syny! Zwrot przez sztag!

Oprawca był tuż-tuż. Martwa fala znosiła go wprost na płycizny. Ogromny okręt nie zmniejszył jednak szybkości. Albo kapitan nie dostrzegł mielizny, albo też zawzięł się i postanowił podążyć śladem Elizabeth. Na swoją zglębę...

Piracki statek obrócił się burtą w stronę galeonu. Marynarze sprawnie podnieśli ambrazy, podtoczyli działa.

Oprawca wszedł między mielizny i skały - sunął wprost na nich. Był już odpływ - skalne progi i łachy coraz bardziej wynurzały się z morskich fal. Wystarczyło zatrzymać go tam na dłużej, a zostałby na Długiej Płyciznie już na zawsze.

- Całą burtą ognia!

Działa ryknęły niemal jednocześnie. Żelazne kule pomknęły w stronę galeonu. Uderzyły w burtę, w takielunek na dziobie, podziurawiły marsie.

Galeon pędził wprost na nich, płynął przez mielizny, rafy i piaszczyste łachy. Okręt, który zanurzał się prawie dwa razy głębiej niż Elizabeth, bez wysiłku przemykał nad wynurzającymi się z wody skałami! To nie mogło... To nie mieściło się w głowie. Okrzyki na Elizabeth umilkły. Okręt gnany wiatrem oddalał się z wolna od galeonu. Ale nikt nie zwracał uwagi na to, co działo się przed nim. Wszyscy patrzyli tylko na Oprawcę.

- Kurwa mać! - Rackham uderzył pięścią w reling. - Jak on to zrobił? No jak?!!!

- To diabeł, sir - jęknął Ramblind. - To kat, co przyszedł po nasze dusze. Mówiłem, że nie ma przed nim ucieczki. Będzie nas ścigał przez siedem mórz, aż do samego piekła!

Oprawca wyszedł im za rufą na głęboką wodę. Zrobił zwrot i ruszył za Elizabeth. Piraci milczeli, duch opadł w załodze, nikt nie miał sił, aby nawet kiwnąć ręką.

Znienacka jeden z majtków potrząsnął kapitana za ramię. Rackham odwrócił się wolno. Nie rozumiał, czego od niego chcieli.

- Sir, skały przed nami!

Kapitan spojrzał przed siebie. Niedaleko przed dziobem okrętu widniała ostra, poszarpana linia skał. Wiatr wiał z boku, a ponieważ wszystkie żagle były postawione, pchał ich półwiatrem prosto ku zniszczeniu. Rackham rozejrzał się przerażony: z lewej burty mieli niegościnnie kamieniste wybrzeże, z prawej mielizny i rafy, a za sobą ogromny czarny galeon.

- Ruszać się! - krzyknął Rackham. - Przygotować się do zwrotu przez sztag!

Marynarze milczeli. Kapitan porwał za króćcę, strzelił, a potem cisnął broń pod nogi Ramblinda.

- Do żagli! - rozkazał. - Bo każę powiesić! Do żagli! - Kopnął w tyłek najbliższego majtka. - Ruszać się, śmierdzące małpy.

Spojrzał na bukszpryt. Skały były zbyt blisko, zbliżały się za szybko, aby zdolali wykonać normalny zwrot. Z tyłu galeon następował im na pięty. Pozostawało im tylko jedno... Zwrot Szczęściarza.

- Ramblind, nie damy rady zawrócić - rzucił Rackham. - Zrobimy zwrot Johnny'ego Szczęściarza! Bierz topór i idź na dziób.

- Jak to? - Bosman nie rozumiał. - Jak to, kapitanie!? Dostaniemy od nich salwę z całej burty!

Rackham przyłożył mu ostrze cutlasa do piersi.

- Bierz topór i idź na dziób! - powtórzył z naciskiem.

Bosman spojrzał mu prosto w oczy. Rackham wyczytał w nich groźbę. Pchnął, kłując tamtego końcem ostrza.

- Aye, aye, sir!

Elizabeth zbliżała się do skał. Wiatr powiał mocniej, nappełnił żagle, pchnął okręt. Rackham obejrzał się na galeon. Teraz! Teraz albo nigdy!

- Prawa kotwica, rzuć!

Kotwica z pluskiem zanurzyła się w morskich falach, ciągnąc za sobą konopną linę. Wnet zatrzymała się, lina zadrgała, naprężyła się, a Elizabeth zwolniła wyraźnie. Okręt zatrzeszczał, zakolysał się.

- Wleczemy kotwicę, sir!

- Czekać, czekać jeeeeeszcze...

Kotwica sunęła po morskim dnie, zagłębiła się w piach i kamienie. Lina zadrgała, naprężyła się. Wstrzymany nagle rozpędzony okręt zwolnił, zamarł i prawie w miejscu zaczął obracać się dookoła liny.

- Czeeeekać!

Elizabeth stanęła bokiem do Oprawcy i obróciła się pod wiatr.

- Lina pęka, sir! Zgubimy kotwicę!

- Czeeeekać!

Elizabeth obróciła się dziobem do wroga. Wiatr nappełnił żagle z drugiej strony. Płótna się wydęły.

- Teraz! Już!

Ramblind zamachnął się i ciął z całej siły. Ostrze błysnęło w słońcu, przecięło gruby, splątany sznur kotwicy niby szczapkę drewna. Przecięta lina świsnęła w powietrzu. Okręt zerwał się do pędu niby koń wstrzymywany cugłami przez jeźdźca. Poszedł na spotkanie galeonu, zachodząc go z prawej strony.

Piraci ryknęli jednym głosem. Udało się! Więc jednak Rackham miał szczęście. Ale kapitan wiedział, że to jeszcze nie koniec. Musieli przepłynąć obok galeonu, musieli przyjąć na siebie całą salwę z jego burty.

- Wszyscy pod pokład! - ryknął Johnny Szczęściarz. - Padnij! Kłaść się!

Marynarze rzucili się ku nadburciom. Elizabeth, pędząc pod pełnymi żaglami, mijala właśnie galeon. Marynarze przeciwnika dostrzegli, że wystrychnięto ich na dudka, skracali żagle, okręt przygotowywał się do zwrotu, jednak było na to już za późno.

Zrównali się i wszystkie działa z prawej burty galeonu dały ognia.

Piracki okręt zatrząsł się. I odpowiedział ogniem na ogień. Trysnęły w górę klepki poszycia, zawyły poprzecinane liny, rozłupane deski i bale. Ktoś jęknął i zwałił się na pokład, komuś urwało rękę, a krew trysnęła aż na grotmaszt. Blauvelt

padł martwy na pokład, gdy dostał odłamkiem w plecy.

- Sir, mamy dwa przecieki!

- Pękło poszycie!

- Łatajcie, szybciej!!!

Rackham nie zwracał uwagi na krzątaninę na pokładzie. Patrzył... Wpatrywał się w fokmaszt Oprawcy, gdzie na najwyższej rei kołysały się dwa wyglądające znajomo ciała. Przyłożył perspektywę do oka i ledwo powstrzymał się od krzyku.

Na rei wisiał Cunningham, a obok kołysał się w podmuchach wiatru Orlando, najładniejsza ciota kapitana...

Wiatr szarpał ciałem pirata. Obrócił go na stryczku, a wówczas Rackham dostrzegł białka jego martwych oczu.

Znienacka sodomita poruszył się. Pokiwał ręką do Rackhama... A może było to tylko złudzenie. Kapitan drgnął, odrzucił perspektywę, oburącz chwycił się nadburcia.

Galeon oddalał się, zaczął robić zwrot. A Rackham rzygał, rzygał długo, przechylony nad relingiem, dygocący i z włosami posklejnymi potem.

Elizabeth weszła między skały - sternik zrobił zwrot, wyrównał... Szli prosto na północ, na Jamajkę. A za nimi w odległości dwóch mil sunął niezniszczalny, niezatapialny Oprawca. Byli jak na szafocie. Kat i jego skazaniec...

7. Czterdziestu chłopca na Rackhama skrzyni

- To okręt widmo, morski oprawca. He, he, stare diabły! Nie miną dwa dni, a wszyscy zawiśniemy na rejach i czart będzie nam wyrywał serca z piersi.

- Skąd wiesz?

- Bo już go widziałem. Dawno temu służyłem u Coxona. Tęgi był z niego pirat, pamiętacie, nie to, co Rackham! Nie, tego nijak nie pamiętacie, bo to dawne dzieje, a ja byłem wówczas ledwie chłopcem okrętowym. Płynęliśmy z Coxonem niedaleko Trynidadu, gdy w sztormie dopadł nas wielki czarny galeon i potrzaskał z dział. Ja

jeden cudem się uratowałem i dobiłem do wyspy, trzymając się złamanego masztu. Gdy Oprawca przepływał blisko brzegu, widziałem, jak na rejach kiwał się Coxon i jego bukanierzy! Żarły ich mewy. Kiwają się do dzisiaj na tym przeklętym galeonie. I my się niedługo też pokiwamy! W kubryku zapadła cisza. Will - wytatuowany drab z kolczykiem w uchu, oraz Mayhem - brodaty okrętowy cieśla o gębie poznaczonej bliznami od kul, przeżegnali się. Kilku majtków zadrzało. Inni uśmiechnęli się, prezentując szczyrby po wybitych zębach.

- Co się tak głupio śmiejesz, Atkins? Myślisz, że przeżyjesz? A ty, Milton, co szczerzysz kły? Zdechniecie, zanim nastanie dzionek. Diabeł zabierze was na dno głębin i zakręci wami tak, że zgłupiejecie. Mówię wam, kamraci, ten galeon to Oprawca starego diabła Johna Morrisa, co gra teraz w piekle w kości z L'Ollonoisem, jeszcze większym diabłem, o nasze głowy. A wszystko dlatego, że Johnny'emu Szczęściarzowi zachciało się hiszpańskich dublonów.

- Więc mówisz, Ramblind, że znasz ten statek?

- Oprawca kiedyś nazywał się po prostu Diana - ciągnął bosman, łypiąc okiem na kompanów. - Należał do Johna Morrisa, najlepszego pirata, jakiego widział Port Royal. Tego samego co obrabował Villahermosę i złupił Grenadę. A jak wrócił do Port Royal, jego ludzie bawili się i hulali przez równy miesiąc, i to tak, że wszystkie dziwki nie mogły przez kilka tygodni ruszać nogami! Takich to chwatów miał Morris na pokładzie! Ale to zgubiło starego czarta! Skumał się z wicegubernatorem Jamajki - Morganem, byłym piratem, i został jego prawą ręką. Dali mu szlachecki tytuł i od tego czasu Morris oszalał. Wyparł się dawnych kompanów. Niektórzy mówili, że zmienił się tak, bo jakiś hiszpański kaznodzieja, chyba dominikanin, przemówił mu do rozumu. I stał się oprawcą bukanierów. A gdy dawno temu gubernator kazał mu zlikwidować kilku piratów, Morris przemianował swój okręt na Oprawcę i zaczął zabijać kamratów z bractwa. A że znał ich tajemnice i porty, poszło mu szybko. Był tak okrutny, że wieszał schwytanych bukanierów na rejach Oprawcy, zamykał ich w klatkach, aby sześli, wrywał żywcem serca albo kazał wyciągać flaki, przybijał je do masztu i ganiał człowieka po pokładzie, póki bebechy nie wypruły się do reszty. Tak zrobił z Pardelą, którego męczył, a potem powiesił na najwyższej rei. Powiadali, że tak był okrutny, że nie mógł usnąć, jeśli nie zasiekli przy nim człowieka na

kabestanie! A zamiast rumu pijał ludzką krew! Ale przyszła w końcu kryśka na starego diabła. Piraci zwiedzieli się o nim, wciągnęli w zasadzkę na Bahamach. I powiesili go na reji Oprawcy - tak jak on niegdyś wieszał swych kompanów.

- I co potem? Co się działo?

- Piraci chcieli zatrzymać jego statek. Ale w czasie sztormu Oprawca zerwał się z kotwicy i podryfował na pełne morze. Od tego czasu pojawia się czasem to tu, to tam i puszcza na dno pirackie łajby. Bo stary diabeł Morris mści się za zdradę i dowodzi swym okrętem z najwyższej reji. Będzie nas ścigał na kraniec świata i nie odpuści, jak nie odpuścił Coxonowi, jak ścigał Manuela Pardele. Jak posłał na dno wielu zacnych kapitanów i ich chłopaków.

Zapadła cisza. Majtkowie wpatrywali się w bosmana.

- Jak to? Więc nie ma dla nas ucieczki? - zapytał Milton.

- Ja, jak widzicie, przeżyłem - rzekł bosman. - Musimy opuścić ten statek, który i tak skazany jest na zagładę. Musimy uciec na ląd. Ale najważniejsze... - Uśmiechnął się złowroźnie. - Powinniśmy podziękować temu, kto sprawił, że zamiast gzić się z gamratkami w Port Royal, zdychamy na tej łajbie. Szczęściarzowi, którego opuściło szczęście.

- Prawdę gada - rzekł Atkins. - Rackham nas zdradził! To wszystko przez niego!

- Zabić skurwiela! Powieśmy go na reji!

- Do morza z nim!

- Pod kilem przeciągnąć.

- Co by nie gadać, kamraty, łupów już z nim nie weźmiemy.

- Marunować go!

- Marunować!

Ramblind rozejrzał się chytrze po srogich wąsatych i brodatych twarzach kompanów. Wystąpił na środek koła, stukając o deski pokładu swoją drewnianą nogą.

- To co, kamraci?! Rada postanawia: obalamy z kapitaństwa Johna Rackhama, który winien jest klęski w starciu z Oprawcą i naszej obecnej sytuacji?

- Obalamy!

- Na pohybel!
- Na reję z nim!

Nikt nie ujął się za dowódcą. Kilku marynarzy zachowało milczenie, ale Ramblind i tak odniósł druzgocące zwycięstwo na całej linii.

- Marunować Rackhama! - krzyknęli Milton i Atkins.
- Powiesić.

- Zaraz! - krzyknął Levis. - Poczekajcie! Po co go zabijać. Zrzućmy go z szarży i tyle! Mianujemy innego kapitana!

- Zamknij się - wycedził Atkins. - Zamknij się, kurwo, kapitańska ruro!
- Łżesz!
- Samem widział, jakeś łąził do kabiny gzić się z szyprem.

Levis sięgnął po nóż, ale Ramblind był szybszy. Jego sztylet świsnął i wbił się w ścianę nad głową marynarza.

- Milczeń, kurwa - rzucił bosman. - Pierwszemu, który zacznie zwadę, wydłubię ślepie tym! - Potrząsnął żelaznym hakiem.

- A jak go zabijecie, to kto poprowadzi statek? Co, Atkins, dumny łbie, znasz się na sekstansie i mapach? Umiesz, kurwo głupia, policzyć, po jakim morzu pływamy?

- Zrobimy kapitanem Morgana - rzucił Ramblind.
- A jak nie zechce?
- Zechce. Jak nie będzie chciał, to zeżre własne jaja.
- A co w takim razie z Rackhamem?

- Zostawcie go mnie. - Marynarze nigdy nie widzieli bosmana uśmiechającego się tak paskudnie. - Ja wiem, jak podziękujemy Rackhamowi za dowodzenie nami...

- Co zamierzasz?

- Wydamy go Hiszpanom - zarechotał bosman. - Ot, już oni wyłupią mu ślepie, będzie żarł własne jajca i zdechnie na garocie!

Piraci milczeli. W końcu Rackham nie był jednak najgorszym dowódcą.

- Ruszać się, śmierdziele! - ryknął bosman i popędził najbliższego majtka kopniakiem. - Rozbić skład broni! Brać muszkiety! A potem na rufę! Do kapitańskiej kajuty!

8. *Jo, ho, ho!*

- Sir, bunt na pokładzie!

Rackham zerwał się z łóżka. Nie spał. Przez prawie całą noc wpatrywał się w sufit kajuty, drżąc na całym ciele i wyczekując, kiedy usłyszy znowu łoskot dział Oprawcy. Przeklęty galeon podążał za rufą Elizabeth, przed zmierzchem oddalił się nieco, ale i tak wszyscy wiedzieli, że diabelski okręt nie odpuścił - ukryty w mroku przed ludzkim wzrokiem, ciągle podążał za swoją ofiarą.

Głos, który wołał przed kajutą, niewątpliwie należał do Roberta. Rackham zerwał się na nogi. Spodziewał się buntu. Właściwie czekał tylko na to, kto pierwszy z załogi zarzuci mu zdradę i nieudolność.

Poderwał się z łoża, chwycił pistolet, cutlas i rzucił się w stronę drzwi. Otworzył je kopniakiem, wypadł na zewnątrz i...

Szczęk odciąganych krzosek zabrzmiał ponuro i groźnie. Szesnaście luf mierzyło w pierś kapitana. A na wprost wejścia stał bosman Ramblind. Wspólnie z Atkinsem przytrzymał Roberta. Ostrze szerokiego marynarskiego sztyletu dotykało gardła chłopaka.

- Kapitanie, wybaczone - jęknął sługa. - Zmusili mnie...

- Panie Rackham - rzekł Ramblind - oddaj broń i poddaj się. Uradziliśmy pozbawić cię dowództwa okrętu za zdradę.

- Ty skurwysynu! - wycedził Rackham przez zęby.

- Oddaj broń, kapitanie!

Johnny Szczęściarz rozejrzał się po twarzach majtków. Ich oczy śledziły każdy jego ruch, palce zaciskały się na spustach pistoletów i rękojeściach szabel.

- Poddaj się, Johnny - jęknął Morgan, także związany i podtrzymywany przez dwóch rosłych marynarzy. - To nie musi skończyć się rzezią...

Rackham rzucił cutlas pod nogi bosmana. Wyciągnął zza pasa pistolet i cisnął go na podłogę.

Szybko schwytano go, związano ręce za plecami, powleczono na główny

pokład. Zbliżał się świt, ocean połyskiwał zielonkawo. Delikatna bryza chłodziła rozpalone twarze.

- Przywiązać ich do masztu! - zawołał Ramblind. Rozkaz spełniono w mgnieniu oka. Roberta i Rackhama skrzepowano mocną żeglarską liną. Marynarze przywlekli bliżej Morgana, Ramblind podszedł do kwatermistrza i chwycił go za kaftan na piersiach. Przyciągnął bliżej, tak iż oficer poczuł jego oddech, cuchnący rumem i zgnilizną.

- Z kim trzymasz, Morgan?! Z nimi czy z nami?

- Z nikim nie trzymam, śmierdzieliu.

- A ja myślę, że będziesz trzymać z nami i ładnie wyliczysz nam kurs ku brzegom Cuby.

Morgan splunął pogardliwie przez zęby. Spojrzał na Ramblinda swoim zapadniętym okiem.

- Wyliczysz nam kurs i zajmiesz się mapami - mruknął bosman. - Bo jak nie, to, dalibóg, Morgan, żarłaczce zeżrą cię razem z butami i twoją kostuchą.

Kwatermistrz nie odpowiedział. Bosman dał znak swoim ludziom. Majtkowie unieśli oficera, ruszyli z niedwuznacznym zamiarem w stronę burty.

- Wyliczę ci kurs, Ramblind - charknął Morgan. - Wyliczę ci farwater nawet do samego piekła.

- Słuszna decyzja. Hej, Atkins, rozwiąż pana kwatermistrza!

- Będę miał na ciebie oko - syknął bosman. - Jeśli chociaż podejdziesz do masztu, jeśli zamienisz choć słowo z Rackhamem, poderżnę ci gardło tak powoli, że będziesz mógł napić się do woli własnej krwi. Zrozumiałeś?

Kwatermistrz pokiwał głową.

- Rozwiązać go!

Atkins sprawnie przeciął więzy za plecami oficera.

- Kurs na północ! - rozkazał Ramblind. - Żwawo, chłopcy!

Sternik posłusznie skrzęcił. Elizabeth płynęła teraz wprost ku wybrzeżom Cuby. Od strony Jamajki powiał wiatr, żagle napełniły się, okręt nabrał prędkości. Nad oceanem wstawał blady, zamglony świt.

- Ahooooj! - zawołał majtek z bocianiego gniazda. - Kamraci, patrzcie!

Marynarze stłoczyli się na głównym pokładzie. Wszyscy wpatrywali się w linię horyzontu, pojawiającą się powoli w mgłach i oparach.

Pierwszy krzyknął Atkins. Odebrana kapitanowi perspektywą omiała przestrzeń wokół nich. Potem zauważyli to wszyscy. Jak okiem sięgnąć ocean był pusty. Pusty!

- Nie ma Oprawcy! - wyszeptał ktoś. - Zniknął!

- Nie ma tej kurwy! - ryknął bosman.

- Nie ma!

- Jo, ho, ho, kamraci!

Wnet cały okręt rozbrzmiał wrzawą i okrzykami. Piraci rzucali w górę kapelusze, strzelali z pistoletów.

- Ot i patrzcie, kamraci - przemówił z namaszcczeniem Ramblind. - Starczyło pozbyć się Rackhama, a diabeł sam zniknął. I kto miał rację?!

- Wiwat Ramblind! - rozbrzmiało po całym pokładzie.

- Luuudzie! - rozdarł się jakiś majtek. - Życie uratowaliśmy! Napić się trza!

- Po rum!

- Rumu dawajcie!

Nikt nie powstrzymał entuzjazmu. Wnet kilkunastu majtków skoczyło do luku, kilka silnych ramion wyłamało drzwi do składu, a potem wytoczyło ciężkie beczki na pokład. Atkins i Milton odbili wieka siekierami. Majtkowie obstąpili je od razu. Pili wszystkim, czym się dało - nabierali kapeluszami, czapkami, garnkami. Niektórzy prawie zanurzali głowy w baryłkach.

- Popiją się - rzekł Rackham beznamiętnie do Roberta. - A potem wyrzucą nas za burtę.

Wystrzały z pistoletów wstrząsnęły całym pokładem. Kto żyw z załogi pił na umór z beczek. Pierwsi pijani zataczali się już na deskach.

- Wasze zdrowie, panie Ramblind! - zaryczał pijany cieśla. - To dzięki wam żyjemy!

- Uratowaliśmy nasze dusze! Rozumiecie, kumotry: dusze.

- Do nieba pójdziemy teraz! - zawołał Atkins.

- Wiwat Ramblind!

Rackham sprawdził ukradkiem, czy nie da się poluzować więzów. Nie dało się.

- Robercie - rzekł półgłosem - Robercie... Posłuchaj mnie uważnie...

- Tak, sir.

- Daruj sobie tytuły. Oni... Oni zabiją mnie pewnie niedługo. Nie dbam o to, czy będą przeciągać pod kilem, czy powieszą na rei. Nie chcę, aby ciebie spotkało to samo. Musisz się do nich przyłączyć. Wtedy przeżyjesz.

- Jak to? Nigdy w życiu, panie kapitanie!

- To rozkaz - syknął Rackham. - Słyszałeś? Zawołasz za chwilę Ramblinda i zaczniesz mnie lżyć. Poprosisz, aby cię przyjął do załogi. Nie! - mruknął, widząc, że chłopak szarpie się w więzach. - Robercie, to rozkaz!

- W najbliższym porcie, do którego zawiniecie, urwiesz się Ramblindowi. Pojedziesz na Jamajkę i w pobliżu Kingston znajdziesz Krzywe Skały. Niedaleko od skał rośnie wielki dąb. Odszukasz go bez trudu. W korzeniach drzewa po południowej stronie zakopałem skrzynkę, a w niej pięć tysięcy dublonów. Odnajdziesz je i wrócisz do Anglii. I pójdziesz do szkół, Robercie.

- Do szkół? Jakże to tak, panie kapitanie? Ja wolę żeglować.

- Obiecałem twojemu ojcu, że zostaniesz uczciwym człowiekiem - rzekł Rackham. - A ja zawsze dotrzymuję słowa. Twój stary uratował mi życie. Pora spłacić dług.

- Mój ojciec myślał, że jesteście kupcem, panie kapitanie. Że wy, tego... wanilię i skóry rachujecie, nie, że rozwalacie łby Hiszpanom i własnym kamratom w zamtuzach w Port Royal. Wzięliście mnie na pokład, a teraz posyłacie precz!

- Nie chcę, abyś skończył tak jak ja, Robercie. Moja decyzja jest nieodwołalna. Zabiję cię, jeśli tego nie zrobisz!

- Jakże to tak - zaszlochał sługa. - Chcecie, żebym rzucił morze i został w Anglii jakimś pisarzyną albo psiarczykiem? A może mam kupić sobie farmę i hodować kozy? Jakże to tak, panie kapitanie? Toż mam już prawie szesnaście wiosen. Toż obiecaliście, że jak z rejsu wrócimy, pójdziemy, no, do tej Słodkiej Trzpiotki i zrobicie ze mnie mężczyzną? To gdzie wasz honor, kapitanie?

- Nie zabiłeś jeszcze człowieka, Robercie - rzekł Rackham. - Jeszcze nie

wciągnęło cię bagno Port Royal. Pamiętaj, że życie korsarza zwykle kończy się na szafocie. Albo na dnie morza z kulą u szyi. A znacznie częściej - bez nóg, o żebraczym portowym chlebie.

- Nie wiem, czy nie zabiłem... Może się tam zdarzyło. Ale wam zawiniłem bardzo, w Port Royal, w zamtuzie. Ja...

- Nie zdążyłeś mi podać broni. No trudno, zdarza się. Daj spokój, Robercie.

- Ale ja...

- Żagle! Dwa statki na horyzoncie! - zakrzyknął marynarz z bocianiego gniazda.

Ramblind oderwał się od baryłki z rumem, przy której majtkowie zachwalali jego niewiarygodną odwagę. Większość załogi była już pijana. Stary cieśla podrzemywał przy fałszburcie, pozostali przewracali się na linach, padali pokotem, zmożeni mocnym trunkiem.

Bosman przykuśtykał do burty, wyrwał perspektywę Atkinsowi, który przykładał ją do oka z niewłaściwej strony. Faktycznie - na linii horyzontu widoczne były dwa okręty. Jeden wyglądał na kecz, a drugi na mały jacht. Na obydwu powiewały hiszpańskie bandery. To nie były okręty wojskowe ani merchanty. Ramblind rozpoznał je od razu. Obydwa statki należały do hiszpańskich korsarzy.

- Chłopy! - ryknął wesoło bosman. - Pozbędziemy się zaraz kłopotów. Ster lewo na burt! Wywiesić niebieską flagę!

Elizabeth zwróciła się dziobem w stronę okrętów. Wypalono z działa, chcąc zwrócić na siebie uwagę korsarzy. Niepotrzebnie, bo oba statki dostrzegły już Elizabeth. Zbliżyły się szybko na odległość armatniego wystrzału. Hiszpania i Anglia nie były ze sobą w stanie wojny, a od kilku miesięcy nie zanotowano poważniejszego konfliktu, więc korsarze nie otwarli ognia od razu.

Na Elizabeth zrefowano część żagli. Galeon zrównał się z Hiszpanami. Niebieska flaga oznaczała wszak pokojowe zamiary.

Z pokładu Ramblind dostrzegał kapelusze hiszpańskich piratów. Zamachał ręką, pokazując, że chce rozmawiać. Wnet na hiszpańskiej łajbie opuszczono szalupę z kilkoma majtkami i oficerem. Łódź zbliżyła się na odległość głosu.

- Ja nie hablam po hiszpańsku - mruknął Ramblind do Miltona. - Przekaż im,

że mamy Rackhama!

Milton zamachał rękoma, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- Ahoj! - krzyknął. - My mieć dla was upominek!

- Czego chcecie, seniores? - zapytał w odpowiedzi Hiszpan. - Potrzebujecie pomocy?

- Złapaliśmy angielskiego pirata, Johna Rackhama! Wydamy go wam!

Korsarze spojrzeli po sobie. Rackham Szczęściarz nie od dziś dawał się we znaki pomniejszych hiszpańskim koloniom i statkom. Gubernator Maracaibo już dawno wyznaczył za niego nagrodę.

- Dlaczego wydajecie?

- Podpadł u gubernatora, który kazał się go pozbyć!

Hiszpanie przez chwilę naradzali się głośno.

- Czy to aby na pewno ten Rackham?! Johnny Szczęściarz?

- Ten sam! - pokiwał głową Milton.

- Ile za niego chcecie?

Ramblind roześmiał się. Część majtków zarechotała.

- Bierzcie go za darmo!

- Spuście szalupę na wodę - zakomenderował hiszpański oficer. - Przyślijcie do nas więźnia i dwóch majtków. I żadnych sztuczek, senior! Nasze armaty mierzą w was!

Ramblind obrócił się z uśmiechem w stronę Rackhama. Skinął na Atkinsa i jego pomagierów. Kapitan nie patrzył na niego. Było mu już wszystko jedno. Wydanie w ręce Hiszpanów, jego najgorszych wrogów, oznaczało szubienicę albo jeszcze gorszą śmierć od garoty, ale tak czy owak, było o niebo lepsze niż powolne przeciąganie pod kilem. Bezmyślnie liczył maszty kecza. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Jakim cudem taki mały stateczek miał ich tyle??? To nie były maszty stateczka! Za nim przepływał inny okręt!

Ogromny czarny galeon stanął burta w burtę z hiszpańską keczą. Wszystkie działa dały ognia prawie jednocześnie. Ogromne kule wyrwały dziury w poszyciu, zatrzęsły statkiem, złamały grotmaszt, cisnęły daleko w morze bale i deski! Hiszpański statek przechylił się na burtę, nabrał wody i zaczął tonąć. Oprawca

przemknął obok niego jak duch. Pędził prosto na jacht, na którym zaskoczeni marynarze dopiero teraz stawiali żagle. Rozpędzony galeon wpadł na rufę, staranował statek, zmiażdżył poszycie. Jak cień ptaka śmierci przemknął obok hiszpańskiego stateczka, a potem zaczął robić zwrot, aby obrócić się w stronę Elizabeth.

Piraci zamarli. Pijani majtkowie wytrzeźwieli w jednej chwili, śpiący otwarli oczy. A Ramblind drżał. Stał i patrzył, trzymając w ręce butlę z rumem.

- Do żagli! - ryknął Rackham. - Postawić żagle, śmierdzie! Bo pójdziecie na dno!

Marynarze, mający widać jeszcze w pamięci dni chwały Rackhama, posłuchali go od razu. Rzucili się do lin, żagli i kabestanów.

Elizabeth złapała wiatr. Pomknęła przez ocean prosto na wschód. Galeon ruszył za nimi trop w trop. Jeszcze chwila, a uderzyłby w okręt i staranowałby go tak samo jak Hiszpanów!

Na pokładzie nikt się nie poruszał. Majtkowie ocierali pot z czoła. Ich spojrzenia wędrowały po linach, kasztelach, wantach, gretingu, aż wreszcie spoczęły na Ramblindzie. Bosman zadygotał, ale na jego obliczu nie widać było strachu. Jednym szybkim ruchem wydobył szablę z pochwy.

- Gadałeś, Ramblind, że jak pozbedziemy się kapitana, to czarny diabeł zniknie - rzekł wolno Milton. - I co, kurwa? Rackham przykuty do masztu, a Oprawca idzie naszym śladem jak pies za suką.

- Nie pozbyliśmy się jeszcze kapitana - odparł bosman. - Jak pójdzie za burłę, pozbedziemy się Oprawcy. Daję za to głowę!

- No patrzcie, kumotrowie, daję głowę. Ty już swoją położyłeś, Ramblind! - syknął Levis. - Bo jak wyrzucimy kapitana, a Oprawca nas nie odstąpi, to jak myślisz, kto będzie następny w kolejce? A kto nam zaręczy, że jak tu nie będzie Szczęściarza, to kat zniknie?

Ramblind cofnął się o krok, oparł o ścianę rufowej nadbudówki. Marynarze szli w jego stronę, wolno, nie spiesząc się. Rackham poczuł, jak więzy przyciskające go do masztu poluzowały się. Levis przeciął je swoim marynarskim nożem. Z drugiej strony stał Morgan. Podawał kapitanowi cutlas i nabite pistolety.

- Ruszaj się! - syknął. - Naucz tę bandę moresu!

Kapitan zaklął, rozcierając zdrętwiałe dłonie. Chwycił broń, a potem skoczył na rufę. Nikt nie patrzył w jego stronę. Marynarze otaczali Ramblinda coraz ciaśniejszym kręgiem.

- Mówię wam jeszcze raz, do kurwy nędzy! Wy zakute łby! To Rackham jest temu winien! To on ściągnął nas tutaj, podpisał z Morrisem pakt i oddał mu nasze dusze...

Rackham wyszedł wolno z kręgu marynarzy. Stał, opierając się na cutlasie, patrząc szyderczo prosto w oczy bosmana.

Piraci zaszumieli. Ktoś chciał się rzucić w stronę kapitana, ktoś inny porwał za broń. Zdawać by się mogło, że dojdzie do rozlewu krwi, gdy nagle na środek koła wyskoczył Morgan.

- Stać! - ryknął donośnie. - Stać, skurwiele! Nie mieszać się! To ich sprawa! Niechaj się rozstrzygnie!

- To sprawa kapitana i Ramblinda!

- To ich sprawa - poparło go kilka głosów.

- Chodź, Ramblind - warknął Rackham. - Załatw mnie! Skończmy spór jak mężczyźni.

Ramblind patrzył na niego złowrogo. W tej jednej chwili mógł stracić wszystko. Jednak gdyby wygrał...

Skoczył do przodu z wyciem, zadając z podlewu cios szablą. Gdy Rackham go sparował, bosman świsnął w powietrzu hakiem u lewej ręki. Kapitan uchylił się prawie w ostatniej chwili. Mierzące w oczy ostrze przemknęło mu tuż przed nosem. Szczęściarz ciął na odlew, bosman zrobił unik!

Wypadli na środek pokładu, roztrącając marynarzy. Piraci śledzili ten pojedynek w napięciu. Wszystkie oczy były błyszczące i niespokojne. Ta walka miała wyłonić dowódcę. Dla jednych wynik pojedynku oznaczał śmierć. Dla innych był wybawieniem.

Walczyli zdyszani, wściekli. Ramblind ciął wręcz, zasłonił się, a kapitan doskoczył do niego i wypadł z szybkim jak błyskawica pchnięciem. Ramblind osłonił się w ostatniej chwili! Przyjął cios pod pachę, a sam chlasnął hakiem po lewym

ramieniu Rackhama. Kapitan jęknął, na pokład trysnęła krew.

- Koniec! - zawył bosman. - Koniec szczęścia, Johnny!

Rzucił się do przodu, młócąc szablą jak cepem. Rackham z trudem wywinął się w ostatniej chwili, uskoczył w tył, a potem odbił z całą mocą ostrze szabli, runął na przeciwnika i jednym susem znalazł się na relingu. Ramblind zawył tryumfalnie i ruszył w jego stronę. Ciął z zamachu wlew, potem wręcz, przecinając linę want. Napięty sznur świsnął w powietrzu. Rackham skoczył! Wylądował na baryłce rumu, przetoczył się na pokład, ciął z podlewu, potem w kiść. Ramblind zaatakował i zawył. Jego drewniana noga uwięzła w szparze gretingu. Nadaremnie szarpał nią w tył i w przód...

Rackham skoczył nań, odtrącił klingę, a potem przyłożył bosmanowi ostrze do gardła.

Ramblind zamarł. Odrzucił broń, a potem zarechotał głośno.

- He, he, witam, kapitanie Rackham. Będziecie znowu szyprem i załatwicie chłopakom podróż prosto do piekła szybszą niż królewska poczta!

Chwycił drewniany kulas i wyszarpnął z dziury. Rackham napał na niego, a bosman cofnął się w stronę burty.

- Do zobaczenia na uczcie u diabła! - ryknął wesoło. - Levis, Milton, stare druhy, jakże miło będzie smażyć się pospołu.

Cofając, oparł się plecami o nadburcie. Zarechotał znowu.

- Co tak rżysz, Atkins! - zawołał. - Kiedy nas sparło, nie chciałeś wychędożyć tej cioty Jima pod pokładem. W piekle będziesz szukał dziury w kotle, żeby tam wsadzić kutasa. He, he, kto inny cię tam wychędoży, skurwysynu! Pochodnią w dupę!

- Kończ już, Ramblind! - syknął Rackham.

Bosman posłusznie przełożył drewnianą nogę przez burtę. Podciągnął się na rękach...

- Powodzenia, stare diabły! - ryknął. - Złamanego masztu i stengi!

Skoczył do morza. Do uszu marynarzy dobiegł głośny plusk. Morska woda trysnęła w górę, ochlapała pokład.

Rackham stanął przed załogą, ranny, zakrwawiony, z rozpalonym wzrokiem.

Spojrzał na rufę, gdzie jakieś pół mili za Elizabeth kołysał się na falach Oprawca.

- Nie ma przed nami odwrotu! - powiedział. - Nie pozbędziemy się Oprawcy! Statek przecieka, kadłub jest w strzępach! Możemy albo gnać przed siebie do pierwszego sztormu, albo pokazać temu czarnemu skurwielowi - wskazał galeon - że jeszcze mamy jaja! Co wybieracie, chłopaki?! Nie mamy z nim szans w walce - powiedział, trzymając się za ranę na lewym ramieniu. Krew kapłała na deski pokładu. - Potrzaska nas z dział, zatopi z kartaun. Ale pozostaje nam abordaż. Nie wiem, czy ten statek jest przeklęty, czy nie, ale zdobędziemy go! Klnę się na Boga i na diabła, że wejdziemy na jego pokład i sprawdzimy, kto stoi za kołem sterowym! Wybór należy do was. I śmierć nam albo chwała!!!

Nikt się nie odezwał. Nikt nie krzychał. Rozumieli się bez słów.

Kapitan spojrzał na czarny galeon. Na postrzępione żagle, na zwisające z rei zwłoki piratów otoczone chmurami ptactwa. Co za tajemnicę ukrywał ten statek? Czy rzeczywiście był przeklęty?

- Do roboty! - ryknął. - Przygotować łodzie i szalupę!

9. Śmierć i chwała

Wyłynęli z cienia na morze rozświetlone księżycowym blaskiem. Czarny kontur galeonu zamajaczył daleko przed nimi. Marynarze naporli na wiosła, a Rackham poczuł, jak serce zaczyna mu bić coraz mocniej. Wszak postawił wszystko na jedną kartę!

Nie dalej jak milę od ścigających Elizabeth szła półwiatrem w stronę lądu. Kapitan wprowadził ją między rafy tej nienazwanej przez nikogo wysepki. Tu, zasłonięci przed wzrokiem Oprawcy, zeszli do łodzi i zaczęli się w mroku przy jednej ze skał. Rackham zakładał, że Oprawca po wejściu między skaliste klify dalej będzie ścigał Elizabeth, idąc ostro na wiatr. A wówczas oni mieli dopłynąć do jego burty i dokonać abordażu, aby ostatecznie rozprawić się z piekielnym galeonem!

Marynarze napierali na wiosła. Rackham ocenił odległość. Zbliżali się szybko do wysokiej czarnej burty. Wszystko wskazywało na to, że na Oprawcy ich nie zauważono. Kapitan dał znak marynarzom trzymającym bosaki i liny z hakami, pomacał umieszczoną za pasem kaczą stopę i wydobył cutlas.

Burta Oprawcy zbliżała się... Jeszcze trzydzieści stóp, jeszcze piętnaście, dziesięć!

- Dalejże, kamraci! - ryknął Rackham. - Do abordażu! Na przystanku!

- Za złoto, za skarby!

- Bij skurwysynów!

Haki abordażowe świsnęły w powietrzu i opadły na nadburcie galeonu. Łodzie piratów zderzyły się z potężnym statkiem. W mroku błysnęły ostrza szabel i pałaszy. Rackham chwycił linę abordażową, zaparł się nogami o burzę i począł wspinać. Z kilkudziesięciu gardeł natychmiast wyrwała się bojowa pieśń:

*Jam jest pan kapitan Śmierć,
Każdy śmiertelnik musi oddać mi cześć,
Wszystkich ich wyduszę, zginą z moich rąk,
Kto śmie się sprzeciwić, zazna srogich mąk!*

Szybko jak błyskawica, z małpią zręcznością, piraci pięli się w górę. Rackham jako jeden z pierwszych dotarł do relingu. Podciągnął się i z cutlasem w zębach skoczył na pokład Oprawcy. Tuż obok z łoskotem lądowali na deskach kolejni marynarze.

Rackham chwycił za broń, rozejrzał się za wrogiem. Ale pokład okrętu był pusty!

Galeon kołysał się na falach. Porwane żagle łopotały głośno. Z góry dochodził skrzyp lin - powieszni na rejach piraci kołysali się w rytmie morskich fal.

Co, do diabła? - pomyślał Rackham. Co tu się dzieje?! Kto tu dowodzi? Kto płynął na tym statku? Przecież widziałem marynarzy?

- Morgan - rzucił do oficera - weź dziesięciu ludzi, sprawdź kubryk i forkasztel! My idziemy na rufę.

Skinął na marynarzy i ruszył w stronę rufowych nadbudówek. Piraci przekradali się ostrożnie, rozglądali na boki. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Statek był opuszczony.

Rackham wyminął stopy beczek, obszedł kabestan, a potem zamarł.

Przed grotmasztem stał wysoki, długowłosy mężczyzna w poszarpanym kapeluszu. Kapitan skinął na majtków. A potem przyskoczył bliżej.

- Witaj, panie Rackham. Czekałem na was, panie kawalerze.

Johnny Szczęściarz zamarł. To był Andrew Spey. Kapitan, którego dziennik pokładowy odnaleźli ludzie Joskowitza, a który sam przepadł w czasie sztormu... Wprowadził ich w pułapkę!

Rackham rozejrzył się. Nad głową Speya kołysały się białe stopy kilku majtków powieszonych na najniższej rei bezanmasztu. Trzy trupy leżały u stóp kapitana w kałuży krwi.

Czyżby Spey zabił własnych ludzi? O co, do kurwy nędzy, w tym wszystkim chodziło?

- Panie Spey, chciałeś nas zabić. Zatopiłeś Roanoke Cunninghama. Wprowadziłeś nas w zasadzkę, podsuwając fałszywe informacje o hiszpańskim galeonie Santa Maria. Ścigałeś nas przez trzy dni. Rozbiłeś i potopiłeś dwa statki hiszpańskich korsarzy. Mam zatem tylko jedno pytanie: dlaczego to zrobiłeś?

Spey odszedł od koła. Zdjął kapelusz, a Rackham zadrżał. Włosy pirata, który nie był jednak dużo od niego starszy, były białe. Jego twarz wyglądała strasznie - wysuszona i wyschnięta jak oblicze trupa. Wielkie ciemne oczy patrzyły nieprzytomnie.

Pirat ukląkł przed Rackhamem i pochylił głowę.

- Tak - wycharczał. - Ścigałem was... Zatopiłem Cunninghama, a potem podjąłem go z morza i powiesiłem na rei... Ale dzięki wam dopełniło się wreszcie moje przeznaczenie. Teraz ty, panie Rackham, obejmiesz dowodzenie na tym przeklętym statku. Proszę cię o łaskę. Zabij mnie!

- Ty kur...! - syknął Levis i zamachnął się cutlasem, ale Rackham chwycił go za rękaw.

- Za co chciałeś nas zabić, panie Spey? I co tu się w ogóle dzieje? Dlaczego się

nie broniłeś?

- Panie Rackham, przestań, proszę, trzepotać jęzorem. Zabij mnie!

- Zarąbmy skurwiela! - krzyknął jeden z marynarzy. - Poderżnijmy mu gardło za Czarnego Rotha.

- Czekać! - wstrzymał ich Rackham. - Spey, kto kazał zwabić mnie w pułapkę? Pirat zarechotał.

- Sam diabeł uznał, że już czas, abyś odpokutował za swoje winy. Twój los się dopełnił, kapitanie. No, dalejże, tchórze, odetnij mi łeb! Niechże się to wszystko skończy.

Rackham schował broń do pochwy.

- Najpierw wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodzi. Nie wierzę w przeznaczenie i marynarskie bajdy o upiorach. Dlaczego zabiłeś swoich ludzi? Skąd wzięłeś ten statek?

Spey zerwał się na nogi. Zrobił to tak szybko, że piraci skoczyli w tył. Kapitan Oprawcy rzucił się w stronę burty, uchwycił want i zaczął wspinać na bezanmaszt.

- Łapcie go! - krzyknął kapitan. - Nie pozwólcie mu uciec!

Marynarze rzucili się za Speyem. Nie zdążyli... Zwinnie jak kot wdrapał się na grotreję, ukręcił pętlę z końcówki przeciętej liny, a potem założył ją sobie na szyję.

- Spey, nie! Nie rób tego!

Pirat spojrzał na Rackhama spokojnym, beznamiętnym wzrokiem.

- Do zobaczenia w piekle, Szczęściarzu!

Zeskoczył w dół. Stryczek zatrzymał go w pół drogi pomiędzy reją a pokładem. Spey zawisł, wierzgnął kilkakrotnie nogami, a potem uspokoił się i zakołysał. Jego wytrzeszczone oczy wpatrywały się w Johnny'ego Szczęściarza.

Piraci umilkli. Marynarze zaczęli się żegnać, ktoś mruzczał modlitwę.

- Kurwa mać! - zaklął Rackham. - Co tu się dzieje? Co to za przeklęty statek?!

Szybko zeszli na śródokręcie. Morgan wrócił z dziobu. Zdał krótką relację. Okręt był pusty. Na forkaasztelu, w kubryku, w ładowniach - nigdzie nie było żywej duszy.

Rackham oparł strudzone ręce na relingu. Spojrzał na morze. Daleko na linii skał dogorywała właśnie Elizabeth. Pozostawiona samopas wpadła na skały. Już

tylko rufa sterczała nad falami.

- Obsadźcie okręt - rozkazał. - Sprawdźcie, co jest w ładowniach. Postawcie żagle. Kurs na Jamajkę!

Majtkowie ruszyli niemrawo, aby wypełnić polecenia. Rackham położył dłoń na ramieniu Morgana.

- Chodźmy do kapitańskiej kajuty.

Ruszyli na rufę. Drzwi były otwarte. Szybko przeszli przez korytarzyk i stanęli na progu kabiny szypra Oprawcy. Pomieszczenie było urządzone dostatnio, choć na sprzętach, fotelach i kobiercach leżała gruba warstwa kurzu.

Rackham otworzył okiennicę, wpuszczając więcej powietrza do kajuty. Morgan przetrząsał kufry i szafy. W końcu znalazł grubą księgę.

- Patrz, dziennik okrętowy.

Zasiedli przy stole. Kapitan przerzucił pierwszą kartę. Przebiegł oczyma wyblakłe rządki pisma. Odszukał podpis kapitana i zamarł... W księdze widniał podpis Johna Morrisa.

- To naprawdę był jego statek.

Morgan pokiwał głową. Znalazł butelkę rumu i rozlał płyn do szklanicy. Kapitan przeglądał dalej dziennik. Ostatni wpis pochodził z 4 czerwca 1672 roku, kiedy okręt kierował się na Bahamy. Potem następowała przerwa - Rackham przewracał puste kartki. Aż wreszcie znowu znalazł wpis.

- 23 października Anno Domini 1673 - przeczytał - *przejąłem ten okręt w imię Opatrzności Bożej ja, Thomas Red.*

Red, dzielny pirat, o którym wielokrotnie opowiadano Rackhamowi. Zaginął w czasie wyprawy po hiszpańskie złoto.

Dalej były wpisy, notatki i nieczytelne gryzmoły. Kapitanowi nie chciało się tego czytać. Przeglądał je pobieżnie i nagle zamarł.

Sześciu ludzi powiesiło się dziś w nocy! Nie wiem, co się dzieje! Ten okręt jest przeklęty.

27 października A.D. 1673. Dziś przyszli do mnie znowu. Muszę im ulec, zrobić to, co kazali. Inaczej nie zaznam spokoju. Panie Boże, miej w opiece nasze dusze...

3 listopada A.D. 1673. To już koniec. Jesteśmy przeklęci. Kreślę te ostatnie słowa, a

potem pakuję sobie kulę w łeb. Panie, wspomóż mnie w tej ostatniej godzinie.

Rackham zadrzał. Przeglądał dziennik dalej.

Po długiej walce zdobyliśmy statek. Niedobitków z załogi kapitana kazałem powiesić na rejach. Kapitan śmiał mi się w oczy i obiecał spotkać się w piekle.

16 lutego A.D. 1675. Ten statek to pułapka. Każdy, kto to czyta, jest zgubiony. Nie sposób stąd uciec - nie możemy spuścić łodzi. Davis uciekł w pław. Ni stąd, ni zowąd pojawiły się rekiny.

Wspomnienie przeszłości prześladowa mnie. Nie ucieknę z „Oprawcy”, bo ciąży na nim klątwa. Ludzie chcą powiesić mnie na rei... Weszliśmy na ten opustoszały statek. Nie chce mi się czytać tych bzdur o pokutujących duszach. Płyniemy na Martynikę zajrzeć do kabzy francuskim kupczykom. Skazałem na śmierć Plichtrona za to, że podburzał załogę do buntu i gadał, że „Oprawca” jest przeklęty. Ha, ha, co za bzdury! 24 lipca A.D. 1676.

I następny wpis:

Byłem głupcem... „Oprawca” to przedsionek piekieł. Musimy znaleźć kogoś, kto przejmie od nas stery. Nie sposób stąd uciec! Nie wiem, co robić. 26 lipca A.D. 1676.

Boże Wszechmocny, uciekamy się pod twoją ochronę. Ja, kapitan Fergus Wyatt, kwatermistrz Henry Vasquez i 33 marynarzy. 2 sierpnia A.D. 1678.

To szaleństwo. Żywe trupy kroczą po rejach. Wieszają moich ludzi. Słyszę, jak idą po mnie. Wszystko dlatego, że sprzeciwiłem się ich rozkazom... Słyszę, jak wchodzi po schodach - to Matt i Hawking, ci, którym poderżnąłem gardła. Już stukają...

Podpisu nie było. Przez cały dół kartki ciągnęła się wielka, zaschnięta plama atramentu.

Rackham poszukał ostatniego wpisu, ale zamiast niego znalazł lukę. Część karetek wyrwano z dziennika. Sięgnął za pazuchę i wy dostał papiery, które dał mu Joskowitz. Przyłożył wyrwane karty do księgi. Pasowały. A zatem ludzie Żyda naprawdę wyłowili z wody część dziennika Speya. Joskowitz był bez winy. To Spey próbował wciągnąć ich w zasadzkę. Ale dlaczego? Po co? Przecież Rackham nigdy nie dawał mu okazji do zwady, a Spey nie mógł liczyć na żaden łup. Dlaczego więc gonił za nimi tyle czasu? Dlaczego się powiesił? Co takiego działo się na tym statku?

Ktoś zastukał do drzwi.

- Wejść!

Do kabiny wsunął się Levis.

- Sir, przeszukaliśmy cały statek. Nie ma tu żywej duszy. Wygląda na to, że załoga uciekła albo...

- Co znaczy albo?

- Albo się powiesiła, sir!

- Nie gadaj bzdur. Co z ładowniami?

- W ładowniach są zapasy, rum, suchary, kule i proch. Żadnych towarów. Sir, tu nie ma również szcurów.

- W porządku. Doprowadzimy galeon do Port Royal. Levis!

- Tak, sir!

- Jutro rano weźmiesz dziesięciu ludzi i uprzątniecie trupy z masztów.

Wszystkie zwłoki wyrzucicie do morza.

- Tak, sir!

- Możesz odejść!

Levis nie poruszał się.

- Coś jeszcze?

- Sir, nie możemy opuścić łodzi.

- Co takiego?

- Nie możemy poruszyć szalupy. Nie da się jej opuścić.

Rackham przygryzł wargi. Do stu diabłów, co tu się działo?

- Sprawdzimy ją jutro. A teraz rozstawić warty i spać!

- Aye, aye, sir!

Rackham ukrył twarz w dłoniach.

- Pora spać - rzekł do Morgana po chwili. - Jutro opuścimy ten przeklęty okręt na zawsze.

10. Pod żaglami Oprawcy

Ktoś delikatnie dotykał jego pleców. Miękkie dłonie sprawnie rozsznurowały

koszulę pod szyją Rackhama, ciepłe usta przywarły do jego szyi, przesunęły się w dół razem z dłońmi i zaczęły pieścić pośladki. Leżąc w półśnie na łóżku kapitana Oprawcy, Rackham poczuł na karku gorący oddech. Czyjs język dotknął jego ucha, pieścił je coraz mocniej i mocniej. Czyje ręce zaczęły szukać jego męskości.

- Boney? - wyszeptał Rackham błogo. - Boney, czy to ty?

- Nie, mój przyjacielu - odparł cicho znajomy głos. Rozbudzony kapitan przewrócił się na drugi bok, pomacał ręką za sobą, a potem, gdy zamiast miękkiego kobiecego ciała dotknął mokrego sukna, pasa i rękojeści rapieru, zerwał się, wyskoczył z łóżka i...

Zawył ze zgrozy, zatrzęsł się cały...

Był świt, przez okna przesączał się pierwszy brzask dnia. A na łóżku siedział sir Thomas Cunningham!

Wpatrywał się w kapitana otwartymi, pustymi oczyma wisielca. Na jego nabrzmiałej szyi ciągle zaciskała się pętla, koniec sznura opadał na łożo.

- Johnny - rzekł pieszczotliwie pirat - Johnny, chodź do mnie...

- Przecież ty nie żyjesz!

Cunningham zaśmiał się krótkim, charkotliwym śmiechem.

- Czy to ma teraz jakieś znaczenie, kotku? Jesteśmy już po drugiej stronie tego, co nazywasz życiem. Chodź do mnie, będzie nam dobrze. Zawołam też Orlando, jeśli chcesz. Razem będzie... cieplej.

Rackham porwał cutlas. Cunningham roześmiał się znowu.

- Co ty chcesz zrobić? - zapytał. - Mówię wyraźnie, nie żyję! Przecież dopiero co zszedłem z rei. Porzuciłeś mnie na morzu, z którego podjął mnie ten statek i powiesił... Na rei. Dwa dni temu.

- Roth - szepnął Rackham - wybacz... Nie mogłem cię uratować. Nie było czasu, ten piekielny Oprawca...

- To naprawdę nie ma znaczenia, Szczęściarzu. Przyszedłem tu, aby wyjaśnić ci sytuację, w której się znalazłeś. Zasiądź zatem do stołu i posłuchaj.

Kapitan zrobił, co mu kazano. Napelnił szklanice rumem. Podniósł naczynie do ust, ale nie czuł prawie smaku. Cunningham usiadł na krześle.

- Historia, którą opowiadał Ramblind, jest prawdą - rzekł. - Ten statek

rzeczywiście należał kiedyś do Johna Morrisa, pirata, który zdradził korsarskie bractwo i zaciągnął się na służbę do wicegubernatora Jamajki. Został jednak zwabiony w zasadzkę i powieszony na najwyższej rei. Przed zgonem Morris rzucił przekleństwo na ten galeon. Zapowiedział, że po jego śmierci Oprawca, na którym odbył tyle wspaniałych rejsów, stanie się postrachem piratów, a morscy rozbójnicy zapłacą słoń za swoje nikczemności. Tej samej nocy statek zerwał się z kotwicy i podryfował na morze. Tę wersję historii już znasz. Nie wiesz jednak tego, że przez pokład Oprawcy przewinęły się już ze dwa tuziny piratów, którzy razem z załogami zostali postawieni w takiej samej sytuacji jak ty, monsieur Rackham. Wszyscy cierpieli tutaj za swoje winy, odbyli długą pokutę. A gdy w końcu powiesili się na rejach albo znaleźli następców, diabeł porwał ich dusze do piekła.

- Wybacz, ale nie bardzo cię rozumiem...

Czarny Roth położył rękę na kolanie Rackhama. Tym razem jego dłoń była lodowata.

- Nigdy nie opuścisz tego statku. Pozostaniesz na Oprawcy aż do swej śmierci i będziesz tropił piratów, zabijał ich, niszczył bukanierskie statki. A gdy odpokutujesz swoje winy, gdy znajdziesz następcę, który poprowadzi Oprawcę, będziesz mógł zakończyć swoją tułaczkę.

Andrew Spey, przemknęło przez głowę Rackhama. On też został schwytyany przez Oprawcę. Dlatego wciągnął nas w zasadzkę. Dlatego nas gonił... Chciał, aby ktoś przejął po nim okręt.

Zdecydowanym ruchem strącił lodowatą, siną dłoń Cunninghama ze swojego kolana.

- A co, jeśli nie zechcę walczyć z piratami? Cunningham pochylił się tak blisko, że prawie musnął językiem ucho Rackhama.

- Wtedy, monsieur Rackham, będę przychodził do ciebie częściej. Mon Dieu! Zapomniałem ci powiedzieć: nie będę przychodził do ciebie sam.

Ucho Rackhama wychwyciło zbliżający się wolno stukot drewnianej nogi. Dochodził z korytarza. Kapitan poznał go od razu i włosy stanęły mu dęba. To była drewniana noga van Beltroopa, którego zabił w zwadzie w burdelu mamy Fratelli w Port Royal. Rackham zadrżał. Stukot ucichł tuż u drzwi. A z korytarza doszło go

łkanie. Szloch Boney! Kapitan dopadł do drzwi i zatrzasnął rygiel.

- Czy mam zaprosić kogoś w gości, monsieur kapitan? - zapytał Czarny Roth, uśmiechając się szyderczo. - Z pewnością mieliby ci wiele do opowiedzenia. Czy jednak wystarczy ci tylko moje towarzystwo?

Rackham jęknął. Broń wypadła mu z ręki. Teraz już wiedział, że trafił na samo dno piekła.

- Nie zdołasz opuścić tego statku, Rackham. Nie rozbijesz go na skałach, bo on przemknie jak duch nad rafami i mieliznami. A zatem nie pozostaje ci nic innego, jak tylko zacząć wypełniać pokutę.

- Kto... Kto nas wystawił? Joskowitz? Spey? Gubernator?

- Spey zaginął dwa miesiące temu. Jego snow napotkał Oprawcę i został potrzaskany z dział. Jednak Spey z częścią załogi dostał się na pokład statku i zabił dowodzącego nim kapitana. A potem dowiedział się o tajemnicy Oprawcy. I nie wytrzymał, postanowił znaleźć kogoś, kto przejmie po nim statek. Porzucił zatem koło wysp Antiles część swojego dziennika z notatkami na temat rzekomego hiszpańskiego galeonu i jakieś deski ze statku - chciał upozorować katastrofę. Odnaleźli je ludzie Joskowitza i właśnie w taki sposób wpadliśmy w pułapkę.

Rackham zwalczył w sobie chęć, aby paść na kolana. Nie mógł tego zrobić... Johnny Szczęściarz odmawiający paciorki... Nie, to byłoby zbyt straszne.

- Tak, monsieur! Najwyższy czas zacząć się modlić!

- Zabiję się! Nie wytrzymam tego długo.

- Droga wolna. Dalej, strzel sobie w łeb. A wówczas ja wyjdę ci na powitanie do samych wrót piekieł!

Rackham milczał. Nagle gdzieś w kubryku rozległy się wrzaski, strzały, jęki. Ktoś biegł korytarzem, krzycząc. Cunningham uśmiechał się.

- Twoi ludzie już się pobudzili. Nie tylko ty miałeś tej nocy gości, kapitanie.

Rackham pociągnął spory łyk rumu. Otrząsnął się jak pies. Całkowicie stracił smak w ustach.

- Zabierz mnie do piekła, ale wypuść moją załogę - rzekł głucho. - Wiele zgrzeszyłem, ale oni tylko wykonywali moje rozkazy...

Czarny Roth roześmiał się.

- Kto jest bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci kamieniem - powiedział. - Kto jest bez złego uczynku, ten może bez przeszkód opuścić Oprawcę i udać się, dokąd zechce. A na którym z twoich piratów nie ciążyą występki? Mówię oczywiście o śmiertelnych grzechach. Który z twych morskich wilków nie zabijał, nie gwałcił, nie mordował? Jestli taki w tej zgrai? Jest na tym pokładzie chociaż jeden sprawiedliwy? Jeśli tak - to wsadź go w szalupę i odeślij na ląd.

Rackham milczał. Ale w jego głowie zaświtała iskierka nadziei.

- Zatem, monsieur kapitan, przekazuję w twoje ręce najpotężniejszy okręt, jaki widziały te wody. - Cunningham wstał i sięgnął po kapelusz. - Mam nadzieję, że odpowiednio wykorzystasz jego siłę i potężnie zaszkożysz piratom. A spraw się dobrze, bo inaczej następne... odwiedziny nie będą należeć do przyjemnych!

Roth poklepał Rackhama po policzku. A potem wyszedł z kajuty.

11. Kto jest bez grzechu...

Dzień wstawał ponury i smutny. Morze pienilo się wściekle, uderzało o burty statku, strzelało bryzgami piany.

Załoga Rackhama zgromadziła się w milczeniu wokół grotmasztu. Kapitan nie potrzebował nic tłumaczyć. Tej nocy historia Oprawcy wyjaśniła się sama. Nie wszyscy przetrzymali koszmary. Dwa świeże ciała kołysały się na stryczkach na bukszprycie. Morskie fale omywały je, podrzucały w górę, jakby ocean bawił się ludzkimi szczątkami.

- Tak - zabrał w końcu głos Rackham. - Jesteśmy przeklęci. Ale nie myślcie, że znaleźliśmy się tutaj dlatego, że was oszukano. Że wpadliście w pułapkę. Nie, moi mili! Trafiliśmy tu, bo przez całe życie żyliśmy w grzechu. Napadaliśmy, rabowaliśmy, gwałciliśmy i przepuszczaliśmy złoto w zamtuzach, płacąc nim za wdzięki francowatych kurw w Port Royal. I za to teraz odpokutujemy. Będziemy pływać na tym przeklętym galeonie do chwili, gdy znajdziemy piratów, którzy nas zastąpią.

Morgan roześmiał się chrapliwie. Splunął krwawą śliną na pokład.

- Oczywiście możecie w każdej chwili powiesić się na rei albo strzelić sobie w łeb. Ale nie myślcie, że pójdziecie wówczas do nieba. Traficie na samo dno piekła i będziecie smażyć się tam aż do dnia Sądu Ostatecznego! Więc chyba lepiej odwlec trochę tę przykrą chwilę?!

Zapadła cisza. Mewy skrzeczały, oskubując wisielców.

- Ten z nas, który jest bez grzechu... bez ciężkiego grzechu, może opuścić okręt
- rzekł głucho Rackham.

Piraci zaszemrali. Kilku padło na kolana i zaczęło się modlić. Ktoś płakał, inni się przeżegnali. Morgan zarechotał paskudnym śmiechem.

- Naprawdę rzygać mi się chce, jak widzę takich parszywych śmierdzieli jak wy - ryknął. - Kurważ mać, wy chcecie żałować za grzechy? Będziecie tu klepać godzinki? Obiecywać poprawę? Milton, nie patrz na mnie tak błagalnie! Dlaczego składasz ręczki do Bozi? Miesiąc temu tymi rękoma poderżnąłeś gardło holenderskiemu kupcowi, choć cię błagał o łaskę i powiadał, że czekają na niego małe dzieci! A ty, Levis, co? Padłeś na kolana i będziesz się modlił do Pana? Bóg nie słucha takich szmatławych łajdaków jak ty! Szkoda, że nie modliłeś się do Bozi wtedy, kiedy razem z połową załogi chędożyliście po kolei kapitańską córkę z Neptuna! Tacyście byli wyposzczeni, że rzuciła się do morza, bo od gwałtów pomieszały jej się zmysły!

Kwaternistrz przeszedł się między chłopcami Rackhama.

- Podrzynacz, kamracie! - zawołał. - Ty płaczesz? Patrzcie, jak ten szelma boi się o swoją nieśmiertelną duszyczkę. Pomyśl, kurwa, lepiej o tych wszystkich kupcach i żołnierzach, których posłałeś na dno. Którym wydłubałeś serca albo rozwalileś łby. Każdy z nich miał po kilka uroczych dzieci, które do dziś wypatrują, kiedy tatko wróci z rejsu. I modlą się do Boga, aby zachował go żywego. I wymodliły karę dla ciebie, bo będziesz zdychał na tym galeonie aż do dnia Sądu Ostatecznego. Atkins, ty się żegnasz?! A może się nawrócisz? Zostaniesz katolikiem i wstąpisz do zakonu? Na to już, kurwa, za późno. Nie trzeba było palić ludzi żywcem i wieszać ich za żebro, aby wydali, gdzie mają złoto!

Zatoczył się, zionąc wonią rumu.

- Mnie tam za jedno, komu służę, Panu Bogu czy diabłu! - zarechotał. - Ale skoro tu jestem, nie będę wił się, błagał i szłochał na kolanach. Ja, kurważ mać, do końca życia będę chodził z podniesioną głową. I będę żeglował na tym przeklętym statku, dopóki nie przyjdzie po nas sam Lucyfer. I wam też tak radzę, kamraci!

Zatoczył się, wsparł na czyimś ramieniu i nagle zmarł.

- Robert - rzekł i przetarł oczy. - Robercie? Co ty tutaj robisz? Co robisz z gromadą tych szelm i łajdaków? Co ty robisz na Oprawcy? Przecież ty nie zabiłeś nikogo. Nie wychędożyłeś dziewczki, nie poderżnąłeś nikomu gardła... Przecież ty jesteś bez grzechu!

Piraci przyskoczyli do młodzieńca, patrzyli na niego, obracali dokoła, a w oczach kilku najgorszych łotrów pojawiły się łzy.

- On nie zna grzechu - szepnął Atkins. - On nie zrobił nikomu nic złego.

- Żył dobrze z załogą!

- Zawsze pomagał!

- Nigdy nie zabijał!

- Modlił się, kamraci, sam widziałem, jak się modlił!

- Dobry był!

- Bez grzechu!

Rackham przedarł się przez tłum piratów. Stał oko w oko z Robertem.

- Posłuchaj - rzekł do sługi. - To wszystko prawda... Opuścisz ten statek, Robercie... Wysadzę cię na ląd w łodzi. Odejdiesz i zapomnisz o nas.

- Ale, panie kapitanie...

- To rozkaz, słyszysz! Masz zejść na ląd! Inaczej powieszę cię na najwyższej rei!

Robert skurczył się.

- Opowiesz wszystkim o przeklętej załodze kapitana Rackhama - powiedział Morgan. - Opowiesz o Oprawcy pełnym powieszonych ciał. O okręcie widmie, przemierzającym oceany, aby siać grozę i zniszczenie...

- Ale ja...

- Opowiesz. Będzie o nas głośno. Opuścić szalupę!

Majtkowie rzucili się do łodzi. Dźwignęli ją i...

Nie podnieśli. Nadaremnie mocowali się z łodzią. Nie mogli podnieść jej w

górze i spuścić na wodę.

- Co się dzieje? - jęknął Rackham. - Robercie, nie może być... Jak to? Czy ty...?

- Tak, kapitanie. - Robert spuścił wzrok. - Tak, popełniłem występki.

Wybaczcze, panie.

- Co takiego zrobiłeś?

- Wtedy w zamtuzie w Port Royal... Wziąłem twą sakiewkę, panie...

Wybaczcze.

- Daj spokój, Robercie. Odpuszczam ci wszystko! Słyszycie! - ryknął Rackham prosto w niebo. - Odpuszczam mu kradzież złota!

Majtkowie chwycili za szalupę i... nie podnieśli jej.

Piraci spuścili głowy. Rackham zadrżał.

- Co mamy robić?

- Złodziei karze się w Port Royal tylko w jeden sposób - rzekł Robert. - Obcięciem lewej dłoni...

- Nie! - ryknął Morgan. - Nie zrobimy tego!

Robert zawinął lewy rękaw rajtroka.

- Ja... - zająknął się. - Nie ma innej rady. Inaczej nigdy nie opuszczę statku.

- Nie!

- Nie obcinajcie mu ręki!

- O Boże! - jęknął Rackham. - Nie każcie mi tego robić!

- Ja sam pójdę - rzekł Robert. - Zróbcie to, proszę.

- Nie, nie mogę.

Majtkowie znowu próbowali podnieść łódź. Nie udało się.

- Panie Morgan, może wy...

- Ja... Jak to?

- Wyście najtwardsi z całej załogi.

Morgan pokiwał głową. Opanował się i wydobył pałasz.

- Jesteś pewien, że tego chcesz, Robercie?

- Zróbcie to już! Kurwa! Ruszcie się! Przytrzymajcie mnie.

- Dobrze - powiedział łamiącym się głosem Morgan. - Dobrze...

Rackham nie patrzył, co się dalej stanie. Piraci podprowadzili Roberta do

grotmasztu, do katowskiego pniaka...

Kapitan dał znak Morganowi. A gdy ostrze pałasza opadło w dół, ukrył twarz w dłoniach.

Piraci pospuszczali głowy. Zdjęli kapelusze. Kilku uklęknęło...

Dwaj majtkowie bez trudu spuścili szalupę na wodę...

Później, gdy wypalono rany Robertowi, blady Rackham stanął przed młodzieńcem. Spojrzał na jego wymizerowaną twarz. Na kikut ręki owinięty bandażem. A potem chwycił chłopca w ramiona, przytulił do siebie i zaszlochał.

- Robercie - wyszeptał - Robercie...

- Nie płaczcie, panie - rzekł chłopak. - Nie stało się nic... Nic...

- Bądź dobry, Robercie. Jedź tam, gdzie ci powiedziałem, weź pieniądze i wracaj do Anglii. Kup sobie dom, posiadłość, miej żonę i dzieci i nigdy już nie wracaj na morze. Chodź co tydzień do kościoła, by wysłuchać kazania. Dawaj datki na biednych. Ufunduj szpital albo dwa. Rozdawaj jałmużny...

- A pomódl się czasem za nas - wyszeptał Levis.

- I nie bierz przykładu ze mnie - uśmiechnął się Morgan. - Bo Oprawca przyplynie po ciebie - zażartował.

- Nie czyń zła - wyszeptał Atkins. - Żyj spokojnie, bez lęku.

Kapitan wyciągnął zza pasa swój pistolet.

- Masz, Robercie, bierz na pamiątkę.

Marynarze sięgnęli do pasa. Każdy dawał, co miał - dublony, fajkę, nóż. Robert przyciskał do piersi podarki zdrową ręką. I dziękował ofiarodawcom. Potem skłonił się marynarzom i swemu kapitanowi. I wsiadł do szalupy.

- Kapitanie - krzyknął - pomogę wam! Uratuję! Przysięgam! Nie będziecie cierpieć wiecznie! Wrócę po was... Wrócę po was kiedyś i uwolnię!

Rackham patrzył, jak odpływa, jak pochłania go poranna mgła, jak kołyszą nim morskie fale.

Takiego Roberta zapamiętał na resztę swego życia...

12. Epilog

Kapitan Robert Stevenson, zwany Diabłem z Tortugi, obracał w palcach inkrustowany srebrem pistolet kapitana Rackhama. Uśmiechnął się smutno do dawnych wspomnień.

Skłamał Rackhamowi!

Nie wrócił do Anglii. Za pieniądze wydobyte ze skrytki kapitana kupił mały statek, wynajął kilku zabijaków, a potem spróbował szczęścia.

Nie modlił się.

Nie kupił sobie posiadłości.

Nie chadzał co niedziela do kościoła posłuchać kazania pastora.

I jak łatwo można się też domyślać, nie odmawiał co wieczór paciorka.

W zamian za to powiesił kilku księży i spalił trzy klasztory na wyspach.

Nie dawał na mszę pastorom, w zamian za to rzucał złoto dziwkom; wszystkie ladacznice z Tortugi szeptały jego imię. Piraci pili jego zdrowie, a jeśli złorzeczyli, to tylko szepem i spluwając przez lewe ramię.

Żył, jak chciał, nie modląc się, nie skamląc o miłosierdzie i litość, choć często jego wrogowie zebrali o łaskę u jego stóp.

Nigdy jej nie udzielał!

Diabeł z Tortugi obracał w ręku błyszczącą kulę. A potem jednym ruchem owinął ją we flejtuch, wcisnął do lufy pistoletu i przybił stemplem. To była srebrna kula... Na duchy i upiory.

I na Rackhama.

Robert zamyślił się. Po tylu latach pozostał mu jeszcze jeden dług do spłacenia. Musiał zakończyć tułaczkę Rackhama. Wszak przysiągł, że to uczyni. A on zawsze dotrzymywał danego słowa.

Czekało go największe wyzwanie w jego życiu.

Robert wstał i sięgnął po kapelusz. Ruszył do drzwi, otworzył je kopniakiem.

Szybko wyszedł na pokład, z przyjemnością wciągnął w płuca morskie powietrze.

Marynarze myjący pokład skulili się, niemal rozpląszczyli na deskach. Gniew Diabła z Tortugi bywał straszny.

- No, jak tam, powiesiliście ich? - zapytał bosmana.

- Sir, yes, sir!!!

- Mam nadzieję, że reszta tej hołoty nie będzie się już buntować. - Zerknął w górę, gdzie na rei kołysało się trzech wisielców. - Gdyby któryś protestował, osobiście wydrę mu oczy. Kogo wy mi zwerbowaliście, Hawkins? Samych paniczyków i sfrancuziałych galantów, co posrali się w gacie, gdy dowiedzieli się, że idziemy walczyć z Oprawcą i Rackhamem Przeklętym.

- Sir, yes, sir!!!

- Postawić żagle! I wywiesić naszą piracką flagę. I wydajcie chłopakom dodatkową porcję rumu.

Z łoskotem opuszczono żagle. Royal Fortune ruszyła szparko naprzód. Robert przeszedł na dziób. Oparł się o nadburcie obok relingu i zapatrzył w dal. Szli na spotkanie z okrętem widmem. Żeglował, aby spotkać się w boju z galeonem i wypełnić przeznaczenie. Aby wreszcie posłać na dno Oprawcę i jego przeklętą załogę.

Ark Raleigh

Poderżnę ci gardło, dziwko! * Opowieści starego notariusza * Zagadka pierścienia * Papiery Fensteina
* Prosto na dno * W objęciach otchłani * Podwodny skarbiec

1. Poderżnę ci gardło, dziwko!

Boney! Ty szankrowata kokocico! Ty mineciario Lewiatana końskim godmiszem chędożone go! Klnę się na rany Chrystusa, że dzisiaj poderżnę ci gardziołko tak szybko, że będziesz miała drugie usta do pieszczenia diabelskiego kusia!

Higgs nie żartował. Ktoś, kto pije od czterech dni, a piątego nie tylko nadal trzyma się na nogach, ale nawet zaczyna pijatykę od początku, bez wątpienia nie rzuca słów na wiatr. Majtek złapał ladacznice za czarne włosy, ścisnął je w prawej, wielkiej jak bochen chleba garści. Miarowo walił głową Boney w zalany rumem blat stołu, jak dobosz wybijający rytm na wojskowym bębnie. Czynił to z takim rozmachem, że aż podskakiwały szklenice i kubki. Dziewka wyła i szlochała; za każdym razem kiedy jej głowa zderzała się z dębowym blatem, pozostawały na nim plamy krwi tryskające z rozwalonego nosa i zmiażdżonych warg, zmieszane ze łzami i śliną. Z każdym kolejnym uderzeniem było ich coraz więcej.

Boney nie była wiele warta. Kilka lat temu naznaczono ją pałaszem w jednej z bójek. Od tamtego czasu mogła liczyć jedynie na uśmiechy najstarszych i najbardziej otumanionych rumem moczygębów, których nie odstraszały jej powybijane zęby, pobrużdżone czoło, oddech smrodliwy jak gnijący rekin ani sina blizna ciągnąca się przez oblicze sprzedajnicy. Jakkolwiek by jednak patrzeć, stanowiła część żywego inwentarza tawerny - dość poślednią wprawdzie i zapewne mniej wartą niż wyleniała dziesięcioletnia maciora - jednak Peter miał strzec całego dobytku właściciela, dawać jednakowe baczenie zarówno na szkatułę z pieniędzmi, jak i stary kołek z płotu. Dlatego znalazł się przy Boney w dwóch krokach. Nie zamierzał strzępić sobie gardła na połajanki, bo prędzej zawróciłby tabun rozjuszonych bawołów miłosnymi strofami, niż uspokoił Higgsga groźbami. Gęba starego diabła była sina od rumu, a przekrwione oczy wskazywały aż nadto na stan jego upojenia.

Były niezbitym dowodem, iż klient już wczorajszej nocy zostawił swój zdrowy rozsądek i sakiewkę na dnie morza rumu, które codziennie spływało z beczek do kubków i szklenic we wszystkich siedemdziesięciu tawernach i lupanarach Port Royal.

Wykidajło zdzielił go po łbie lagą grubości męskiego ramienia. Lecz jeśli myślał, że wtłoczy między zgarbione, obwisłe ramiona pijanicy jego wielki, nieforemny łeb okryty spłowiałą chustą, tedy właśnie naocznie się przekonał, że marynarze Kompanii Zachodnioindyjskiej ulepieni byli ze znacznie twardszej gliny niż portowe szumowiny. Głowa Higgsa odskoczyła tylko na moment. A zaraz potem kaprawe oczy starego skupiły się na napastniku.

I choć porażka nie była całkowita, bo Higgs puścił zakrwawioną, szlochającą Boney, zaraz jednak porwał za szeroki marynarski nóż, po czym stanął twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Peter nie zasypiał gruszek w popiele. Wiedział, że nawet pijany od pięciu dni Higgs przecinał kozikiem nici ludzkiego żywota sprawniej niż śmierć na trzeźwo swoją kosą. Zamiast bawić się w ciuciubabkę, zdzielił przeciwnika po łapskach, poprawił od dołu w krocze. Stary stęknął, ale noża z ręki nie wypuścił.

A Peter... Nagle rozbłysło mu pod czaszką, jak gdyby wypaliły doń wszystkie działa z Fortu Charles, a potem poczuł przeraźliwy ból karku. Zgiął się wpół, nie zadając kolejnego ciosu, bo z góry zwałił się nań chyba worek kamieni, z których każdy ważył więcej niż galeon wyładowany hiszpańskim złotem. I wtedy zrozumiał, że Green - najbliższy kompan i przydupas Higgsa, wcale nie był taki pijany, na jakiego wyglądał. I to, że spoczywał z głową na kolanach ozdobionych brunatnymi plamami wymiocin, nie znaczyło, że nie zważał na wszystko, co działo się dokoła. A widząc, że wykidajło z tawerny Pod Ślepym Komodorem chce skrzywdzić jego kamrata, zerwał się na nogi w obronie Higgsa.

Peter dostał w łeb, później w sam środek żywota i zgiął się tak, że niemal schował głowę między nogi. Pożałował, że nie jest żółwiem i nie może wsunąć głowy do pancерnej skorupy, bo na jego nieszczęsną łepetynę znów posypały się ciosy, z których każdy mógłby powalić wołu. Green i Higgs rzucili go na zalany rumem stół. Peter szarpnął się, wrzasnął i rzucał, lecz jego temperament ostudził

chłód przytkniętego do gardła ostrza sztyletu.

- Green, kamracie! - wycharczał Higgs, kołysząc się na rozstawionych szeroko nogach, jak gdyby plugawa podłoga karczmy zmieniła się nagle w rozkołysany w czasie burzy pokład. - Chyba poskromiliśmy miastowego ogiera!

- Prędeż ładowego szczura - wystękał jego kompan. - Pachnie - smarknął nosem na potwierdzenie tych słów - jak ślicznotka od mamy Fratelli. Co robimy?

- Skoczył na nas ogier, tedy ostawimy go wałachem. - Peter poczuł, że ostrze noża przestało uciskać jego gardło i przesunęło się na tyle nisko w dół brzucha, iż jęknął i spocił się ze strachu. - Stawiam baryłkę rumu, Green, że jeszcze dziś zagramy jego klejnotami w Kości Łgarza!

- Lepiej sprawdź, czy jeszcze nie straciłeś swoich, Higgs - rzekł nagle jakiś głos zimny jak ostrze zwilżone wenecką trucizną. - Zostaw go, synu. Inaczej wydrę ci serce z piersi i każę zeżreć twemu kompanowi na surowo!

Peter poczuł, jak ręce trzymające go na stole słabną. Obrócił głowę na tyle, na ile mógł, by sprawdzić, kim jest szaleniec, który przyszedł mu z pomocą. Najpierw ujrzał nieruchome stalowe oczy. Potem brodate oblicze, kapelusz, wams obszywany koronkami, które - rzecz dziwna wśród portowych obdartusów - były śnieżnobiałe. Wreszcie wynurzające się z koronkowego mankietu ramię dzierżące sztylety. Dwa noże - ostre i długie, niby zęby żarłacza spragnionego ludzkiej krwi.

- Czy ja słyszałem gdaczącego kurczaka?! - wycharczał Higgs do Greena. - A może ten staruch nie zdążył dojść do wygodki i teraz sra na nas słowami niby łajnem?

Zdaje się, że dziad nie czuł parcia na kiszkę stolcową. A już na pewno nie lubił rzucać słów na wiatr. Zamiast responsu Peter usłyszał świst ostrza przecinającego powietrze, jęk i głośny krzyk Higgsa, który wnet przeszedł w paskudne pijackie rżenie.

- Za...abij skurwysyna - wyjąkał majtek, trzymając się za bok. Spomiędzy palców, obejmujących rękojeść wbitego w ciało sztyletu, wolno sączyła się czerwona jucha. Peter zastanawiał się przez chwilę, czy więcej było w niej krwi, rumu, czy też głupoty, a może zwykłego szaleństwa. - Wyrwij mu jaja! - zaskowyczał Higgs. - Na żywca!

- Więc chodź i zrób to sam, sodomito - rzekł bezlitosny głos.

Na to Higgsowi nie starczyło już fantazji. Padł na bok, oparł się o ławę, odsunął ją i ciężko klapnął na glinianą podłogę. Natychmiast zawył z bólu, a zapewne i ze zdumienia, że ktoś przygwoździł go do ziemi niczym chrabąszcza.

- Przymknij się, z łaski swojej, Higgs - znów ten sam zimny, nieprzyjemny, ostry jak szpila głos. - A ty, Green, myśl, chłopie. Myśl czerepem, a nie francowatymi jajami. Zrzuć cumę i odholuj parszywy zewłok kompana do innego portu!

Green nie posłuchał mądrej rady. Zerwał się, puszczając Petera. Wykidajło od razu stoczył się ze stołu na glinianą polepę, poderwał na nogi i odskoczył na bezpieczną odległość, przewalając przy tym ławę.

Green chciał ruszyć na nieznanomego z nożem...

Znów ten sam krótki ruch dłonią!

Marynarz zawył. Zatrzymał się jak wryty, gdy ostrze świsnęło w powietrzu, wbiło się w jego ramię boleśnie i głęboko, zakrzyczał, wypuścił nóż z ręki.

- Mam jeszcze dwa. - Człek w czarnym wamsie wyszczerzył zęby. - Po jednym na każdego z was. Myśl, bracie, póki jest jeszcze czas. To wcale nie musi się skończyć źle!

Doprawdy stalowe ostrze okazało się lepszym nauczycielem niż bakałarz z kolegium. Green pokiwał głową, zajęczał, wyrwał sztylet z rany, odrzucił go z wściekłością, przycisnął lewą dłoń do krwawiącego miejsca, łypiąc na nieznanomego, po czym rad nierad zarzucił sobie na barki ramię jęczącego, krwawiącego Higgsa. Począł holować go ku wyjściu; pamiętny bolesnej lekcji ominął szerokim łukiem starego nożownika. Niby nie robił tego zbyt wolno, udając, że nie do końca stracił fantazję, a jednak Peter znał go lepiej i wiedział, że starczyłby świst sztyletu nad głową, aby Green uciekł niby zbity pies, podkuliwszy ogon i pozostawiwszy na pastwę losu zdychającego kamrata.

Peter podszedł do człeka, który uratował nie tylko jego przyrodzenie, ale zapewne i życie, bo cóż znaczyłoby ono bez klejnotów rodowych. Skłonił się.

- Dziękuję, panie. Nie miałem dziś szczęścia.

- Szczęście, panie Peter, jeszcze się do ciebie uśmiechnie - odrzekł tamten. - Szukałem cię po całym Port Royal, mój synu.

Uwadze Petera nie umknęło, że starzec, choć niższy od niego, był barczysty, a zamiast na prawej nodze wspierał się na drewnianej kuli. Z kolei przetykaną siwizną brodę zaplatał w warkoczyki. To nie był majtek. To nie był żaden bosman czy awanturnik, prędzej kwatermistrz, czy może raczej szyper z kupieckiego statku. Wyglądał... no, Peter sam był zdziwiony. Wyglądał godnie - jak człowiek obyty w świecie i wykształcony. Spokojna, ogorzała twarz pasowała do skromnego, lecz świetnie skrojonego wamsu, angielskiego buta z klamerkami i laski zwieńczonej srebrną gałką jak diament do pierścienia na ręce szlchetnej damy. I to takiej, która pozwalała skraść sobie cnotę za minimum dwa tysiące funtów. Prawdę powiedziawszy, mało takich ludzi spotykało się w Port Royal, gdzie korsarze i bukanierzy jednego dnia chadzali w srebrze i złocie, kłaniali się ladacznicom trójrożnymi kapeluszami, pobrzękując tysiącami pesos w kabzie, a następnego brakowało im porządnej koszuli na grzbiecie.

Tylko dlaczego człowiek bez jednej blizny na obliczu władał sztyletami jak najbieglejszy rzeźnik z pirackiego okrętu?

Nieznajomy rozłożył ręce, zagarnął Petera i poprowadził w najciemniejszy kąt tawerny. Jednym ruchem oczyścił miejsce ze zbędnych sprzętów, wliczając w ich poczet nie tylko kubki i butle, ale także pijanego łachmytę drzemiącego z głową opartą na blacie. Pijaczek spadł między szcurze bobki, pajęczyny i odpadki, znikł z pola widzenia jak okręt przepadający w bezdni Maelstromu, wszelako nie miał sił, aby zaprotestować przeciwko nagłej zmianie losu.

Nieznajomy nalał rumu do szklenic.

- Napijcie się ze mną, panie Vanes - rzekł do Petera. - Musimy pogadać.

Młodzieniec wstał i odsunął kubek stanowczym ruchem dłoni.

- Nazywam się Billings, a nie Vanes - mruknął ponuro. - Nie jestem tym, kogo szukacie. A poza tym nie zwykłem pijać z nieznajomymi, którzy zbyt szybko sięgają po żelazo.

- Nawet z takimi, którzy przed chwilą uratowali ci życie?

- Zwłaszcza z tymi, którzy przekręcają moje nazwisko. Jestem Peter Billings, panie...

- Teraz jesteście Billings - nieznajomy starannie zaakcentował pierwsze słowo.

- Czyż jednak odmówicie spotkania się z kimś, kto może odmienić wasz parszywy los? Kto jest władny sprawić, że nie tylko nie będziecie już parszywym wykidajłą w śmierdzącej portowej tawernie, ale powrócicie do dawnego nazwiska, a w dodatku będziecie mogli przechadzać się po wszystkich czterech, szumnie mówiąc, ulicach Port Royal z podniesioną głową?!

Peter usiadł powoli. Nie tknął rumu.

- Skąd znacie moje prawdziwe miano?

- Któż nie znał nazwiska, które piętnaście lat temu przeklinała połowa mieszkańców Port Royal? Ta połowa, która straciła swoich bliskich na Ark Raleigh.

- To było dawno. I nie ja jestem temu winien. Czego wy właściwie chcecie ode mnie, panie...

Czekanie, aż nieznajomy ujawni swe prawdziwe nazwisko, mogło być tak długie jak oczekiwanie na nowe objawienie Pańskie.

- Chcę wam pomóc - uśmiechnął się tajemniczy mężczyzna. - Dzięki mnie odzyskacie wszystko, co zaprzepacił wasz nieszczęsny rodzic. Dumę i sławę, która poszła na dno razem z jego okrętem.

Peter przymknął oczy. Ark Raleigh. Pływający cud świata. Liniowiec wojenny pierwszej rangi i zarazem największy okręt zwodowany w stoczniach Indii Zachodnich na chwałę Karola II, z Bożej łaski króla Anglii i Szkocji et cetera. Zbudowany przez ojca, zamienił się w pływający grób, gdy poszedł na dno w czasie pierwszego rejsu, niemal natychmiast po wypłynięciu w morze, razem z kilkoma setkami marynarzy, żołnierzy i ludzi gubernatora.

- Ark Raleigh - mówił nieznajomy monotonnym głosem. - Pływający grobowiec, na którym zakończył życie jego stwórca - Benjamin Vanes, główny architekt i budowniczy królewskiej stoczni. Oskarżony o błąd w wyliczeniu okrętu. Trudno mu było odpierać zarzuty z płucami pełnymi wody, więc został uznany winnym licznych zaniedbań i budowy liniowca ze zbyt mokrego drewna... Naprawdę myślisz, synu, że to wszystko prawda, że gubernator miał rację, zabierając wam dom i posyłając ciebie i matkę na ulicę? I że rację mieli ci wszyscy, którzy rzucali w was kamieniami i łajnem, bo na Ark Raleigh stracili swoich bliskich? Naprawdę chcesz i możesz żyć dalej z tym wszystkim? Czy teraz, po latach, nie

ciekawi cię, co tak naprawdę było przyczyną katastrofy? A może ty też nabrałeś przekonania, że to tylko błędy twego ojca sprawiły, iż na pełnym morzu Ark Raleigh przewrócił się stępką do góry i poszedł na dno szybciej niż kamień wrzucony do głębokiej kałuży?

Peter uniósł powieki. Widok okrętu unoszącego się na falach rozwiął się równie szybko jak przed laty bogactwo jego rodziny. Wstał i zacisnął pięści.

- Jestem wam wdzięczny, panie... Choć wciąż nie wiem, jak się nazywacie. Ale przeszłość jest dla mnie zamknięta jak drzwi alkowy królewskiej murwy przed żebrakiem. Nie twierdzę, że łżecie, ale spotkałem więcej frantów, kpów i pospolitych złoczyńców, którzy namawiali mnie na odnalezienie wraku, niż wszy, które gnieźdzą się na kołnierzu tego oto pijaka! Miejsce umarłych jest w morzu. Przestańcie zatem nagabywać mnie o okręt mojego ojca, bo ja żyję dniem dzisiejszym, nie wczorajszym.

- Ark Raleigh, mój synu, leży na dnie - wycharczał nieznajomy. - Dwie mile na południe od Fortu Rupert, na głębi, dokąd nie zejdzie najlepszy poławiacz pereł, nie opuści się żaden dzwon nurkowy. Ten okręt czeka na ciebie. Bowiem wraz z nim pogrzebana jest przyczyna twego upadku.

- Niech leży - kiwnął głową Peter. - Niech zgnije do cna, jak i całe moje życie! Żegnam was, panie.

Zanim odszedł, nieznajomy poderwał się jak jaguar, chwycił Petera za koszulę na piersiach, a potem spojrzał mu z bliska w oczy.

- Idź do starego Bruggelсона - wycharczał - jeśli nie wierzysz, synu. Zapytaj, co zostawił u niego Feinstein. A kiedy już to obejrzysz... Kiedy zmienisz zdanie, spotkamy się tutaj znowu. Będę czekał. Czekał cały czas...

Peter wyszarpnął się z jego objęć. Odwrócił się i odszedł, nie mówiąc ani słowa.

2. Opowieści starego notariusza

Bruggelson, notariusz sławetnego miasta Port Royal, nawet na trzeźwo wyglądał, jakby przed chwilą skończył pić, a w trakcie owego picia przez tydzień szlifował wielkomięski bruk i wycierał ławy wszystkich portowych lupanarów. Jego głos skrzypiał niby tępe pióro królewskiego poborcy na kiepskim papierze. Nakrapiane, pomarszczone ręce wynurzające się z mankietów szustokoru dygotały, jak gdyby ich właściciela miały chwycić zaraz febra, franca, malaria i paralusz razem wzięte.

Peter odchylił się w fotelu. W końcu, po dwóch dniach rozmyślań, walenia głową o mur i obrachunków ze swoim dotychczasowym życiem, zastukał do drzwi Bruggelsona. I oczywiście spytał o dokumenty czy jakieś inne papiery Fensteina.

- Hugo Feinstein. - Notariusz poprawił długą, postrzępioną perukę, przypominającą smętny zad starego barana, który miał nieszczęście znaleźć się na drodze bandy szkockich górali i został przez nich pomylony z nadobną owieczką. - Hugo Feinstein, młody człowieku... Gdzież to ja... Aaaaa. Już mam. Tak, był taki Feinstein. Był u mnie i powiem ci więcej... - Koślawy, poplamiony atramentem palec notariusza powędrował wzdłuż kolumny cyfr w starej, zakurzonej księdze inwentarza. - O, tu, widzę, zostawił depozyt. Dawno temu... Jeszcze jak nasz pan Karol, brat nieodżałowanego króla Jakuba, władał w Anglii.

Peter przygryzł wargi. Ten stary piernik Bruggelson był zawziętym, nieubłagany jakobitą. Tego tylko brakowało, aby miał przez najbliższe popołudnie wysłuchiwać peanów na cześć poprzedniego władcy.

- Chciałbym zobaczyć te papiery - rzekł, ucinając tyradę starego.

- Ano tak - wycharczał starzec. - Lata one leżały, młody człowieku. Ale czekaj... Przejrzeć, powiedziałeś. O, to będzie trudne. Zgoła niemożliwe. Bo, młody człowieku, depozyt Fensteina może dostać do rąk własnych tylko sam Feinstein. Gdyby we własnej osobie stawiał się do mojego kantoru.

Peter Vanes rozłożył ręce w geście najwyższej rozpacz. Co teraz? Miał zadusić tego starucha i zabrać papiery? Włamać się tutaj po ciemku?

Nic z tego. Bruggelson był znany w całym mieście, bywał u gubernatora. Mnóstwo ludzi widziało, jak Peter szedł tutaj High Street. Ten interes stanowczo nie był wart zachodu, a zwłaszcza tego, aby szyję Vanesa ozdobił konopny wieniec

laurowy ufundowany na koszt miasta ku czci pani szubienicy.

Co zrobić? Zakraść się w nocy i zwędzić pergament? Kantor był dobrze zamykany i strzeżony. Zresztą Vanes nie miał głowy, jak rozeznąć się w panującym tutaj bałaganie, wśród skrzyń i worków pełnych listów, testamentów, relacji i dekretów.

- Poczekaj - zaskrzypiał Bruggelson. - Poczekaj, młody czło... khe, khe - zacharczał i zakasłał tak głośno, że Peter odruchowo spojrział, czy na podłogę nie wypadł kawałek jego płuca. - Tu jest adnotacja. Dopisek, aby wydać depozyt człowiekowi, który okaże pierścień. Srebrny pierścień, na którym będzie znak... Ha, nie mogę zdradzić jaki. Maszże taki sygnet, młody człowieku?

Tak, miał go... Przed oczyma. Tyle że sam jego opis na pewno nie wystarczyłby staremu zrzędzie do wydania papierów. Peter pokręcił głową z rezygnacją.

- Tak mi przykro - wycharczał notariusz. - Ale zapis to zapis, jakoby w kamieniu ryty. Nie mogę zmienić postanowienia mego klienta, młody człowieku.

- Ten Fenstein... Co się z nim stało? Nigdy nie słyszałem o kimś takim.

- Nie słyszałeś, a przychodzisz po jego rzeczy. - Zdaje się, że umysł notariusza nie był aż tak zżarty przez rum i starczy uwiad, skoro był w stanie dostrzec takie zależności. - Zostawił depozyt anno 1673. Ha, powiadam ci, to były czasy...

- Czy Fenstein - głos Petera był lodowaty - miał tu jakichś przyjaciół? Krewnych, może spadkobierców?

- Gdyby byli, toby do mnie przyszli - zakonkludował notariusz. - A tak jesteś pierwszy, który pyta o depozyt. Pierwszy od szesnastu lat.

Szesnaście lat. Zaraz! Czyli przed zatonięciem Ark Raleigh?

- Fenstein stąd wyjechał? Wiecie, gdzie go szukać?

- Ha, młody człowieku. - Notariusz aż klasnął w rozdygotane dłonie. - Wyjechał. Dobrze sobie. Oczywiście, że wyjechał. Nogami do przodu. Bo on nie żyje. Nie żyje od tak wielu lat, że sam nie pamiętam, jakie były okoliczności jego śmierci. Tedy najlepiej szukaj go na cmentarzu.

3. Zagadka pierścienia

I tak właśnie uczynił. Odwiedził obie świątynie Port Royal - Stary Kościół i niewielki, zbudowany na planie krzyża kościółek Świętego Pawła. Wypytywał kościelnych, przeglądał dawne księgi parafialne.

Nie znalazł nic. Nikt nigdy nie słyszał o Fensteinie, nie pamiętał jego imienia. Wyglądałoby na to, że ów tajemniczy człowiek rozpułnął się jak w wodzie. Przez następne dwa dni nie znalazł nikogo, kto pamiętałby takie nazwisko. Żadnego krewnego, kompana od kielicha czy kochanki. Dziwki oczywiście także nie znalazł, choć pod względem pań ulicznej profesji panowała w Port Royal prawdziwa klęska urodzaju. A choć na Queen Street i Lime Street znajdowano i takie rybandoliny, które rozkładały nogi jeszcze pod przesławnym L'Ollonoisem i Morganem, żadna z tych pań, przywodzących na myśl rozmiarami swej piczy czterdziestofuntowe kolubryny, nie pamiętała, aby kiedykolwiek ładował ją wycior tajemniczego Fensteina.

Zawiedziony Peter poszedł zatem na cmentarz. I tam niespodziewanie, w najodleglejszym zakątku nekropolii, w miejscu przeznaczonym dla samobójców, sprzedajnych pań lekkiej konduity i szubieniczników, odnalazł prosty, kamienny, zarośnięty chwastami grób. Z trudnością odcyfrował litery układające się w jakże oczekiwany napis: *Hugo Fenstein*. Serce zabiło mu mocniej.

I co dalej?

Nic.

Cóż z tego, że miał przed oczyma dowody na to, że ów na poły legendarny Fenstein istniał naprawdę, skoro zabrał do grobu nie tylko swoją tajemnicę, ale zapewne i pierścień będący do tej tajemnicy kluczem?

Obejrzał nagrobek, ale nie znalazł żadnego śladu, znaku ani wskazówki, która powiedziała mu, co czynić dalej. Gdzie mógł być ten przeklęty pierścień? Gdzie mógł go schować Fenstein, skoro nie posiadał żadnego domu ani spadkobiercy? Skąd w ogóle pochodził? Z Anglii? Ze Szkocji? Z Francji? Z Niderlandów? Co tu porabiał? I dlaczego ów nieznamy człek z tawerny, który nawet nie przedstawił się

z nazwiska, kazał odszukać jego depozyt pozostawiony przed laty u Bruggelсона?

Same zagadki, żadnej odpowiedzi.

- Szukacie sznura wisielca, panie?!

Ochryply pijacki głos starej murwy wytrącił Petera z filozoficznej zadumy nad grobem Fensteina. Stała przed nim, odziana w łachmany, brzydka, z siodłowatym nosem i paskudnymi szankrami, które były najbardziej oczywistą oznaką gniewu Bożego, chłozzącego bez litości ladacznice i uliczne murwy z Port Royal. A przez nie z kolei sprzedawanego zacnym i uczciwym chrześcijanom zaludniającym ulice portowego miasta, a w niedzielę zbierającym się tłumnie na progach kościołów. Stąd właśnie łatwo można było poznać, że niewiasty były zawsze przyczyną diabelskiego zła.

- Sznur wisielca - wychrypiała ladacznica. Wyglądała jak kupa nieszczęścia - przechodzona i stara, bo zapewne podchodząca pod trzydzieści lat, o gębie poznaczonej wrzodami, opuchłej i sinej. - Przynosi szczęście w kartach i u kobiet. Szukajcie go na Gallows Point, bo tego tu - wskazała nagrobek Fensteina - pobujali tak dawno temu, że pewnie ze szczętem zgnił na kwaterze.

- Pobujali? Znaczy - na szubienicy?

- No chyba, że nie z murwą na huśtawce. - Splunęła z pasją na grób. - Za szpiegostwo, złośliwą znowę i dublony, które garściami brał od Hiszpanów. Szesnaście lat już będzie, pamiętam jak dziś. Byłam wtedy młodą i niewinną dziewicą.

- Byłaś kiedyś dziewicą? - zdziwił się Peter nieszczercze. - A ja już myślałem, że każda kokota od razu rodzi się ze znakiem kurewstwa wypisanym na obliczu i piczą jak stąd do Havany.

- Byłabym wielką panią, gdyby nie Benjamin Vanes! Ten chwost czartowski, dymaniec z godmiszem galicką niemocą na wsze czasy powalonym! Ten suczy pomiot, koniobijca diabelską pytą w mordę chlastany! Budowniczy królewski... Mój brat, mój ojciec... Pół rodziny... - wycharczała z nienawiścią w oczach - poszło na dno razem z Ark Raleigh tego posrańca, bodajby z piekła nie wyszedł do Dnia Sądu, bodaj na zawsze siedział na tym wraku! Przeklęty! Przeklęty! Po trzykroć przeklęty! Przez niego musiałam iść na ulicę. Przez niego zostałam portową murwą, a teraz

zdycham pod płótem, jak pies...

Peter Vanes wytrzymał bez jednego słowa tyradę starej ladacznicy. Jedyne oblicze pociemniało mu z gniewu. Znów odezwały się w jego duszy dawne grobowe dzwony, gdy po procesie ojca, a właściwie tragifarsie, w jaką zmieniła się rozprawa, w której główny oskarżony nie mógł zabrać głosu, wypędzono go z matką z domu. Kiedy na ich głowę leciały łajno i kamienie ciskane przez rozwścieczony motłoch... Ark Raleigh miał być dumą gubernatora Jamajki i całego miasta. Stał się grobowcem przyszłości syna jego stwórcy. Szubienicą, na której, podobnie jak Fensteina, powieszono całe życie Petera Vanesa.

Gdzie znaleźć pierścień? Jak go odszukać?

Nie widział nic poza starym grobem. I dlatego, kiedy tylko ladacznica znikła za krzakami, rozejrzał się, a potem począł rozdzierać ziemię paznokciami, wyrzucać grube bryły, rozkopywać zarośnięty grób z żalem, z wściekłością. W końcu cóż pozostało mu jeszcze innego?

Fensteina, klienta drewnianych pań z Gallows Point pochowano płytko. Wnet natrafił na resztki szkieletu; odkopywał go niecierpliwie, szukając jakichś znaków mogących naprowadzić na dalszy trop tego dziwnego człeka, który wedle słów żebraczki był hiszpańskim szpiegiem. Anglik na służbie katolików... W ostatnich czasach i w tym mieście nic nie dziwiło. W swym krótkim życiu Peter spotykał ludzi, którzy gotowi byli służyć samemu diabłu dla garści złotych monet, nie mówiąc już o takich samarytanach, którzy bez skrupów ofiarowywali bliźniemu pół stopy ostrza sztyletu dla kilku miedziaków, nowego kapelusza czy dobrego pasa. Wszak w Port Royal, mieście rozpusty, francy, złota i piratów, każdy sposób był dobry, aby tylko przyssać się do złotego cyca Fortuny.

Przy szkielecie nie znalazł nic. Żadnych błyskotek, ozdób, zaledwie cztery mosiężne guziki, resztki płóciennej koszuli. Nic, co wynagrodziłoby mu mozolny trud rozkopywania grobu. Czaszka, którą wygrzebał, była przekręcona na bok, łypała na niego złowieszczo czarnymi oczodołami, kręgi były przerwane - jak zwykle u ludzi, którym zaciśnięto pętlę na szyi i których zepchnięto z dużej wysokości, aby pobujali się na morskim wietrze. Przynajmniej ta część opowieści ladacznicy była prawdziwa. Fenstein naprawdę został powieszony. Tylko dlaczego pogrzebano go

tutaj, na zwykłym cmentarzu, a nie pod szubienicą? I kto, u czarta, wystawił mu skromny, ale kamienny nagrobek? Wisielcowi? Hiszpańskiemu szpiegowi?

Odślonił cały szkielet i przygryzł wargi ze złości. Nic nie znalazł. Fenstein leżał u jego stóp - pan tajemnicy, którą zabrał do grobu, a Petera ogarniała coraz większa złość.

- Gdzie jest pierścień? Pierścień, z kurwy synu! - wydyszał, spoglądając na czaszkę. Uderzył w czerep pięścią, poprawił raz jeszcze i znowu. Okładał szkielet kulkami w bezsilnej złości, wyładowując na nim całą swoją furię za życie w nędzy, poniewierkę, ból i głód...

A potem uderzył w klatkę piersiową Fensteina. Stare, zmurszałe żebra nie wytrzymały ciosu młodej pięści. Pękły, rozstały się. Peter jęknął, gdy jego ręka wbiła się aż pod mostek umarłego, szarpnął, chcąc ją oswobodzić, a wówczas poczuł coś twardego i małego... Coś zagrzebanego w ziemi pod ostatnimi żebrami. Gmerając paluchami w tłustej ziemi, wyciągnął zdobycz na powierzchnię, oczyścił z gliny i piasku. Pierścień. Stary srebrny pierścień zdobiony znakiem strzały. Klucz do tajemnicy Fensteina. Klucz do jego przyszłości. Szkoda, że nie był ze złota.

Dopiero teraz pobladły z wrażenia Peter zrozumiał, że Fenstein musiał połknąć go w więzieniu albo tuż przed egzekucją. Wraz z jego ciałem trafił do grobu, pogrzebany na lata razem ze swoim właścicielem. I dzięki temu umknął uwadze katów i rabusiów grobowców.

Wszystko powoli zaczynało się prostować.

4. Papiery Fensteina

Nareszcie doczekał się chwili, gdy Bruggelson obejrzał pierścień ze wszystkich stron, a potem znikł w przepastnej głębi kantoru, aby po długich chwilach wynurzyć się z zapieczętowaną papierową tubą w ręku. Vanes, prawdę powiedziawszy, był trochę zawiedziony. Spodziewał się sakiewki podzwaniającej złotymi monetami albo pakietu weksli grubych jak wiecheć słomy. Tymczasem sekret Fensteina wyglądał

tak pospolicie jak życie nędzarza w Port Royal.

Peter chwycił tubę, może nieco zbyt łapczywie, i zważył ją w rękę. Nie była ciężka, pojął zatem, że w środku mógł się spodziewać papierów, a nie rulonu dublonów. Kiedy szedł do notariusza portowymi ulicami, z każdym krokiem obiecywał sobie, a potem utwierdzał się w postanowieniu, że obejrzy zawartość depozytu dopiero po powrocie do swojej ponurej, śmierzdzącej i rojącej się od pluskiew izdebki przy wewnętrznym dziedzińcu tawerny Pod Ślepym Komodorem. Jednak gdy tylko poczuł dotyk tajemnicy, choć Bruggelson wlepił w niego pijackie, kaprawe oczy, rozerwał pieczęć, otworzył tubę, a potem wsunął do wnętrza drżące palce.

W środku była duża, zwinięta w rulon karta, postrzępiona przez całą szerokość, jak gdyby stanowiła tylko fragment oderwany od większej całości. Nie mógł pojąć, co to jest. Jego wzrok ślizgał się po chaosie linii i strzał, zagłębiał w gąszczu wyliczeń i cyfr. Wreszcie pośród mętliku linii dostrzegł wyniosłe kształty dziobu, bukszprytu i fokmasztu. To był plan statku... Przekrój okrętu. Królewskiego galeonu wojennego Ark Raleigh!

Zadrzał, kiedy uświadomił sobie to wszystko. Jego wzrok przemknął wzdłuż sztagów łączących wysmukły bukszpryt z topem, bramstengą i kolumną pierwszego masztu, powędrował wzdłuż dziobnicy aż do stępki i niżej, do skomplikowanych wyliczeń i kolumn cyfr. I wreszcie zatrzymał się na podpisach, albowiem było ich dwa. Na samym dole karty widniało zamaszyste, wyblakłe już, jakże znajome imię i nazwisko: Benjamin Vanes. A nieco poniżej drugie: Hugo Feinstein...

Do diaska... Podpis Fensteina na planach Ark Raleigh! To było coś nowego w tym bajzlu, w który zamieniło się życie Petera po katastrofie. A więc człowiek, którego ponoć powieszono za szpiegowanie dla Hiszpanów, miał swój udział w budowie okrętu... To rodziło daleko idące konsekwencje!

Przyjrzał się uważniej planowi. Na rysunku przedstawiającym przekrój przez wszystkie cztery pokłady Ark Raleigh dorysowano dziwne oznaczenia. Fragmenty trójkątów przecinające zarysy masztów, żagli i stropów okrętu. Wyglądało to jak dziwny wzór, którego pełnego wyglądu Peter nie był w stanie się domyślić. A to dlatego, że większa część schematu była na drugiej połowie rozdartej karty. Ta sama

ręka i to samo pióro, którym uczyniono podpis Fensteina, dorysowało na planie dziwne oznaczenia i symbole wypisane językiem, który - Vanes nie był może mistrzem w odcyfrowywaniu bazgrołów, lecz tego jednego był pewien - miał tyle wspólnego z angielskim, co dialekt ludojadów zamieszkujących ongiś Jamajkę z pospolitą łaciną.

Nie wiedział, co sądzić o tym wszystkim. Czy dopiski na karcie świadczyły, że Fenstein dokonał sabotażu? Zmienił coś w obliczeniach ojca i konstrukcji okrętu, co spowodowało, że Ark Raleigh zatonął niemal natychmiast po wyjściu w morze? To można było potwierdzić tylko w jeden sposób: oglądając resztki wraku. A na razie była to operacja równie łatwa do przeprowadzenia, co wyprawa galeonem na Księżyc, przy czym Peter obstawiał z góry, że drugi z tych pomysłów z pewnością wymagał mniej wysiłku i pieniędzy.

- Skąd wiedzieliście, że Fenstein nie żyje? - rzucił w stronę Bruggelсона, który przyglądał mu się spod zmrużonych powiek. - Czy to prawda, że powiesili go za szpiegowanie dla Hiszpanów? Czy - nie dawał dojść staremu do słowa - czy on był znajomym mego ojca? Kompanem do kielicha? Pracował w stoczni?

- Fenstein... - wychrypiał stary. - Młody człowieku, niechaj ja... Twój ojciec i Fenstein... Zaraz! - zakrzyknął, po czym pogroził Peterowi kościstym paluchem. - Jak żem mógł o tym zapomnieć! Toż on był nadzorcą północnych doków... Tak, pamiętam dobrze, bo to było wtedy, kiedy nasz nieodżałowany pan, Karol Drugi, pokarał zdradliwych Holendrów. Jakżeż ja mogłem to pominąć... Choć już mnie coś tknęło, kiedyś był u mnie przedwczoraj, młody człowieku. Tak, Fenstein był nadzorcą stoczni. To on zaczął budować Ark Raleigh, jak sądzę. Do kroćset, co stało się z tym statkiem? Dawno nie widziałem go w porcie. O czym to ja? O Fensteinie? Fenstein popadł w niełaskę u gubernatora, młody człowieku. A wtedy Benjamin Vanes, bo to on był we własnej osobie, zajął jego miejsce i miał dokończyć razem z nim budowę okrętu. Tyle że, młody człowieku, Vanes skończył go sam, bo wcześniej oskarżył Fensteina o szpiegowanie i sabotaż w stoczni. A to wówczas, kiedy przy budowie liniowca zginęło kilku cieśli i mistrzów kilowych. Gdy Fensteina powiesili, Benjamin... to jest twój ojciec, przejął jego dom i majątek. Co zdało się na nic, bo niedługo po tym wszystkim Ark Raleigh poszedł na dno niczym stara balia. A

bulgotanie dwa dni było słycać.

Peter pacnął się otwartą dłonią w czoło. A potem, nie słuchając starego notariusza, wstał i ruszył do tawerny Pod Ślepym Komodorem.

5. Prosto na dno

Człowiek w czerni siedział w najciemniejszym kącie izby. Gdy Peter szedł ku niemu, miał wrażenie, że tamten czeka na niego od wieków; jak gdyby od szesnastu lat przychodził tutaj dzień w dzień, wyczekując na chwilę, w której Vanes przysiądzie się wreszcie do jego stolika.

Usiadł na ławie, wyciągnął urwany kawałek planu, położył go na blacie, rozprostował, przycisnął łokciem. Sięgnął po szklenicę z rumem.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał. - Jedyne spadki po Fensteinie to fragment karty, z której rozumiem mniej niż wiejski proboszcz z tureckiego kazania. Są tu jakieś znaki, wszelako nie wiem, co mam o nich sądzić. Czy Fenstein, którego odsunięto od budowy Ark Raleigh, a potem oskarżono o szpiegowanie dla Hiszpanów, zmienił coś w wyliczeniach okrętu, aby zemścić się na moim ojcu? To właśnie chciałeś mi pokazać?

- Historia liniowca Ark Raleigh - rzekł cicho nieznajomy - jest nieco bardziej skomplikowana, niż myślisz. Czy jednak, dając ci do ręki ów szczątek dokumentu, nie przekonałem cię, że warto poznać tajemnicę jego zagłady? I że rzeczy nie przedstawiają się tak, jak chciał tego poprzedni gubernator, tedy może warto, abyś rozpoczął starania o oczyszczenie imienia twego ojca?

- Jeśli pójdę z tym planem do gubernatora - prychnął Peter - pogubię zęby, spadając po schodach, z których zrzucą mnie pacholki. Ja zaś - pardon, milordzie - lubię mieć w komplecie całą klawiaturę. Ten wyblakły szkic będzie wart w oczach sędziów tyle co cnota najstarszej naróżnicy w Port Royal. Nigdy nie stanie się dowodem niewinności mego ojca, bo sam święty Piotr nie wyrozumie, co tu jest

przedstawione!

- A jednak ten plan otworzył ci oczy na pewne wydarzenia z przeszłości - głos nieznajomego zdawał się dobiegać z oddali. - Jak się naocznie przekonałeś, nie wszystko wyglądało tak, jak życzyli sobie tego członkowie komisji, którzy wleźliby gubernatorowi Morganowi w tyłek bez kropli oliwy. I po katastrofie zgodnie zrzucili całe odium na Bogu ducha winnego Beniamina Vanesa, podczas gdy prawdziwym winnym był Fenstein. Czy teraz rozumiesz już, że powinienes walczyć o przywrócenie imienia twego rodzica?! Do dzieła, chłopcze!

- Dowody na niewinność ojca spoczywają trzysta stóp pod wodą, kilka mil na południe od Port Royal. Aby przekonać gubernatora, musiałbym udowodnić, że to, co mówicie o Fensteinie, jest prawdą. Innymi słowy, wydobyć na powierzchnię odpowiednie części wraku i przedstawić je komisji. A wam nie brakuje chyba bystrości umysłu i wiecie równie dobrze jak ja, że jest to kompletnie i absolutnie niemożliwe!

- Dlaczego tak myślicie?

- Wy chyba pijani jesteście! Alboście spadli z marsów na dek, panie... Jak mam wydobyć na powierzchnię części wraku, skoro Ark Raleigh leży na takiej głębi, gdzie nie dotrze dzwon nurkowy? Do kroćset, może myślicie, że jestem syreną albo morskim potworem. Niestety, jak sami widzicie, nie posiadam płetw ani ogona, a zanurzony w wodzie będę mógł tylko pobulgotać wam na pożegnanie.

Nieznajomy pochylił się w stronę Petera. Vanes poczuł, jak owionął go jego gorący oddech.

- A co, jeśli rzeknę, że mogę przenieść cię na wrak statku, abyś zdobył dowody na niewinność twego ojca? Cóż powiesz na dictum, że jestem zdolen posłać cię w głąb wodnej otchłani?

Peter odsunął się od stołu razem z ławą. Miał tego dość.

- Odpowiem, że łzecie jak pies albo członek Izby Lordów! Ten okręt leży głęboko pod powierzchnią wody! A wy mówicie o podróży do niego takim tonem, jakby to miała być niedzielna przechadzka do kościoła! Szkoda tylko, iż nie dodacie jeszcze, że kiedy tym sposobem dotrę do wraku, będę mógł podziwiać go przez całą wieczność, bo pewnie zostanę na nim jako topielec!

- Daję słowo, że dotrzesz tam cały i zdrowy. - Nieznajomy bynajmniej nie wyglądał na zmieszanego. - Są takie rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się nie tylko filozofom, ale nawet Kartezjuszowi, mój chłopcze.

- Akurat! Jaki macie dowód na prawdziwość waszych słów?! Przekonajcie mnie, że znacie jakiś tajemniczy sposób na przeniknięcie pod powierzchnię wody! Inaczej trudno mi będzie uwierzyć, że nie jesteście zwykłym frantem i szelmą.

- Więc zobacz to.

Nieznajomy położył na blacie mały brązowy przedmiot, popchnął go w stronę Petera. Młodzieniec ujął rzecz w rękę, zbliżył do światła. To był medalion z brązu, pokryty zielonkawym nalotem śniedzi, jak gdyby przez długi czas leżał w morskiej wodzie. I rzeczywiście - w dotyku wydawał się prawie mokry.

Peter otworzył wieczko i zdusił okrzyk. W środku zobaczył miniaturkę przedstawiającą kobietę z małym chłopcem... Peter Vanes w wieku ośmiu wiosen i Kristina... Matka! To był medalion jego ojca.

- Twój stary jest wciąż na wraku, Peter - wyszeptał nieznajomy. - Czekaj, aż ktoś pomoże zdjąć z niego brzemię winy, które niesłusznie na niego zrzucono. Cierpi na dnie otchłani, opuszczony przez wszystkich...

Młody Vanes zgiął się wpół jak uderzony obuchem w piersi. Przypomniawsobie tę scenę szesnaście lat temu. Chmurny, gotowy do podróży Benjamin Vanes, obejmująca go, szlochająca matka, zawieszająca mu na szyi mały brązowy medalion. „Ojciec wyrusza w morze”, powiedziała. „Peter, pożegnaj się z ojcem”... Ojciec... Jego ojciec... Wiecznie ten ojciec! Dość!

Peter ścisnął w dłoni medalion i zerknął nieprzyjaźnie na nieznajomego.

- Mogliście go kupić na jarmarku - warknął. - Wszystkie nasze rzeczy sprzedano na targu. Skąd mam pewność, że to ten sam, który mój stary miał na szyi w czasie katastrofy?

- A więc niechaj to cię przekona.

Jednym ruchem nieznajomy cisnął na stół garść monet. Zabrzęczało złoto... Talary, dukaty, hiszpańskie dublony i pesety, angielskie gwinee i funty ze złota i srebra, pociemniałe, pokryte osadem i zielonkawym nalotem, jakby przez całe lata leżały na morskim dnie.

Złoto przykuło wzrok Petera z magiczną siłą. Zamarł wpatrzony w monety, zamurowany; wprost nie mógł oderwać od nich wzroku.

- Na Ark Raleigh jest tego więcej. Ten okręt wiozł do Anglii roczne daniny i podatki z Jamajki. W skarbcu na rufie, pod bezanmasztem, znajdziesz tysiące funtów, sztaby złota i srebra. Kupisz za to pół, no, może ćwierć Londynu. I jeszcze tuzin domów gry, lepszych niż ten lupanar. Zdobędziesz sławę, kobiety, miłość i uznanie, co trudno mieć bez pieniędzy. Zważ moje słowa i przekonaj się, Peter, że naprawdę warto... Masz jeszcze jakieś wątpliwości, mój chłopcze?

- Nic na tym świecie nie ma za darmo - rzekł młodzian. - Dlatego kolejną kwestią jest twoja cena. Nie wierzę, abys był zacnym samarytaninem i chciał pomóc mi rozwiązać zagadkę mego ojca dla zdobycia paru dobrych uczynków, które otworzą ci wrota do bram rajy... Czego chcesz? Części złota? Mojej duszy?

- Na cóż mi twoja dusza, Peter? - uśmiechnął się nieznajomy. - Nic za nią nie utarguję, niewiele kupię, choćbym oddał ją na weksel samemu diabłu. Ale masz rację, chcę zawrzeć z tobą kontrakt. Obiecuję, że dostarczę ci żywego na wrak Ark Raleigh. A w zamian za to przyniesiesz mi stamtąd kawałek okrętu. Odnajdziesz skarbiec, przez który przechodzi bezanmaszt liniowca, i wytniesz z niego jeden mały kawałek - dwie stopy nad pokładem, w części zwróconej dokładnie w stronę rufy. Szesnaście na osiemnaście cali. Nie powinno to być trudne, bo maszt leżący od lat w wilgoci powinien być zmurszały jak stary pniak. To wszystko. Peterowi zdało się, że się przesłyszał.

- Kawałek masztu? A więc w cudowny sposób przerzucisz mnie na pokład wraku, sprawisz nie tylko, że nie utonę, ale jeszcze ofiarujesz góry złota z okrętu? I za to wszystko chcesz tylko... skrawka drewna? Czegoś tu nie rozumiem.

- Tak jak twój ojciec, jestem budowniczym - rzekł nieznajomy. - I zamierzam wznieść dzieła, przy których Ark Raleigh byłby tylko parszywą krypą do przewozu krowiego łajna. Beniamin Vanes wynalazł niespotykany sposób na zabezpieczenie masztowego drewna przed morskimi falami, gniciem i zepsuciem. Ta tajemnica może być warta więcej niż skarby zamknięte w skarbcu tego parszywego wraku. To chyba uczciwa wymiana - angielskie złoto za tajemnicę twego ojca, która i tak nie jest ci do niczego potrzebna.

Peter wychylił haustem kubek rumu. Uśmiechnął się tryumfująco, pozując na twardego kupca.

- Tumor was czekał, panie nieznajomy. Chcecie ubić interes za moimi plecami. Wedle was godne to i sprawiedliwe - ja mam się poświęcać, leżeć na wrak i przytargać ten kawał drewna, a wy przyjdziecie na gotowe?

- Dostaniesz złoto. I przywrócisz dobre imię swemu nazwisku.

- To za mało - czknął Peter. - Skoro chcecie budować statki, korzystając z sekretu mego ojca, też chcę mieć w tym udział.

Zły błysk pojawił się w oku starego.

- Mój układ jest taki - dajecie mi poza wszystkim, co obiecaliście, jeszcze połowę zysku z waszego interesu albo wcale nie idę na ten parszywy wrak! Co wy na to?

- Ktoś, kto chce robić ze mną handel - rzekł nieznajomy - musi być gotów nie tylko czerpać z niego zyski, ale też poświęcić się w imię wspólnych celów. Czy tego chcesz, młodzieńcze? Czy dla naszej współpracy jesteś w stanie poświęcić swą wolną wolę wyboru, a nawet życie?

- Przecież i tak nadstawiam dla was karku, godząc się na wyprawę do wraku. Kto wie co mnie tam spotka? Żarłacz? Kraken? A może sam diabeł! Zgadzam się!

- Piętnaście procent od sta!

- Trzydzieści - Peter był nieugięty.

- Osiemnaście ze sta i ani pensa więcej!

- Niech wam będzie - parsknął młodzieniec. - Osiemnaście od każdego interesu, do którego użyjecie tajemnicy mego ojca.

Nieznajomy wyciągnął rękę.

- Nawet nie wiem, jak na was wołają.

- Zwę się Absalom, mój chłopcze. Tyle powinno ci wystarczyć.

- A więc, Absalomie, właśnie zawarliśmy spółkę.

Uścisnęli sobie dłonie, przybili kontrakt.

- Co teraz? Zabierzesz mnie na statek? Do dzwonu nurkowego?

- Nie - wyszeptał Absalom. - Najpierw oczyszczę twój umysł i ciało.

Wydobył z zanadru kryształową flaszkę pełną zielonego płynu, który w

świetle świec zdawał się burzyć i pienieć jak fale uderzające w czasie sztormu o skalisty brzeg.

- Wypij to - rzekł Absalom. - Wypij do dna, a zobaczysz przeszłość.

Peter zawahał się. To... to było jak szaleństwo. Jak opętanie. Oto został współnikiem obcego człowieka... Oto miał wypić tajemniczą miksturę. Oto miał trafić na dno oceanu.

To wszystko nie miało sensu.

Tak jak jego życie.

Jednym ruchem podniósł do ust flaszkę. Spodziewał się goryczy gorzałki albo smaku paskudnego jak zawartość rynsztoków Port Royal, ale płyn przeszedł przez jego gardło jak zwykła woda...

Vanes odstawił naczynie. Spoglądał na oblicze Absaloma, czekając na to, co zacznie się dzieć z jego ciałem. Czuł każde bicie serca, słyszał trzeszczenie świecy, trzepotanie skrzydeł ćmy krążącej wokół ognia...

I nagle, niespodziewanie, świat stał się płaski jak powierzchnia głębokiego morza. Obrócił się na bok, poleciał w górę, stanął nad Peterem. Nic się nie stało. To tylko wykidajło osunął się z ławy. Chciał wstać - nie mógł. Chciał ruszyć rękoma - członki nie słuchały go. Stracił władzę w nogach, w ramionach... Stracił czucie w całym ciele, stając się bezwładnym tobołem na łasce Absaloma. Gdyby mógł rozewrzeć usta - zacząłby krzyczeć, ale to było ponad jego siły. Mógł tylko mrugać oczyma, patrzeć i słyszeć, co dzieje się z omdlałym ciałem.

O Panie!

Absalom podniósł się szybko. Chwycił bezwładną rękę Petera, poderwał ciało z ziemi, podniósł i zarzucił na ramię. Stoły, przy których zasiadali pijani majtkowie, przesuwały się wokół nich, gdy nieznajomy przemykał ku drzwiom. Nikt nie zwrócił na nich uwagi - ot, jeden marynarz niesie na plecach pijanego kompana, którego łeb nie wytrzymał solidniejszej dawki rumu. Zwykły obrazek w tej tawernie w mieście rozpusty.

Zatrzeszczały rozwarte kopniakiem drzwi. Po duchocie ciasnej izby owionęły ich gorące wyziewy rozpustnej, rozpasanej nocy w Port Royal. Absalom poniósł Petera za róg, do miejsca, w którym stał czarny, odkryty wóz zaprzężony w konia. A

na nim...

Peter zaskowyczał ze strachu. Pochłonął go czarny, podłużny czworokąt, potem dojrzał nad sobą rozgwieżdżone niebo. To była trumna! Na wszystkie grzechy ojców, prosta, zbita z czterech desek trumna częściowo napełniona kamieniami...

Vanes krzyczał, modlił się, błagał o łaskę. Ale tylko w duszy, bo nie mógł rozewrzeć ust. Zobaczył, jak Absalom dźwiga w górę wieko, a w chwilę później czarna pokrywa przesłoniła mu niebo. Zapadł w mrok, w duszną ciemność i ciszę grobu. Usłyszał trzask drewna, stukot młotka, którym jego prześladowca przybijał wieko gwoździami.

W chwilę później wóz potoczył się po błotnistej ulicy, zaturkotał, gnając poprzez noc.

Co ja uczyniłem! Po co?! Dlaczego? - jęczał Peter. Chciał się modlić, ale łoskot kopyt porywał słowa z gardła, mylił kolejne wersy Modlitwy Pańskiej, mieszał mu zmysły, gdy głowa podskakiwała na drewnianej desce.

Podróż nie trwała długo. Wnet zatrzymali się, trumna zachybotała - poczuł, że wznosi się w górę, aby zaraz opaść na coś drewnianego, kołyszącego się. Po plusku fal, skrzypieniu drewna i lin poznał, że byli chyba w porcie. A zatem Absalom w swoim szaleństwie załadował trumnę na łódź! Po chwili Vanes był tego pewien - usłyszał skrzyp dulek, plusk wody rozgarnianej wiosłem... Płynęli. Na śmierć i zgubę!

Na próżno modlił się i płakał, groził i wyzywał. Łódź podążała po wodnym szlaku. Aż wreszcie, po trwającej pół wieczności podróży, trumna zakołysała się, zatrzeszczała... Przekręciła na bok. Peter posłyszał głośny plusk, szum fal, odgłos wzburzonego morza i wtedy zrozumiał, dlaczego wewnątrz sarkofagu częściowo wypełnione było kamieniami.

Morze zamknęło się nad nim. Poczul, że ciężar kamieni ściąga go coraz szybciej w dół, na samo dno, gdzie wśród alg i wodorostów tkwił wrak Ark Raleigh, na którym kołysał się popychany przez morskie prądy trup jego ojca.

Peter otworzył usta do krzyku, ale wciąż nie mógł dobyć głosu. Zapadł w ciemność, w mrok i wreszcie odszedł od zmysłów, pogrążając się w oceanie wiekuiestej niepewności.

6. W objęciach otchłani

Ocknął się w mrocznej i chłodnej przestrzeni. Poruszył rękoma zdziwony, że żyje, rozpostarł je szeroko, spodziewając się, że zaraz natrafi na otaczające go ze wszystkich stron ściany trumny.

Nie wyczuwał ich.

Żył i oddychał. Przez długą chwilę ta jedna myśl była ważniejsza niż miraż bogactwa Ark Raleigh, cierpienia jego ojca i wszystkie klejnoty Nowego Świata - łącznie z tymi zastawionymi u paserów i lichwiarzy Port Royal...

Potem poczuł, że leży na mokrym piasku, że ma we włosach wplątane wodorosty; wreszcie - że jego ramię opiera się o coś twardego, a broda spoczywa na klepce z rozwalonej beczki. Otworzył oczy, ale otaczała go czerni. Najpierw myślał, że oślepl, odetchnął z ulgą, gdy po długiej chwili począł dostrzegać niewyraźne zarysy zdruzgotanych belek, potrzaskanych desek, zbutwiałych, wbitych głęboko w mokry piach. Światła nie było w pobliżu, ale wypatrzył jedną czy drugą kępkę porostów, a może morskich alg, które roztaczały wokół siebie delikatną zielonkawą poświatę.

Kiedy poruszył nogami, poczuł, że do połowy zanurzone są w wodzie. Podciągnął je, obrócił się na bok, usiadł i rozejrzał się.

O miejscu, w którym się znalazł, niewiele mógł powiedzieć. Wyglądało to jak jakaś jaskinia nad brzegiem morza, jednak do sklepienia mógł sięgnąć jedynie umysłem. Wzrok gubił się w wilgotnym mroku spowijającym tajemnicze wnętrze. Nie słyszał plusku fal uderzających o brzeg, a jedynie dziwny, jednostajny grzmot, wyczuwalny niemal na granicy słyszalności. Potem zmieszało się z nim trzeszczenie naprężonych belek i desek, cichy trzask, łoskot i wszystko umilkło.

Macał rękoma dokoła siebie. Wkrótce wyczuł jakiś obły kształt z żelaznym pałąkiem, obciągnięty po bokach gładką błoną. Namacał haczyk, otworzył i wówczas przekonał się, że trzyma w ręku latarnię.

Od razu wróciła mu otucha. Pomacał wokół siebie jak ślepiec i natrafił na skórzany woreczek. Gdy rozsznurował go w ciemności, wyczuł w środku wygięty łukowato kawałek stali, poszczerbiony krzemień i suchy proszek. Hubka i krzesiwo! W tych grobowych ciemnościach były niczym dar od niebios.

Ognia skrzeszał dopiero za piątym czy szóstym uderzeniem. Proszek zajął się, wówczas zapalił od niego knot lampy. Płomień strzelił w górę, a gdy Peter zamknął na haczyk przesłonę, dokoła zrobiło się jasno jak w dzień. Wstał, walcząc z nieznośnym mrowieniem w nogach, i rozejrzał się dokoła.

I wtedy jęknął ze zdumienia, przetarł oblicze lewą dłonią, bo pierwszy raz w życiu zwątpił w zdrowie swoich zmysłów.

Był w zrujnowanym drewnianym pomieszczeniu. Za podłogę miał morski piach przetykany muszelkami, wyschniętymi wodorostami, kończący się rozlanym szeroko bajorem morskiej wody. I nie byłoby w tym widoku nic dziwnego, gdyby bajoro nie kończyło się drewnianą ścianą porośniętą mchem i porostami, na której wciąż wyraźnie odznaczały się ogromne, ociekające wilgocią pianki. I gdyby ściana ta nie prowadziła łukiem w górę, aż nad jego głowę. Wysoko odchodził od niej płaski, zbity z desek strop kończący się ścianą grodzi, zamykającą pomieszczenie z drugiej strony. Wilgoć i morska woda dokonały dzieła zniszczenia - drewno nie było już jasne, ale brązowo-zielonkawe, wilgotne, niczym ciało trupa, w niektórych miejscach niemal rozpadające się na strzępy. Gdzieś z góry cicho kapała woda, sączyła się po ścianach, spływała z cichym pluskiem do bajora.

Jeden wielki chaos... Małe, zbutwiałe piekło poszczerbionych desek, baryłek, skrzyń i przegniłych worków, strzaskanych, rozsypujących się w morskiej wodzie belek. Patrzył na ścianę grodzi i powoli domyślał się, gdzie się znajduje. W ścianie było dwoje drzwi. Jedne zatrzasknięte, drugie wyrwane, zwisające smętnie na zawiasie. Uwadze Petera nie uszedł fakt, iż zaczynały się one tuż przy stropie, a ich łukowate zwieńczenia znalazły się na dole...

I było coś jeszcze. Ogromny, gruby, oblepiony wyschlými wodorostami bal wychodził skośnie spod piasku i potrzaskanych pianek, szedł w górę, przechodził przez ścianę grodzi, ciągnął się dalej... - Peter już wiedział. To był bukszpryt, który w kolejnej komorze łączył się z fokmasztem statku!

Ark Raleigh! Był na wraku okrętu, na którym zginął jego ojciec.

Aż jęknął, gdy uświadomił sobie to wszystko. Zaraz, ale dlaczego wszystkie rzeczy i pokłady postawione były - niczym w diabelskiej parodii statku - do góry nogami? Ledwie zadał sobie to pytanie, zrozumiał całą resztę zagadki. Ark Raleigh, kiedy tonął, przewrócił się na bok, tracąc wszystkie maszty, a potem obrócił stępką do góry i poszedł prosto na dno. Tej katastrofy nie miał prawa przeżyć nikt na pokładzie! A jednak kadłub wytrzymał, ambrazury były zamknięte i dlatego dzięki takiemu ułożeniu okrętu, gdy Ark Raleigh spoczął na dnie, w jego wnętrzu, niczym w nurkowym dzwonie, wytworzyła się poduszka powietrzna!

Nie wiedział, czy modlić się, czy też płakać; krzyczeć z radości czy szlochać. Oto po latach odnalazł okręt swego ojca. Jezu Chryste! Gdy uświadomił sobie, jak mocny musiał być kadłub i wręgi, które przez szesnaście lat wytrzymały gigantyczny ciężar spiętrzonych nad nimi wody, poczuł nagły przypływ szacunku do umiejętności zmarłego. Ark Raleigh naprawdę był niezniszczalny. Teraz przypomniał sobie, że już po zwodowaniu w czasie prób strzelano do obitych ołowianą blachą burt i kule z lżejszych, szesnastofuntowych kolubryn po prostu odbijały się od kadłuba. Na Boga Ojca, ileż tortur musiał znieść ten okręt.

Gdzieś z przepastnej, mrocznej głębi kadłuba znów doszedł doń straszny pogłos otchłani, jak gdyby morski Lewiatan naciskał ogromną stopą na pogrążony w wodzie kadłub. Towarzyszył mu szum; po nim rozległa się seria grzmotów, zakończona trzeszczeniem belek. Zimny pot zrosił ciało Petera, gdy uświadomił sobie, że w każdej chwili kil mógł załamać się pod ciśnieniem wody, a potężne wręgi trzasnąć jak zapalki, miażdżąc uwięzionego we wnętrzu człowieka jak zgniecioną skorupa ukrywającego się w niej ślimaka.

Przeżegnał się i ruszył przed siebie. Biorąc pod uwagę fakt, iż kadłub zakrzywiał się ukośnie, i widząc kolumnę bukszprytu, Peter zdał sobie sprawę, że przebywał na dziobie okrętu - zapewne w forpiku, ale chyba nie na forkasztelu, którego ruiny spoczywały wbite głęboko w piach morskiego dna. Jego cel leżał na rufie, podniósł zatem latarnię i ruszył dalej. Potracił coś, co zabrzęczało. Piła. Zwykła, nieco zardzewiała, używana przez cieśli okrętowych. Obok niej leżał mały toporek. To przypomniało mu o celu misji. Podniósł narzędzia, zasadził za pas i

poszedł dalej.

Zaraz za forpikiem trafił do kabelgatu, zmiażdżonego w ścisku poplątanych powrozów, które spadły z góry, kiedy okręt obrócił się do góry dnem, zasłały strop, zaczepiły się o haki na ścianach, tworząc niemalże pajęczyny pokryte nalotem glonów, zbutwiałe, zgniłe od wilgoci. Stąpał po linach grubych jak macki ośmiornicy, potem szedł po stropie poprzecinanym szerokimi pokładnikami, który teraz, niczym w diabelskiej błazenadzie, stał się pokładem, podczas gdy prawdziwy pokład z poszczerbionych zielonkawych desek wisiał dobre siedem stóp wyżej.

Ruszył dalej, otoczony żółtobrazową poświatą roztaczaną przez latarnię. Lecz nim przestąpił próg kolejnej komory, zatrzymał się na chwilę. Na stosie szmat i lin spoczywał szkielet. Stary, zmurszały jak indiańska mumia, szczyrzył do niego rozwarte do krzyku usta pozbawione warg. Coś błyszczało mu przy uchu - złoty kolczyk z wisiorem, ulubiona błyskotka majtków; Peter podniósł go i starannie schował do sakiewki. A kiedy pochylił się nad obłą czaszką, oblepioną skórą zeschlą jak stary pergamin, zamarł, bo wydawało mu się, że usłyszał szept, a może chrapliwy głos.

Zamarł, wsłuchał się w ciszę. Znów z górnych, pogrążonych w mroku pokładów doszło doń trzeszczenie wręgów, głuchy, stłumiony, prawie wyczuwalny odgłos otchłani. A jego przeszły ciarki na myśl, że powodem dźwięku może być jakieś morskie zwierzę ocierające się o stępkę okrętu.

Pochylił się nad trupem, ale nic nie usłyszał. Dojrzał tylko potrzaskane kości, połamane żebra i kręgosłup. Widocznie majtek musiał zginąć, w czasie gdy Ark Raleigh położył się na burtę. Może przygniotły go beczki, które wyrwały się z sieci i lin, może zmiażdżyły działa... Nie było czasu, aby dociekać przyczyn zgonu nieszczęśnika, zresztą trup znaczył teraz dla Petera tyle co zeszłoroczny śnieg w górach w Szkocji. Szedł dalej, odpychając mrok latarnią, mijając beczki i zwoje lin, skrzynie i worki.

Następne drzwi musiał wyważyć. Napierał na nie ramieniem, kopał, aż wreszcie wyłamał zmurszałe deski koło zamka. Przystąpił z trudem wysoki próg, który kiedyś był przecież górną framugą, i wszedł do mrocznego wnętrza. Aż zadrżał, gdy uniósł latarnię.

Był na pierwszym podpokładzie działowym. Zanurzył się w zielonkawą, pokrytą porostami otchłań wypełnioną wonią butwiejącego drewna i zgnilizny. Nie przeszedł nawet kilku kroków, a już musiał kluczyć, bo przestrzeń zawalona resztkami ładunku przypominała kreteński labirynt. Łatwiej było tu skręcić kark, niż znaleźć drogę, tym bardziej że Peter nie dysponował przecież niezawodną nicią Ariadny. Żłotawe światło latarni wydobywało z mroku niewiarygodne kształty, kolory i rzeczy. Ogromne, spizowe, pokryte nalotem śniedzi cielska armat, które zerwały się z talii, gdy statek przewrócił się do góry dnem - spadły na strop będący teraz pokładem. Niektóre wybiły w nim dziury i poleciały niżej. Kiedy zaśwycił latarnią w jedną ze szczelin, dojrzał pięć stóp pod swoimi nogami czarne lustro wody. Najwyższy pokład liniowca już nie istniał, zmieciony zapewne wówczas, gdy okręt uderzył o morskie dno. Na szczęście burty zachowały się w dobrym stanie, choć były wbite głęboko w piasek i przeciekały w kilku miejscach.

Armaty splątane z linami tworzyły niesamowite kształty, przeploty i kokony, przykryte deskami wyrwanymi z wyższego pokładu. Wszystko, co znajdowało się przy działach - beczki, wiadra, liny, hamaki, butle, dzbany, skrzynie, piramidy kul, zwoje lontów - spadło na strop, częściowo roztrzaskując się przy upadku i czyniąc przejście wyjątkowo trudnym. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Na poszczerbionych deskach leżały ogromne głązy i kamienie, które przebiły się przez wyższy poziom, spadły w dół, zmieniając pokład w pobojuwisko, zagradzając pustą przestrzeń zwałami gruzu, tarasując przejście. To był niepokojący znak. Kamienie pochodziły bowiem z balastu gromadzonego zwykle na samym dnie ładowni, nad stępką okrętu. A jeśli leżały tutaj, znaczyło to, iż prawie dwieście ton gładów nie było w stanie zrównoważyć ciężaru najwyższych pokładów okrętu wypełnionych działami i wojskiem. Co w warunkach żeglugi oznaczało kompletną utratę stateczności i katastrofę straszną jak Dzień Sądu.

Z trudem dotarł do schodni wiodącej w górę. Dalej nie sposób było iść. Ciężkie beczki załadowane kulami i kamienie balastowe przebiły tutaj strop, tworząc wyrwę rozciągającą się od burty do burty, zjeżoną połamanymi deskami i oplecioną powrozami jak paszcza morskiej bestii. Zaglądając w otchłań, Peter dostrzegał spizowe cielska dział, zawieszane na splątanych linach i taliach niczym potworne

gigantyczne pająki.

Skierował się ku schodni, która kiedyś prowadziła w dół, teraz zaś stała się pomostem wiodącym wprost do mrocznej tajemnicy Ark Raleigh. Jednak zatrzymał się, widząc dwie postaci obok dębowej beczki, która dziwnym trafem przetrzymała kataklizm w stanie nienaruszonym. Dwa szkielety pokryte zaszuszoną skórą, odłóżką płatami z poźółkłych czaszek niczym przepalona skorupa, tu i ówdzie zsuwającą się z kości jak u węża zmieniającego powłokę, odsłaniającą puste oczodoły i zębra pod resztkami materiału. Pierwszy z umarłych siedział oparty o beczkę, drugi zaś zwisał przewieszony mu przez ramię.

Peter nie mógł oderwać od nich wzroku; wyglądało na to, że jeden z majtków pragnął uratować drugiego, niósł go na ramieniu, opadł z sił i tak już pozostał, jak pomnik nieszczęścia, wsparty o starą beczkę. Kim byli dla siebie i dlaczego nie chcieli się rozstać? Kompanami do dziewczek i kielicha? Brat ratował brata? A może ojciec syna? Kochanek kochanka?

Peter zadrżał, kiedy zobaczył, że z piersi szkieletu opierającego się o beczkę sterczy ostrze pałasza. Przebijał na wylot ciało marynarza, tkwił wbity i zakleszczony w klepkach dębowej beczki, zarazem podtrzymując szkielet, by nie rozleciał się w kawałki lub nie osunął na strop.

Peter poczuł, że nie podoba mu się to wszystko. A zwłaszcza fakt, że koło ręki szkieletu leżał krzywy cutlas wydobyty z pochwy. Co to miało znaczyć? Czy ten marynarz został zabity, przyszpilony do deski jak parszywy karakan, tylko dlatego, że... dźwigał ранego? Czyżby na pokładzie doszło do buntu? Walki? Ale z kim, do stu fur diabłów?

A potem Peter poczuł, że szkielety nie są jedyną kompaniją, która dotrzymuje mu towarzystwa. Tuż obok w mroku usłyszał szepty i krzyki.

- Nie, nie rób tego, błagam! - dyszały czyjeś usta. - Przewróciliśmy się... Do góry dnem, ale jest szansa. Nie! Ty oszalałeś! Oszalałeś ze szczętem... Ja proszę łaski. Łaski! Niiieeeee!

Usłyszał świst ostrza, chrzęst stali zagłębiającej się w ludzkim ciele.

- Jeszcze... Jeszcze jest czas... Jest szansa. Możemy stąd uciec... Nie, nie rób tego, błaaaaagam! Oszczędź naaaaas! Proszę!

Chrzęst stali, jęk, charczenie. Czy to przemówił szkielet? Kościotrupy leżały spokojnie, nie próbowały wstawać ani figlować. Peter rozglądał się przerażony, ale nie widział nikogo w kręgu światła. Czy to gadały burty statku? Czy były to ostatnie chwile załogi Ark Raleigh przed śmiercią? A może - to było wprost nie do pojęcia, nie do wiary, nie do wytłumaczenia - ktoś naprawdę pozabijał tych marynarzy tuż po katastrofie?!

Rozglądał się dokoła, świecił latarnią, ale nie dostrzegał nikogo w pobliżu. Szepty osaczały go, bez przerwy odgrywały scenę, w której ktoś nieubłagalny jak sama śmierć przeciął pałaszem żywoty ocalałych marynarzy.

Miał tego dość. Umknął do głównego luku pozbawionego gretingów, odszukał zejściówkę. Nie było łatwo wspiąć się po odwróconych schodach. Na samej górze musiał przełożyć nogę poprzez pochyłą krawędź, wstawić lampę na wyższy pokład, a potem z trudem podciągnąć się na rękach. Stękając z wysiłku, znalazł się na kolejnym pokładzie działowym. Powitał go chłód, wilgoć, woda sącząca się ze sklepienia i poprzewracane armaty. W stropie, po którym stąpał, ziały liczne dziury, niektóre deski były przegniłe, rozchybotane, pokryte zielonkawym nalotem. A kiedy podniósł lampę i się rozejrzył, poczuł się, jakby wkroczył do krainy zmarłych. Dokoła luku leżały poskręcane, potrzaskane szkielety. Jeden w kawałkach, jak gdyby tego człeka potraktowano za życia granatem pokładowym. Inni zginęli w walce. Peter widział ich połamane klatki piersiowe, odcięte dłonie i ramiona, kościste palce zaciskające się na rękojeściach rapierów i toporów, czaszki podpisane inicjałami Pani Śmierci - prostymi krechami i szczelinami po morderczych ciosach. Słyszał krzyki, wrzaski, płacze i lamenty.

- Odłóż pistolet! Odłóż go zaraz!

- Nie! Nie zabijaj nas, proszę!

- Tyś oszalał! Ze szczętem oszalał!

- Ruszać się! Wszyscy na niego! Kupą, bracia, poskromimy go!

- Niiieeee! Nie! Niiieeeeeeee!

- Litości!

- Nie zabijaj nas!

Drgnął, gdy coś poruszyło się w kręgu światła... Nie, to tylko cień czaszki

tańcował w świetle latarni zaciśniętej w dygocącej dłoni Petera. Kto krzyczał? Co tu się działo?

Drgnął, kiedy usłyszał huk wystrzałów, brzęk zderzających się ostrzy, charkot i rżenie, z którym umierający żegnali ziemski padół, lądując wprost w objęciach aniołów. A przez te wszystkie dźwięki przebiły się słowa, które w jednej chwili postawiły włosy Petera dęba.

- Dlaczego... - wycharczał jakiś głos, w którym wręcz słyhać było tryskającą z ust rannego krew - dlaczego nas zabijasz, Vanes?!!

Vanes! Panie, miej litość nade mną! Mój ojciec... Co on uczynił? Czy zabił ocalałych marynarzy? Ale za co? Dlaczego?!

Aż się zatoczył, kiedy usłyszał swoje nazwisko; wsparł o beczkę, aby utrzymać się na nogach. Nie było to najrozsądniejsze. Baryłka, przyciśnięta z jednej strony kamieniami, resztkami bali i desek, przewróciła się na pokład. Zmurszałe deski pękły i w jednej chwili cały stos zwałił się na niższą kondygnację. Peterowi zdało się, że łoskot odbił się echem aż od brzegów morza. Wtulił głowę w ramiona, skulił się, zamarł.

Na próżno.

- Kto to? - zawołał jakiś głos. - Kto tu?

- Słyszycie?! Ktoś tu jest!

- To on! - zajęczał kolejny. - Jego syn!

- Przyszedł tu! Przyszedł! Jest na pokładzie!

- Otoczyć go, otoczyć!

- Łapać, chwytać!

- Brać go!

Wrzawa stawała się coraz głośniejsza. Zmartwiały z przerażenia świecił latarnią dokoła, ale nigdzie nie widział żadnego żywego człowieka.

- Zabijcie go! Zabijcie!

- Wyrwijcie serce z piersi!

- Trzymać go! Otoczyć!

Peter rozejrzał się w panice. Głosy otaczały go, coraz bardziej złe, przesycone jadem zemsty. Skoczył w stronę rufy, przemknął nad wózkiem armaty, ominął zwój

lin, stertę zbutwiałych desek, dziurę wybitą w stropie.

- Otchłań! - zakrzyczał jakiś głos z prawej. - Spadniesz! Wali się!

- Na prawo! Uciekaj na prawo!

Zaskoczony skręcił tuż przed grotmasztem, mającym w ciemności jak ramię olbrzyma. Wrzasnął, gdy zbutwiałe deski pokładu załamały się pod nim z trzaskiem. Poleciał w dół, prawa noga zapadła się w dziurę aż po pachwinę. Na szczęście nie wypuścił latarni, zdołał uchwycić się pokładnika, przytrzymał; a potem usłyszał, jak okrzyk zamienia się w paskudny pijacki rechot.

- Zginiesz, Vanes! Nie wyjdiesz stąd żywy!

- Pianki się kruszą! - wycharczał drugi. - Uciekaj!

- Biegnij! Biegnij!

Peter z trudem wyciągnął nogę z dziury. Potępione głosy naigrawały się z niego, wskazując dziesiątki możliwych dróg i podpowiedzi, z których każda wiodła ku zagładzie.

Podniósł ze stropu zardzewiały pałasz i szedł, odpychając mrok światłem latarni. Kiedy zamigotała i przygasła, przez chwilę poczuł się jak zamurowany żywcem. Dotarł do schodni wiodącej na kolejny pokład, lecz była zerwana, a przejście zawałone kamieniami balastowymi. Nie zdołał ruszyć nawet najmniejszego z nich. Wrócił zatem, wypatrzył miejsce, w którym w pokładzie nad jego głową ziała dziura, podstawił tam dwie beczki, a wówczas...

- Widzisz tego człeka - powiedział głos z ciemności.

- To Vanes, jego syn.

- Znalazłem kulę, a ty dierzysz króćcę - odparł głos. - Co uczynimy?

- Daj kulę, a nabiję nią lufę... Już to zrobiłem.

- Co teraz?

- Wymierzę mu prosto w plecy. A potem...

- Co potem?

- Pociągnę za spust.

Lodowaty pot zrosił czoło Vanesa. Rozejrzał się dokoła, ale nic nie dostrzegł. Światło latarni rozświetlało przestrzeń tylko na jakieś pięć stóp z każdej strony Petera. Dalej rozciągał się wilgotny, duszny mrok pełen szeptów i złośliwych,

szydzących z niego głosów. Młodzieniec bliski był obłądu; czuł, że jeszcze chwila, a sam zacznie krzyczeć, wyć, że jego głos dołączy do chóru potępionych rozmówców...

- Wymierzyłeś? - zapytał głos.

- Wymierzyłem - zawtórował mu dech.

- Na co czekasz? Pal!

Aż przysiadł do ziemi, słysząc te słowa. Gdzieś, zda się, nad jego prawym ramieniem rozległ się przytłumiony strzał; miał wrażenie, że kula minęła ucho zaledwie o włos... Trzy ćwierci od śmierci.

Nie czekał na to, co się stanie, rzucił się ku beczkom, podskoczył, złapał się najpierw jedną ręką wystającej deski z kolejnego pokładu, drugą wstawił tam latarnię, złapał oparcie i jęcząc, zdyszany, podciągnął się wyżej.

- HUUUUUU! - świsnął mu w twarz szept tak blisko, że odruchowo skulił głowę, omal nie puścił desek. Przełaził przez dziurę z trudem, zdyszany, mokry od potu. Gdy stanął na pewnych nogach, chwycił latarnię i rozejrzał się.

Najniższy pokład działowy wyglądał jak po przejściu tajfunu. Ogromne, czterdziestoosmioletowe lufy kanon i kolubryn wały się wśród potrzaskanych desek i resztek wózków. Kilka wciąż jeszcze tkwiło przy burtach, przytrzymywanych przez talie. Pianki stropu na środku były w strzępach - porozbijane przez walące się z góry kamienie balastowe, beczki, armatnie kule, szkatuły, skrzynie i Bóg wie co jeszcze. Wbrew obawom Petera nie było tu ciemno - zielonkawe, butwiejące drewno pokryte było nalotem fosforyzujących glonów i porostów. Nawet tam, gdzie nie sięgało światło latarni, dostrzegał zarysy potrzaskanych belek, desek i wystrzępionych lin.

Wszędzie, dosłownie na każdym kroku, leżały szkielety ludzi zabitych przez jego ojca.

- Vanes! Co ty robisz! Chcesz wysadzić balast! Pójdziemy prosto w objęcia Lewiatana! Vanes, koński fajfusie francą chędożony! Co robisz! Nie, nie zapalaj lontu... Vanes, błagam... Zgubisz okręt! Wysadzisz Ark Raleigh!

Peter padł na kolana, bo już nie miał sił. Co to wszystko znaczyło? Czy jego ojciec nie dość, że spowodował katastrofę liniowca, to jeszcze pozabijał wszystkich ocalonych?

Poderwał się na nogi. Chciał biec, ale się wstrzymał; zachował resztki zdrowego rozsądku, bo skończyłoby się połamaniem rąk i nóg. Szedł zatem poprzez mrok, otwierał sobie drogę, potykał o kolejne kości i czaszki, wymijał działa. Wreszcie otworzyła się przed nim pusta przestrzeń - fragment stropu, na którym było mniej śladów zniszczenia niż na pozostałych pokładach okrętu.

I wtedy z mroku wyłoniła się ściana grodzi, niska, okuta żelazem furta. Drzwi do pokładowego skarbcza, do tajemnicy Ark Raleigh...

Nieprawda! Bzdura. Sekret śmierci jego ojca był przed nim. Bo oto z mroku wyłonił się szkielet spoczywający na dębowym krześle, zagradzający drogę do drzwi. Na głowie truposza tkwił jeszcze kapelusz z pękiem piór, obok ręki o poręcz krzesła oparty był rapier, na kolanach leżały dwa pistolety. Na poźółkłych żebrach wciąż zachowały się resztki skórzanego kaftana, w którym - pamiętał, jakby to było dzisiaj - Benjamin Vanes wyruszył w podróż.

Peter potarł zroszone potem czoło. A więc tu na krześle, niczym pradawny strażnik tajemnicy pogrzebanego na morskim dnie liniowca, siedział jego ojciec. Spoczywał w podwodnym sanktuarium pełnym porąbanych szkieletów, na tronie jak władca krainy umarłych. Nim skonał, wysłał w zaświaty wszystkich żywych, którzy przetrwali na pokładzie.

Peter nie słyszał jego głosu.

- Pokutujesz tu - wyszeptał bezgłośnie. - Jakie powody skłoniły cię do tego, by posłać na dno swój własny okręt? Dlaczego wymordowałeś ocalałych? Czy mi odpowiesz na te pytania? Odezwiiesz się do mnie?

Trup ojca milczał.

Płomień latarni zachybotał znowu, a Vanes poczuł, że stała się lekka. Widać nie pozostało w niej zbyt wiele oliwy. Musiał się spieszyć, bo wolał już wrócić do trumny Absaloma, niż pozostać na tym przeklętym okręcie w ciemnościach. Skoczył ku grodzi, szarpnął zardzewiałą klamkę. Drzwi były zamknięte.

Jak otworzyć ten przeklęty zamek? Wyważyć drzwi? Roztrzaskać je taranem? Okuta furta wyglądała solidnie i z pewnością była w lepszym stanie niż wąta pewność siebie Petera.

Rozejrzał się dokoła, a potem podszedł do trupa ojca. I uśmiechnął się ze

zrozumieniem. Na jego szyi wisiał ciężki żelazny klucz poznaczony głębokimi nacięciami. Młodzieniec porwał go chciwie, zerwał z rzemyka. A potem skoczył ku drzwiom, wsunął klucz w dziurkę i uśmiech szczęścia rozjaśnił jego spocone oblicze. Pasował jak ulał!

Cichy świst sprawił, że drgnął, zerknął przez ramię w tył, a potem odskoczył z krzykiem. Tuż obok przemknął i wbił się w ścianę zardzewiały pałasz. Peter usłyszał szelest i stukot - w mroku, poza zasięgiem światła latarni. Coś szurało, tłukło się między potrzaskanymi łożami armat, złe, rozwścieczone na śmiałka, który odważył się naruszyć spokój wraku. A potem w stronę Petera poleciały metalowe sworznie, kawałki desek, klepki z baryłek, marynarski nóż, toporek...

Vanes nie tracił czasu. Pochwyił denko od beczki, zasłonił się nim przed gradem pocisków jak tarczą, a potem przekreślił klucz.

Od razu natrafił na opór. Zardzewiałe żelazo zaklinowało się w zamku, zamarło. Nadaremnie szarpał się z nim, walił w drzwi, przekręcał z całych sił. Ucho ani drgnęło, drzwi były zamknięte.

Żelazny gwóźdź uderzył Petera w policzek. Poczuł w ustach żelazisty posmak krwi, szarpnął raz jeszcze i jeszcze. Co teraz? Co robić?

Rozejrzał się w panice. Tajemniczy duch nie miotał się już obok niego. Nie rzucał przedmiotami. Lecz nagle młodzieniec usłyszał dźwięk, który sprawił, że zalał się zimnym potem. Wbił wzrok w półmrok zalegający pokład działowy, a potem zadygotał.

Coś poruszyło się w mroku usianym fosforyzującymi plamami porostów i alg. W wilgoci między rozrzuconymi cielskami armat. Peter wyczuł bardziej, niż zobaczył, jak z drugiego krańca pokładu w jego stronę rusza coś ciężkiego... Czarny kształt, rozmazana siła, rozrzucająca deski, beczki i lufy dział, jak żarłacz prujący przez płytkie wody rozgarnia unoszące się na powierzchni wodorosty! Usłyszał zbliżający się łoskot, trzask łamanych desek i pokładników, brzęk spiżu, świst przerywanych lin... To było coraz bliżej; zbliżało się do głównego masztu, groźne, złe. Siła wyrwana z diabelskiej czeluści, nieuchronna jak spadające ostrze katowskiego miecza!

A Peter wciąż mocował się z opornym zamkiem.

To na nic! Rozbiegane oczy Vanesa padły na czarny kształt pokładowego falkonetu, który przetrwał katastrofę w całkiem niezłym stanie. To była ostatnia myśl, której uchwycił się niczym tonący brzytwy. W jednej chwili był przy armacie, szarpnął lufę, podparł łożę ramieniem, przesunął ją na wprost drzwi...

A potem urwał kawałek rękawa swojej koszuli, zapalił od latarni i przytknął do zapalu... W ostatniej chwili przyszło mu na myśl, że jeśli armata jest nienaładowana albo rozerwie się przy wystrzale, sam stanie się częścią martwej załogi, zanim zdoła zawołać: żegnaj, parszywy świecie.

Była załadowana. Co więcej, proch przetrwał lata wilgoci w całkiem niezłym stanie. Peter usłyszał szum, trzask iskier, a potem działo wypaliło z głuchym hukiem. Żelazna kula rąbnęła w drzwi z takim impetem, że echo wystrzału powróciło z czeluści okrętu z gromowym rykiem.

Drzwi odskoczyły z wylamanym, strzaskanym zamkiem. Peter wpadł w kwaśne prochowe dymy, wynurzył się w skarbcu, już po drugiej stronie. Zatrzasnął furtę, podparł ją metalowym sworzniem, podstawił ułomek deski, podtoczył jedną beczkę, drugą, zasunął rygiel, oparł się o barykadę plecami i wówczas poczuł, jak coś uderzyło z wielką siłą w drzwi. Raz, drugi, trzeci... A potem zapadła cisza.

7. Podwodny skarbiec

Był w skarbcu. U celu podróży. Gdy tylko to sobie uświadomił, podniósł latarnię i obejrzał komorę.

Noc koszmarów zmieniła się w noc cudów. Czuł się jak bohater jednej z bajek, jakie przed laty opowiadała mu czarna niania; niby dzielny książę, który pokonał wszystkich wrogów, ubił smoka, znalazł bogactwo, a do szczęścia brakowało mu już tylko księżniczki, bo od tej chwili stać go było przynajmniej na połowę królestwa.

Dokoła skrzyło się złoto. Leżało w stosach wysypujących się z przewróconych skrzyń, w workach i beczkach, mieszkach i sztabach kruszczu. Talary, dublony, floreny, piastry, srebrne funty, gwinee, dukaty, pesety, reale, eskudo, grudy złota i

srebra... Cała wieloletnia danina płacona przez Jamajkę i inne klejnoty w angielskiej koronie, która w Londynie wpaść miała w ręce przekupnych polityków, sprzedajnych ministrów, zostać roztrwoniona na zbytek, przyjemności i łapówki dla członków parlamentu. Czyż nie godniejsze i sprawiedliwsze byłoby zatem, aby miast przepadać w przepastnych kieszeniach sprzedawczyków, wspomogła kabzę pana Petera Vanesa?

Nie mógł oderwać wzroku od skrzyń ze złotem. Jednak gdy płomień w lampie zachybotał, uświadamiając mu, że w zbiorniku pozostało niewiele oliwy, zebrał się w garść. Brnąc po kolana w stosach monet, dotarł do miejsca, w którym przez pokład i strop przechodziła kolumna bezanmasztu.

Spokojnie odmierzył dwie stopy od pokładu (który wisiał teraz nad jego głową, więc musiał podstawić sobie beczkę), zaznaczył skrawek masztu szesnaście na osiemnaście cali, zwrócony w stronę rufy. Wyciągnął piłę i zaczął ciąć.

- Nie rób tego, Peter - wydyszał ktoś. Był to głos ciężko chorego, cierpiącego człowieka. Vanes usłyszał stukot i chrobot w drzwiach, jak gdyby coś ciężkiego usiłowało dostać się do komory. Jednak barykada, którą sklecił naprędce, trzymała się równie mocno, co mur broniący dostępu do skarbcza Kompanii Zachodnioindyjskiej.

- Peter... To ja. Twój ojciec.

Dreszcz przeszedł mu po plecach, ale nie przerwał cięcia. Wszak przybył tu, aby wykonać pracę, zabrać złoto i raz na zawsze opuścić tę przeklętą łajbę, w której odzywały się w mroku przeklęte głosy umarłych. I nie zamierzał wdawać się w żadne dysputy z umarłymi.

- Ark Raleigh jest przeklęty... Przeklęty po trzykroć, pozostawiony między światem żywych i umarłych.

- To już zdążyłem zauważyć - rzekł Peter. - Nie miej złudzeń, że będę się nad tobą litował po tym, co usłyszałem i czego byłem świadkiem. Ta podróż w głąbiny pozbawiła mnie złudzeń. Myślałem, że komisja gubernatora, która obarczyła cię winą za katastrofę, skalala twoje dobre imię. Dziś podpisałbym się pod ich wyrokiem. Oni mieli rację. Ty sam zatopiłeś Ark Raleigh i wymordowałeś pozostałych przy życiu majtków oraz oficerów! Przez chwilę panowała cisza.

- Nie wszystkie odpowiedzi na twe pytania są proste, synu - dyszał dech. - Ten statek miał być największym dziełem sztuki szkutniczej, jakie powstało w Nowym Świecie. Prawdziwą katedrą wykonaną i ukończoną przez Fensteina. Lecz gdy utracił łaskę gubernatora, odsunięto go od spraw stoczni. A kiedy zostałem głównym budowniczym, oszalał z zazdrości, że największe dzieło jego życia przypadnie właśnie mnie. Fenstein zaprzedał duszę diabłu, dopuściłby się najgorszego uczynku, aby dokończyć ten okręt - cel jego życia. Mordowałby, palił, pił ludzką krew. Wiedziałem, że życzy nam źle, więc kiedy w dokach zaczęli ginąć ludzie, musiałem przerwać ten obłądny korowód zbrodni. Nie miałem dowodów na paranie się magią przez Fensteina, więc oskarżyłem go o szpiegowanie dla Hiszpanów. Poszło mi łatwo, bo był pół-Francuzem, a w dodatku katolikiem. Dziękowałem Bogu, gdy wyhuścili go na Gallows Point.

Peter ciał, nie zwracając uwagi na słowa ojca.

- Nie ruszaj masztu - zawył głos. - Nie wycinaj tego kawałka okrętu, powiadam ci! Choć raz posłuchaj ojca. Pozbyłem się Fensteina, ale on był szybszy. Nie przypuszczałem nawet, że z zemsty, iż odsunięto go od nadzoru budowy, poświęcił Ark Raleigh diabłu, zaklął w tym liniowcu potężnego demona, wypisując jego imię na fokmaszcie i znacząc części szkieletu diabelskimi charakterami. Byłem głupcem, że nie wpadłem na to wcześniej! Wszak stępkę i wręgi położono i osadzono bez mojego udziału, kiedy rządził tu ten francuski diabeł!

Peter spojrzął na kolumnę bezanmasztu. Nie było na niej żadnych napisów... Ot, gładkie drewno pokryte nalotem glonów.

- I z tego powodu próbowałeś wysadzić okręt w powietrze?

- Poznałem, co się święci, kiedy wyszliśmy na pełne morze. Przypadkiem odnalazłem połówkę planu statku ukrytą w jednej z burt, gdzie znajdowały się magiczne charaktery przyzywające czarta. Próbowałem zawrócić statek do portu, ale było już za późno. Demon okazał się szybszy, zanim zdołałem kogoś ostrzec, opanował kapitana i część załogi. Wtedy podjąłem decyzję, że Ark Raleigh musi spocząć na dnie, aby to, co zostało w nim uwięzione, nigdy nie ujrzało światła dziennego... Wysadziłem balast nad stępką...

Peter przymknął oczy.

- Vanes! Co ty robisz! - zawył w jego głowie jakiś głos. - Chcesz wysadzić balast! Pójdziemy prosto w objęcia Lewiatana! Vanes, koński fajfusie francą chędożony!

- ...ale sfuszerowałem, wziąłem za mały ładunek prochowy. Kadłub wytrzymał, przemieścił się tylko ładunek i balast. Wtedy przeciąłem liny mocujące beczki, a okręt położył się na burcie i przewrócił stępką do góry. Gdy uderzyliśmy w dno, musiałem doprowadzić wszystko do samego końca...

- Odłóż pistolet! Odłóż go zaraz! Nie! Nie zabijaj nas, proszę! Tyś oszalał! Ze szczętem oszalał!

Peter otworzył oczy i zabrał się do cięcia.

- Demon, którego Fenstein zaklął w Ark Raleigh, na zawsze pozostał w głębinach. Nikt nie ma prawa go wypuścić, mój synu. Natychmiast odłóż piłę.

Peter ciął.

- Synu - wydyszał dech - na wszystkie świętości, zaklinam cię! Odłóż piłę, poniechaj grzesznego zamiaru. Nie powiększaj mojej męki, prooooooszę...

- Ty mnie teraz posłuchaj, stary grzybie! - warknął Peter szybko i treściwie. - Jeśli myślisz, że przybyłem tu tylko po to, aby poznać prawdziwą historię katastrofy Ark Raleigh, to jesteś w większym błędzie niż ten, który popełnił Judasz, wydając Rzymianom Chrystusa!

Peter splunął z pogardą.

- Chyba nie myślałeś, że przyszedłem tu dla ciebie, stary dziadu! Bo przecież kiedy zatapiałeś Ark Raleigh, a razem z nim swoją przyszłość, nie pomyślałeś chyba, co będzie z twą żoną i synem! Czy łudziłeś się, że nie obarczą cię winą za katastrofę? Że nie odbiorą majątności twemu potomkowi?! Gubernator wyrzucił nas na bruk! I kiedy ty gniłeś tu przez wszystkie lata, rozmyślając o męczeńskiej koronie, ja co rano budziłem się w strachu, czy będę miał co włożyć do gęby i czy nie powieszą mnie przy próbie oderżnięcia sakiewki na targu, bo z głodu musiałem bawić się wyrażnictwem! Coś mi się należy od życia, stary trupie! Dlatego przyszedłem tu po złoto! Po skarby Ark Raleigh i klnę się na Fensteina, Boga i diabła, że nie wyjdę stąd bez tego kawałka drewna!

Fragment był prawie wypiłowany. Peter chwycił za topór. Rąbał drewno jak

drwał w lesie, równo - raz za razem, i wkrótce ogromny dębowy wiór był prawie gotów do wyjęcia.

- Peter, miejże litość - tym razem głos był ciepły, cichy, delikatny; w niczym nie przypominał charkotu szeptów, które Peter słyszał na pozostałych pokładach. - Na kolumnie bezanmasztu wyryte jest imię demona. Usuwając część drewna, uwolnisz go z pułapki, jaką stał się dla niego Ark Raleigh. A jeśli mi nie wierzysz, obejrzyj plan Fensteina. Zobacz... - Młodzieniec dostrzegł, że nagle wieko jednej ze skrzyń odskoczyło samo, ale nie ruszył się, aby sprawdzić, co w niej było. - Na miłość boską, przyłóż choć krzyż do drewna, a poznasz prawdę!

Peter zawahał się. Cóż mu szkodziło przekonać się o prawdziwości słów starego zdechlaka. Zsunął z szyi krzyżyk, obojętnie przesunął nim po drewnie ostatniego masztu statku...

I wtedy gdzieś w głębi, pod zielonkawymi słojami drewna, zapłonęły szkarłatne litery. Ułożyły się w prosty, krótki napis, którego nie był w stanie odczytać. Krój liter przypominał mu znaczki z tej części planu Fensteina, którą odnalazł u starego notariusza. Treści Peter nigdy by się nie domyślił na trzeźwo, a i po pijanemu - nawet gdyby wypił cały rum z tawern portowych Port Royal - też nie dałby rady. Jedno wszelako uznawał za prawie pewne. To było imię. Krótkie, zwężłe, niepokojące. Imię jakiejś istoty wypisane w języku, którego nie używał nikt w Indiach Zachodnich, włączywszy w to Indian, kanibali i dzikusów z wysp.

Drzwi ustąpiły pod ciężarem czegoś ciężkiego, barykada rozleciała się w drzazgi!

A Peter... Peter po prostu stracił równowagę, machnął w powietrzu rękoma, uderzył barkiem w kawałek masztu, na którym jarzyły się purpurowe znaki, skruszył go, odłamał od reszty kolumny.

A potem razem z nim zwałił się na podłogę.

Zapadła cisza. Nikt już nie szeptał. Nikt już nie krzyczał, nie przerażał go.

Płomień latarni przygasł, zachybotał, powoli odzyskał dawny blask. A zaraz po tym Peter usłyszał kroki. Ktoś szedł ku niemu z głębi statku, ignorując grodzie, kamienie i resztki desek. Nie zważając na dziury w pokładzie.

Absalom wynurzył się z mroku tuż obok bezanmasztu, cichy, milczący.

Zatrzymał się, spojrzawszy smutnymi oczyma na Petera, blady uśmiech wykrzywił jego wąskie wargi.

- Świetna robota, mój chłopcze - rzekł. - Spisałeś się doprawdy wybornie, czas zatem, abym i ja wykonał moją część naszego kontraktu.

Jego dłoń zatoczyła półkole.

- Tak oto, Peter - ciągnął Absalom - zdobyłeś złoto. Twoje dziedzictwo. Bierz z niego, ile tylko w garści i sakwie się zmieści. Ładuj do skrzyń i kufrów, ciesz się, albowiem bogactwa Nowego Świata należą teraz tylko i wyłącznie do ciebie. Nie, nie dziękuj. Zasłużyłeś na nie. A teraz bywaj.

Przeszedł obok Petera, obojętnie przestąpił skrzynie ze złotymi monetami, wszedł w burtę statku, roztopił się i tyle go widziano.

Peter milczał. Wstał powoli, jakby we śnie. Kufer otwarty przez ducha jego ojca od razu wpadł mu w oko. Porwał kawałek papierowej karty, rozwinął. A potem wyciągnął z zanadru jej pierwszą część, złożył arkusze razem, przycisnął złotymi monetami. Jego oczom ukazał się plan Ark Raleigh, na który czerwonym atramentem naniesiono kilka wysmukłych, przecinających się trójkątów. Środek tej dziwnej figury znajdował się na rufie, w miejscu, w którym kolumna bezanmasztu przechodziła przez skarbiec... Tu, gdzie przebywał teraz Peter.

Nie rozumiał nic. Siedział wpatrzony w plan, wodząc oczyma po skrzyniach ze złotem i srebrem.

- Absalom - jęknął - Absalom... Gdzie jesteś, jak ja teraz...

Nikt mu nie odpowiedział. Okręt spowijała złowieszcza cisza.

- Absalom! - zawołał. - Zabierz mnie stąd! Za...

Umilkł i z przerażeniem obserwował, jak płomień latarni zmniejsza się, kurczy, dygoce. Jak staje się maleńką plamką ognia w otaczającej go ciemności, a potem znika, zmienia się w rozżarzony punkcik knota, niknie w mroku spowijającym zatopiony, wbity w dno, przewrócony do góry nogami wrak, w którym spoczęła jego duma i przyszłość, bogactwo i całe życie.

Dopiero teraz, kiedy rozumiał, że jest sam, że Absalom nie wróci, a nikt nie usłyszy jego wołania o pomoc, Peter załkał. Z jego gardła dobyło się rozpaczliwe, długie wycie, które poniosło się po wszystkich pokładach Ark Raleigh. Niestety, nie

zdołało przebić się przez prawie trzysta stóp wody, aby dotrzeć na powierzchnię morza.

Pozostał sam. On, wrak i jego tajemnica.

Czarny heban

Mandingo z Whydah * Cierpienia młodego abolicjonisty * Co ma wisieć, nie utonie * Czarna groza * Kłopoty kapitana Crowa * Bębny pod pokładem * W potrzasku * Ostatnia nadzieja * Słuchajcie, czarnuchy!

1. Mandingo z Whydah

Kacyk poklepał się po wydętym kałdunie przywodzącym na myśl trzęsący się wór starego sadła. Cmoknął tłustymi wargami, jakby do jego legowiska przyprowadzono właśnie najgrubszą nałożnicę z całej wioski.

- On chceć duża strzelba, massa - przetłumaczył Mubane, niewolnik, dzięki któremu mogli dogadać się z pumbeiros i kacykami sprzedającymi swych pobratymców na śmierdzących targowiskach Whydah i białych niby kość słoniowa plażach Dahomeju. Na które tysięcznymi korowodami gnano czarnych z głębi Afryki. Kapitan Bernard Matthew Crow przyłożył dłoń do ucha, jak gdyby nie dosłyszał ostatniej kwestii.

- Czy ja dobrze rozumiem tego czarnucha? - warknął. - On chce dużej strzelby? Znaczy armaty? Falkonetu z pokładu mojego statku?! Piekło i szatani! Wy widzicie i nie grzmicie! Moja cierpliwość jest jak morze, ale przecież, jak powiada Pismo, nawet ono potrafi z czasem się wyczerpać. Ten wór małego łajna dostał od nas żelazne i miedziane sztabki. I, do kroćset - jakieś sto funtów szklanych paciorków! Dwa konie, pięć sztucerów, trzydzieści pruskich karabinów z zapasem kul i prochu to też nie w kij dmuchał! Nie licząc beli płótna, drutu i pół tony parszywych muszelek kauri. Dodałem szelmie nawet cztery kapelusze! To chyba uczciwa cena za trzy kopy cherlawych Negrów, z których połowa - Belzebub mi świadkiem - nie przetrzyma drogi przez ocean! Powiedz mu, że dobiliśmy targu. Dostał tyle towarów, że jego zapchlona wiocha uchodzić będzie w całej Afryce za drugi pałac w Windsorze!

Mubane zaszcebiotał coś w mowie czarnych. Ten afrykański dialekt był równie zrozumiały dla Crowa i jego ludzi, co wiersze miłosne czytane po

mandaryńsku.

Kacyk Adeleke zabalgotał w głębi brzucha, zakrzyczał, bił się w piersi prawie jak bostoński Żyd przyłapany na sprzedaży zgniłej rzepy. A potem skinął na przybocznych. Rośli i bosci, prezentowali się niczym statyści z ulicznego teatryku. Jeden w porwanym, postrzępionym fraku i marynarskiej chuście - drugi w trójrożnym kapeluszu na kędzierzawej głowie, noszący w przekłutym nosie i uszach dobre trzy funty miedzianych obręczy, paciorków i świecidełek. Czarni dzierżyli długie angielskie strzelby warte w Whydah przynajmniej po dwóch niewolników, a za pasy zatknięte mieli skórzane korbacze do poganiania nieposłusznych ziomków. Ziomków, którzy nie mieli tyle szczęścia, aby urodzić się jako członkowie plemienia Oyo pod łaskawym panowaniem grubego wodza.

- Adeleke nie chce nic za darmo - przetłumaczył Mubane. - Przysługa za przysługę, massa. Za duża, dobra strzelba on dać duża, dobra towar. Czarny towar.

Jakby na potwierdzenie tych słów kacyk zacmokał tłustymi wargami i krzyknął coś do swoich ludzi.

Dwaj gwardziści skoczyli co tchu ku klatkom i dołom, gdzie zamknięta była część czarnego hebanu, którego dalszy los zależał tylko od przybicia rąk na ugode między kapitanem Crowem a kacykiem Oyo. Do czego wciąż było równie daleko, co z wybrzeży Zanzibaru do granic Indii Zachodnich.

Przydupasy Adelekego przywiodły dwóch roślących Negrów związanych sznurami, z głowami uwięzionymi w drewnianych jarzmach, złożonych z odpowiednio przyciętych widlastych gałęzi. Crow zbliżył się do nich, zmrużył oczy. Choć brudni i pokryci potem, mieli ponad sześć stóp wzrostu, przewyższając kapitana o więcej niż pół głowy. Handlarz niewolników z uznaniem pomacał mocarne, naprężone niczym liny okrętowe ramiona niewolników, zajrzał każdemu w usta, sprawdził zęby i skrzywił się.

- Pięćdziesięciu Mandingo, massa - uzupełnił Mubane. - Prawdziwych Mandingo. To żadne fałszerstwo. Dobry towar za dobrą zapłatę.

- Panie Thather - wycharczał kapitan, z pozoru nie zwracając uwagi na tę paplaninę - pozwólcie no tutaj!

Stary, trzęsący się i wiecznie pijany doktorzyna zbliżył się do Murzynów.

Starannie obejrzał pierwszego, szukając na każdym calu hebanowej skóry oznak choroby. Wspólnie z kapitanem zajrzeli czarnemu do tyłka, jak gdyby tam właśnie znajdować się miało remedium na handlowe kłopoty kapitana. Crow z pozoru nie spieszył się, ziewał, ale obserwujący to z bliska Wharley, pierwszy oficer na Liberty, dostrzegł ledwie widoczny błysk w jego oku. Było jasne jak słońce, że kapitan był zainteresowany Mandingo, o których plantatorzy z Luizjany i Południowej Karoliny bili się na aukcjach niczym rozjuszeni ulicznicy o szankrowate murwy rozdające swe wdzięki za złamanego pensa. Równie oczywiste było, iż ten wymykający się od lat piratom i korsarzom, doświadczony handlarz nie chciał zbyt wcześnie zdradzić się ze swym zainteresowaniem.

Dlatego zajrzawszy Negrowi do tyłka, Crow chrząknął, splunął i pokręcił głową.

- Ci niewolnicy - rzucił, nie patrząc nawet w stronę Adelekego - są chorzy. Ich przyrodzenie i podniebienie jest czarne! Do czarta z taką przysługą!

W kacyka jakby strzelił piorun. Ledwie Mubane przełożył słowa kapitana, Adeleke skoczył na równe nogi, falując niebezpiecznie kałdunem. Potoczył się na krzywych, pałkowatych nóżkach w stronę niewolników, zakrzyczał coś do pomagierów.

A potem - rzecz arcyzabawna - kacyk sam osobiście zajrzał do tyłków obu Negrom, aby sprawdzić słowa kapitana. Nie znalazł tam chyba niczego godnego królewskiej uwagi, bo zaraz cofnął paskudny, tłusty łeb, a pierwszy oficer, z trudem tłumiący wybuch śmiechu, dojrzał jego wytrzeszczone ze zdumienia ślepie. Kiedy następnie Jego Spasiony Majestat dokonał porównawczego przeglądu tyłka jednego ze swoich przybocznych, a na jego gębie odmalował się wyraz jeszcze większego zdziwienia, Wharley omal nie zarechotał. Przez moment oczekiwał nawet, że kacyk sam włoży głowę między własne nogi.

Adeleke zbulgotał gniewnie.

- Massa raczy żartować - przetłumaczył Mubane. - Adeleke mówić, że tyłki jego ludzi też są czarne! To jakieś oszustwo! Wszyscy czarni mają czarne zadki...

Kacyk bulgotał coś jeszcze, skoczył do Crowsa, potrząsając łagą, lecz stary handlarz nie dał się zastraszyć. Jednym szybkim ruchem złapał czarnego za krocze,

przez pludry, ścisnął królewskie klejnoty z taką siłą, że wódz zaryczał jak bawół i zamarł niczym szarżujący nosorożec zatrzymany w miejscu kulą z kanony.

- Klnę się na wszystkich świętych i powiadam, że ci czarni są chorzy - warknął Crow. - Chcesz mnie oszukać, massa! A ja dobrze pamiętam, że nie dalej jak pół roku temu sprzedałeś mi bandę zdychających Negrów, twierdząc, że to wojownicy Susu. Tacy z nich byli Susu jak ze mnie papież! Połowę towaru musiałem wyrzucić za burtę, zanim dopłynęliśmy do Wyspy Świętego Tomasza. A druga zgniła we własnych odchodach, nim zobaczyliśmy brzegi Brazylii. Czy tak postępuje uczciwy kupiec? Czy tak robi dobry i zacny król poczciwego czarnego ludu Afryki?

Adeleke trzymany żelazną ręką Crowsa wił się jak piskorz, wytrzeszczał oczy, jęczał i wzdychał, kiedy Mubane tłumaczył słowa kapitana.

A Crow roześmiał się wesoło. I wyjątkowo paskudnie.

- Jestem dziś w dobrym humorze, massa Adeleke - rzekł. - Dlatego wezmę od ciebie ten towar, ale za rozsądną cenę. Dam za tych Mandingo dwadzieścia karabinów, pięć cetnarów paciorków i - niech stracę - dziesięć funtów miedzianego drutu!

Kacyk zacharczał, zaskrzeczał, obejrzał się na swoich, ale ci nawet nie ruszyli się z miejsc. Gorzej - dwaj jego przybocznicy parsknęli śmiechem, widząc swego wodza w takiej opresji. Groźby i rękoczynny należały do ustanowionego dawno temu rytuału targowania się w Whydah. Kiedy Crow stawiał przed laty pierwsze kroki w trudnym fachu handlarza żywym towarem, nie raz i nie dwa przepłacał, zbity z pantałyku przez włócznie murzyńskich wojowników świszczące koło ucha. Lecz dziś to on był prawdziwym panem i władcą wybrzeża; on dyktował ceny, ustalał warunki. Przed nim płaszczyli się kacykowie i pumbeiros, którzy zresztą nie wahali się oddawać w wieczną niewolę własnych córek i synów, byle tylko wyrwać z chciwych łap handlarzy jeszcze jedną sztukę płótna, stary muszkiet czy strzelbę.

- Massa kapitan - wybełkotał Mubane przerażony tą sceną - on chce duża strzelba. Ale on dołożyć więcej. Więcej towaru! Jeszcze dwa i pół tuzina.

To już było coś. Crow zwolnił uścisk na czarnych królewskich klejnotach Adelekego, przywołał na twarz coś w rodzaju zimnego uśmiechu.

- Powiedz mu, że się zgadzam.

Popluli sobie na ręce, przybili kontrakt, przepili rumem. Kacyk zakrzyknął coś do swoich, a wówczas Oyo poczęli tańczyć, strzelać na wiwat ze strzelb i sztucerów.

Zaś Adeleke przyskoczył do swoich przybocznych, którzy jeszcze przed chwilą zaśmiewali się do rozpuku, widząc królewskie jajca w ręku białego człowieka. Pierwszego zajechał lagą w zęby, tłukł, warczał i wył ze złością. Drugiego walnął z rozmachem w żołądek, popchnął na ziemię, kopał, aż wreszcie w przypływie dzikiej pasji począł po nim skakać. Potraktowawszy w ten sposób gwardzistę, zmiażdżył jeszcze bosą piętą jego kapelusz, aby po chwili rechotać i tańczyć wraz z resztą szczepu.

To było doprawdy zabawne i pouczające przedstawienie.

- Panie Wharley, zabieramy towar na statek.

Pierwszy oficer poderwał się i krzyknął na swoich ludzi. I w ten właśnie sposób rozpoczął się drugi akt dramatu zwanego przez ludzi pokroju Crowa złotym interesem, zaś przez abolicjonistów i kwaków z Bostonu czy Londynu - niewolniczym piekłem.

Marynarze z Liberty pospołu z wojownikami Adelekego wyciągali z dołów i klatek nieszczęsnych Negrów. Szybko sprowadzano ich w pobliże ogniska, gdzie stary, trzęsący się Thather kazał im skakać, kłaść się, oglądał ich ze wszystkich stron, szukając śladów chorób. Czarny heban podczas trwającej miesiąc podróży do dalekiej Ameryki ściśnięty był na pokładzie głównej ładowni Liberty jak śledzie w beczce. W takich warunkach jeden chory Murzyn mógł zmarnować cały transport, na który wyczekiwali agenci i plantatorzy południowych Stanów, Jamajki, Cuby, Montserratu tudzież francuskiej Luizjany.

Thather pomimo swego wieku uwijał się chwacko, w czym zresztą była duża zasługa pocieszyciela, czyli rumu z Jamajki. Oglądał starannie każdego Negra, kilku cherlawych i pryszczatych odłączył od reszty; Crow wyklócał się o nich teraz z nieźle pijanym kacykiem.

Wziąwszy się do sprawdzania Mandingo, medyk zakasał i pokręcił głową.

- Patrzcie, panie Wharley - rzekł do oficera. - Mieli poprzekłuwane nosy i uszy. Widać połaszczył się kacyk na ozdoby, bo wszystko im wyciągnęli.

Faktycznie - niewolnik, którego doktor oglądał, miał w przegrodzie nosa dużą

dziurę, w której zmieściłaby się spora kość, gęsto ponakłuwane uszy, długie szarawe blizny na łbie i ramionach. Wyglądał na wojownika albo szamana.

Nie było czasu na dalsze zachwyty nad siłą i zaletami Negra. Z tyłu przypędzono już kolejnych - łypiących białymi oczyma na czarnych jak heban obliczach. O dziwo, Mandingo nie krzyczeli ani nie płakali jak reszta towaru. Stali nieporuszeni, pozwalając robić z sobą wszystko, nie krzywili się nawet wówczas, gdy lekarz oglądał im zęby, macał po ramionach. Nie protestowali, gdy bosman Schriften wypalał każdemu z nich kupiecki znak Crows na plecach, przykładając im do skóry rozżarzony pręt z końcówką zwieńczoną stemplem z literą C. Inni Murzyni wrzeszczeli i łkali, czasem próbowali desperacko umknąć swoim prześladowcom, zaś Mandingo posłusznie klękali, czekali na koniec przykrej ceremonii bez słowa protestu. Tylko u nielicznych Wharley dostrzegł drgnięcie ust lub grymas gniewu wykrzywiający twarz, kiedy pieczęć pozostawiała na ich ciałach niewolnicze piętno.

Dalej wszystko szło zwykłym, utartym od stuleci szlakiem. Najpierw sprowadzony z Whydah pastor skrapiał niewolników święconą wodą, mamrocząc przy tym zwyczajową formułę, mającą wyrwać ze szpon diabła nieszczęsne duszyczki czarnych. Chyba tylko po to, aby po czterech tygodniach morskiej peregrynacji rzucić je na pożarcie znacznie groźniejszym białym sępom z plantacji na Antylach i w dalekiej Ameryce. A na brzegu czekał już kowal okrętowy Rowling z dwoma majtkami, którzy sprawnie i bezlitośnie zakuwali nieszczęsnych Negrów po dwóch w łańcuchy - przykuwając lewą nogę nieszczęśnika do prawej nogi sąsiada, a lewą rękę do jego prawicy.

Długi wąż czarnych posuwał się szybko w stronę brzegu popędzany korbaczami wojowników Adelekego, popychany mocarnymi, stwardniałymi od lin i morskiej wody rękoma marynarzy. Towarzyszyły mu przekleństwa, płacze i lamenty, choć Bogiem a prawdą Wharley spodziewał się znacznie gorszych scen. Większa część Negrów była oślepiała, posłusznie pozwalała oglądać się doktorowi, klękała przed Schriftenem, przyjmowała chrzest, spoglądając na pastora niczym ciele na malowane wrota. A potem bez oporu pozwalała wlec się na plażę, gdzie czekały kanu Murzynów przewożących swych zniewolonych ziomków w głąb zatoki. Tam zaś stała na kotwicy - ze sprzątniętymi żaglami na obu smukłych masztach -

niewolnicza brygantyna Crowa. Ponurym świadectwem czarnego humoru kapitana był fakt, iż zwała się Liberty. Może przewano ją tak, by uspokoić sumienie właściciela? W każdym razie szyper wierzył święcie, iż handlując czarnym hebanem, nie tylko wyrывał Negrów z diabelskich sidła pogaństwa, lecz także zapewniał im lepsze, szczęśliwsze życie w koloniach Nowej Anglii, wszak na Czarnym Łądzie mogli zostać zjedzeni lub poświęceni na ofiarę mrocznym bożkom i bluźnierczym idolom.

William Wharley zrazu nie mógł nadziwić się takiej przewrotności Crowa. Teraz jednak, kiedy rozglądał się po tłumach zgromadzonych na wybrzeżu Whydah, i jemu przychodziło na myśl, iż kapitan miał trochę racji. Rzadko dostrzegał bowiem wśród czarnych gapiów oblicza białych ludzi. Oto naocznie przekonał się, że sama Afryka ofiarowywała żywą daninę Anglikom, Francuzom i Holendrom. Albowiem czarni bez cienia litości sprzedawali swych pobratymców handlarzom, wysyłając ich na poniewierkę i morderczą pracę dla chwały białego zdobywcy świata.

2. Cierpienia młodego abolicjonisty

Moja Najdroższa i umiłowana Elizabeth.

Kiedy otrzymasz ten list, będę zapewne już blisko brzegów Ameryki. Wysyłam ci go z pierwszego portu na Antylach, do którego zawiniemy w drodze z owym nieszczęsnym ładunkiem, który ściągnie na nas przekleństwo, piętno krzywdzicieli i ciemężycieli naszych czarnych braci.

Musisz wiedzieć, kochana moja przyjaciółko i powierniczko, iż nieszczęśnicy owi pochodzą z kraju zwanego Dahomejem, położonego w pobliżu Whydah, i z całego wybrzeża zwanego - dla licznych targowisk i placów, gdzie się sprzedaje Negrów - niewolniczym. Dahomej prowadzi bowiem wojny z licznymi plemionami, chwytając jeńców, których sprzedaje później białym handlarzom, co na podobieństwo much krążących nad końską padliną ściągają tłumnie do Whydah, ujścia Nigru i Zanzibaru. Tak to, duszko moja, jedni czarni ludzie porywają drugich i zaprzędają w bezbożną niewolę białym, otrzymując w

zamian prochy i strzelby - aby tym ciężsi stawali się wrogom. I tym więcej dostarczali nieszczęśników w łańcuchach. Ja wszakże wina za wszystko obarczam nie czarnych mieszkańców Afryki, są bowiem oni na podobieństwo dzieci, co nie odróżniają dobra od złego, lecz chciwych, nikczemnych i podstępnych białych handlarzy, którzy jak biblijny wąż judzą owych biedaków do polowania na swych pobratymców.

Tęsknię za tobą, Elizabeth, i wielce niepokieszony, iż nie widziałem cię na ostatnim wiecu naszego Towarzystwa do Walki z Handlem Niewolnikami. Zapewne jak zwykle ślicznie prezentowałaś się ty - oraz inne damy - w swoich najlepszych sukniach z okowami na rękach. Żałuję, że nie widziałem cię, najdroższa, z żelazną obręczą na szyi, wykonaną na podobieństwo tych, w które okrutni plantatorzy z Południa zakuwają swych nieszczęsnych niewolników. Przy twojej pięknej sukni musiał to być doprawdy wstrząsający widok. Liczę, że owo wystąpienie sprawi, iż nasz Komitet zyska nie tylko powszechne poparcie, lecz także uzupełni nasze fundusze o datki od szlachetnych mieszkańców Bostonu.

Wielce ci oddany i umiłowany William Bonaventura Wharley.

Otarł pot z czoła i schował list na samo dno skrzyni, między koszule i papiery, niczym miłosny liścik od księżniczki. Rozejrzał się z niepokojem, lecz mesa była pusta. Przez chwilę zastanawiał się, co by się stało, gdyby czcigodny Bernard Crow, kapitan niewolniczego okrętu, dowiedział się, że jego pierwszy oficer był abolicjonistą? Z całą pewnością, zanim wyrzuciłby go za burtę, kazałby połamać mu wszystkie kości, a wcześniej przeciągnąć pod kilem. Crow, jak łatwo się domyślać, nie znosił bowiem wszystkich, którzy wchodzili mu w paradę i przeszkadzali w interesach. A członków towarzystwa antyniewolniczego określał w przyływach dobrego humoru bandą jankeskich ścierwojadów albo francowatymi szankrami na tyłku starej murzyńskiej murwy. Słów zaś, jakimi kapitan określał abolicjonistów w przyływie złego humoru lub pod przemożnym wpływem rumu, Wharley, jako wychowanek dobrej bostońskiej rodziny, wolał nie cytować.

Cóż jednak robił pierwszy oficer abolicjonista na Liberty? Odpowiedź była prosta. Od dłuższego czasu Komitet gromadził dowody na to, w jak okrutny i nieludzki sposób traktują kapitanowie statków niewolniczych nie tylko czarnych wywożonych z Afryki, lecz także członków załogi i białych marynarzy. A skoro Komitetowi potrzeba było rzeczowego i wiarygodnego świadectwa, Wharley, jako

człek obeznany z tajnikami żeglugi, postanowił je zdobyć. I w tym celu zaciągnął się jako oficer na statek Bernarda Crowa po tym, jak poprzedni pies pokładowy kapitana przypadkiem wyleciał za burtę w czasie sprzeczki dotyczącej wysokości prowizji wypłacanej oficerom od udanych transakcji. Nie należy oczywiście dodawać, że owa nieszczęsna perturbacja, która spotkała poprzednika Wharleya, poprzedzona została kilkoma tęgimi ciosami kordelasem i marynarskim nożem, aby oficer nie wypłynął przypadkiem przed czasem i nie zdążył złożyć w sądzie świadectwa przeciw szyprowi Liberty.

Wharley udawał zatem pierwszego psa pokładowego, a przy okazji miał oczy i uszy szeroko otwarte. Albowiem po powrocie do Bostonu zamierzał zdać szczegółową relację Komitetowi, który już wkrótce miał wszcząć w Kongresie kolejne starania mające na celu polepszenie losu czarnych niewolników.

Pan William zaciągnął się na Liberty pełen najgorszych możliwych przeczuć, wiedząc, iż niczym sławetny Dante schodzi do najniższych kręgów piekieł. Tymczasem piekło handlu niewolnikami okazało się całkiem swojskie, szare raczej niż czarne i pełne zaskakujących zdarzeń, które burzyły w umyśle Wharleya ustalony obraz świata, wyniesiony z odczytów komisji i posiedzeń w bostońskich klubach należących do tegoż towarzystwa.

Liberty przy sprzyjającym wietrze wzięła kurs na południe - ku Wyspie Świętego Tomasza, omijając Fernando Po i Principe. Następnie zmienili kurs na zachodni, aby płynąc półwiatrem, oddalić się na dobry tysiąc mil od wybrzeża Afryki. Dopiero na szerokości Wysp Zielonego Przylądka zmienili kurs na północno-wschodni, weszli w gorący prąd równikowy, który miał ponieść brygantynę daleko w głąb oceanu, a w końcu doprowadzić do Antyli, na sam próg Indii Zachodnich.

Już pierwszy dzień żeglugi przyniósł wiele dziwnych zdarzeń. Najpierw Crow nakazał umieścić Negrów w domu - budowli wzniesionej na śródkręciu, między grotmasztem a fokmasztem, w miejscu gdzie w pokładzie otwierał się luk głównej ładowni. W ścianach tego zbudowanego z bambusów i gałęzi mangowca pomieszczenia zamontowano klapy osłaniające okienka i strzelnice. Nieszczęsnych niewolników upchnięto niby śledzie w beczce albo srebrne łyżki w aksamitnym pudle. Z miejsca uczynił się w ładowni tak wielki ścisk i zaduch, że w jednej chwili

wszystkie okna i szczeliny w domu poczęły parować.

Jednak już następnego dnia o świcie Crow wypuścił Murzynów na pokład. I wówczas też dał pokaz swego wilczego sprytu tudzież nikczemnej przebiegłości. Pokaz taki, że Wharley, bolejący w skrytości ducha nad losem nieszczęsnych Negrów, był aż olśniony jego pomysłowością.

Gdy bowiem większość niewolników wyprowadzono już na pokład - Murzynkom pozwalając swobodnie chadzać po deskach, a mężczyzn przykuwając za kostki do łańcuchów przy fałszburtach statku - w tłum czarnych wszedł Mubane. Nie był to wszakże biedny, uciśniony Negr należący do kapitana Liberty, ale Mubane tryumfator, ku któremu zwracały się zachwycone oczy nieszczęśników. Wyprostowany jak struna, odziany wedle najnowszej mody z Anglii - w obcisły wełniany frak, zamszowe spodnie, wysokie buty i kapelusz, Wharleyowi jawił się niczym jedyny nieskorumpowany członek parlamentu. Zatem na stłoczonych na pokładzie czarnych, którzy wszak prawa głosu nie mieli, sprawiał wrażenie anioła zesłanego z nieba, dobrego mżimu czy czego tam jeszcze, w co wierzyły czarne ludy Afryki. A kiedy donośnym głosem oznajmił wszystkim, że właśnie zostali wybrańcami, a pan kapitan Crow zawiezie ich do krainy, gdzie wszyscy będą chodzić w podobnych strojach, wybuchła wrzawa, krzyki, śpiewy i śmiech. Negrzy rzucili się w stronę Mubanego, gładzili go po plecach, miętosili w palcach materiał, podziwiali kapelusz, skórzane buty, mosiężne guzy i spinki. Potem na wyścigi bili pokłony kapitanowi, a jeśli nawet któryś zamyślał o buncie, to myśli owe właśnie rozwiały się jak mgła pod tchnieniem porannej bryzy. Wharley wiedział już, że przez najbliższe kilka dni każdy z nich radować się będzie na myśl, iż płynie do miejsca, w którym dobre białe anioły rozdają czarnym ludziom kapelusze i koszule. Bo oczywiście o fakcie, iż każdy z nich będzie pracował ponad siły na plantacji bawełny albo trzciny cukrowej, Mubane poinformować swoich ziomków nie raczył.

A potem Crow sam osobiście uderzył w bęben, rozkuł kilku niewolników i zaprosił ich w tany. Wnet płąsali ochoczo wokół domu, uderzając bosymi piętami o deski pokładu. Wkrótce do zabawy przyłączyli się niewolnicy Mandingo kupieni za stary falkonet. Wharley, który wyszedł na pokład, by objąć popołudniową wachtę, zapatrzył się jak urzeczoną na ich płąsy, bo też i było na co. Potężni, rośli mężczyźni

to wyskakiwali w powietrze, to przysiadali na ugiętych nogach, kręcąc się z zawrotną prędkością w piruetach, raz łącząc się w krąg, to znów odskakując od siebie, uwiedzeni dzikim rytmem bębnów. Zaś zabawa była tak wesola, że postronnemu obserwatorowi mogło się zdawać, iż Liberty to nie brygantyna niewolnicza, ale statek, który wiezie czarnych wyzwolenców prosto ku złotej wolności.

Crow rozglądał się tryumfalnie po członkach swej załogi, mrugał znacząco do Wharleya i Schriftena, dając znać, że nie spodziewa się żadnych kłopotów w czasie podróży przez ocean. Jedynie Mubane z poszarzałą twarzą wsłuchiwał się w dzikie pieśni Mandingo. Pewnie żałował, że nagle cała uwaga czarnych skupiła się na gibkich hebanowych postaciach skaczących po pokładzie do ostatniego tchu, pogrążonych w tanecznym transie. Co chwila zresztą któryś z nich opadał z sił, walił się na deski lub zataczając się, przysiadał pod burtowym relingiem, gdzie zaraz kował Rowling szybko i sprawnie zakuwał go w kajdany.

Wharley pożałował tych wymęczonych tańcem Mandingo. Gdy szedł przez śródokręcie, przebijając się między błyszczącymi od potu ciałami, klepnął w plecy jednego z nich.

I naraz dół stał się górą, a niebo - ziemią. Czarny niewolnik kłapnął zębami, odtrącił ramię oficera, zaszarżował na niego jak rozwścieczony buhaj, wyrznął łbem w żołądek, aż Wharleyowi stanęły w oczach nie tylko świeczki, ale cały tort przygotowany na urodziny ukochanej Elizabeth. Pierwszy oficer padł na deski, ostatkiem sił wbił łokieć pod gardło dzikiego Negra, odepchnął od swej twarzy okrutną, szczerzącą białe zęby gębę i krzyknął ze strachu, próbując strząsnąć z siebie napastnika.

Uderzył grom. A potem ciężar przygniatający ciało Wharleya zelżał. Poprzez czerwoną mgłę, krzywiąc się z bólu, dojrzał, jak Crow, Rowling i jeszcze dwóch majtków zdejmują zeń szamocącego się Mandingo, rzucają go na deski, kopią, biją, jak wykręcają mu ręce w tył i wiążą okrętową liną. To był koniec tańców, wesela i zabawy. Czarni z krzykiem uciekali do domu, kulili się przy fałszburtach, wyglądali zza drewnianej przegrody.

William podniósł się na nogi, zatoczył, a wówczas bosman Schriften ujął go

pod ramię, przytrzymał.

- Koniec balu! - ryknął Crow. - Napadł na oficera! Brać czarnego na rufowy greting!

- Nic, nic - jęknął oficer, ocierając krew z rozciętej wargi. - Nic mi nie jest, kapitanie... Nie przesa...

- Milcz, Wharley! - Oblicze Bernarda było aż sine ze złości. - Ten parszywy Negr rzucił się na białego człowieka! Klnę się na cycki biskupiej murwy, że poniesie za to karę! Musimy nauczyć te parszywe małpy bojaźni bożej. Inaczej pójdziemy na dno z pustą kabzą!

- To drogi niewolnik - wybełkotał Wharley, który nawet pobity i sponiewierany nie wyrzekł się skrywanych w głębi duszy abolicjonistycznych przekonań. - Stracimy trzydzieści gwinei, panie kapitanie... Starczy...

- Ja za niego zapłacę. I wyrównam rachunki! Wharley, do stu piorunów, taki wyczyn nie może pozostać bez kary! Jeśli te czarne małpy zobaczą, że jesteśmy słabi, skończymy jak Snelgrave i Messelvy! Jak załoga Snow Amn czterdzieści lat temu, kiedy czarni wyrzucili kapitana i oficerów za burtę, a potem przejęli statek! Nie mam ochoty wlec się do raju z rozprutym żywotem albo gardłem poderżniętym przez te afrykańskie zwierzęta, bo wówczas, mój panie, będę miał kłopot, aby wychylić szklanekę grogu czy sherry!

Crow odwrócił się do wystraszonych, załękniętych czarnych.

- Jeden z was, Negrzy - zagrzemiał tak głośno, aż echo odezwało się w głębi ładowni - złamał prawo. Rzucił się na białego posłańca Boga - dobrego mżimu, który chce, aby przewieźć was do krainy szczęśliwości, na drugi brzeg wielkiej wody. Gdzie każdy z was będzie chodzić w kapeluszu i w surducie, a na dodatek z laską w rękę. Zapytuję zatem - wskazał na Mubanego - czy chcecie zawrócić ze świetlistej drogi? Chcecie pozbyć się takich strojów i splendorów tylko dlatego, że wśród waszej trzody trafiła się jedna czarna owca?

Rzecz jasna, nie chcieli. Gdy tylko Mubane przetłumaczył wszystko, wybuchły płacze i lamenty.

Crow ze zrozumieniem pokiwał głową.

- A zatem ten z was, który sprzeciwił się dobremu mżimu, zostanie ukarany.

Panie Schriften! Rozciągnąć go na gretingu! Połamiecie mu wszystkie kości i powiesicie na noku grotrei.

Rozkazy spełniono szybko. Schriften i Rowling powlekli Negra na rufę, rzucili na greting za grotmasztem. Szybko i sprawnie przywiązali go za ręce i nogi do kraty.

- Może starczy chłosta, panie kapitanie - zajęczał Wharley. - Nie róbmy krwawego widowiska...

- Zaczynać! - Crow nawet nie spojrzął na pierwszego oficera. - Panie Schriften! Bosman uniósł laskę, przeżegnał się.

- Poczynajcie! Czasu szkoda.

Pierwszy cios spadł na Negra jak grom z jasnego nieba. Bosman walił łagą z całych sił. Po drugim ciosie złamał, zdruzgotał prawą rękę pod łokciem. Wharley zadrżał, kiedy usłyszał cichy chrzęst łamanych kości. Rowling sekundował dzielnie bosmanowi. Uderzał obuchem ciesielskiego topora. Od razu złamał kość udową, strzaskał lewą kostkę Mandingo, sapiąc z utrudzenia, rozwalił mu kolano - uderzył trzykrotnie, zanim złamał drugą nogę.

Za każdym ciosem głowa i ramiona Negra dygotały konwulsyjnie. Dopóki miał jeszcze całe członki, napręzał spazmatycznie sznury. Jednak greting trzymał go mocno - aż do samego końca.

Wreszcie kowal opuścił obuch topora na plecy skazanego. Zdruzgotał mu kręgosłup. Czarny zadygotał wówczas, zatrząsł się spazmatycznie. A jednak nie wydał z siebie głosu.

Na pokładzie zapanowała cisza. Nikt już nie krzyczał. Nikt się nie weselił. W półmroku Wharley widział poszarzałe oblicza Murzynów, błyszczące oczy śledzące pałkę bosmana i topór kowala wznoszące się do kolejnych ciosów. Czas wesela i zabawy się skończył. Nadeszła pora, aby czarny heban stłoczony na pokładzie Liberty poznał swoje miejsce. I przekonał się naocznie, co tak naprawdę czeka go za wielką wodą, u kresu wędrówki przez błękitne otchłanie oceanu.

Odwiązali Mandingo od gretingu. Negr nie poruszał się, jedynie dygocąca spazmatycznie pierś pozwalała sądzić, że jeszcze żyje. Kiedy chwycili go za kark, długo nie mogli oderwać jego głowy od kratownicy. A gdy z ogromnym wysiłkiem podźwignęli ją w górę, Wharley zobaczył odcisnięty na miękkim drewnie głęboki,

wyraźny ślad zębów. Niewolnik wgryzł się w kratę, aby nie wydać z siebie głosu.

Szybko włożyli zmasakrowane, zakrwawione nogi w pętlę zwieszającą się z noku rei. Podciągnęli ciało w górę. Mandingo zakołysał się dziesięć stóp nad pokładem, zamajtał na linie powieszony ku przestrodze i nauce swych braci.

- Zagonić te małpy pod pokład! - zakomenderował Crow. - Zamknąć dom! Na dzisiaj wystarczy.

3. Co ma wisieć, nie utonie

- Massa William! Massa William!

Wharley z trudem rozwarł powieki ciężkie jak stutonowe głązy i poruszył się, wprawiając w drżenie hamak. Tuż obok stał Mubane - uwagi pierwszego oficera nie uszło, że oblicze niewolnika było szare ze strachu i błyszczące od potu, a może morskiej wody, bo wiał dobry wiatr i brygantyna kołysała się, rozcinając dziobem spienione fale. Negr wyglądał jak uosobienie nieszczęścia, niczym czarny z medaliku rozprowadzanego przez abolicjonistów. Jednak nie przyszedł, aby błagać o uwolnienie.

- O massa William! - zajęczał. - Straszna rzecz! Mandingo... Ten Mandingo... On...

- Mów jaśniej, do stu diabłów! Co z nim? Umarł?

- Gorzej, massa. Nie ma go... Znikł. Znikł z powroza.

Wharley złapał się za głowę. Nic nie rozumiał. Jaki Mandingo? Jaki powróż?

- Nie ma go! - lamentował Mubane. - Massa, co robić?

William przekręcił się w hamaku, spuścił nogi w dół, zeskoczył na pokład. Szybko wzuł buty, narzucił kaftan, chwycił szpadę.

- Idziemy!

Pokład był mokry od bryzgów piany z fal uderzających o burty, wilgotny wiatr wydymał płótna żagli. Był świt, wczesny poranek na Atlantyku, gdzieś

nieopodal portugalskich Wysp Zielonego Przylądka.

Wharley od razu skoczył pod fokmaszt, gdzie zgromadzili się marynarze kończący cmentarną wachtę. Spojrzał w górę, ku głównej rei, i... jego spojrzenie napotkało tylko postrzępiony koniec sznura kiwający się smętnie na noku. Ciało czarnego niewolnika, któremu bosman i Rowling połamali wszystkie członki za napaść na oficera, rzekłbyś - rozplynęło się w powietrzu. Jak to? I, do wszystkich diabłów, dlaczego?!

William rozejrzał się po pokładzie. Dom był zamknięty, zaś marynarze jak jeden mąż wpatrywali się w sznur.

- Kiedy to się stało?

- W nocy, panie Wharley - zameldował Atkinson, dowódca wachty. Ciemno było jak, z przeproszeniem, w rzyci u Negra. Aleśmy słyszeli, jak na sznurze się kiwał. Skrzypiało znaczy... Aż tu pod koniec wachty, kiedy się księżyc schował, naraz zrobiło się cicho...

- Myśmy zrazu myśleli, że nie słyszymy, bo morze szumi - uzupełnił drugi majtek. - Ale jak się rozwidniło, to zaraz patrzymy, a tu sam sznur został... Znaczy nie ma Negra.

- A może - rzekł blady Atkinson i przeżegnał się - może sam się urwał, piekielnik?

- Albo uciekł!

- Juści uciekł. Do Liverpoolu twoją starą chędożyć. Bosman i Rowling połamali go tak dokumentnie, że nawet sam diabeł w piekle nie poskłada tego czarnucha!

- Urwał się ze sznura półcalowej grubości? Z talii? Prędzej tobie się jaja oberwą jak taka lina.

- To co się z nim stało, na Boga?

Marynarze rozglądali się niepewnie.

- A ja wam gadam, kamraci, że to straszny Negr był - rzekł wolno Atkinson. - Klnę się na Pana, że kiedy pod nim przechodziłem, szczyrzył do mnie zęby i tańcował na stryczku.

- Jak tańcował? - syknął inny majtek. - Wypluń to słowo, brachu. Tańcować to my będziemy ze śmiercią na dnie oceanu!

- A jak się gdzieś na pokładzie chowa? - zapytał poblady Atkinson. - Panie Wharley, budzimy szypra?

William rozejrzył się bezradnie. W słabym blasku świtu widział blade oblicza marynarzy. Mubane siadł w kucki na pokładzie, objął nogi rękoma i aż dygotał na całym ciele, nie wiedzieć - z porannego chłodu czy ze strachu.

- To jak, budzić kapitana?

Wharley przygryzł wargi. Wyrwany ze snu bez powodu Crow potrafił być bardzo nieprzyjemny. Wolałby się spotkać z tuzinem rozwścieczonych Mandingo, niż poczuć na swej skórze gniew szypra. Chyba jednak nie było innego wyjścia. Tylko on mógł uśmierzyć strach i zlikwidować w zarodku pierwsze oznaki paniki wśród marynarzy.

- Mubane, budź Starego!

Murzyn zadudnił bosymi piętami po deskach. Wharley podniósł wzrok.

- Atkinson, spuście tę linę! Natychmiast.

Marynarze skoczyli do nagielbanku. Koniec sznura przewleczony kilkakrotnie przez talię podwieszoną na rei obok lewego brasa obniżył się, wreszcie dotknął pokładu. William obejrzał go w skupieniu. Gruby powróż nie był ucięty. Raczej pęknięty albo... Nie dopuścił, by straszne podejrzenie zakiełkowało mu w głowie, odrzucił je jak najdalej, bo przecież nie znajdował racjonalnego wytłumaczenia dla myśli, iż sznur być może został przegryziony mocnymi zębami.

- Do stu szankrowatych kurew! - Crow nadciągał niczym gradowa chmura. - Co tu się dzieje? Bunt?

- Mandingo... Urwał się ze stryczka. - Wharley pokazał kapitanowi urwany koniec sznura. - Był wisielec, nie ma wisielca, ot i zagadka.

Bernard wyrwał mu powróż z ręki. Obejrzał i zagwizdał cichutko.

- Negr uciekł, panie - wybełkotał Atkinson. - Uciekł nam z talii...

- Ten Mandingo był żywym trupem, kiedy go wieszaliśmy - warknął Crow. - A jeśli w to nie wierzysz, mogę zaraz przetrącić ci kulasy, abyś sam sprawdził, jak łatwo jest uciec z powroza, gdy nie masz władzy w rękach i nogach.

- A więc, mości kapitanie - zaryzykował pytanie Wharley - co stało się z jego ciałem?

- Zabrał je któryś z czarnych! Atkinson!

- Na rozkaz!

- Obudź bosmana i resztę! Mają natychmiast przetrząsnąć cały statek, poczynawszy od topu grotmasztu, a skończywszy na zęzie! Panie Wharley, proszę za mną!

Szybko dopadli do domu, pod którym w ładowni spało więcej niż dwustu stłoczonych niewolników. Wharley wolał nie myśleć, co działo się na międzypokładach. Wystarczyło, że spojrział na szczeliny, z których niczym z zawieszzonego nad ogniskiem kotła buchały miazmaty gorącego powietrza.

Crow sprawdził zamknięcie drzwi. Furta zaryglowana była na głucho, potężne sztaby zostały starannie założone na żelazne bolce i zabezpieczone łańcuchem. Kapitan odemknął klapę, przez którą podawano wiadra z ryżem, prosem i kukurydzianą mąką, gotowanymi z solonym mięsem i suszoną rybą, będącymi strawą w czasie podróży. Wharley spojrział w dół przez otwór, zobaczył luk, a niżej główną ładownię statku. To było jak przedsionek piekła. W nozdrza uderzył go potworny kwaśny odór setek spoconych ciał, ohydna woń ekskrementów i starych szczyń, tworząca ciężką, wilgotną mgłę, która zdawała się osadzać na twarzy, kaftanach i włosach. Aż zadygotał, kiedy uświadomił sobie, co musiało się dzieć w ładowni, podzielonej drewnianymi deskami na trzy ciasne podpokłady, z których każdy miał mniej niż trzy stopy wysokości. Pomiędzy te drewniane platformy włączano ściśniętych Negrów - osobno niewiasty i mężczyźni, aby nie gzili się w czasie morskiej podróży. Było tam tak ciasno, że doktor Thather musiał czołgać się w ciasnocie i zaduchu po mokrych ciałach niewolników, aby dotrzeć do chorego.

Crow zaklął melodyjnie, zdrowo, po żeglarsku, bo wszystkie okna i klapy w ścianach domu zaryglowane były na głucho. Ktoś wprawdzie mógłby się wydostać przez największy otwór w dachu konstrukcji, gdyby nie fakt, iż znajdował się on dokładnie nad głównym lukiem wiodącym do ładowni. Negr, który chciałby uciec tędy na wolność, musiałby pełzać po stropie pomieszczenia, czepiając się desek jak wiszący głową w dół nietoperz.

- Co teraz, panie? - zapytał Wharley, widząc próżne wysiłki kapitana.

- Gdy się rozwidni, zejdziemy do ładowni - rzekł Crow. - Każę bosmanowi i

naszemu doktorce przetrząsnąć wszystkie kąty, kiedy wygnamy czarny heban na pokład. A na razie... - zawiesił głos i podrapał się w brodę. - Na razie miejcie oczy szeroko otwarte, zrozumiano?!

- Tak jest, panie.

4. Czarna groza

Ciała Mandingo, który znikł z powrozu, nie znaleźli ani tego, ani następnego dnia. Choć bosman Schriften, Atkinson i specjalnie dobrana grupa marynarzy przetrzasnęli cały statek, pokład po pokładzie, Negr ulotnił się jak kamfora. Nie było go w ładowni, po której łazili wraz z doktorem Thatherem, nie znaleźli nawet śladu w kabelaży, w komorze prowiantowej i prochowej. Nie było go, rzecz jasna, także na forpiku i forkasztelu ani na bocianim gnieździe.

Crow awanturował się, twierdził, że bosman i kowal bili za słabo, że nie połamali widać Negrowi wszystkich kości, skoro zdołał urwać się ze stryczka i skoczyć do morza. Schriften i Rowling nie wiedzieli, co na to odrzec. Przecież kapitan był świadkiem, jak podnosili bezwładnego Murzyna, widział, jak jego kości trzaskały pod uderzeniami topora niczym wątle patyczki. Trudno było dyskutować ze Starym. Wszak Crow, kiedy chciał, zawsze miał rację.

Mijały kolejne dni, a Liberty szła kursem na północny wschód, coraz bardziej oddalając się od wybrzeży Afryki. W błękitnej morskiej dali za rufą rozwiały się Wyspy Zielonego Przylądka, znikły mewy i ptaki towarzyszące brygantynie. A potem dzień w dzień widzieli tylko morze i niebo, fale i obłoki, a za jedynych towarzyszy rejsu mieli delfiny baraszkujące w lazurowej wodzie nieopodal statku. Poza tym nie działo się nic szczególnego. Co rano Crow kazał otwierać dom, wypuszczał Negrów na pokład, niektórych przykuwał do burt, innym kazał grać i tańczyć. Czarny heban nie sprawiał żadnych kłopotów. Niewolnicy posłusznie dawali się wyprowadzać, jedli, co im dano, i nie protestowali, gdy pod wieczór

upychano ich w śmierdzącej ładowni. A jednak w ich zachowaniu było coś dziwnego. Wharley zauważył to już w kilka dni później. Negrzy należący do Mandingo nie pospolitowali się z pozostałymi czarnymi. Siadali zawsze osobno - zachowując co najmniej taki dystans do pobratymców jak członkowie Izby Lordów do angielskiego pospólstwa. Tańczyli także na uboczu, ale - rzecz dziwna - żaden z pozostałych Negrów nie wodził za nimi wzrokiem. Wręcz przeciwnie - wszyscy odsuwali się od Mandingo powodowani respektem, a może nawet strachem przed potężnymi wojownikami.

Cóż to był za taniec! I jak go opisać? Gibkie czarne ciała, natłuszczane co dzień przez Thathera i Atkinsa olejem palmowym dla ochrony przed słońcem, wirowały na deskach w magicznym transie, wyskakiwały w górę, przysiadły na piętach, aż trzeszczały deski pokładu Liberty. Te dziwne płasy w rytm uderzeń bębna zdawały się nie mieć końca. Jednak prawdziwym końcem krotchwili był moment, w którym zdyszani, wyczerpani Negrzy padali pokotem na deski, tarzali się po pokładzie, wyjąc i jęcząc w euforii.

Dziesiątego dnia od chwili, gdy afrykańskie wybrzeże znikło za rufą, Mandingo zaczęli śpiewać. Wykrzykiwali słowa w nieznanym języku, który - co ciekawe - nie był chyba znany pozostałym niewolnikom. Wharley widział, jak Susu potrząsali ze zdumieniem głowami, bezradnie spoglądali po sobie, nie wiedząc, o czym zawodzą tańczący.

A potem ktoś padł na kolana przed pierwszym oficerem, który z uśmiechem na ustach przyglądał się temu widowisku, stojąc obok sterowego koła na rufie statku. Ktoś ścisnął go dygocącymi rękoma za nogi, skłonił kędzierzawą czarną głowę...

- Massa William - zajęczał Mubane - o massa, źle się dzieje... Zginiemy! Zginiemy wszyscy.

- Hejże, cóżeś taki wystraszony? - mruknął Wharley. - Nie trzęś się, chłopie, jak osika! Mów, co się stało.

- Do kapitana, massa. My iść z tym do kapitana. Zaraz! Natychmiast!

- Do Starego? Po co?

Mubane przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa. Jego białe zęby szczękały jak kastaniety, ramiona dygotały z przerażenia, a oblicze przybrało barwę

popiołu. Tak wystraszonego Murzyna Wharley nie widział nawet na najgorszych targowiskach Południa, na których wystawiano na sprzedaż towar świeżo sprowadzony z Afryki.

- Ci czarni - wydyszał niewolnik. - To nie są Mandingo. Ja ich trochę rozumiem, massa. To Felupowie, źli czarni z Afryki. Oni śpiewają, na Damballacha... Śpiewają, że skoro księżyc będzie w pełni, zjedzą, massa... Zjedzą wielu białych ludzi!

Wharley stanął z rozdziawioną gębą, niczym słup soli. A potem spojrzał w górę, na przedwieczne niebo, z którego wiatr przegonił chmury. Księżyc już wschodził, żółty, wielki, zamglony. I, jakby na złowieszcze potwierdzenie słów Mubanego, prawie cała jego tarcza rozświetlona była blaskiem. Niedawno minęła pierwsza kwadra, wkrótce miała nadejść... pełnia.

- Zjedzą... białych, powiadałeś? Jak to?

- Oni mają między sobą obea, znaczy czarownika. On ściąga duchy. Złe duchy - Guede, które wejdą w ciała i zmieniają ich w bestie. Wtedy... Felupowie zjedzą... Całą załogę. Do ostatniej kosteczki. O massa! Co my teraz zrobimy? Co to będzie?

Murzyn już nie dygotał, ale po prostu w desperacji tłukł łbem w pokład, tarzał się u stóp Williama.

A pan abolicjonista Wharley zrazu uśmiechnął się wyrozumiale, gdyż w głębi duszy był także racjonalistą, a historie o ludożercach chował między bajki. Jednak gdy tylko spojrzał na szalejących na pokładzie Murzynów, kiedy zobaczył ich wyszczerzone zęby i złe czerwone oczy, cała rezolucja i pewność siebie uleciały zeń jak powietrze z przekłutego balonu. Mandingo, czy też, jak twierdził niewolnik kapitana - Felupowie, tańcowali, wieszcząc śmierć załodze Liberty. A to już było coś, obok czego nie mógł przejść obojętnie.

I po raz pierwszy poczuł William w swym abolicjonistycznym sercu zamiast głębokiego współczucia dla ofiar białego człowieka podstępny, zimny lęk.

Crow, sukinsynu, pomyślał, teraz musisz coś wreszcie zrobić z tym wszystkim. Jak najszybciej...

5. Kłopoty kapitana Crowa

- Chcecie powiedzieć, panie Wharley, że Adeleke mnie oszukał? I zamiast Mandingo sprzedał dzikich Felupów? Ludojadów?

Crow skrzywił się, czknął paskudnie.

- Wiesz, co ci powiem, Wharley? Idź na pokład, walnij się trzy razy łbem o reling. A jeśli to cię nie otrzeźwi, wróć tu i powtórz jeszcze raz to wszystko, co już powiedziałaś!

- Ja mówię prawdę, panie Crow! To ludożercy! Felupowie! Wcielone diabły! To oni zjedli tego czarnego, któremu połamaliście gnaty!

- Klnę się na czerep świętego Franciszka, że się mylicie, panie Wharley! Bo jeśli nie, to jak mi Bóg miły - kiedy następnym razem zawitam do Whydah, wyrwę Adelekemu rzyć na żywca i wsadzę tak głęboko w gardziel, że zacznie śpiewać psalmy we wszystkich dialektach znad dolnego Nigru!

- Chciałbym się mylić, panie Crow. Ale melduję, co powiedział mi Mubane. Zawiadamiam, iż macie szansę, panie, miast w poświęconej ziemi znaleźć wieczne odpoczywanie w żołądkach waszych własnych niewolników.

Crow przygryzł wargi. Wharley zadrżał, że szyper wpadnie we wściekłość, że będzie złorzeczył, a może nawet... podniesie rękę na swego pierwszego oficera. Ale kapitan Liberty nie był aż takim głupcem. Ktoś, kto zbił fortunę na czarnym hebanie z Afryki, musiał mieć głowę osadzoną na karku równie mocno, co grotmaszt w stępce wojennego okrętu.

- A więc, Williamie... - Wharley drgnął zaskoczony kordialnym tonem w głosie kapitana. Wszak nigdy jeszcze razem nie pili, nie mówiąc już o chędożeniu portowych ladacznic. - Co mam zrobić? Co radzisz, mości panie? Kupiliśmy, powiadasz, nie robotnych i posłusznych Mandingo, ale Felupów, dzikich i niebezpiecznych ludojadów. Cóż mam uczynić w tej sytuacji? Zamknąć ich pod pokładem? Czy może podać im potrawkę z naszego doktora, licząc na to, że padną od nadmiaru rumu, którego pełny zapas ten moczymorda nosi w swoim parszywym czerepie?

- Powinniśmy ich zamknąć... I odizolować od pozostałych czarnych do końca rejsu. Inaczej nie możemy być pewni nie tylko naszego zdrowia, ale nawet życia - dodał Wharley nieco ciszej. - Najlepiej byłoby jednak zawrócić... Do Afryki. I pozbyć się tych ludzi... Jak najszybciej.

- Chyba wam franca na mózg padła, panie Pierwszy - warknął Crow. - Aby pozbyć się tych czarnuchów, nie musimy wcale wracać do Whydah. Starczy, że wyrzucimy ich za burtę. Ale, do stu chędożonych biesów, ty chyba sam nie wiesz, co mówisz! Każdy z tych brudasów wart jest czterdzieści dobrych angielskich funtów! A może nawet więcej, bo właśnie zbliża się pora zbiorów trzciny cukrowej. Chcesz stracić swój udział? Chcesz puścić nas z torbami, panie Wharley? Doprawdy, kiedy cię słucham, myślę sobie, że albo jesteś jakimś szankrowatym abolicjonistą, albo twoją macę wyjebał czarny niewolnik z kutasem jak lufa karonady! Wiesz co, biedny prawiczku - wycharczał po ojcowsku - chyba każę wsadzić do twego hamaka którąś z tych czarnych laleczek, których wieziemy pół ładowni. Wejdiesz na nią, zrobisz co trzeba, a my pogadamy znowu, kiedy już staniesz się prawdziwym mężczyzną.

Wharley sam już nie wiedział, czy ma się obrazić i pognać po szpadę. Czy też może od razu rąbnąć pięścią w paskudne brodate oblicze kapitana? Nie cierpiał - to mało powiedziane - nienawidził owego okrutnika o czarnym sercu, sprawcy cierpień jego nieszczęsnych czarnych braci. Lecz z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że bunt i zamieszanie na pokładzie Liberty byłyby ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali ludzie stłoczeni na kilku jardach desek między błękitnym oceanem a prawie setką ludojadów. Którzy - w co nie wątpił nawet tak wielki abolicjonista jak Wharley - zdecydowanie przedkładali świeżą i parującą wątrobę nad mądre sentencje pana Jana Jakuba Russa, traktujące o równości wszystkich ludzi na świecie.

- Jeśli zamknę tych czarnych w ładowni do końca podróży - ciągnął Crow - połowa wymrze w ciągu dwóch niedziel. A reszta będzie wyglądać, jakby zdarto im na żywca skórę i posypano pieprzem. Za chorego i złamanego czarnucha nikt nie da w Ameryce nie tylko złamanego funta, ale nawet jednej parszywej, oberżniętej gwinei!

- Jeśli nasi ludzie dowiedzą się, kogo mamy na pokładzie, mogą porzucić statek i choćby na środku oceanu przesiąść się do szalupy. Obawiam się, że trudno

wówczas będzie nam dotrzeć na Antyle.

- Trzymajcie głowę na kłódkę, panie Wharley, jeśli idzie o ludojadów - mruknął kapitan. - A gdyby ludzie szemrali, rozdajcie im broń. Co zaś do czarnych, tedy nie myślę pozbywać się tak zacnego towaru. Ostatecznie dopóki wyjadają się nawzajem, możemy odżalować tych paru Negrów. Za samych Felupów dostaniemy w Luizjanie tyle, że zyski pokryją nam straty z nawiązką...

Ktoś załomotał do drzwi kapitańskiej kajuty. Walił w deski raz za razem, jakby właśnie dostał ataku paniki.

- Do stu diabłów?! - ryknął Crow. - Co się dzieje?!

Drzwi otwarły się. Na progu stał blady, drżący jak osika Atkinson.

- Paaaanie... Kapitanie... Thather... No, doktor... Doktor znikł.

Crow zacisnął dłonie w pięści.

- Zdaje się, że zebrałem cały rum ze statku - warknął - i schowałem w zęzie razem ze szczurami, w miejscu, do którego ten stary kirus nigdy nie wsadzi swego parszywego nosa. Jakim cudem wywąchał go tak głęboko pod pokładem?

- Panie kapitanie - jęczał Atkinson - Thather nie jest pijany. On po prostu znikł! Nie ma go!

- E tam - schlał się i leży na forkasztelu. Albo w kabelgacie. Znam tego szelmę jak zły szeląg.

- Jak może być na forkasztelu, panie? Jak może leżeć w kabelgacie, skoro on poszedł... Poszedł dziś rano do chorego Negra. Do ładowni. I do tej pory nie wrócił!

- Co takiego?!

- Był w ładowni... Wszedł do domu. I już nie wrócił.

Crow spojrzał chmurnie na Wharleya, zmarszczył brwi.

- Obudź Schriftena! Niech weźmie pięciu ludzi, przetrząśnie całą ładownię i znajdzie tego pijaka.

- Bosman już czeka, panie.

- Do diabła... Zaraz. Pójdziemy tam wszyscy i wyciągniemy Thathera choćby z paszczy czarta. Atkinson! Mubane!

- Tak, kapitanie!

Crow zerwał z szyi dwa żelazne klucze.

- Otwórzcie komorę prochową i składzik! Przynieście broń dla wszystkich! Sztucery, strzelby, pistolety. Rozdajcie załozce kule i prochy. Nim minie jedna szklanka, spotykamy się wszyscy na śródokręciu. Ruszać się, francowate murwy!

Opanowany głos Crowa otrzeźwił marynarzy lepiej niż kubel wody wylany na łeb pijanicy. Nawet Atkinson przestał się trząść.

Wharley skoczył do mesy oficerów. Odemknął wieko kufra, pogrzebał w nim chwilę; znalazł ciężkie, płaskie, inkrustowane złotem puzdro. Podźwignął je z trudem i położył na deskach pokładu. Kiedy podniósł wieko, zabłysła stal. Wahał się przez chwilę, jednak po namyśle wyciągnął z wyściełanej aksamitem przegródki smukły skałkowy sztucer myśliwski i dwa dwulufowe pistolety. Porwał róg z prochem i woreczek z kulami. Starannie wbił do wszystkich pięciu luf ładunki, sypiąc najpierw proch, a potem przybijając stemplami owinięte w papier kule. Zasadził pistolety za pas, zarzucił sztucer na ramię i skoczył do rufowej schodni.

Pokład przywitał ich lekkim wiatrem, czerwoną łuną zachodzącego słońca, ledwie słyszalnym szumem fal. Liberty mknęła na północny zachód pod pełnymi żaglami, jak gdyby do masztów zaprzęgnięto ponad pół tuzina srebrzystych obłoków. Zgromadzili się tu prawie wszyscy - kapitan, pierwszy oficer, bosman, kowal, żaglomistrz i dziewięciu majtków.

Dziewięciu... Wharley właśnie uświadomił sobie, że pod pokładem mieli ponad dwie setki Negrów, podczas gdy cała załoga brygantyny liczyła razem z kapitanem i lekarzem ledwie piętnastu chłopca. Co oznaczało, że w przypadku buntu wypadało przynajmniej po czternastu czarnych na jednego białego...

- Za mną! - zakomenderował Crow.

Szybko przemknęli w stronę domu. Sprawdził drzwi - były starannie zaryglowane. Wszyscy czarni zeszli już z pokładu, aby położyć się spać w ścisłości i ciasnocie.

- Schriften! Bierzecie pięciu ludzi i zostajecie na straży! Panie Wharley! Wszyscy za mną! Wchodzimy do środka.

Oficer wpatrzył się zamglonym wzrokiem w szczeliny i dziury w dachu budowli. Widział, jak uchodziła z nich para i smrodliwe opary. W duszy przeżegnał się, bo aż za dobrze wiedział, co ich czekało.

Brzęknęły zasuwki. Crow otworzył drzwi i pierwszy zagłębił się w ciemność razem z Atkinsonem trzymającym zapaloną latarnię. Wszedł na schody i ruszył do ładowni.

Wharley poczuł lodowaty chłód w sercu, kiedy przestąpił próg. Wewnątrz panowała potworna duchota, smród potu, odór niemytych ciał, łajna i zastarzałych szczyń. Tak było zawsze, bo chociaż czarnym dawano kilka drewnianych wiader na małe i duże potrzeby, wielu z nich wypróżniało się tam, gdzie spali. Żołądek podszedł abolicjoniście do gardła, język puchł, pęczniał w ustach, pot ściekał strugami po szyi.

Ale najgorsze miało jeszcze nadejść.

Walcząc z nudnościami i zawrotami głowy, zszedł na sam dół piekła, w które zmieniło się wnętrze Liberty. Na niskich międzypokładach, wprost na gołych deskach, leżeli przytuleni do siebie, zalewający się potem, łapiący powietrze rozwartymi szeroko ustami czarni niewolnicy.

- Panie Wharley! - wycharczał w potwornym smrodzie i zaduchu kapitan. - Wy - wskazał Atkinsona i Collacka - idziecie z nami na dziób! Tym pokładem. - Klepnął w deski środkowej przegrody. - A wy - zwrócił się do żaglomistrza i trzech pozostałych majtków - dymajcie na rufę! Szukajcie każdego śladu Thathera. Miejcie oczy szeroko otwarte.

Crow pierwszy wszedł na środkowy międzypokład. Wharley, Collack i Atkinson poszli w jego ślady.

To było jak droga do czyśćca. Nikt nie mógł wyprostować się w ciasnocie. Posuwali się zatem wolno, na kolanach, gniotąc śliskie od potu, błyszczące ciała ściśniętych do granic możliwości Negrów, deptając im po nogach i plecach, roztrącając niewolników. Raz i drugi Wharley poczuł, jak jego kolano pogrąża się w czymś miękkim, rozmazanym na deskach, i z trudem zmusił się do myśli, że był to bąbel rzygowin, a nie łajno Negra. Zaduch był tak potworny, że prawie nic nie czuł i jeszcze mniej widział. Ze wszystkich stron otaczała ich gorąca mgła złożona z potu, pary i wyziewów dwustu rozgrzanych ciał, ustępująca niechętnie przed migocącym światłem latarni. Negrzy, po których stąpali, piszczeli, ryczeli, krzyczeli. Wyrwani ze snu, próbowali gryźć i kąsać, miotali się na deskach, szlochali, łapali białych za ręce i

nogi. Chwyтали za poły surduta, za marynarskie pasy i koszule, a czasem podnosili się, aby wykrzykiwać im wprost w twarze słowa, których znaczenia Wharley nawet się nie domyślał.

A jednak Crow i jego ludzie szli dalej, szukając w piekielnym kłębowisku czarnych jakiegoś śladu doktora. Przedzierali się przez międzypokład niczym przez rozedrganą dżunglę - parującą pełną splątanych kształtów, duchów i widm. Byli w beznadziejnym położeniu. Wharley doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że jeśli nagle przyjdzie im zmierzyć się z tłumem niewolników, ci rozszarpią ich szybciej, niż pustynny wilk dobija ranną antylopę, a strzelby i pukawki nadadzą się może tylko do tego, aby oszczędzając dalszej męki - strzelić sobie w łeb. Wharley poczuł, że odór tego miejsca przesiąka go na wskroś, osadza się gęstym, tłustym nalotem na ciele i ubraniu. Nie czuł już smrodu ani mdłości. Jego nozdrza były twarde jak gład, a gardło przypominało wygasły wulkan.

A potem zamarł, bo wśród wilgotnej, parującej mgły, ograniczającej pole widzenia do kilku kroków, pomiędzy splątanymi ciałami zabłysło coś metalicznie. To nie był gwóźdź ani bretnal... To nie była ozdoba na ciele niewolnika. Wharley popęzł w tamtą stronę, rozepchnął czarnych, zawadził kolanem o gwóźdź sterczący z pokładu i rozdarł sobie jedwabną pończochę pokrytą łajnem, brudem i - strach pomyśleć czym jeszcze. I wreszcie, odsunawszy na bok rosłego Negra, zobaczył, co leżało na środku pustej przestrzeni, obok miejsca, w którym przez śródpokłady przechodziła kolumna fokmasztu brygantyny.

To był trzewik... Czarny, ozdobiony srebrną klamrą, starty od częstego chodzenia po pokładach okrętów, pokryty zaschlą krwią. A najciekawsze, że w trzewiku wciąż tkwiła stopa, kończąca się złamaną, sterczącą, nie do końca odartą z mięsa kością, jakby ten, kto ogryzał goleń, porzucił ją, kiedy w trakcie uczty dotarł do twardej i łykowatej skóry buta...

Wharley krzyknął. To był trzewik doktora Thathera...

Crow i Atkinson przepchnęli się ku niemu. William dojrzał rozdygotane ze strachu oblicze marynarza, chłodny, spokojny wzrok kapitana.

- Thather - jęknął, wskazując ponure resztki doktora. - Zjedli go... Panie, miej nas w opiece!

- Zamknij się! - warknął kapitan. - Do stu fur chędożonych diabłów! Który ośmielił się to zrobić?

- Oni - wycharczał Wharley wiedziony instynktem zaszczutego szaraka. - Oni tu są! Czuję to...

Jak na komendę w ładowni zagrzmiały bębny. Zawarczały z ogromną siłą, jak gdyby piorun uderzył w top grotmasztu.

Z tyłu spomiędzy spoconych, splątanych ciał Negrów wyskoczył czarny kształt znaczony białymi pasami, wpadł im za plecy, porwał za nogi Collacka, pociągnął w wilgotny, śmierdzący mrok ładowni. Otaczający ich niewolnicy wrzasnęli ze strachu, poczęli wyc, rzucać się, gryźć i skamleć. Lecz William dostrzegł przez ramię, jak dalej, w ciasnocie i zgiełku, do krzyczącego, zaskoczonego marynarza przyskoczył drugi mroczny awatar, porwał go za rękę, wciągnął w gęstwinę nagich ciał, zakrył przed wzrokiem pierwszego oficera.

- Łaaaaaski! - zawył Collack. - Jezu Chryste, bracia, ratujcie...

To chyba nie było skierowane do białych kompanów z załogi Liberty, bo kapitan, Wharley i pozostali marynarze nie mogli przez chwilę rozeznąć się w zamęcie, gdzie strzelić i komu biec na ratunek. Wharley wrzasnął, gdy spośród kłębiących się ciał wyprysnął rosły, czarny jak noc Negr z białym wizerunkiem czaszki wymalowanym na obliczu i skoczył do oficera, rozwierając olśniewająco białe zęby.

Felup! Ludojad. Wharley wrzasnął jeszcze raz, porwał za sztucer, chcąc strzelić tamtemu w łeb. I popełnił fatalny błąd. Po pierwsze, broń była zbyt długa, po drugie, zamiast obrócić ją płasko w stronę napastnika, szarpnął w górę. Lufa miała nieco więcej niż trzy stopy długości. Zaklinowała się między stropem a pokładem!

Ludojad wpadł na Wharleya, porwał za lufę, jak gdyby wiedząc dobrze, że biały pan i władca pozbawiony grzmiącego kija stanie się tylko tchórzliwą kupą przerażonego mięsa. William spanikował po raz drugi, prawie padł pod przemożnym ciężarem, a jego palec ugiął spust. Huk strzału był tak silny, że omal nie urwał mu głowy. Kłęb dymu spowił ich na krótką chwilę. A zaraz potem potężne uderzenie zważyło pierwszego oficera na deski. Kolejny cios obrócił go na bok. A w kłębach prochowego dymu Wharley dojrzał nad sobą rozdziawioną do krzyku gębę

Felupa.

W ostatniej chwili zasłonił się łokciem, chwycił za rozczapierzone palce mierzące w oczy. Z rozpaczą uderzył kolanem w brzuch niewolnika, poprawił jeszcze raz i jeszcze. A wówczas poczuł, że inny ludojad chwyta go za lewą rękę, czyjeś dłonie szarpią za łydki i golenie... Wloką w głąb ładowni, na dziób, pod forkasztel, gdzie grzniały głucho bębny.

Piekło ustąpiło miejsca Sądowi Ostatecznemu, zmieniając niczym w diabelskim apokryfie ustalony porządek rzeczy. Felupowie, dotąd ukryci wśród pozostałych niewolników, rzucili się na ludzi Crowsa ze wszystkich stron.

Ale kapitan nie modlił się, nie łkał i nie odmawiał paciorka. Wyrwał zza pasa pistolet, strzelił w łeb najbliższemu z Negrów. Błysk przeorał ciężką zawieszinę oparów, huk niczym grzmot pioruna przemknął po wszystkich pokładach, budząc trwogę i przerażenie czarnych niewolników. Ale nie wzbudził bynajmniej grozy wśród ludojadów!

Kapitan chwycił dymiący pistolet za lufę, jednym ciosem strzaskał ramię Murzyna, który już, już chwytał go za lewy nadgarstek, odrzucił wystrzelony oręż, porwał za nóż i nim ludojad zdołał zakłapać białymi zębami, zatopił go raz i drugi w czarnym ciełe.

Podniósł się ryk, gdy Felup zwałił się na deski, tryskając czarną posoką na wyjących, płaczących, śmiejących się i tratujących w panice Negrów. Crow podniósł głowę, potoczył przekrwionym wzrokiem po poboju.

- William! Wytrwaj, synu czarta! - zaryczał. - Idę po ciebie!

Wharley trzymał się już tylko resztek sarkazmu i swojej fantazji, bo prawa i mądrości mistrzów abolicjonizmu w jednej chwili wyparowały mu z głowy. Oficer młócił powietrze wolną nogą. Oswobodziwszy cudem rękę, zmacał za pasem pistolet, o którym w panice nawet nie pomyślał, szarpnął za rękojeść, nacisnął na spust i...

Zapomniał odwieść skalkę!

Zaryczał, szarpnął się, dławiał krzykiem. Ale Crow zjawił się obok niego niczym duch. Jednym ruchem podniósł pistolet i strzelił. Błysk oślepił na chwilę Williama, a kiedy zamrugał piekącymi powiekami, dojrzał krew sikającą z ciała

rosłego Felupa.

- Na zdrowie, czarny czorcie! - ryknął kapitan. Nóż w jego ręku błysnął, wbił się w ciało kolejnego ludojada, zaświstał, przecinając ścięgna, rozchlastał szyję.

Ostatni z wrogów zgiął się wpół, szarpnął za nogi Williama, powlókł w mrok, gdzie czały się następne cienie kanibali.

Kapitan nie dał za wygraną. Chwycił za ręce pierwszego oficera, szarpnął raz, drugi, trzeci, stęknął, wyteżając wszystkie siły. Wharley jęknął, poczuł się niczym święty pański w rękach pogan, którzy za chwilę mieli rozerwać go na sztuki i przyprowadzić mu męczeńską koronę. Targnął rozpaczliwie nogami...

Lecz Crow wygrał. Wyrwał go z rąk ludojadów, przeciągnął do światła latarni trzymanej w drżących rękach Atkinsona.

- Zabieraj dupę w troki! - krzyknął do majtka. - Dalej! Cofamy się do luku.

Podobny mrocznej bestii czarny skoczył marynarzowi na plecy. Ten wrzasnął, lecz nie wypuścił latarni. Paskudny łeb Negra z wymalowaną na obliczu podobizną czaszki opadł w dół, białe zęby zwarły się na barku marynarza Liberty, wgrzyły się w żywe mięso z okrutną chciwością.

- Ratujcie, kamraty! - zawył majtek. - Kapitanie, ja...

Coś ciężkiego obciążało rękę Wharleya. Pistolet! To był nabity pistolet! W jednej chwili oficer podrzucił go w górę, odciągnął skalkę, przystawił do pomalowanego białym wapnem łba, a potem pociągnął za spust.

Atkinson krzyknął. Jego głos zlał się z hukem wystrzału. Wharley oderwał zakrwawiony łeb Negra od zmasakrowanego ramienia majtka, pchnął bezwładne ciało. Zakotłowało się obok nich - kątem oka dostrzegł nagie ciało kolejnego kanibala i niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wypalił w jego stronę z drugiej lufy.

Kapitan pociągnął go za sobą. Wycofywali się w stronę luku, depcząc i kopiąc rozszalałych, krzyczących Murzynów, torując sobie drogę nożem i kolbami pistoletów, wlokąc zakrwawionego, oszołomionego Atkinsona. I wreszcie, po chwilach dłuższych niż całe wieki cierpienia, dostrzegli wątlą smugę blasku z odsuniętego gretingu.

Bębny... Bębny wciąż warczały na dolnym pokładzie ładowni. Wharley nie wiedział, co stało się z marynarzami wysłanymi na rufę. I nie chciał wiedzieć! Nie

dziś, nie w takiej chwili. Nie teraz! Słyszał wrzaski i krzyki mieszające się z płaczem i złorzeczeniem czarnych, ale nie zwracał na nie uwagi. Kapitan niemal siłą wepchnął go na drewniane stopnie. Porwał Atkinsona za rękę, pociągnął za sobą na górę. Co tchu wbiegli na górny pokład, roztrącili kilku szlochających, przerażonych Negrów. A potem załomotali w drzwi domu.

- Otwierać! - zakrzyknął ochryplym głosem kapitan. - Schriften, brachu! Otwieraj, do kurwy nędzy! Wpuść nas, proszę, proooszszz...

Brzęknęły odsuwane rygle, w szparze zamajaczyło blade oblicze bosmana.

Kapitan nie czekał. Uderzył barkiem w deski, odepchnął Schriftena, pierwszy wypadł z domu, ciągnąc za sobą oficera i broczącego krwią majtka.

- Gdzie pozostali? - jęknął bosman.

- Zamknij te przekłete drzwi! - warknął kapitan. - Oni już w piekle! Już im nie pomożemy!

Bosman zatrzasnął furkę, zarygłował i zadygotał.

- Bunt! - rozdarł się Crow. - Mamy bunt niewolników na pokładzie. Mubane!

- Tak, panie!

- Idź do składu i przynieś nam całą broń! Wszystkie strzelby i pistolety co do ostatniego. I od razu nabij je kulami.

- Co teraz? - jęknął Schriften. - Co robić?!

- Zarygłować klapę i wszystkie okna w domu! - zagrzemiał kapitan. - Przy każdym postawić uzbrojonego człowieka! Jeśli któryś z Negrów wychynie z ładowni - strzelać bez ostrzeżenia.

- Co dalej, panie?

- Nie dawać czarnym jeść ani pić. Ani kropli. Zasłonić otwory w domu, aby nie przedostała się woda, gdyby spadł deszcz.

- A potem?

- Trzy dni. Tyle powinno wystarczyć. Nawet jeśli te diabły będą pić własne szczyny, powinny opaść z sił. Potem wejdziemy tam z bronią i... - zawahał się. - Zabijemy każdego Nebra, który spróbuje stawić nam opór. Trzy dni, Schriften!

Bębny wciąż grały pod pokładem.

6. *Bębny pod pokładem*

Bębny ucichły dopiero następnego dnia pod wieczór. Przez cały czas Crow, Wharley i reszta załogi słyszeli dochodzące z ładowni krzyki, jęki, a ostatniego dnia - już tylko zawodzenia przerywane trzaskami pękającego drewna i dziwnymi łomotami. Cisza, która później nastąpiła, okazała się wszakże o wiele bardziej przerażająca. Paskudne odgłosy pozwalały choć trochę domyślać się, co dzieje się pod pokładem - Wharley wyteżał całą swoją imaginację, a jego umysł, rozluźniony z kajdan abolicjonizmu, a przy okazji wyzwolony z przyciasnej klatki naturalizmu, podsuwał mu coraz gorsze i coraz bardziej niesamowite podejrzenia. A więc że czarni wyjadają się nawzajem, że Felupowie urządzili polowanie na swoich ziomków. Że niszczą ładownię, starając się dobrać do zęzy, na koniec zaś - iż miotają się po deskach, konając z pragnienia.

Trzeciego dnia w południe nadeszła wreszcie chwila na konfrontację z czarną rzeczywistością. Crow wydał majtkom dodatkową broń - każdy z nich uzbroił się w parę pistoletów, strzelbę lub sztucer. Mubane nabił jeszcze trzy flinty, po czym obwiesił się bronią jak murzyński bożek ofiarami, robiąc w ekspedycji do ładowni za kroczący arsenał mający w razie kłopotów szybko i sprawnie podawać nabitą broń marynarzom.

- Wchodzimy w kupie! - zagrział Crow. - Nie rozbiegać się, nie odchodzić! Strzelać do wszystkiego, co się rusza. Kto wypali, ten zaraz nabija broń, a pozostali stają mu za plecami i osłaniają. Jeśli nie będzie czasu na nabijanie, brać strzelby od czarnego! Ruszać się!

Jednym krótkim, zdecydowanym ruchem odciągnął zasuwę w drzwiach domu - tak silnie, że żelazo zabrzęczało żałośnie. Crow odsunął pozostałe rygle; szarpnął drzwi i pierwszy zstąpił do piekieł.

Wharley poszedł za nim, przełamując strach. Pomimo niepewności był ciekaw, co takiego znajdą w ładowni.

We wnętrzu panował zaduch. Śmierdziało potem, brudem i łajnem, a także wonią, której wcześniej tu nie zauważył. Poczul ze zdumieniem, że wnętrze ładowni cuchnęło niczym... stary, zepsuty pudding albo francuskie ciastko przechowywane zbyt długo na słońcu. Lecz gdy zbliżył się do zejściówki, gdy zobaczył poszarzałe oblicza marynarzy i kapitana, zrozumiał, że się pomylił. Słodkawa woń była znakiem psującego się ludzkiego ciała, brała się ze zgniłego mięsa, które gdzieś pod pokładem musiało zalegać w dużych ilościach. Włosy stanęły mu dęba pod kapeluszem, kiedy pomyślał, co musieli wyczyniać Felupowie pozostawieni sam na sam z ponad setką czarnych niewolników.

Crow potrącił metalowy przedmiot, który z brzękiem stoczył się po drewnianych stopniach.

- Oż końską pytą chędożona szankrowata mać! - warknął kapitan, rozpoznając żelazną obręcz. - Uwolnili się z kajdan. Przyjdzie nam nad nimi dłużej popracować!

Wharley pokonał w ciszy szesnaście stopni wiodących do ładowni ciemnej jak samo dno piekielnej otchłani. Odór rozkładającego się ludzkiego ciała dławiał mu dech w piersiach, wysuszał gardło, ścisnął żołądek w żelaznych cęgach nudności. Któryś z majtków nie wytrzymał - zgiął się wpół, objawiając niewesołą prawdę o wartości i kolorze marynarskiego jedzenia, inny modlił się, szlochając. Nawet twardy jak skała Crow zasłonił nos rękawem kapitańskiego surduta.

A potem stanęli na dnie ładowni, Wharley jęknął; ktoś krzyknął, inny rzucił się do ucieczki, zatrzymał po kilku krokach, odwrócił niepewnie, chcąc chociaż po raz ostatni spojrzeć na to, co roztaczało się wokół nich.

Mieli na co patrzeć. Bo w środku nie było już śmierdzącego, zanieczyszczonego ludzkim łajnem pokładu brygantyny. Z desek międzypokładów, ze starych beczek, sieci i lin wyciągniętych z kabelgatu czarni wzniesli w kadłubie statku osadę ludojadów, rozbierając niewolnicze deki pomiędzy głównym stropem a zęzą. Wharley widział dziesiątki zaostzonych pali, oglądał odsłonięte wręgi statku, zaciosane niezdarnie w kształty przypominające oblicza diabłów i demonów; kolumnę fokmasztu uformowaną w postać ogromnego totemu, z której szczyt na nich zęby okrutny, ochlapany krwią bożek o głowie przypominającej łeb krokodyla.

Tu i ówdzie płonęły niewielkie kaganki. W ich rozedrganym czerwonym

blasku dostrzegał wbite w dolny pokład paliki dźwigające liny i sieci, do których przywiązano resztki ludzkich szczątków - oderwane nogi, ręce, stopy. Pianki pod totemem były czarne od krwi - rzucano tam bowiem na ofiarę mrocznym bogom odcięte lub oderwane od kadłubów głowy. Pomędzy kilkoma łbami Negrów Wharley dostrzegł z przerażeniem martwe gęby Collacka i innych członków załogi, porwanych przed trzema dniami w ładowni i żywcem zjedzonych przez Felupów. Znad szczytów chat i szałasów szczyrzyły do nich zęby ludzkie czaszki, pod nimi widniały białe piszczele ozdobione pękami włosów, dziwne znaki wyryte w drewnie lub nakreślone brunatną krwią...

A pośród tego wszystkiego, jak jadowite robactwo na ciele kilkutygodniowego nieboszczyka, wili się czarni Felupowie i ich pobratymcy. Wharley dostrzegł od razu, że wrogowie zmusili do przejścia na swoją stronę wszystkich Negrów na pokładzie, bo między potężnymi ciałami ludojadów dostrzegał nawet drobniejszych i smuklejszych Bap i Susu, których Crow kupił za kilka postawów płótna i perkalu na wybrzeżu Dahomeju.

Negrzy, a właściwie, do kroćset, jacy Negrzy?! Krwiożercze bestie, które uctowały ciągle między szałasami - spostrzegły ich od razu. A wtedy zabiły bębny, wystrzeliły w górę płomienie. Wharley poczuł, jak wszystkie spojrzenia ludojadów skupiają się na ich nielicznej grupie - jak dzicy pokazują ich sobie rękoma, podrywają na nogi, odrzucając kości z resztkami mięsa, chwytają kościane noże i maczugi...

Co robić, co czynić, na Boga! - zaskowyczał jakiś głos w jego naturalistycznej duszy. Wbrew obawom odpowiedź na tę filozoficzną kwestię była krótka i godna pióra samego Woltera.

- Strzelać! - ryknął Crow. - Ognia, do wszystkich chędożonych diabłów!

Wharley zniżył strzelbę. Wygarnął prosto w pierś rozpędzonego czarnego, który gnał na nich, dzierżąc w prawicy ogromną kość udową, a właściwie całą ludzką nogę zwieńczoną stopą, okrytą pończochą, obutą dodatkowo w skórzany but ze srebrną klamrą. Zdaje się, że była to noga okrętowego żaglomistrza. A potem dali ognia wszyscy majtkowie z Liberty. Wystrzały zabrzmiały niczym grom. Błysk przeorał kłębowisko czarnych; skrwawione ciała zatrzepotały na deskach niczym ryby wyrzucone na brzeg; chmura siwego dymu prochowego na chwilę przesłoniła

cały świat.

- Nabijaj!

Wharley rzucił precz strzelbę, wyrwał zza pasa pistolety. Z prawej przyskoczył doń rosły Negr z nosem i uszami poprzekłuwanymi ludzkimi kośćmi. Oficer wypalił mu w łeb z prawej ręki. Podrzucił do góry lewą i jednym strzałem powalił kolejnego kanibala.

Zakotłowało się wokół nich, słyszeli wrzaski, jęki, wycia, zawodzenia. Tamtamy były ze zdwojoną siłą, a czarni, zamiast pierzchnąć na widok wystrzałów i broczących krwią kompanów, wpadli na nich jak stado rozpedzonych bawołów. Crow wrzasnął, zaryczał gniewnie; porwał za topór, zamachnął się, ciął raz i drugi, rozwalił ramię i łeb Negrowi, który runął nań z nożem w rękę. Pochwycił w prawą dłoń pistolet od Mubanego, odciągnął lewym przedramieniem skalkę, a potem strzelił w łeb Murzynowi zwartemu w walce z najbliższym majtkiem, skoczył na kolejnego, krzycząc do niewolnika, by rzucił mu broń...

Wharley strzelił znowu - wszak każdy z jego pistoletów miał dwie lufy. Zachował ostatnią kulę na później, zasadził pistolet za pas i porwał się do szpady. Ogromny czarny diabeł umazany krwią, z białą czaszką zawieszoną u pasa, na której wciąż jeszcze zachowały się przyklepione ludzkie kudły, wpadł nań w chwilę później. Oficer uchylił się, pchnął prostym, idealnym pchnięciem z wypadu, wbił dwie stopy ostrza w brzuch tamtego i... nie wyciągnął broni, bo Murzyn zwałił się na pokład, pociągnął za sobą ostrze, a tym samym wyrwał rękojeść szpady z dłoni abolicjonisty.

Grupa białych rozpierzchła się atakowana, rwana, kāsana, rozdzierana. Ktoś zawył, kiedy przewrócono go na deski, powleczono za włosy w kąt ładowni, inny padł, gdy dostał kościaną maczugą w kark, ani zipnął, kiedy czarny wpakował mu ostrze kościanego sztyletu prosto między żebra.

Nie mogąc wydobyć szpady, Wharley porwał wystrzelony pistolet za lufę, walił z całych sił, rozdając ciosy równie szczodrze jak niegdyś datki na wykupienie nieszczęsnych Negrów z niewoli. Wnet dostał czymś twardym po ramieniu, rosły Felup uczeplił się kościanej rękojeści broni, przygiął oręż ku ziemi, a wówczas William przytknął mu lufę drugiego pistoletu do łba, strzelił z przystawienia. Czerep trzasnął, pękł na kawałki, gdy kula rozłupała kości czaszki. Czarna krew trysnęła

prosto w oczy; pierwszy oficer cofnął się, potknął, byłby upadł, ale ktoś chwycił go za ramię, przytrzymał w ostatniej chwili przed upadkiem. Schriften... Bosman Schriften...

Jak zwykle uratował ich Crow. Kapitan rąbał toporem, ciał pałaszem, rozwalając łby i karki czarnych kanibali. Nadludzką siłą wywlókł z kłębowiska Wharleya i Atkinsona, pchnął w stronę zejściówki, osłonił ich odwrót. Przebijali się do światła, walcząc jak szaleńcy, tnąc toporami. Bosman porwał broń z ręki Mubane. Strzelił, kładąc trupem Negra, który zastąpił im drogę. Wharley puścił się po schodach na górę, pokonał stopnie jak we śnie, przekroczył próg domu wraz z bosmanem. Za nimi wbiegł dający ostateczny odpór Crow.

Wharley wypadł na pokład, runął na kolana, zakrwawiony, wyzuty z sił. Zajączał głośno, a wtedy Schriften chwycił go za ramię, postawił ślaniającego się na nogi...

- Drzwi do domu! - zaryczał. - Drzwi, panie Wharley...

- Zamykajcie! - jęknął Crow, odbijając styliskiem topora cios zadany drewnianą maczugą z desek pokładowych Liberty. - Zawrzyjcie to kurewstwo!

W ostatniej desperacji rzucili się do furty. Crow cofnął się, chwycił rygle, a jego kompani napaarli na deski. Drzwi przesunęły się, uderzyły z łoskotem we framugę... Nie! W ostatniej chwili czarne ramię wsunęło się w szczelinę! Zablokowało wejście.

- Kurwa mać chędożooooona! - zawył Crow. Jednym ciosem topora odrąbał rękę w łokciu. Czarny zawył, zajazgotał. A wówczas ze szczeliny między framugą a drzwiami wysunęło się kilkanaście czarnych ramion, palców, łokci. Wharley załkał. Nie mogli zamknąć drzwi... Nie byli w stanie zabezpieczyć domu!

- Pchajcie, dziwki! - zawył Crow. - No juuuuuuż!

Całym ciężarem rzucili się na drzwi. Pchali, bili, uderzali w nie ramieniem z całych sił, w ostatniej desperacji. Kanibale napierali z drugiej strony; deski zadygotały, poczuli, jak ze środka sypią się gwałtowne uderzenia.

- Trzymać! Trzymać - wycharczał Schriften. - Nie dajcie im wyjść, chłopy!

Crow w desperacji oderwał się od nieheblowanych desek. Obrócił topór obuchem do drzwi i począł walić raz za razem, tłukł, masakrował czarne ręce przeciskające się przez szczelinę, uderzał z rozpaczliwym zamachem, bił z całych

sił...

A potem deska pękła z trzaskiem, złamała się pod rozszalałą furia pokładowego topora. Silne ramiona buntowników wyrwały ją do reszty, w szparze zamajaczyły paskudne, umazane krwią oblicza Felupów. Drzwi zatrzeszczały wyłamywane z zawiasów, a Wharley wiedział już, starczy chwila piekielnego naporu, a rozlecą się w kawałki. Z wnętrza ładowni słyszał wrzaski nacierających kanibali, czuł, jak mdleją mu ręce przytrzymujące furtę... Do diabła, do kroćset! Nie mieli gdzie się schować.

- Nie utrzymamy drzwi! - zaryczał Crow. - Za mną na rufę! Do kasztelu! Puszczamy i odskakujemy... Raz! Dwaaaaaa!

Na trzy umknęli spod drzwi niczym spłoszone zające. Czarni runęli na pokład; cisnęli się za nimi hurmem, przeskakiwali przez próg...

- Biegnij! Biegnij! - ryczał bosman, rwąc jak zając ku drzwiom do rufowej nadbudówki. Porwał za rękę Wharleya, a Crow znowu osłonił ich odwrót - wypalił z dwóch pistoletów prosto w największą cizbę kanibali, a potem skoczył za uchodzącymi...

W jednej krótkiej chwili przebyli śródokręcie, obiegli grotmaszt, dopadli do zwieńczonych półkoliście drzwi. Zdyszani, jęczący wpadli do środka. Kapitan był ostatni. Zatrzasnął furtę, zasunął rygle i zasuwę.

A potem zdyszani, zakrwawieni padli na pokład.

Liberty była w rękach zbuntowanych niewolników. Kanibali spragnionych ludzkiej krwi...

7. W potrzasku

Ledwie zdołali zaczerpnąć kilka łyków świeżego powietrza i tym samym oczyścić gardła z trupiego smrodu ładowni, gdy na drzwi spadły pierwsze uderzenia. Dębowa, okuta żelazem furta wytrzymała atak niemal bez szwanku, jak

burty wojennego okrętu odpierające sztormowe fale na wzbudzonym morzu. Czarni jeszcze przez chwilę dobijali się do kasztelu, potem stukania i łomoty ucichły.

- Co teraz?! - wycharczał Wharley.

- Jak chcesz, to odmawiaj pacierze! - warknął kapitan. - Uciszcie się. Muszę chwilę pomyśleć.

- Z Atkinsonem jest źle - mruknął Schriften. - Zróbcie coś albo nam wykituje.

Faktycznie - marynarz, wstrząsany dreszczami, osunął się na podłogę. Oblicze rozpalone miał gorączką, a wzrok błędny.

Crow obejrzał zadaną trzy dni temu zębami kanibala ranę na ramieniu majtka. Źle się goiła, jątrzyła i spuchła, choć krew przestała lecieć dawno temu. Ale nie to było największym problemem. Na szyi Atkinsona odkrył ślad po cięciu. Ktoś chlasnął mężczyznę jakimś ostrym przedmiotem. Diabeł wiedział czy był to kościany nóż, czy też ostry pazur. Crow splunął.

- Niedobrze - mruknął do pozostałych. - Cokolwiek to było, pozostawiło truciznę w ranie. Na Jamajce widywałem szamanów, którzy powalali dorosłego chłopca jednym pierdnięciem. Albo ukłuciem zwykłą szpilką.

- Mamy jakieś medykamenty?

- Ekstrakt z czarnej rzyci - rzekł kapitan. - Trochę rumu i nasze szczyny. Skrzynka Thathera została w komorze prowiantowej. A niech to jasny szlag trafi! Atkinson! Trzymaj się, chłopie. A wy - gotujcie się do obrony. Schriften, zbierz całą broń i prochy, które nam pozostały.

Każdy wyciągnął to, co miał. Nie było tego dużo. Dwa pistolety Wharleya, kapitański sztucer, który wyniósł na swym grzbiecie Mubane, strzelba i jeszcze jeden pistolet. Mizerny arsenał na dwustu rozwścieczonych, rozjuszonych krwią i łatwym zwycięstwem Negrów.

- Schriften, do mojej kajuty - zakomenderował kapitan. - Poszukamy broni. Tak mi się zdaje, że mam w schowku dwa pistolety, proch i kule. Panie Wharley, Mubane. Zostaniecie tutaj na straży. W razie czego krzyczcie o pomoc. Zresztą i tak usłyszymy.

Zostali sami w wąskim przejściu między kajutą nawigacyjną a grodzia zamykającą rufową nadbudówkę brygantyny. Wharley podszedł do drzwi,

sprawdził raz jeszcze, czy rygle na pewno są zatrzaśnięte, a zasuwę dociągnięte aż do samego końca. Mubane zebrał broń; nabił starannie pistolety, w tym dwa dublety pierwszego oficera, złożył je pod ścianą. Gdy sięgnął po sztucer, rozejrzał się dokoła bezradnie.

- Nie mam długiego stempla, massa - wybełkotał. - Pójdę, poszukam, panie.

- Idź!

Niewolnik popędził do kajuty nawigacyjnej, a William rozejrzał się dokoła. To była ich ostatnia reduta, niezdobyty bastion. Nie było stąd odwrotu - chyba za rufę, w błękitną głębię oceanu.

Atkinson dygotał wstrząsany dreszczami. Mamrotał coś pod nosem, skulony w kącie, obejmujący ramionami podkurczone nogi. Gdy William podszedł bliżej, zobaczył na jego wargach pianę.

- Wytrzymaj, bracie - rzekł do rannego. - Kapitan poszedł po pomoc. Może znajdzie jakieś medykamenty i driakwie.

Na dole, głęboko w trzewiach statku, w ładowni spustoszonej przez Felupów, zagrzemiały bębny. Wharley wyprostował się zaskoczony. Dostrzegł, że płonące gorączką oczy Atkinsona znieruchomiały.

Majtek poderwał głowę w górę. Wargi zadygotały, ściągnęły się, odsłaniając żółte, poszczerbione zęby, rozdygotany język. Atkinson ślinił się jak wściekły pies, rzeził, tocząc pianę z ust.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, jak sprężyna skoczył na nogi i... Rzucił się pierwszemu oficerowi do gardła.

Wharley nie zdołał nawet wrzasnąć. Zatoczył się, czując na szyi uścisk silnych, zimnych jak kamień palców, zacharczał, chwycił Atkinsona za przedramiona. Zwarci w walce runęli na ścianę grodzi; William uderzył plecami o dębowe deski, jęknął z bólu, ale przeciwnik zdławił mu głos w krtani, zanim usta zdążyły wydać dźwięk.

Szamotali się przez długą chwilę. Nadludzkim wysiłkiem Wharley zdołał utrzymać się na nogach. Serce waliło mu jak młotem, świat ciemniał, w piersi narastał ból, w miarę jak płuca domagały się nowej porcji świeżego powietrza. William uderzył pięścią w brzuch przeciwnika, szarpał się, bił i tłukł Atkinsona...

Wszystko na próżno! Palce wroga zaciskały się coraz mocniej na szyi, dławiąc

każdy jęk, nie wspominając już o wzywaniu ratunku. To było jak sen - koszmar gorszy niż walka z kanibalami pod pokładem. Wharley nie zastanawiał się, co stało się z Atkinsonem. Po prostu chciał przeżyć, przetrwać, nie dać się zadusić...

I w końcu, kiedy pulsujące tętno zdawało się rozsadzać mu skronie, w ostatniej desperacji uczynił to, co mu pozostało. Sam chwycił Atkinsona za szyję i ścisnął szaleńca z całą siłą, na jaką było go stać...

I prawie wygrał. Przez chwilę dławili się nawzajem. A potem majtek zacharczał, zadygotał. Rozluźnił uścisk, przyciągnął Wharleya do siebie, pociągnął jego głowę wprost pod ociekające pianą zęby.

William był na to przygotowany. Wbił kolano w brzuch marynarza z takim rozmachem, że szaleniec poleciał w tył, grzmotnął o rygle i bolce zamkniętych drzwi. Wharley zatoczył się, zaczerpnął powietrza, otworzył usta, chcąc wołać kompanów na pomoc. Ale przez zduszone gardło nie przeszedł żaden dźwięk - ledwie charczenie i syk dobieły się z ust oficera.

Atkinson zerwał się na nogi. Warcząc, runął w stronę Williama, szeroko rozkładając ramiona. Wharley nie czekał. Porwał leżący pod ścianą dublet i niemal w ostatniej chwili pociągnął za spust.

Na szczęście Mubane odciągnął skalkę. Wystrzał osmalił łeb przeciwnika, rzucił go w tył, pod ścianę grodzi. Z tyłu z kapitańskiej kajuty dobiegły krzyki, tupot stóp.

Szaleniec nie zaatakował znowu. Chwycił się za krwawy ślad po kuli, zgiął z bólu, potoczył dokoła błędnym wzrokiem. Bębny zagrzmiały znowu - tym razem głośno, natarczywie.

Atkinson oparł się o drzwi. A potem jego zakrwawiona, dygocąca ręka zmacała skobel, druga oparła się o zasuwę...

- Niiieeeeeee!

Wharley za późno zrozumiał, co się dzieje. Dławiąc się ochryplym rykiem, rzucił się w stronę majtki. Lecz zanim zdołał chwycić go za ramię, ten odsunął oba rygle, złapał zębami trzecią zasuwę i w jednej chwili odciągnął ją na bok. Upadł, ciągnąc za sobą drzwi. Dębowa, okuta furta rozwarła się w jednej chwili, ukazując pokład, zwoje lin na kołkownicy pod grotmasztem i... dużo rozdziawionych szeroko,

ociekających pianą gęb ludojadów.

A potem czarni ruszyli do ataku!

Wharley odskoczył w tył, wpadł w drzwi kajuty nawigacyjnej, zderzył się z kimś, chyba ze Schriftenem. Strzelił dwukrotnie. Na próżno! Kanibale gnali do drzwi, przesadzali próg, wpadali do wąskiego przejścia...

Kula gwizdnęła nad ramieniem oficera. To strzelił Crow. Kapitan porwał strzelbę za lufę, a potem, rycząc wiązaną przekleństw grubszą niż wszystkie zebrane do kupy okrętowe liny, wpadł między czarnych, grzmocąc kolbą, roztrącając, rozbijając łby i łamiąc karki. Schriften skoczył za nim; Wharley posłał ostatnią kulę w żywot najbliższego niewolnika, stał z dymiącym pistoletem, nie wiedząc, co czynić.

- Uciekajcie! - zaryczał desperacko Crow. - Zatrzymam ich! Uchodźcie do kajuty!

Rozwalił łeb kolejnemu czarnemu; łożo sztucera pękło od tego ciosu. Kapitan zachwiał się, wyrznął pięścią chwytającego go za rękę kanibala, potoczył dokoła wściekłym wzrokiem.

- Gińcie, psie krwi! - wykrzyknął. - Czarne małpy, synowie Beliana i matki francy! Czarnuchy w zadek chędożone! Powiadam wam, że oto nadchodzi dla was dzień sądu i krwi, miecza i ognia Bożej Sprawiedliwości... Poniesie on wasze czarne głowy aż do brzegów otchłani piekielnej, wy świńskie syny, ścierwojady!

Padł, gdy jeden z czarnych zdzielił go maczugą w kolano. Od razu wyciągnęły się po niego cztery pary rąk. Crow rzucił się jak niedźwiedź w sieci, warczał, gryzł, drapał, wbijał palce w oczy Murzynów.

- Whaaarley - wyjęczał - uciekaj, skurwysynu! Do kajuty... Do mojej kajuty...

Tuż obok padł Schriften, dostał w kark, w łeb, po brzuchu, zwinął się zalany krwią. Czarny olbrzym przeskoczył nad ciałem kapitana - runął w stronę pierwszego oficera - byłby wpadł i obalił go na deski, ale w ostatniej chwili kapitan chwycił go za nogę, szarpnął, rzucił na pokład, przytrzymał resztkami sił.

- Uciekajcie, szaleńcy! - zdołał jeszcze krzyknąć.

Mubane porwał pierwszego oficera za ramię. Szarpnął go, powlókł za sobą na rufę, a Wharley dał się prowadzić - bezwolny niczym Negr prowadzony na

targowisko niewolników. Jak burza wpadli do kapitańskiej kajuty. Czarny zaryglował drzwi, zanim w korytarzu rozległ się tupot bosych stóp nadciągających Felupów, podsunął pod nie ławę i wsparł ją ukośnie o poziomą belkę.

A potem na pół martwy osunął się na pokład.

8. Ostatnia nadzieja

Co dalej?

To było śmieszne pytanie. Siedzieli zamknięci w kapitańskiej kajucie, na samym krańcu rufy, z dwoma pistoletami Wharleya, garścią kul i prochu. Z duszą na ramieniu i nadzieją na ratunek, która tego wieczoru ulatniała się szybciej niż złoto z sakwy pijanego majtka w ramionach ladacznic.

Co robić? Co czynić, na Boga? Kiedy myślał o tym wszystkim, ogarniał go pusty śmiech. On, zawzięty abolicjonista, skończyć miał w żołądkach paskudnych ludojadów z serca afrykańskiego lądu, którzy chyba nie w pełni rozumieli wzniosłe hasło, iż ludzie są braćmi i niezależnie od koloru skóry nie powinni stawać się zapasami w cudzej spiżarni. Niestety, wszystko wskazywało na to, że Felupowie za nic mieli słowa Jana Russa, nie wzruszały ich podniosłe wołania Richarda Baxtera ani uczone rozprawy encyklopedystów. I właśnie dlatego szacowny pan William Wharley poczuł na własnej skórze, jak zdradliwe i nieprzyjemne są zakręty historii tudzież jak bardzo szydzi z niego Fortuna i ślepy traf. Oto on, bojownik o wolność czarnych, był dla dzikusów, o których wolność walczył - ni mniej, ni więcej - tylko kilkoma funtami chodzącego mięsa. Nie było to bynajmniej chwalebne zakończenie żywota dla najaktywniejszego członka Towarzystwa do Walki z Handlem Niewolnikami.

Cóż było robić? Odzyskać statek? We dwójkę, z Mubane? A może rzucić się do morza? Wharley pożałował, że nie wpadł wcześniej na concept, aby opuścić Liberty w szalupie. Teraz było to zadanie niewykonalne, bowiem łódź spoczywała na

achterdeku. Ale i tak byłoby to rozwiązanie niewiele różniące się od ich dotychczasowego położenia. Cóż bowiem uczyniliby w małej łupince na środku oceanu? Chyba wsiedliby do niej tylko po to, aby uciekły spod zębów ludojadów, zdać się na pastwę żarłaczy, burz i morskich potworów.

Pozostawało zatem siedzieć na obolałej rzyci i czekać, aż kanibale znajdą dość siły, aby wyważyć drzwi, przebić się przez pokład pod ich stopami albo przez strop, będący jednocześnie achterdekiem na rufowym kasztelu. Albo na chwilę - Wharley poczuł, że robi mu się zimno, kiedy ta okropna myśl przyszła mu do głowy - gdy pozbawieni wody zaczną konać z pragnienia. A wówczas w akcie ostatecznej desperacji przyjdzie im wypalić sobie w łeb z pistoletu.

Nie wiedział, jak długo siedział z przymkniętymi oczyma na koi kapitana. Mubane przycupnął na wprost niego, lecz w przeciwieństwie do Williama miał oczy szeroko otwarte. I właśnie dzięki temu...

- Massa William! - Czarny wskazywał na otwór okienny. - Tam jest żagiel! Biały żagiel! Statek!

Wharley poderwał się z koi jak tygrys. Skoczył ku oknu, szarpnął za skobel, otworzył jedną połówkę, wyrżał, osłaniając dłonią oczy od słońca. I aż zadygotał! Od strony sterburty, na nawietrznej, po spokojnym morzu płynął statek! Fregata albo duży bark, bo William wyraźnie widział trzy maszty z rozwiniętymi, wybranymi na szotach, pełnorejowymi żaglami. Szedł na Nord-Ost, a więc zupełnie innym kursem niż Liberty, półwiatrem, prawym halsem. Wharley wiedział, że za kilka, może kilkanaście chwil przejdzie im za rufą, a potem zniknie, roztopi się w morskim bezmiarze. Na grotmaszcie łopotała pasiasta, czerwono-biało-błękitna bandera. Holendrzy!

Wharley miał świadomość, że ten statek to dar od losu, uśmiech Pana i dziwki Fortuny. Ostatnia szansa na ratunek, której nie mogli przepuścić. Tylko jak, do stu fur beczek diabelskich kutasów - William zdał sobie sprawę, że klnie jak nie przymierzając świętej pamięci Crow - zwrócić na siebie uwagę Holendra?!

Chcicie porwał pistolety, podsypał panewki prochem i wypalił przez otwarte okno. Na nic! Szukał rozpaczliwie jakichś znaków zainteresowania ze strony tamtych, lecz ich nie dostrzegali. Fregata nie zmieniła kursu, nie opuściła bandery -

płynęła ciągle na Nord-Ost, nie zdradzając chęci, by przyjść z pomocą nieszczęsnej brygantynie.

Bandera!

Wharley wychylił się z okna, spojrzął w górę, na flaglinę przytwierdzoną do gafla grotżagła, na której powiewała angielska flaga.

Tylko jak się tam dostać? Przebić przez pokład pełen rozwrzeszczanych diablów? Do diabła, gdyby urodził się ptakiem, wszystko stałoby się o wiele prostsze!

Starannie ocenił odległość od okna do krańca pawęży rufowej, zwieńczonej fałszburtą. Czy dałoby radę wspiąć się tędy na pokład?

- Mubane! - zagrział tak, że niewolnik zadygotał. - Musimy opuścić banderę! Musimy dostać się na achterdek, aby zwrócić uwagę tego statku! Tylko dzięki temu zdołamy przeżyć!

- Massa - czarny zadygotał przerażony - jak ja...

- Podejdę do okna, Mubane - nie przerywał Wharley. - Staniesz mi na ramionach, oprzesz się o framugę, podskoczysz i złapiesz za fałszburtę! Słuchaj, co mówię! Podciągniesz się i wejdiesz na pokład rufowy. A potem będziesz opuszczał i podnosił banderę! To zwróci ich uwagę! Ty musisz to zrobić. Jesteś zwinny i szybki! Dasz radę.

- Massa, nie! Ja spadnę! Spadnę do morza - zadygotał Negr. - Nie dam rady... Ja proszę, błagam, massa William.

Niewolnik padł do stóp oficera, złożył ręce do modlitwy, załkał, ucałował dłoń pana.

- Mubane, ratuj nas, błagam! Tylko ty... Ja... Posłuchaj - Wharley wykrztusił coś, co już od dawna leżało mu na języku - jeśli tam pójdziesz, wyzwolę cię. Daruję ci wolność, słyszysz?! Nie oddam cię w ręce spadkobierców Crows! Staniesz się wolnym człowiekiem! Nikt nigdy nie będzie cię bił!

Negr zamarł, zadygotał, złożył ręce jak do modlitwy.

- Przysięgam na Boga, że cię wyzwolę! Idź, błagam! Spróbuj opuścić banderę! Murzyn pochylił głowę. Wharley zobaczył w jego oczach łzy.

- Massa, ja... Dziękuję... Nie wiem...

- Chodź tu!

Mubane posłusznie podbiegł do okna. Wharley chwycił się framugi, rozstawił nogi, pochylił głowę. Negr wskoczył na ramię, postawił stopę na ramieniu oficera. William stęknął pod jego ciężarem, ale wyprostował się, wysunął za okno, szukając oparcia na pawęży rufowej...

A potem niewolnik skoczył, złapał palcami fałszburtę zamykającą od tyłu achterdek i zawisł! Wisiał na rękach.

Wharley podparł go. Negr stęknął, podciągnął się, wspiał wyżej, szukając rozpaczliwie oparcia dla stóp. I wreszcie jęcząc, prawie płacząc, przełożył łokieć przez nadburcie...

A potem wrzasnął przeraźliwie, kiedy chwyciły go mocne ramiona! Wharley widział z dołu, jak czterech czarnych diabłów chwyta Mubane za łeb i szyję, wciąga go na achterdek, a były niewolnik wrzeszczy, łka i krzyczy wleczony w stronę ładowni.

Znad fałszburty ślepiły na Wharleya rozradowane oczy Felupów, rozwarte do tryumfalnego krzyku usta prezentowały białe zęby i gardziele spragnione krwi pierwszego oficera.

Mubane krzyczał, wrzeszczał, prosił o litość we wszystkich dialektach Nigeru i Oyo. Lecz nawet jeśli Felupowie znali któryś z owych języków, tedy zdecydowanie nie mieli w owej chwili nic ciekawego do powiedzenia.

Wharley strzelał z pistoletów. Machał rękoma w stronę fregaty. Na próżno. Holender nie zadał sobie trudu, by zmienić kurs. Wstrząsany dreszczami, rozdygotany oficer widział, jak statek staje się coraz większy, jak przechodzi za rufą płynącej z wiatrem Liberty, a potem zmniejsza się i znika wśród fal...

Usiadł znów na posłaniu kapitana, chwycił się rękoma za głowę. A potem przygryzł wargi, bo wreszcie dojrzało w nim ostateczne postanowienie skończenia tej koszmarnej historii pełnej morskiej grozy.

9. Słuchajcie, czarnuchy!

Liberty pędziła pod pełnymi żaglami. Nikt nie stał u steru, koło zablokowane było w miejscu, nikt nie wypatrywał lądu z bocianiego gniazda, nie sprawdzał naprężonych szotów i brasów obłożonych na burtowych kołkownicach. Brygantyna stała się statkiem widmem, krążącym bez celu po morzach i oceanach, niosącym śmierć i zagładę innym okrętom.

Co będzie dalej? Na razie Wharley cierpiał z pragnienia. Wypił już cały rum i wino znajdujące się w kapitańskiej kajucie, zjadł okruchy sucharów wygrzebane pod koją i w kątach pomieszczenia. Teraz, po tych krwawych dniach walki, był gotów, aby ostatecznie zakończyć szaleństwo brygantyny. Zakończyć je - rzecz oczywista - w morskich głębinach, zaraz, dziś, czyli szesnastego lutego roku Pańskiego 1791.

Nie było innego wyjścia. Pożegnał się z życiem. Spisał ostatni list, zamknął go w butelce po rumie i wrzucił do wody. A choć w bostońskich salonach uchodził za naturalistę i bezbożnika, na wszelki wypadek pomodlił się, polecając duszę Panu. Cóż to w końcu szkodziło - jeśli niebo było tylko wymysłem klechów i jezuitów, jego słowa nie miały żadnego znaczenia. Jeśli jednak na grzeszników czekał sąd, konsekwencje zaniechania modlitw mogły być znacznie bardziej przykre niż znalezienie się żywcem w rękach rozwścieczonych niewolników.

Statek dryfował, mając na pokładzie dwustu kanibali. Dwustu diabłów, którzy gotowi byli rzucić się na każdego napotkanego człowieka, poćwiartować go żywcem, spalić, ugotować, rozerwać na sztuki czy co tam jeszcze przyszło tym chędożonym czarnuchom do kosmatych łbów! Może nawet włożyć na szyję płonące wieńce smołowe. A tymczasem pozbawiona załogi Liberty mogła albo się rozbić, zatonać po wejściu w sztorm, co nie byłoby jeszcze niczym strasznym, albo - co wyglądało znacznie bardziej przerażająco - dobić do jakiejś wyspy bądź napotkać inny statek, nieświadomy tego, co kryje się pod pokładem brygantyny. A wtedy Felupowie wydatnie powiększyliby nie tylko swoje zapasy, lecz być może również własne

szeregi.

Wharley nie mógł do tego dopuścić. Narzucił skórzany kaftan. Zasadził za pas pistolety. Zabrał topór abordażowy i jeszcze jeden pistolet z odciętą skalką. Wsunął rękę w płócienną pętlę przytwierdzoną do rękojeści kapitańskiego pałasza, tak by broń była w każdej chwili do użycia. Wiedział, że musi działać szybko i zdecydowanie, aby przebić się przez szeregi wrogów pod pokład, zanim rozerwą go ostre zęby i pazury Felupów.

Wypił resztę rumu z butelki. Cicho, bardzo cicho podszedł do drzwi, a potem cał po cału odsunął wszystkie trzy rygle. Udało się - nie szczęknęły.

Wharley przeżegnał się.

Szarpnął za żelazne kółko, jednym ruchem otworzył drzwi na oścież.

A potem chwycił pistolety w obie ręce i wypadł do kajuty nawigacyjnej!

Felupowie tu byli, a jakże! Siedzieli na resztkach mebli, ogryzając ludzkie golenie i kości. Lecz nim zerwali się na nogi z wrzaskiem, William strzelił raz, potem drugi. Dwa ciała zwały się na poplamiony krwią pokład szybciej, zanimbyś orzech zgryzł. Wharley odrzucił wystrzelony dublet, porwał za rękojeść pałasza. Broń uwiązana na temblaku sama wskoczyła mu do ręki. Zatoczył ostrzem krótki łuk, rąbnął na odlew, potem wlew, rozkładając kolejnego przeciwnika. Ostatniemu wbił proste ostrze w brzuch; przytrzymał, przekreślił, a potem szarpnął, rozrywając trzewia. Ludojad zawył, zakrzyczał, padł, aż zadudniły deski.

Wharley został sam.

Skoczył do drzwi wiodących na pokład. Miał szczęście, bo nie tylko nie były zaryglowane, ale nawet nie zamknięte. W jednej chwili wypadł na śródokręcie i rzucił się do rufowej schodni.

Czarni dostrzegli go od razu. Kilku siedziało przy domu, spożywając zapracowany w pocie czoła obiad. Wolał nie sprawdzać, co jedli - zdaje się, że resztki bosmana. Felupowie krzyczeli, pokazując w jego stronę, nie czekał jednak, aż zbiorą się do kupy, lecz wskoczył - nogami do przodu - prosto do mrocznego luku, gdzie zaczynały się schody...

Wpadł z wrzaskiem w ciemność, zleciał w dół, nie czując pod stopami oparcia. W luku nie było schodów, nie było zejściówki! Negrzy rozebrali stopnie, ścianki i

grodzie, powiększając główną ładownię statku do monstualnych rozmiarów.

Spadł na szalasy sklecony z lin, potrzaskanych desek i płótna, spod którego niemal natychmiast wyprysnęli wrzeszczący kanibale. Wylądował na siedzeniu, czując, jak w zadek wbijają mu się tysiące zadr, a jakiś zardzewiały gwóźdź rozdziera udo. Zerwał się na nogi i rozejrzał dokoła poblady.

Gdzieś w mroku pod fokmasztem zabiły bębny. Śródpokład już nie istniał, podobnie grodzie dzielące ładownię od oficerskiej mesy i komory prowiantowej. W ogromnej przestrzeni, pełnej dymu, odoru śmierci i zgnilizny, stały wąskie szalasy kanibali. Tak jak poprzednio, z pali i sznurów szczyrzyły się świeżo odarte z mięsa ludzkie czaszki, straszyły obgryzione kości, na których widniały jeszcze ślady zębów Felupów. Z półmroku wychylały się resztki pokładników, wręgi i wzdłużniki ociosane niezdarnie na kształt murzyńskich bożków i demonów, kolumny grot - i fokmasztu zmienione w totemy nabite ludzkimi szczątkami i krwawymi malowidłami. A jednak Wharley drgnął, bo coś zmieniło się w ponurym krajobrazie ładowni, od czasu gdy był tu poprzednio. Na samym środku obozowiska Felupów wznosił się krwawy, mroczny bałwan - bluźniercza statua diabła, czy może demona, uczyniona z kawałków ciał i kości związanych okrętowymi linami. Demon drżał, dygotał, jakby zaraz miał zerwać się do walki, a Wharley nagle uświadomił sobie, że ten kolos żyje... Zamrugał oczyma, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że własnym racjonalnym, encyklopedystycznym i naturalistycznym wzrokiem widzi, jak potwór napiera na krępujące go powrozy, dygoce i rzuca się, szczyrząc paszczę z zębami z ludzkich czaszek...

Odwrócił się i pobiegł w stronę rufy. Strzelił dwukrotnie, kładąc najbliższych kanibali, rzucił precz wypalony pistolet, chwycił w lewą rękę topór pokładowy i skoczył na Felupów, wywijając dziko ostrzem pałasza, wyjąc jak rozwścieczony wilk. Pierwszemu ludojadowi, który porwał się nań z drewnianą maczugą, rozrąbał łeb, drugiego przeszył sztychem, trzeciemu odciął rękę w łokciu, czwartego zwałił ramieniem na pokład, stratował.

I przebił się... Doszedł aż do rufowej grodzi. Była pokryta plamami krwi, pomalowana w barbarzyńskie bohomyzy, ale cała. Wharley doskoczył do małych drzwiczek, wyrwał zza pasa ostatni pistolet i nie czekając na nic - strzelił w zamek.

Odrzut był tak silny, że omal nie urwał mu ręki. Kopnął w drzwi raz i drugi. Za trzecim zasuwa puściła z brzękiem, furta otwarła się.

Wpadł do ciemnego wnętrza, zatrzymał się, obrócił w stronę wejścia. A potem skrzesał ognia, zapalił malutki stoczek.

Stał między beczkami zabezpieczonymi linami i sieciami. Był w najniebezpieczniejszym miejscu brygantyny. W komorze prochowej...

Jednym uderzeniem topora odbił denko pękatej beczki. Przewrócił ją, rozsypał proch na pozostałe baryłki. Pochylił się nad beczką ze złowieszczym uśmiechem. Zarechotał, widząc wpadających do komory Negrów.

Zatrzymali się na progu pomieszczenia. Oni także szczyrzyli zęby w uśmiechach, myśląc, iż oto zagonili w kąt swoją ostatnią ofiarę, że za chwilę ich spasione kałduny nacieszą się kolejną porcją świeżego białego mięsa.

- Witajcie, moi czarni bracia - parsknął Wharley. - I słuchajcie uważnie, czarnuchy. Chodźcie tu bliżej, bo nie będę strzepił języka. Dzisiaj - podniósł palec jak kaznodzieja na Święto Dziękczynienia - pójdziemy razem na pielgrzymkę, moi zacni ludzie. Ty tam na końcu! Do ciebie mówię, gruby czarnuchu. Nie rechocz, nie baw się przyrodzeniem, ale słuchaj uważnie, co ja, biały człowiek, mam do powiedzenia!

Kanibale umilkli. Słuchali uważnie, jak grzeczna trzódka wiernych sprowadzona na niedzielne nauki do wiejskiego kościółka.

- Dziś, bracia i siostry, udamy się wspólnie w długą drogę do wiekuistego zbawienia. Ja mam nadzieję, iż pójdę ciernistą drogą wprost do bram raju. Ale wam przeznaczona jest zupełnie inna ścieżka. Czy wiecie, dokąd was skieruje?

Kanibale pokręcili głowami.

- Wasza ścieżka - William odetchnął głęboko - prowadzi wprost do piekła, moi czarni bracia. I bodajbyście nie wyrzeli z niego, póki świat jest światem, woda wodą, a niebo - niebem. Oto ja, William Wharley, oświadczam dziś wyraźnie, że w rzyci mam całego Russa, Newtona, pisma Foxa, Woolmana i Baxtera, który twierdził ponad wiek temu, że wszyscy ludzie są tacy sami. Dziś oto życie obala jego tezę, gdyż śmiem twierdzić, że zgoła różnimy się między sobą. Skończyłem, bo i tak za dużo tego mądrego na wasze durne afrykańskie łby! Idźcie do czarnego diabła i jasnej cholery!

Wyprostował się, a potem przyłożył stoczek do stosu rozsypanego prochu.

Lodowy szkwał

Fregata komodora Sandersa * Baryłka pokazuje dno * Lodowy olbrzym * Zaskakujące odkrycie * Pół
cetnara złota * Ogień i lód * Rozbitkowie * Patagoński diabeł * Przekłete morze

1. Fregata komodora Sandersa

Komodorze. Wasza fregata już czeka!

Bartholomeu Sanders, były kwatermistrz pokładowy na brygu Lion, a obecnie wyrzutek skazany na nieuchronny i nader przykry kontakt ze słoną wodą, łypnął oczyma na bosmana. Hawking wyszczerzył poczerńiałe zęby w radosnym uśmiechu, cmoknął sparszywiałyymi wargami.

- Co tam fregata! Daję głowę, że to prawdziwy liniowiec królewskiej rangi!

Stara, odrapana szalupa kołysała się za burtą przytrzymywana przez naprężone liny. Ta spróchniała, przeciekająca łajba miała stać się teraz jego domem, pokładem i okrętem. Przynajmniej na kilka dni, bo - bądźmy szczerzy - Sanders nie łudził się, że podróż w tej łupinie po morskich bezmiarach potrwa dłużej. Właśnie razem z siedmioma zuchami marunowano go na pełnym morzu z garścią sucharów, trzema pistoletami, kompasem i baryłką słodkiej wody.

To była długa historia, która zaczęła się jeszcze w sierpniu w Bristolu, kiedy to w towarzystwie kilku wesółych kompanów, co z niejednego pieca chleb jedli, zaciągnął się na Liona płynącego do Batawii. Oczywiście Sanders nie wierzył, że kiedykolwiek tam dopłyną, tak naprawdę wybierał się bowiem wcale nie na Pacyfik, ale do New Providence na Bahamach, miasta, które zasłynęło ostatnimi czasy z zacnych trunków i wesółych dziewcząt. Pytanie tylko, dlaczego szyper Liona miałby dokonać takiej zmiany w trakcie podróży? Ano dlatego, że zostałby grzecznie o to poproszony łufami pistoletów i ostrzami pałaszy i cutlasów. Sanders i wesółą kompania chcieli po prostu wywołać bunt, przejąć statek, aby po udzieleniu kapitanowi darmowej lekcji pływania na środku oceanu zająć się uprawianiem piractwa, gwałtów i grabieży na Antylach.

Nie przewidzieli tylko jednego. A mianowicie, iż kapitanem Liona okaże się Israel Hands, były szyper sławnego Teacha, który nie pozwoli dmuchać sobie w marynarską kaszę. I dzięki jego przezorności pięciu kompanów Sandersa, niedoszłych buntowników, bujało się właśnie na marsrei. Dwóch przeciągnięto pod kilem; po tej ceremonii wyglądali tak paskudnie, że w piekle diabeł musiał chyba zbierać ich do kotłów miotłą. Pozostałych, a w ich liczbie naszego bohatera, Hands wysadził w starej szalupie na środku oceanu.

Pokład łodzi zatrzeszczał, kiedy Bartholomeu zajął miejsce w ostatniej ławce. Nie patrzył w oczy kompanom - wpatrywał się w błękitne fale, jakby ukryte w nich syreny prezentowały mu wszystkie swoje wdzięki.

Hawking zwolnił linę, odepchnął łódź bosakiem od burty statku. W górze pokład brygu zadrżał od śmiechów i kpiących okrzyków.

- Sanders! - zagrzemiał ochryple Hands. - Powodzenia, stary diable!

- Serwus!

- Złamanego masztu i stengi!

- Nie utopcie się czasem, chłopaki!

- Pozdrówcie Lewiatana w piekle!

- Kłaniajcie się ondynom!

- Simps, wytrujesz ryby swoją franą!

Coś zaszemrało za plecami Sandersa, ale były kwatermistrz nawet się nie silił, aby zerknąć przez ramię. Rzecz oczywista, to nie był żaden deszcz. Po prostu Bull, chłopak okrętowy, stał na fałszburcie z opuszczonymi spodniami i szczał im na drogę, trzymając się wantów prawą ręką. Nie można było jednak odmówić mu pewnego taktu, gdyż uczynił tę brzydką rzecz, dopiero gdy odpłynęli od burty, i nie spryskał im głów i kapeluszy smrodliwą żółtą mżawką.

W ponurym milczeniu napaarli na wiosła. Łódź pomknęła po spokojnym morzu, oddalając się od Liona. Na pokładzie zabrzmiały gwizdki bosmańskie, zatupotały boscie stopy marynarzy. Statek zrobił zwrot, zbrasował reje na wiatr, zmienił kurs, pozostawiając szalupę jej własnemu losowi. Sanders dał sobie słowo, że nie będzie spoglądał na bryg. Żadnych oznak słabości, żadnych złudnych nadziei. Znał Handsa nie od dzisiaj i wiedział, że stary diabeł prędzej zje własną brodę, niż

poczucie jakakolwiek litość dla buntowników. I tak mogli mówić o szczęściu, że nie powieszono ich na rei albo nie przeciągnięto pod kilem jak pozostałych...

Do kroćset! Jakie tam znowu szczęście. To było jasne jak słońce, że choć sucharów mogło starczyć im na miesiąc, wody w baryłce było najwyżej na jakieś trzy dni.

A statek oddalał się, jak uskrzydłony obłok sunący majestatycznie nad powierzchnią morza...

Wytrzymają jeszcze czwarty, a może i piąty dzień. A potem? Co potem? Zaczną pić słoną wodę, aby popaść w szaleństwo? Rzucają się sobie do gardeł i pozagryzają? To będzie doprawdy wesoły widok - szalupa z ośmioma wysuszonymi na słońcu, dziobanymi przez mewy trupami. Bartholomeu aż bał się przyznać przed samym sobą, że o ile nie zatopi ich jakiś litościwy sztorm, łódź będzie dryfować po morzu przez miesiąc, unosząc ich rozkładające się trupy. Marunowani buntownicy. Na przestrożę i naukę majtkom i niepokornym oficerom, jako świadectwo słusznego sądu nad potępieńcami, co ośmielili się targnąć na życie i zdrowie szypra, pogwałcić prawa boskie i ludzkie.

Zerknął przez ramię. Lion był daleko. Powoli stawał się małym białym obłoczkiem na widnokręgu.

W szalupie ktoś zaszlochał. Inny modlił się, wzdychał. Francowaty Simps kłął jak stu szewców, złorzeczył Bogu, morzu i diabłu. A w szczególności wszystkim matkom i babkom kapitana Handsa.

Sanders spojrział ku niebu. Dawno minęli czterdziesty stopień szerokości geograficznej. Tu, na wodach południowej Patagonii, nie było już tak gorąco jak pod niebem holenderskiej Gujany, ale słońce stojące w zenicie wciąż nieźle dawało się we znaki.

Słońce... Wisiało im nad głowami niczym ognista kula. Nieboskłon był czysty, pozbawiony najmniejszej chmurki, wiał lekki wiatr z południowego wschodu.

Sanders opuścił wzrok. Wolał nie myśleć, co przyniesie następny dzień.

2. Baryłka pokazuje dno

Baryłka pokazała dno dwa dni później. Krostowaty Simps, który rozdzielał poranną porcję wody, zajrzał do środka i zmarszczył brwi, jakby właśnie dostrzegł diabła w szklenicy pełnej rumu.

- Kończy się nasz czas, kamraci - wycharczał do zarośniętych, obszarpanych kompanów. - Módlcie się i proście Pana o łaskę! Bo zamiast tej wonnej brandy - trącił nogą baryłkę z resztką wody cuchnącej gorzej niż zawartość zęzy - podadzą dziś do obiadu wasze własne szczyny.

- Ile zostało? - spytał Sanders. - Mniemam, że starczy nam jeszcze na dwa dni?

- Naparstek... Jakież trzy, cztery palce.

- Murwa, trytonią pytą chędożona mać! - rzucił ze złością Goldon. - Nie starczy dla wszystkich, bracia. Nie na dwa dni.

- Wypijmy to od razu - mruknął ktoś z przedostatniej ławki. - Lepiej czekać z pełnym żołądkiem wody, niż oszaleć z pragnienia, wydzielając sobie po dwie krople na łeb.

- Nie wszyscy muszą tyle pić - warknął Simps. - Za dużo gęb jest na tej krypie, bracia.

- Co powiedziałeś? - Zdawać by się mogło, że Sanders zastrzygł uszami, słysząc te słowa. - Chcesz rzec, że powinniśmy jeszcze bardziej obniżyć nasze racje?

- Chcę powiedzieć - rzekł Simps, spoglądając w zaczerwienione oczy swego byłego kwatermistrza - że powinniśmy zmniejszyć pogłowie durniów, którzy znaleźli się z nami na tej szalupie.

Ktoś jęknął. Przygłupi Phil, którego Sanders nie cierpiał, zaśmiał się głupkowato. Ręka kwatermistrza niby przypadkiem znalazła się nieopodal rękojęści pałasza. A więc zaczynało się to, co - jak się spodziewał - stać się musiało drugiego albo trzeciego dnia podróży. Skoczą sobie do gardeł, nim skróci ich o głowy kosa Pani Śmierci. Z drugiej jednak strony trudno było nie przyznać odrobiny racji

Simpsoni. Wody w baryłce mogło starczyć ośmiu ludziom zaledwie na jeden dzień, nawet gdyby zmniejszyli racje do minimum. Ale gdyby zostało ich - aż bał się o tym pomyśleć - czterech, byłyby to już dwa dni. Dwa razy większa szansa, że na tych przeklętych wodach dostrzeże ich jakiś statek - choćby nawet angielska fregata wojenna.

Pytanie tylko, których czterech przeżyje? Sanders nie miał zadatków na świętego i zdecydowanie widział siebie pośród ocalałej czwórki, choćby nawet na skutek pewnych nieporozumień liczba ta miała zmniejszyć się do dwóch, czy nawet - Panie zmiłuj - do jednego.

- A zatem - rzekł, błędząc spojrzeniem po pozostałych marynarzach, którzy jeszcze niedawno pili jego zdrowie, a dziś mogli łatwo zmienić się w rozwścieczone wilki - suponujesz, abyśmy odrąbali głowę paru z nas? I dzięki temu chcesz uratować nie tylko swoją duszyczkę, ale uchronić zadek od kąpieli w morskiej wodzie, Simps?

- To proste. Kilku wysiądzie za burtę. Ktoś pójdzie na dno, aby żyć mógł ktoś. W imię braterstwa i przyjaźni.

- Jakoś nie widzę ochotników - rzekł Sanders, spoglądając kompanom prosto w oczy. - A może ty, Simps, chcesz dać przykład odwagi z własnej i nieprzymuszonej woli?

- Rzućmy kośćmi - zaśmiał się przygłupi Phil.

- Ty - Sanders utkwiał wzrok w przygłupich stałowoszarych oczach Phila - lepiej milcz, bo możesz być pierwszy, durniu!

- Hola, panie kwatermistrz - warknął nieprzyjaźnie Simps. - Nie bądź taki wyrwany. Marunowano nas przez ciebie, tedy uważaj, bo na tej łajbie nie ma szalupy. Zatem jeśli okaże się, że nam nie po drodze, wysiadać będziesz wprost do wody!

- Wyrzucmy pokładowego psa! - Gore zawarczał jak dzikooki kundel. - Dobrze gadasz, Simps. Wszystko przez tego skurczybyka. To on z Miggssem namówili nas do buntu. Prowodyr wisi, a tego szelmę Hands darował zdrowiem, dołożył do szalupy na pohybel naszym duszom.

- Nazwij mnie raz jeszcze psem albo szelmą, a nakarmię tobą krakena -

warknął Sanders. - Nasza łódź jest przeładowana. Wszystkim ulży, kiedy zdejmę ci głowę z karku!

- Zarąbmy go - syknął Bull, jak zwykle prędko w gębę, ostatni do działania.

- Ja wam pomogę - zaszczębiotał Phil. Chciał się zerwać, ale mocne ramię Simpsa zatrzymało go w miejscu.

- Pomożesz! Jak ci pozwolę, barani łbie!

Sanders wstał i dobył broni. Szalupa zakołysała się niespokojnie. Ludzie! Jeśli pałasze pójdą w ruch, jest pewne jak amen w pacierzu, że wywrócą łódź. I wtedy wszyscy będą mieli wody pod dostatkiem. Tej z oceanu!

Cofnął się, zatrzymał na rozstawionych szeroko nogach przy ostatniej ławce. Czekał, co zrobi Simps. Wzrok Sandersa ślizgał się po gębach niedawnych kompanów. Któryś stanie po jego stronie czy wszyscy rzuca mu się do gardła zgodnie z solidarnością wilczego stada? A może Charlie weźmie go w obronę?

Gdzie tam! Były kompan siedział cicho jak trusia. Kwatermistrz wiedział, że tamten narobiłby w galoty na samą myśl o tym, że ktoś mógłby przypomnieć pozostałym jego całkiem niepoślednią rolę w buncie. To przecież Charlie namówił do buntu Simpsa i jego ludzi. Ma się rozumieć, że w chwili gdy cała złość majtków skupiła się na Bartholomeu, wołał o tym nie pamiętać.

Simps postąpił krok do przodu na rozkołysanej łodzi, dobył szerokiego marynarskiego noża. Bull i Goldon wstali. Phil też chciał, ale po kopniaku w kostkę jęknął i skulił się pod ławką jak pies lizący przetrąconą łapę.

Zbliżali się z mordem w oczach, ze złością wymalowaną na gębach. Takie oblicza mogli mieć tylko rzymscy żołdacy krzyżujący Chrystusa. Sanders wiedział, że jego szanse na zwycięstwo wyglądają zgoła nieciekawie. Chyba że zdołałby wywrócić łódź, gdyż jako jedyny z załogi potrafił pływać.

- Raz jeszcze apeluję do waszego rozsądku! Charlie, Nates! Nie patrzcie na mnie jak cielę w malowane wrota! Simps wykończy was tak samo! Będziecie następni, kiedy tylko pójde na dno!

Nikt z wezwanych nawet się nie poruszył. Wszyscy czekali na wynik starcia Simpsa z Bartholomeu, trzymali się ławek, burt i dulek, niektórzy sięgnęli po broń. Ostrza miały skrzyżować się w każdej chwili, trzech na jednego, do kroćset, jeśli to

miała być uczciwa walka, to Sanders gotów był ogłosić się apostołem wiary i pić do końca życia źródlaną wodę.

Ale na szczęście nie musiał składać takiego ślubu.

Nagle bowiem nad ramieniem Simpsa dostrzegł jakiś biały kształt, coś jakby obłok szybujący na linii morza i widnokregu.

Biały kształt! Biały żagiel! To musiał być statek! Statek! O Panie!

- Tam! - wskazał wyciągniętą ręką. - Tam patrzcie! Żagiel! Na horyzoncie! Do wiosła! Ruszać się, diabły! Jesteśmy uratowani!

Wszyscy prócz Simpsa jak na komendę odwrócili głowy. Natychmiast zagrzmiały krzyki i wrzaski.

Simps uśmiechnął się krzywo. Schował nóż.

A potem chwycił za wiosło.

3. Lodowy olbrzym

Z daleka nie wyglądała groźnie. Pływający ogrom o poszarpanych graniach, błyszczący w promieniach słońca, mokry od ściekającej wody. Dopiero gdy podpłynęli bliżej, kiedy znaleźli się prawie na wprost poszarpanej, lśniącej bielą ściany wznoszącej się na wysokość trzystu stóp nad powierzchnię wody, zrozumieli, jak małym i wątłym źdźbłem trawy miotanym przez fale była ich szalupa.

Góra lodowa! Sanders mylił się po raz kolejny. To nie był statek, ale gigantyczna, unosząca się na falach bryła białobłękitnego lodu. Tysiące, miliony ton oderwane daleko na południu od kontynentu, który wedle jednych był tylko wielkim lodowym pustkowiem, a wedle drugich - krył za górami i otchłaniami zieloną i żyzną krainę szczęśliwości. Nieodkrytą jeszcze, jak nieodkrytymi pozostawały ciągle wszystkie zielone i złote wyspy, na których ludzie się nie starzeli, a miasta zbudowane były ze złota.

A jednak zawód nie był bolesny dla rozbitków; zaś dla Sandersa nie okazał się śmiertelny. Lód bowiem oznaczał wodę... Dużo słodkiej wody, którą mogli wlewać sobie do ust. Był wybawieniem i ratunkiem, pływającą wyspą dającą nadzieję na przyszłość.

Tylko jak można było dostać się na jej grzbiet?

Oplłynęli ponad połowę dryfującego lodowego odłamu. Bezsilnie spoglądali na poszarpane ściany zwieńczone lodowymi iglicami, graniami. Twardy lód topniał z wolna pod promieniami słońca, formując niesamowite bramy, połyskujące zebra i nici splecione misterniej niż koronki na żabocie francuskiego galanta. Nigdzie jednak nie było przystępu do białej wyspy. Wszędzie pionowe, śliskie zbocza pokryte dziesiątkami strumieni spływających do oceanu, oplatających lodowe bryły niczym srebrne wstążki.

- Tam. - Sanders wskazał rząd lśniących iglic, za którymi wznosiło się lśniące zwalisko. Kawały lodu musiały osunąć się aż do samej wody, tworząc strome, poszarpane zbocze, po którym jednak można było od biedy wspiąć się na górę. - Tam przybijemy!

Naparli na wiosła i wkrótce wpłynęli pod ociekającą wodą bramę. Dobili do potrzaskanych bloków. Sanders i Simps wyskoczyli pierwsi. Ślizgając się na mokrym lodzie, brodząc po kolana w wodzie, podholowali łódź bliżej. A potem już wspólnymi siłami wciągnęli szalupę na poszczerbioną półkę. Odwrócili się, umilkli.

Wiatr świszczwał w załomach lodu, wył pośród pnących się w górę brył wyłupanych z lodowca. Środkiem szerokiej rynny gnał w dół wartki strumień krystalicznie czystej wody.

Rzucili się do strumyka jak stado bawołów do wodopoju. Omal nie stratowali się przy brzegu. Woda... Nabierali jej w ręce, podnosili do ust, pili, czując, jak z każdą kroplą płynnego lodu w ich ciała wraca życie.

A potem podnieśli się pogodniejsi, pogodzeni z życiem, pełni nadziei i wiary we własne siły. Sanders od razu wskazał wznoszącą się wysoko nad nimi krawędź lodowego obrywu.

- Chodźmy tam! Zobaczymy, gdzie jesteśmy.

Zgodzili się bez słów. W końcu cóż mieli do stracenia? Były kwatermistrz miał

tylko nadzieję, że lodowy ogrom nie rozpadnie się nagle, nie zwali się na nich lawina głazów, a szeroka na dobre dwie mile tafla nie przełamie w połowie, grzebiąc ich w morzu, w samym środku lodowego piekła.

Wspinali się wolno. Phil pośliznął się, przejechał na brzuchu dobre kilkanaście stóp, zatrzymał w samym środku potoku, co wywołało złośliwe komentarze. Za chwilę padł stary Goldon, klnąc na czym świat stoi przeklętą lodową krypę, jej szypra, a przy okazji wszystkich apostołów.

Złorzecząc, podając sobie ręce i wspierając się w śliskich miejscach, weszli w końcu na pofałdowaną płaszczyznę lodowego rumowiska. Sanders pierwszy stanął na samym szczycie. Rozejrzał się - przed sobą miał białą dolinę otoczoną postrzępionymi, wznoszącymi się na ponad sto pięćdziesiąt stóp lodowymi graniami, w których świszczwał ponuro morski wiatr. Dokoła lód błyszczał w słońcu, topniejąc i zmieniając się w wodę spływającą w dół, pod ich stopy, a potem zasilającą morskie otchłanie.

A kiedy Bartholomeu spojrział dalej, zamarł, a potem przetarł oczy dłonią, jakby właśnie zbudził się ze snu. Goldon podążył za jego wzrokiem i zaklął. Simps jęknął, a Phil zachichotał głupkowato, jak to miał w zwyczaju.

To, co ujrzeli, było niewiarygodne... Wprost nie mieściło się w głowach. Nawet w tych porąbanych, kudłatych i pełnych wszy łbach niedoszłych piratów z Liona.

Wśród lodów uwięzione były dwa statki. Nie, nie brygantyny czy fregaty. To były dużo mniejsze i wielce dziwaczne jednostki. Pierwsza tkwiła przed nimi, zakuta w lodzie niemal do linii wodnej, nieco pochylona na bakburtę, ze sterzącymi trzema masztami. Poczerniały, smukły kadłub był jeszcze cały, choć od samej góry pokrywał go rząd sopli, szron i lód. Statek nie był duży - z bliska Sanders oceniał go na góra osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt ton, lecz nawet w najmniejszym stopniu nie przypominał kryp z Bristolu, Amsterdamu czy Kingston. Z daleka można by go wziąć za małego słupa, tyle że nie miał, jak słup, przedłużonego bukszprytu i tylko jednego masztu. Pozbawiony był olinowania i żagli, bo wiatry, mróz i śnieg zniszczyły takielunek dawno temu; maszty wznosiły się teraz nad pokładem nagie i żalotne, niby wyschnięte pnie drzew.

Drugi był znacznie większy, z wyniesionym wysoko nad pokład kasztelem

rufowym. Z jego pokładu wychodziły aż cztery maszty, z których dwa przednie nosiły - patrząc po zachowanych rejach - ożaglowanie rejowe, a dwa ostatnie - skośne. Szczegółów konstrukcji Sanders nie widział, bo jednostka stała nieco wyżej i była oddalona o dobre trzysta stóp od pierwszego statku.

Widok był tak niesamowity, że przez długą chwilę całą grupę jakby zamurowało. Prędzej spodziewaliby się tutaj pięknych syren albo żywego krakena niż dwóch statków uwięzionych w lodach przed Bóg wie ilu laty. Sanders pierwszy zdał sobie sprawę z faktu, iż skoro oglądane przez nich jednostki nie były fregatami, brygantynami ani słupami, nie wyglądały na okręty liniowe ani stare hiszpańskie galeony, to musiały zostać zwodowane bardzo dawno temu i pozostawać w lodzie przez stulecia. Przez jakieś sto, a może nawet dwieście lat!

Ale w jaki sposób znalazły się w bryle lodu, o kilka tysięcy mil od krainy śniegów na południu? Sanders przypomniał sobie, że nieraz widywał w tych okolicach płynące z południa góry, otaczające niezbadaną Terra Australis, na których czasem widzieli ptaki albo śmieszne nielatające kaczki. Jeśli zatem ogromne bryły lodowe odrywały się gdzieś w dalekich stronach od jakiejś większej całości i niosły na swych grzbietach zwierzęta, tedy dlaczego nie mogły przywlec tutaj uwięzionych statków?

Tak czy owak, był to pomyślny znak od losu. Na tych łajbach mogła być woda, żywność, nie wspominając już o rumie czy dużej szalupie. Bez żadnej zachęty prawie biegiem rzucili się w stronę mniejszej jednostki. Potykając się, ślizgając po lodzie, klnąc i przepychając, stanęli wreszcie pod starą, ciemną burtą, która nad podziw dobrze zniosła lodowe okowy.

- Podsadźcie mnie! - rzekł Sanders, widząc, że nie doskoczy do bocznej drabinki. Dokoła nie było żadnej liny ani beczki, po której mógłby wspiąć się na pokład.

- Ja, ja pomogę - zajęczał Phil.

- Ty, głupcze, pilnuj lepiej swojej rzyci - warknął Sanders - bo jak ci dam kopa, to za morze polecisz!

Wnet Charlie i Goldon splekli ręce, zgięli się w pół. Sanders postawił stopę na ich dłoniach, wtedy dźwignęli go w górę. Przeszorował po mokrych, oblodzonych

deskach, wreszcie złapał się fałszyburty kilka stóp wyżej. Stęknął, ale podciągnął się na ramionach, z trudem przelazł przez burzę.

Pokład statku zawalony był śniegiem, który gdzieśgdzie zdołał już odtajać. Widać karawela, bo tak chyba nazywano przed laty takie statki, była głęboko uwieczona w lodach i tylko promienie słońca sprawiły, że wyłoniła się spod lodowych okowów jak złoto spod bandaży indiańskiej mumii. Na deskach spod białej warstwy wystawały kawałki drewna, potrzaskane reje, resztki zbutwiałych lin. Tu i ówdzie można było dostrzec wyrwane z łoża armaty, piramidki kul, zmiżdżone beczki i wiadra.

Kwaternistrz wsparł się o rozwaloną kołkownicę, podał rękę Charliemu, wciągnął go na pokład. Potem wspólnymi siłami pomogli wejść Goldonowi i całej reszcie. Wkrótce stali już przy grotmaszcie, rozglądając się dokoła. Wyglądało na to, że karawela nie była zniszczona - dobre dębowe drewno przetrwało stulecia pod lodem w nienaruszonym stanie, wątpliwe jednak, aby statek nadawał się do żeglugi.

Ruszyli na rufę, do forkasztelu, sprawdzić, co stało się z załogą. Drzwi wiodące do nadbudówki były zamknięte na głucho. Sanders i pozostali bez namysłu dobyli noży, wyrąbali kawał lodu wokół progu. Bartholomeu chwycił za żelazny pierścień, szarpnął drzwi do siebie. Trzymały mocno, więc przez chwilę siłował się z zawiasami. Szarpnął mocniej i wówczas puściły z trzaskiem, rozwarły się na oścież, a wtedy w mrocznym wnętrzu rozległ się głośny trzask, świst i jęk dartego metalu. Sanders zamarł, dobył pałasza i dopiero wówczas zajrzał do środka. Wnętrze kajuty kapitańskiej było ciemne i lodowato zimne. Na wprost wejścia dostrzegł dziwną konstrukcję - skrzynię, na niej łożo zaopatrzone w wygiętą w łuk metalową sztabę. W rowku tkwiła gruba strzała, a cięciwa, która powinna spoczywać za nią, była pęknięta. Gruby sznur szedł od spustu tej pradawnej broni aż do drzwi.

Sanders zalał się potem, kiedy dotarło do niego, że zastawiono tu pułapkę na niespodziewanego gościa. Każdy, kto chciałby wejść do kajuty, dostałby bełt z kuszy prosto w sam środek żywota, zanim jeszcze zdołałby wykrztusić słowa powitania.

Na szczęście czas zrobił swoje. Bartholomeu zrozumiał, że trzask i świst pochodził od cięciwy, która pękła po zwolnieniu spustowej dźwigni. Tylko temu zdarzeniu zawdzięczał, że nie leżał teraz przeszyty grubym jak trzy palce bełtem.

Przeżegnał się i poszedł dalej.

Kiedy wyprostował schylone plecy, poczuł, jak przenika go zimny chłód. Kajuta była lodowym grobowcem, w którym - jak na deskach teatru - wciąż rozgrywało się przedstawienie ostatnich chwil życia załogi karaweli. W hamaku leżał jakiś człek. Inny siedział przy palenisku; po prostu zamarzył, ściskając w dłoni hubkę i krzesiwo. Sanders dostrzegł mężczyznę siedzącego przy stole, ściskającego w białych palcach gęsie pióro. Leżała przed nim otwarta, zamarznięta księga, ledwie widoczna spod warstwy zlodowaciałego śniegu, który dostawał się do kajuty przez te wszystkie lata, gdy statek spoczywał uwięziony wśród lodów. Obok na podłodze dostrzegł jeszcze jedne zwłoki. Dwa kolejne ciała leżały po kątach - jedno na podłodze, a drugie - zwinięte w kłębek na kuferku.

Mróz zabił tych wszystkich ludzi dawno temu. Zmroził krew w żyłach, zamienił w blade, sztywne kukły. Na ciałach prawie nie widać było rozkładu. Kajuta nie cuchnęła jak trupiarnia, a zwłoki, poubierane w dziwaczne bufiaste kaftany i kapelusze, pookręcane łachmanami i gałganami na podobieństwo żebraków, nie zdążyły jeszcze odtajać, bo słońce nie miało przystępu do mrocznego wnętrza.

Sanders zdjął kapelusz. Jego kompani skłonili głowy, żegnali się, spoglądali ze strachem na zmarłych, którzy wyglądali jak pogrążeni w głębokim śnie.

Sanders zbliżył się do stołu. Odgarnął śnieg z księgi leżącej przez zmarłym, uderzył ręką pałasza, aby skuć lód ze stronic, chuchnął i z trudnością oczyścił otwarte stronice na tyle, że mógł zerknąć na wpisy. Zawilgocony papier niemal rozsypywał się w palcach.

Gdy Simps szarpnął za okiennicę, rozleciała się z trzaskiem na kawałki, wpuszczając promień światła. Sanders pochylił się nad stołem. Bał się, że jeśli spróbuje oderwać księgę od stołu, dziennik pójdzie w strzępy, więc z trudem przesyłabizował ostatni wpis na środku strony.

Tekst, o dziwo, był po angielsku.

12 lipca Anno Domini 1514. Śnieżna nawałnica szaleje już dziesiąty dzień. Wczoraj zgaśł ogień. Szyper Black bezskutecznie stara się go rozniecić. Nie żyje Marcus i Fendein - skonali na pokładzie, powaleni niemocą, ledwie wyszli z luku. Konamy z zimna... Kiedy piszę

te słowa, pióro przymarza mi do ręki. Nie sposób dotknąć kawałka metalu, aby nie zostawić na nim pół funta skóry.

Catherine jest uwięziona w lodach. Nie ma żadnej nadziei na wyrwanie się z pułapki. Nie możemy dokończyć tratwy. Giniemy...

Pokiwał głową, bo zrozumiał wszystko. Zginęli straszną śmiercią, zapewne zepchnięci przez wiatr w głąb lodowych pól na południu, gdzie ich statki zostały uwięzione jak w kleszczach. 1514... Ponad dwieście lat przeleżeli w lodach otaczających Terra Australis. Sanders pokręcił głową. Nie mieli tutaj już nic do roboty. Jeśli nawet chcieliby się bawić w piratów, tedy wyprzedził ich wiatr, mróz i śnieg.

- Charlie, Nates! - rzekł cicho. - Pójdziemy sprawdzić drugi statek. A wy, Simps, poszukajcie żywności, prochu i jakiejś szalupy.

O dziwo, Simps posłuchał. Widać wolał nie wychylać się przed innych i nie zdradzać ze swoją niechęcią, dopóki kwatermistrzowi sprzyjało szczęście.

Rozumieli się bez słów. Ta lodowa góra i jej zawartość była prawdziwym darem losu. Jeszcze dzisiejszego ranka ich życie było więcej niż niepewne, teraz zaś mieli być może widoki na jadło, wodę, proch, a także drewno na budowę dużej tratwy, na której mogliby bez kłopotu dopłynąć do Patagonii.

Sanders przywołał kompanów. Czas było sprawdzić drugi statek. Ciekawiło go też, dlaczego załoga Catherine ustawiła przed drzwiami pułapkę na nieproszonych gości. Czyżby doszło do buntu?

Tak czy owak, wyjaśnienie tej zagadki leżało na kolejnym statku.

4. Zaskakujące odkrycie

Drugi statek był znacznie większy, bardziej pękaty, zaopatrzony - na ile można to było poznać z resztek masztów i lin - w ożaglowanie przypominające zwykle brygi i fregaty. Choć na fokmaszcie miał tylko foka, na grotmaszcie

zachowały się jeszcze reje grotu i grotmarsła. Na bezanmaszcie niósł skośny łaciński bezan, jak zwykle statki handlowe pływające między Indiami Zachodnimi a Anglią, Francją i Holandią. To była karaka - statek starszy niż wszystkie prababki Sandersa; zapewne był w użyciu za czasów dawnych Hiszpanów. A może nawet takim przyłynęli do Ameryki jej pierwsi odkrywcy w czasach, kiedy w lasach na miejscu obecnego Plymouth, Nowego Amsterdamu i Charlestonu były jeszcze wilki i indiańskie diabły.

Do statku zbliżali się wolno, brnąc w roztopionym śniegu, ślizgając się po lodzie, klnąc i przepychając. Do grupy dołączył Phil, bo Sanders nie miał już siły, by odpędzić głupka. Aby podejść do burty, musieli wspiąć się na wzniesienie - górę wypiętrżającą się w postrzępionym masywie lodowca. A kiedy uczynili to i zbliżyli się do statku, kwatermistrz zamarł i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Uwięziona w lodzie karaka była wypalona jak pusta skorupa owada. Ogień strawił większość wewnętrznych pokładów, wypalił dziury w burtach, niszcząc, co się dało. Jedynie maszty i niektóre pokładniki sterczały nad rumowiskiem, w które zamienił się główny dek statku.

Sanders szarpnął nadpaloną, rozlatującą się deskę, Charlie pomógł mu, chwytając z drugiej strony.

- Ja, ja pomogę! - zabalgotał Phil.

- Twoja pomoc potrzebna jak dziura w moście - warknął Bartholomeu. - Idź lepiej do szalupy! I pilnij, żeby jej nie ukradli!

Z trudnością wyłamali spaloną piankę spomiędzy wręgów. Sanders pierwszy precisnął się do środka, stanął na rumowisku poczerniałych bali i desek, które kiedyś było chyba główną ładownią karaki.

I wówczas jęknął, bo przez chwilę miał wrażenie, że znalazł się na dnie piekła. Wnętrze musiało zostać zasypane tonami śniegu, który zmienił się z czasem w twardy jak skała lód, skrywając to wszystko, co wydarzyło się we wnętrzu płonącego statku. Pod promieniami słońca stopniał, odsłaniając tajemnicę.

Działo się tutaj wiele rzeczy. Złych rzeczy, od których pot zrosił czoło Sandersa.

Spod topniejącego lodu i śniegu prześwitywały zwęglone ciała marynarzy.

Szkielety szczyrzyły nań zęby rozwarłe w nadobnym uśmiechu Pani Śmierci. To było dziwne, ale pożar, który strawił karakę, wygasł chyba sam, z naturalnych przyczyn, bowiem część zwłok została spalona niemal na popiół, a kwatermistrz dostrzegwał tylko poczerniałe kości i zwęglone kule czaszek. Inne z kolei wyglądały na ledwie muśnięte płomieniem - miały zwęglone ręce, nogi lub twarze, na których zastygła przedśmiertna męka i ból.

Najgorsze czekało ich dalej. Na stępce, wśród poczerniałych, pokrytych grubą warstwą śniegu kamieni balastowych, spoczywała nadtopiona bryła lodu. Człowiek, który się z niej wyłaniał, był częściowo spalony. Nie żył od dwustu lat, a jednak dzięki wiecznej zmarzlinie, która wniknęła w jego ciało, wciąż klęczał, wychylał się spod niej, szeroko rozwartymi ramionami obejmując... powietrze. Jak gdyby usiłował chwycić w objęcia bryłę płonącego lodu, a potem pozostał tak, unieruchomiony przez zimno i mróz, na wieczną pamiątkę swego poświęcenia.

Już to samo w sobie było straszne. Jednak potworne przerażenie na popalonym obliczu martwego aż nadto wyraźnie mówiło, że w chwili kiedy przyszło marynarzowi pojednać się z Panem, zamiast złocistego anioła ujrzał na własne oczy wszystkie diabelskie bestie gnieźdzące się na dnie oceanów.

Phil, który wcisnął swój kudłaty łeb do wnętrza kadłuba, zaszlochał, widząc tę scenę, a Sanders przeżegnał się znowu. Na brodę papieża, nie był zbyt religijny, po latach spędzonych na morzach nie bardzo ruszały go obrazki haftowane krwią i ludzkimi trzewiami, jednak na widok tak okrutnej śmierci znów stracił rezon i fantazję, które odzyskał dzięki lodowej górze i uwięzionym w niej statkom.

Co zaszło na pokładzie? Pożar? Bunt? Czy ktoś zaproszył ogień, czy też celowo podpalił statek?

Przyjrzał się nadpalonemu trupowi i serce mu zamarło. Z piersi mężczyzny sterczał krótki bełt wystrzelony z kuszy... Zabito go. Ustrzelono jak dzikiego zdeba, a potem? Właśnie, co potem? Spalono?

Tego wszystkiego było za dużo jak na jego głowę. Za dużo jak na ten dzień, opłacony krwawym trudem, strachem, zemstą, a potem nadzieją na zbawienie.

- Ahooooj! Tutaj! Bywajcie!

To był głos Natesa. Dochodził z boku, spoza statku.

- Chodźcie!

Skoczyli ku dziurze w burcie, wyszli na zewnątrz. Nates krzyknął znowu - jego nawoływanie dobiegło od strony bukszprytu. Sanders popędził tam, brnąc w śniegu, pozostawiając za sobą głębokie ślady. Majtek stał na lodowym polu jakieś trzydzieści stóp od dziobnicy karaki, pochylał się nad wgłębieniem w lodzie, a jego oblicze było blade ze strachu.

Sanders skoczył do niego, potknął się, a Phil w ostatniej chwili wyciągnął do niego rękę. Bartholomeu chwycił ją, łapiąc wraz z uściskiem równowagę, wyrwał dłoń wściekły, że skorzystał z pomocy głuptaka, który w załodze Liona był dziewczką do wszystkiego - włączywszy szpetną sodomie pod pokładem.

A potem przebrnął przez śnieg, stanął obok dygocącego Natesa. Spojrzał na to, w co wpatrywał się marynarz, i aż pokręcił głową z niedowierzaniem.

Pod nimi był płytki, wyrąbany w lodzie dół. Niegdyś zapewne wypełniał go śnieg, który stopniał, odsłaniając coś, co wyglądało jak zmutylowane ciało człowieka. Co było w dole? Jak to opisać? Porąbany niemal na kawałki, pokryty zlodowaciałą krwią trup. A najdziwniejsze, że zmarły miał dłonie związane drutem za plecami, a stopy spętane liną i odrąbaną głowę, która w dodatku obrócona była tyłem naprzód. Co za diabeł?

Sanders złapał za ramię i ścisnął rozdygotanego Natesa. Obrócił chmurną twarz w stronę Charliego.

- Spokój, kamraci! - warknął. - To była jakaś egzekucja, zemsta. Być może mieli więźniów na pokładzie. Albo ich szyper był mniej wyrozumiały niż Hands i zdjął im kapelusze z karków razem z łbami.

Sam nie wierzył w tę gadaninę. Jeśli to było ciało skazańca, dlaczego tedy ułożono mu głowę odwrotnie? I po co wiązano razem stopy, a ręce skrępowano drutem? Aby nie wstał z grobu? Do kroćset, co tu się wydarzyło? Co za szaleństwo rozegrało się na uwięzionych w lodzie statkach, że jego pierwszym aktem stały się zamrożone trupy zabarykadowane w kapitańskiej kajucie, drugim spalony wrak i zwęglone ciała, a trzecim - ten dziwny grób z makabryczną zawartością? Jaka historia powiązała te trzy przeklęte miejsca?

- Tam coś się świeci - rzekł Charlie. - Obok tego ścierwa, kamraci, patrzcie...

Niech ja skonam. To złoto!

Faktycznie, przez lód przebijały żółte rozbłyski czegoś ukrytego pod zwałami szarego, roztopionego lodu.

- Nie ruszajcie tego! - warknął Nates. - Tfu, tfu! To czartowska sztuczka. Przeklęty skarb! Nie tknę złota wyciągniętego z parszywego miejsca!

- Ja wcale nie chcę tego ruszać... Ale uważajcie sami... To jakaś złota figura. Posąg, bracia, jak u dawnych Indian.

- I przeklęty jak złoto Cortesa! - warknął Nates, żegnając się nabożnie. - Nikomu nie pozwolę go ruszyć! Co tak patrzysz, Sanders! Lepiej stracić rękę, niż obrabować ten grób!

- Znam kogoś, kto zrobi to za nas. - Sanders wyszczerzył zęby w uśmiechu, bo złoto zawsze miało tak magiczną siłę, że jego blask płoszył wszystkie cienie, duchy, diabły i demony. - Phil! Chodź tu! Potrzebujemy pomocy!

Wezwany kiep rzucił się niemal do nóg kwatermistrza. Prawie zaszłochał z psiej radości, że wreszcie ktoś zwrócił na niego uwagę.

- Wejdz tam i wyjmij spod lodu tę żółtą rzecz - nakazał Bartholomeu. - Szybciej, chłopcze, nie będziemy tu stać i czekać na przekroczenie równika!

Phil skoczył do grobu, uderzył łokciem, drapał popękany lód, darł go palcami, aż poszła mu krew spod paznokci. I w końcu, po długiej chwili ciężkiej pracy, chwycił w zakrwawione dłonie ukryty pod lodem przedmiot. To był wielki i ciężki posążek - niezdarnie oddany indiański idol, przypominający trochę jaszczurkę, a trochę kajmana rozwierającego paskudną paszczę pełną złotych zębów.

Złoto zabłysło w promieniach słońca, a wówczas głośny huk wstrząsnął ich zmysłami. Gdzieś dalej, za linią stromych, poszarpanych lodowych iglic, ogromny kawał góry musiał osunąć się do wody, uświadamiając wszystkim, że chwila, gdy pływający fragment lądu spocznie na dnie morza, zbliża się nieuchronnie.

Sanders z zachwytem przyjrzał się idolowi. Czyżby ładownia ocalałej karaweli pełna była złota? Czy zaginione statki wiozły do Europy łupy zdobyte na Indianach? Wszystko było jeszcze przed nimi, choć należało się spieszyć.

- Rzuć to w diabły! - warknął Nates. - Wyrzuć to kurewstwo do morza! To jakiś demon, diabeł, to...

- To góra złota, bracie! - zawołał wesoło Sanders. - Nie musisz tego dotykać. Zresztą ja też nie chcę. Phil, bierz to na ramię. Wracamy na karawelę, do reszty naszych!

5. Pół cetnara złota

- Jak pragnę zdrowia i piczy królewskiej faworyty - wycharczał Goldon, dorzucając kolejny odważnik na starą wagę, którą znaleźli na karaweli. - Ponad pół cetnara czystego złota! Jesteśmy bogaci!

Kompani zarechotali, chociaż jeszcze przed kilkoma chwilami nie było im do śmiechu na tym wraku pełnym śmierci. Lecz teraz trupy zostały wyrąbane z lodu i uprzątnięte, a wszyscy siedzieli wokół stołu z kubkami pełnymi zamrożonych kawałków wina, wyciągniętych z jedynej beczki, która pozostała w ładowni.

Sanders przerzucał ocalałe stronicie dziennika, który znaleźli w kapitańskiej kajucie, przy martwym pisarzu. Przemoczone karty ledwie dały się osuszyć, pękały, rwały się, niektóre były sklezione tak bardzo, że nie dawało się ich rozdzielić. W sumie był to bardziej poszarpany strzęp ledwie dających się odczytać wieści niż kronika czy diariusz.

- Wyłynęli z Bristolu we wrześniu roku Pańskiego 1513 - rzekł kwatermistrz.
- Szaleńcza wyprawa Jamesa Lodge'a, szypra, kupca i żeglarza, który próbował handlować czarnym hebanem z Hiszpanami, a potem odkryć wielkie przejście południowo-zachodnie. Drogę do Indii i Chin... Zimowali w Patagonii, potem próbowali opłynąć Kaap Hoorn na sto lat przed Schoutenem. Do kroćset, dlaczego nie popłynęli przez Cieśninę Wszystkich Świętych, zwaną przez Hiszpanów Cieśniną Magellana? Tak samo jak naszego Drake'a, wiatr zepchnął ich głęboko na południe, rzucił między lody i śniegi Terra Australis, gdzie oba statki zostały uwięzione w lodowym potrzasku.

- Niezbadane są wyroki Opatrzności Bożej - rzekł Nates.

- Nie wiem, co działo się dalej, bo zapiski są zamazane. Nie mogli uwolnić się

z lodów. Część z załogi chciała poświęcić karakę, aby zbudować z niej tratwę, a potem odpłynąć na północ. Znikło kilku ludzi. Potem doszło do buntu, bo Lodge... Ich kapitan chciał czekać do wiosny, aż stopnieją lody. Aby potem za wszelką cenę przedrzeć się do Indii.

- A to skąd mieli? - Goldon wskazał posąg.

- Zimowali w Patagonii. W Ziemi Ognistej. Pewnie zdobyli na Indianach.

- Chędożyć wszystkich umrzyków! - warknął Bull. - Zabierajmy tę złotą babę na pokład, bierzmy szalupę, co tylko jeszcze znajdziemy na tej krypie i dymajmy stąd, póki góra jeszcze się trzyma. Kiedy lód pęknie, nie zdążymy nawet pozdrowić diablic w piekle!

- Pewnie - rzekł Goldon. - Zbierać dupy w troki, kochaniutcy! Do roboty.

Okropny, świdrujący ryk wstrząsnął powietrzem. Przeszedł w charkot i ucichł równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Porwali się na nogi. Stół zastawiony kubkami zakołysał się, zatrzeszczał. Wszystkie ręce porwały się do pistoletów, noży i cutlasów. Zbili się w gromadkę.

- Kogo z nami nie ma?! - zakrzyknął Sanders, który jako jedyny nie stracił zimnej krwi. - Policzcie się!

Nie było Phila, Charliego i Simpsa.

- Na pokład! - ryknął Sanders. - Szukać ich! Ruszajcie się!

Skoczyli żwawo ku drzwiom. Pod ich bosymi stopami i trzewikami zadudnił pokład, zaskrzypiały zmurszałe deski. Goldon kopnął drzwi z takim rozmachem, że pękły na pół, wyleciały z przeżartych rdzą zawiasów. Kiedy wyskoczył na oblodzone śródokręcie, omal nie potknął się, nie zwałił na deski. Simps wychynął z półmroku jak duch, zakołysał latarnią zabraną z szalupy, rzucającą złoty poblask na roztopiony śnieg. Nie, to nie było żadne kołysanie. Po prostu ręka majtka dzierzżąca żelazny pałąk dygotała, jakby miotła nim najgorsza odmiana afrykańskiej febry.

- Charlie! - wycharczał. - Charlie nie żyje! Patrzcie...

Skoczyli do miejsca, nad którym zataczał kręgi latarnią. Sanders pochylił się i zadygotał. Na deku leżało zwęglone, spalone ciało. Tylko po resztkach czerwonej chusty okalającej głowę poznał swego dawnego druha. Nad szczątkami unosił się jeszcze dym, w nozdrza uderzał ohydny swąd spalonego mięsa. Charlie skończył...

Spalony. Jak załoga dużej karaki!

Sanders zasłonił nos rękawem. Ktoś z tyłu wył. Inny krzyczał. Jeszcze inny modlił się. Taaaak. Nie był to specjalnie przyjemny widok. A nastrój, w jaki wpadło pozostałych siedmiu kompanów zmarłego, wydawał się jeszcze gorszy.

- Phil! - zagrział Sanders, przejawiając wprost niezwykłą troskę o przygłupa. - Gdzie jesteś, szelmo?!

- Tu, panie! Tuuu! - zawył przeciągle popychadło. Po chwili nadbiegł zdyszany od strony rufy. - Jestem, już jestem... Czego trze... - urwał, wybałuszył oczy na widok tego, co leżało na deskach. Przeżegnał się roztrzęsioną dłonią, pomylił przy tym kierunki, zaczynając od dołu, a kończąc na lewej piersi.

- Co to ma być, do francowatej kurwy mojej matki?! - zagrział Goldon. - Kto to zrobił? Jak? Czym?

- Kto pierwszy odkrył ciało?

- Ja - Simps nieco już ochłonął - szedłem z ładowni. Znaleźliśmy tratwę. Prawie skończoną... Usłyszałem krzyk. Przybiegłem, a on... Leżał na deskach, palił się.

- Widziałeś kogoś w pobliżu?

- Jakbym ja go widział, tobym mu łeb ukręcił, jak amen w pacierzu. Nie żebym jakoś za Charliem przepadał, ale przecie był nasz... Z towarzystwa!

- Z towarzystwa - potwierdziły wszystkie głosy.

- Diabeł to uczynił, bracia - rzekł w ciszy Nates. - Zaprawdę przeklęte i nawiedzone są te okręty. Czart porwie nas do piekła, a wcześniej wyrwie nam dusze z piersi, wydyma czarnym kutasem na wieczną hańbę...

- Przymknij się, łaskawco - warknął Goldon. - Bo zaraz spuszczę pludry i wtedy zobaczysz takiego kusia, że sam będziesz wolał schować się przed nim w piekle! Kto to zrobił, pytam?!

Nikt nic nie odrzekł.

- Patrzcie - rzekł nagle Simps. Postąpił kilka kroków, oświetlił zmurszałą fałszburtę łodzi. Na deskach były wypalone jakieś litery.

- Co tam pisze? - zainteresował się Goldon.

- Czytaj, stary fajfusie.

- Sanders!

Kwatermistrz, jedyny, który potrafił czytać i pisać, zbliżył się i zmrużył oczy.

- *Na reje* - przeczytał koślawy napis. - *Stawiać żagle.*

- Co takiego?! - Simps potrząsnął głową. - Jakie żagle?! Jakie reje? Ktoś sobie z nas, bracia, robi wolne żarty.

- Charlie chyba się na nich nie poznał - pociągnął nosem Goldon. - I dlatego leży sprawiony jak wołowa ćwierć.

- To diabelska sprawka! - jęknął Nates. - Co teraz poczniemy?! Módlmy się, bracia!

- Módl się sam! - warknął Sanders. - A wy, do diabła, przestańcie się trząść! Trzymajmy się razem, a nic nam nie będzie!

Sam nie wierzył w prawdziwość tych słów. Nates ukląkł i zaczął modlić się płacząco.

- Uspokójcie się! - rzekł kwatermistrz. - Może Charlie sam się podpalił? Stłukł latarnię... Nie wiem, co myśleć, ale powinniśmy zabierać się stąd jak najszybciej. Simps, mówisz, że w ładowni znaleźliście tratwę?

- Tak jest.

- W takim razie chodźmy tam wszyscy i spróbujmy ją skończyć. Potem wyciągniemy ją na wierzch, spuścimy na wodę, zabierzemy zapasy, złotego idola i nawet nie spluniemy na pożegnanie.

- Do ładowni! - warknął Goldon. - Do ładowni, tacy synowie! Zebrać topory i co się tylko da! Gdzieś tu musi być skład cieśli. Ruszać się! Jeszcze nie wszystko stracone!

- A może - rzekł najzupełniej niespodziewanie Phil - powinniśmy uwolnić z lodu ten cały statek... Popłynąć na Pacyfik. Zamiast w małej szalupie...

- Ty, Phil, trzymaj gębę na kłódkę - warknął Simps. - Albo uciszę cię na zawsze. Tratwa - o, to brzmi dobrze. To nasza jedyna nadzieja. Ruszcie kulasy, kamraci!

Popędzili do luku, zerkając ciągle na poczerniałe zwłoki, które w mroku stały się tylko rozmazaną czarną plamą przy fałszburcie.

Sanders nie poszedł za nimi. Skoczył do kapitańskiej kajuty. Przed wejściem

przeżegnał się i ze strachem zajrzał do środka. Zmrok zapadał szybko, ledwie widział zarysy zbutwiałych mebli, połamane krzesła.

Podszedł do stołu i zamarł. Chciał zabrać dziennik, który z takim mozolem odczytywał. Sęk w tym, że nie było już dziennika. Nie było porwanej, rozpadającej się księgi. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś położył na niej rozpalony kawał żelaza, zmieniając rękopis w stos ciepłego popiołu.

Sanders rozejrzał się dokoła z przerażeniem. A potem, ściskając pałasz w rękę, pobiegł do głównego luku.

6. Ogień i lód

Kolejny ryk strachu, bólu i cierpienia dobiegł z najciemniejszej części ładowni - z komory prowiantowej, do której wyprawiali się po deski. Sanders spodziewał się takiego obrotu sprawy. W myślach liczył na to, że sam nie będzie kolejnym kochankiem kościstej staruchy i nie zostanie przypieczony ogniem dającym przedsmak piekielnych mąk i cierpienia. Pracowali nad tratwą, której marynarze karaweli nie zdołali ukończyć. Solidne dębowe bale wyciosane z pokładników i wzdłużników karaki przetrwały lata w dobrym stanie - wyglądały krzepko, gdy usunęli z nich śnieg i odkuli lód. Część tratwy nie była jednak obita deskami - Gore, Bull i Simps wyruszyli po nie na rufę. Okrzyk przerażenia świadczył jednak, że liczba zacnych kompanów pana Sandersa zmniejszyła się właśnie do pięciu.

Najpierw zamarli. Potem oczywiście porwali za broń. Wszyscy oprócz Sandersa, który machnął na to ręką. Po tym, co zobaczył, wątpił już, aby ziemskie broń działała coś przeciwko tej parszywej sile, która dobrała im się do śmierdzących buntowniczych tyłków znacznie sposobniej i skuteczniej niż królewski kat w Kingston czy Port-Au-Prince.

Najpierw zbili się w gromadkę, potem z wrzaskiem i krzykiem nadbiegli Bull i Simps. Nie było z nimi Gore'a, więc nawet przygłupi Phil wydedukowałby, iż los tym razem okazał się niezwykle pechowy właśnie dla niego.

Ruszyli do ładowni w sześciu, rozświetlając sobie drogę latarnią Sandersa. Nie szukali długo. Przed grodzią prowadzącą do komory prowiantowej znaleźli dogasające szczątki marynarza. Po pasku i leżącym obok niewystrzelonym pistolecie poznali swego dawnego kompana. Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie...

- A światłość wiekuista niechaj mu świeci - wyszeptał Sanders, zdejmując kapelusz.

Tym razem nikt nic nie mówił. Nawet Goldon trzymał za zębami język skory do długiego i namiętnego rozwodzenia się na temat obyczajności matek, babek i prababek wszystkich kompanów, a nawet króla i wicegubernatora Jamajki. Sanders z kolei milczał, bo nie wiedział, co ma rzec. A wtedy Simps zbliżył się do ściany i wskazał niewyraźne, wypalone w drewnie litery:

- *Uwolnijcie mój statek* - przeczytał Sanders.

- To diabeł! - jęknął Goldon. - Ten statek jest przeklęty! Tu krąży zły! Chce pożreć nasze serca.

Rozglądali się niepewnie; wodzili dokoła lufami pistoletów, przyglądali się cieniom na ścianach, wsłuchiwali w wiatr wyjący wśród zamarzniętych iglic, szum morza, od czasu do czasu głuchy huk pękających lodów.

- Czego chcesz?! - zakrzyknął Goldon. - Czego od nas żądasz, koniobijco?! Złota? Klejnotów? Idola?

- Chce, żebyśmy uwolnili jego statek z lodów... Zepchnęli karawelę na wodę - rzekł Phil i, o dziwo, wysłowił się całkiem do rzeczy.

- Ale kto? Co? - jęknął Simps.

- Kapitan. Dowódca tej wyprawy - ciągnął spokojnie przygłup. - Ten, o którym czytał Sanders. Który nie godził się na spalenie karaki, ale chciał czekać do wiosny, aby uwolnić statek z lodów. I doczekał się. Mamy wiosnę. A on chce płynąć dalej, za Hoorn, na Pacyfik, do Indii!

- Co mamy robić? - wybełkotał Sanders. - Jak to możliwe?

- Będzie zabijał nas po kolei. Do chwili gdy spełnimy jego kondycje. Albo nie zostanie ani jeden z nas.

- Radźcie coś! - rzucił Sanders.

Marynarze jęknęli. Tym razem, kiedy Nates padł na kolana, dołączył do niego

Bull i Goldon.

- Sam coś radź! - warknął Simps do Bartholomeu. - Ty nas tutaj wciągnąłeś! Tyś odkrył tę przeklętą górę lodową! A potem chciałeś szukać na łajbach swojej utraconej cnoty! Zdrajco! Psi synu!

Oczy Simpsa nie wyrażały teraz absolutnie nic. Były niczym otchłanie bezdenne morza.

- Daję głowę, że jesteś z nim w zмовie! Chcesz ukraść nasze dusze i zagarnąć złoty posąg!

- Simps, weź się w garść, chłopie! - warknął Goldon. - Opanuj się, póki dobry. Wszyscyśmy wdepnęli w jedno łajno i teraz jesteśmy nim upaprani aż po same uszy.

- Nie zmyjemy go inaczej jak posoką! - warknął Simps. - Jego krwią!

- Powoli, Simps, nie łap tak żwawo za nóż! - rzucił Sanders, kując żelazo, póki gorące. - Skąd mamy mieć pewność, że to jest diabeł albo potępieniec? Jak mamy ci wierzyć, skoro zawsze ty znajdowałeś ciała.

- Nie wykpisz się gadaniną, psi synu! - Simps miotał się między burtą statku a ścianą grodzi jak osaczony kundel. - Tyś nas podmówił do buntu! I tu sprowadził! Zarąbmy go, bracia, może ten diabeł zostawi nas w spokoju.

- Zarąbcie jego! - wrzasnął Sanders. - Gdzie twoja latarnia, brachu?! - Porwał z ziemi żelazny kłosz, potrząsnął, ale nie usłyszał chlupotu. - Dlaczego nie masz w niej oliwy?!

- Jaka latarnia, Sanders? O co ci idzie, do starej murwy narożnicy...

- O to, że to ty mogłeś zabić tamtych, a potem oblać trupy oliwą i podpalić.

- Co?! Słyszeliście go, kamraci! Ten pies śmie zrzucić na mnie całe odium...

- Myślisz, że nie widzieliśmy, jak ci latały oczy na widok złotego idola - rzucił Phil, o dziwo, całkiem rozsądnie. Sanders nie wiedział przez chwilę, czy pochwalić go za to, czy może jednak ukarać za wpychanie się bez zaproszenia w sam środek wielce obiecującej dysputy. - Chciałeś wykończyć nas wszystkich, a potem zgarnąć złoto i hulaj dusza, piekła nie ma?! Atoli piekło jest, bracie. Tu, w tej ładowni, na ziemi.

- Oddaj broń - Bull wypalił jak z pistoletu. I nawet przy tym nie zaklął. - Jesteś

szalony! Rzuć nóż, Simps! Po dobroci...

- Odstąpcie ode mnie! Odejdźcie! Cofnijcie się! Zostawcie w spokoju...

- Oddaj broń. I uspokój się. Nikt nie chce cię zabijać.

- A pies cię jebał! - ryknął majtek i runął na Sandersa jak morski tryton rozwścieczony utratą ukochanej ondyny. Bartholomeu nie dał się zaskoczyć. Zastawił się pałaszem, zbił zakrzywione ostrze, ciął wręcz, doprawił z podlewu. Więcej czynić już nie musiał... Goldon, Bull i Nates wpadli na Simpsa z cutlasami, nożami i pałaszami, roznieśli go na ostrzach, nim zdołał wnieść jakąkolwiek protestację od tego haniebnego postępuku. Jak zresztą miał to zrobić, gdy dostał w łeb i po boku, Sanders pchnął go prosto w trzewia, a Goldon chlasnął z boku po szyi. Już leżącego do lodu przyszpiliły wszystkie ostrza. A kiedy broczący krwią z ran usiłował pełznąć w stronę tratwy, rąbali go z rozmachem, zaciekłością i furią. Stanęli zdyszani nad trupem, spoglądając na siebie przerażonym wzrokiem.

- Goldon, Bull! - Sanders spróbował znowu przejąć komendę i udało mu się to w pełni. - Zabierzcie beczki z wodą i sucharami. Broń i prochy. Idziemy do łodzi! Wracamy do naszej szalupy i zabieramy się stąd jak najszybciej!

Nikt nie zgłosił sprzeciwów.

7. Rozbitkowie

Szalupa nie nadawała się już nie tylko do żeglugi, ale nawet na opał. Była zwęglona na popiół, z którego wystawały tylko resztki wypalonych wręgów. Zniszczona tak samo jak kadłub wielkiej karaki.

Stali nad nią przerażeni, bezradni jak dzieci, których rodziców właśnie posłano w głębinę z kamieniem u szyi. Nates szlochał. Goldon kłął pod nosem, Bull jęczał, zawodził cienkim głosem, jakby diabelski duch nie tylko pozbawił go łodzi, ale również zacisnął płonące dłonie na jego rodowych klejnotach, czyniąc z niego tureckiego eunucha.

A Sanders podniósł z lodowego brzegu kawałek deski ocalały z płomieni. Litery wypalone na piance wiły się jak węże:

Uwolnijcie statek. Płyniemy do Przejścia...

Kim był ich wróg? Kim był prześladowca? Dlaczego domagał się uwolnienia karaweli? Sanders poczuł, że gadanina Phila tym razem miała głębszy sens niż codzienny bełkot przygłupa, zbyt durnowaty, żeby zwracać nań uwagę. Co, jeśli demonem albo duchem, który stał za ich cierpieniami, był... kapitan tej starej wyprawy? Czyżby oszalał ze szczętem, że nawet po ponad dwustu latach chciał kontynuować podróż do celu, który Magellan odkrył zaledwie kilka lat po nim?

- Co teraz? - jęknął Bull, który w obecnej sytuacji nie był już taki prędko w gębie. - Panie Najświętszy, Jezu Chryste! Co teraz poczniemy, kompani?!

- Ja nie chcę! - krzyknął majtek. - Nie chcę być następny...

- Wysłuchajmy diabła - rzekł Phil całkiem do rzeczy. - Uwolnijmy karawelę z lodów, spuśćmy ją na wodę...

- Ten statek to łajba starsza niż picza prababki - rzekł Sanders. - Jak ty chcesz go uwolnić, durna głowo? Wysadzić lód prochem? Czekać, aż ta parszywa góra rozpuści się w oceanie? A jeśli nawet, to ta przegniła balia pójdzie na dno, kiedy znajdzie się na pierwszej fali!

- Są jakieś inne pomysły? - Goldon popatrzył chmurnym wzrokiem po kompanach. - Proszę, kumotrzy, pokażcie, że macie nie tylko jaja jak granaty, ale i głowy na karkach! Zabijmy tego przeklętego diabła! Odeślijmy go tam, gdzie jego miejsce!

- Wróćmy na pokład karaweli - rzekł beznamiętnie Sanders. - Nie pozostaje nam nic innego, niż spuścić tratwę na wodę! Niechaj nikt się nie oddala! Miejcie oczy szeroko otwarte!

- Na pokład tej diabelskiej krypy?! - warknął Bull. - Prędzej pójde do piekła niż na ten przeklęty wrak!

- Więc jeśli chcesz, zostań tutaj. Ale, na Boga, nie wzywaj nas, kiedy dopadnie cię ognisty demon! Nie krzycz o pomoc, bo i tak nie przyjdziemy.

- Myślisz, że starczy nam sił, aby wykończyć tratwę?

- A mamy inne wyjście? - Sanders błędniał wzrokiem po lodowych polach. -

Czas wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy, kompani.

- To pewna śmierć!

- Pewna śmierć lepsza niż życie w niepewności!

Spojrzeli na Goldona. Pokiwał głową, więc zgodzili się wrócić do wraku.

8. Patagoński diabeł

- Chcecie wiedzieć, gdzie siedzi diabeł, który pozabijał naszych kompanów? Miałeś go na plecach, Goldon! To złoty idol, przeklęty posąg indiańskiego diabła z Patagonii!

Sanders rozsznurował worek, ściągnął go w dół, odsłaniając statuetkę demona odnaniezoną w lodowym grobie o kilka kroków od wypalanej karaki.

- Mości panowie, mości panie - rzucił, zerkając z ukosa na Phila - oto główny sprawca naszego nieszczęścia.

- Oszalałeś? - warknął Goldon. - To tylko zwykły posąg! Zostaw go w spokoju.

- Oczywiście, że nie zostawię, Goldon! Albowiem w przeciwieństwie do ciebie zamierzam umrzeć w Londynie, z dziwką za sto funtów na kolanach, a nie zdechnąć na tym parszywym kawałku lodu spalony jego ognistym oddechem!

Jednym ruchem wydobył z zanadru kizkę znaną w komorze prochowej karaweli, po czym wetknął ją demonowi do pyska.

- Nie wiem, jak wy, ale ja rezygnuję z podziału tego łupu, kamraci! A jeśli któryś z was upiera się przy swojej części, tedy będzie musiał odebrać ją w kawałkach!

- Zostaw ten posąg, Sanders! - ryknął Bull. - Czyś ty oszalał? Chcesz nas pozbawić pięćdziesięciu funtów czystego złota?!

- Zatrzymajcie go, kamraci!

Sanders wyszarpnął prawą rękę spod kaftana. W jego dłoni zabłysnął dublet.

Dwa czarne oczka luf spoglądały marynarzom prosto w twarze.

- Dalejże, Goldon! - Sanders wykrzywił usta w zjadliwym uśmiechu. - Zarąbcie mnie albo wyrzucie do morza. A wcześniej odrąbcie głowę, zwiążcie ręce i nogi drutem, abym przypadkiem nie powrócił po was z zaświatów. No, chłopaki, który ma więcej ikry? Was jest czterech, a ja tylko jeden. Ale mam tu w rurach dwie ślicznotki, krągłe jak cycki nadobnej ładacznicy! Daję słowo, że każda z nich przechędoży jednego z was na wylot, zanim zdolacie uderzyć się w piersi i polecieć duszę Panu! Który chętny do łaźni? Co, nikt się nie zgłasza? - drwił, widząc pobladłe oblicza kompanów. - Goldon, nie sięgaj, bracie, po pistolet, bo będziesz pierwszy w kolejce do świętego Piotra!

Goldon opuścił rękę. Tutaj, w ciemnej ładowni pradawnego wraku, oświetlonej migotliwym blaskiem latarni, Sanders zdawał się demonem z piekła albo wcielonym diabłem. On oszalał, przemknęło przez pokancerowany łeb starego pokładowego. Oszalał ze szczętem.

- A zatem skoro kwestię tego, kto mówi, mamy z głowy, pozwólcie, że dokończę to, co zacząłem!

Jednym ruchem Sanders przytknął lont zwieszający się z kieszki do płomienia latarni. Wilgotny proch zasyczał, sypnął iskrami. Ogień począł bardzo wolno piąć się w górę po długim lonicie...

- Tak oto ostatecznie pozbędziemy się bezbożnego demona! - zaintonował Bartholomeu. - Kryć się, szelmy! Na ziemię, jeśli chcecie zachować głowy.

Goldon znał kwatermistrza nie od wczoraj i wiedział, że Sanders nie żartuje. Skoczył za tratwę, wpadł za kolumnę grotmasztu, skulił się, zasłonił oczy dłonią.

- Złoto! - zajęczał Bull. - Nasze złoto! Ty wcielony diable! Zabijcie go!

Bull jak zwykle pierwszy był do gardłowania, a ostatni, kiedy trzeba było pokazać, że nosi w pludrach jajca, a nie francę, zaś we łbie rozum zamiast wody. Dlatego wcale nie runął na Sandersa - przeciwnie - choć krzyczał i podjudzał kamratów, sam rymnął na zbutwiały pokład, wsadził rzyć między beczki i złapał się za głowę.

- Daj spokój, chłopie - rzekł Phil. - To tylko posąg. Zwykły posąg, Sanders. Obejrzyj go ze wszystkich stron. Tam nie ma żadnego demona. To tylko pół cetnara

złota. Złota, które dla nas wszystkich oznacza o wiele weselsze jutro...

- Coś ostatnio zrobiłeś się elokwentny, Phil. Rzekłbym nawet, że nie poznaję w tobie dawnego popychadła z załogi Liona. Gadasz, jakbyś skończył kolegium i przez trzy lata wygłaszał kazania! To wprost niewiarygodne.

- Nie jestem Phil - rzekł majtek grobowym głosem. - Dziwne, że jeszcze tego nie zrozumiałeś, gamoni! Natychmiast zgaś ten lont i odejdz od idola! Od teraz ja wydaję tu rozkazy!

I nagle, zupełnie niespodziewanie, stanął w płomieniach...

Goldon, Bull i Sanders wrzasnęli jednym głosem. Phil odmienił się. Z małego, przykurczonego, wiecznie zasmarkanego i brudnego majtka stał się słupem ognia, ledwie widocznym zarysem człowieka trawionego płomieniami.

- Byłem Jamesem Lodge'em - rzekła istota. - A teraz gorę... I doprowadzę rzeczy do ostatecznego końca.

- Czego chcesz od nas, Lodge? - zapytał drżącym głosem Sanders. - Nie dość ci śmierci twoich kompanów? Nie dość spalonych ciał? Za co zabiłeś swoich ludzi? Bo nie słuchali rozkazów?

- Nie chcieli czekać do wiosny - głos widma był jak syk płomieni - aby uwolnić statki z lodu i płynąć do Przejścia... Nędzne szczury, kozi sodomici. Zbuntowali się, gdy kazałem im trwać. Chcieli mnie zabić, ale ja byłem sprytniejszy. Ofiarowałem się demonowi ognia Yamanów, dzikusów, których przetrzebiliśmy, gdy dobiliśmy do Płonących Ziem. Oddałem mu moją duszę i ciało, aby przetrwać - móc płynąć dalej i przebyć Przejście południowo-zachodnie. Jestem jego sługą, a mój pan potrzebuje ofiar.

- Zabiłeś ich wszystkich. Spaliłeś swój flagowy statek! Jesteś szalony! I potępiony!

- Zabijałem ich na ofiarę dla pana. Kiedy to odkryli, porąbali me ciało na strzępy, abym nie wrócił do nich po śmierci. Wiedzieli, że moja dusza spoczęła w tym posągu, więc wrzucili go ze mną do grobu. Ale sami nie przetrwali zimy na Terra Australis...

- Jak powróciłeś?

- To wy przywróciliście mnie do życia. Ten nędzny głupek przelał swoją krew,

dobrywając z grobu złotego idola, i nazaczył nią demona. Dzięki temu przejąłem ciało tego nędznika i postanowiłem dokończyć z wami to, czego nie udało mi się z tymi szczurami lądowymi nazywanymi moją pierwszą załogą. Wyrąbicie ten statek z lodu choćby gołymi rękoma. I popłyniecie ze mną odnaleźć Przejście.

- Sam popłyn do piekła, Lodge! - warknął Sanders. - Idź tam, skąd przyszedłeś! Minęło dwieście lat. Droga do Indii stoi otworem. Poza tym ta krypa rozleci się, kiedy zepchniemy ją na wodę. Jesteś tylko złym cieniem jeszcze gorszego nikczemnika. Należysz do historii, kapitanie. Takiej, którą opowiadają pijani majtkowie ladacznicom w tawernach! Idź precz, bo nie chcemy cię i nie zamierzamy słuchać twoich rozkazów!

- Zabiję was, Sanders. Jak świat światem żaden z was nie opuści tej lodowej wyspy. Bo ja jestem płomieniem i nadzieją, waszym przewodnikiem i władcą. Za mną macie podążać i mnie słuchać...

- Prędzej posłuchałbym samego diabła!

Sanders podniósł broń. Dwie lufy jego pistoletu plunęły ogniem, posyłając kule prosto w kierunku płonącego potępieńca. Nie uczyniły mu krzywdy. Lodge nawet się nie skrzywił; płomień ledwie zachybotał.

- Giń, psi synu! - ryknął Goldon, zachodząc potępieńca od tyłu i tnąc pałaszem w ostatnim geście desperacji. Z drugiej strony przyskoczył Nates, trzymając w wyciągniętej ręce krzyżyk.

- Precz w imię Pana! - zakrzyknął. - Wracaj do piekła, diable!

Lodge rozłożył ręce, skoczył na niego, otoczył ramionami. Płomienie buchnęły w górę, objęły postać człowieka; razem z nimi zawirował krzyk, okrutny ryk płonącego majtka, kiedy koszula, kaftan i pludry zajęły się ogniem. Goldon przyskoczył bliżej, pchnął pałaszem upiora. Ostrze przeszło płomienie niczym dym, z rozmachu wbiło się w pierś płonącego Natesa, przeszło go z chrzęstem...

Goldon zaryczał, chciał wyszarpnąć broń, ale nim zdołał to uczynić, płomienie pomknęły po ostrzu i rękojeści, sięgnęły jego ramienia. Ognisty demon zwrócił się w jego stronę, wypuszczając z objęć ryczącego coraz słabiej, płonącego niczym żywa pochodnia Natesa.

Sanders nie czekał. Przemknął tuż za potępieńcem, z piekielnie ciężkim idolem

pod pachą, powlókł za sobą długi, płonący wolno lont. Skoczył na schody, słysząc przekleństwa Goldona, wrzaski i płacz schowanego za beczkami Bulla.

Nie zwracał na to uwagi. Wpadł na schodnię, zaryczał, gdy pierwsza deska pękła pod jego ciężarem, a noga zapadła się po kolano. Wyrwał stopę z wrzaskiem, pomknął jak spłoszony zając, słysząc cichnące okrzyki trawionych ogniem kompanów. Uderzył czołem w belkę pokładnika, poczuł na skroni krew, ale nie zwracał na to uwagi.

Po chwili długiej jak godzina dla kogoś zakopanego żywcem w grobie przemknął przez podpokład, dopadł luku wiodącego na główny dek karaweli. Wypadł z niego jak wichur, runął w stronę burty...

Greting rozleciał się jak uderzony taranem od środka. Rozpadł się na kawały przemoczonego, zbutwiałego drewna. A z wnętrza ładowni wynurzył się płonący upiór, skoczył na deski, zagradzając mu drogę.

- Rzuć idola! - zasyczał niczym kowalski miech, zionąc gorącym prosto w oblicze Bartholomeu. - Wyjmij lont, wyrzuć proch, a potem oddaj mi go!

Sanders zerknął na mokry sznurek. Lont dopalił się do połowy - wilgotny proch sypał iskrami, trzeszczał, bardzo wolno sunąc w górę... Kwatermistrz zadygotał, zacisnął obie ręce na złotym idolu, zerknął na grubą kiszkę prochową wystającą z paskudnej gęby demona, a potem blady uśmiech wykrzywił jego wargi.

- Masz! - ryknął i cisnął statuę wprost w objęcia płonącego demona. Prochowa kiszka zajęła się ogniem w jednej chwili...

Lodge zaryczał, zawył; nie chwycił idola, pozwolił, by statua opadła na pokład, odbiła się od krawędzi luku, poleciała w głąb mrocznej ładowni, między beczki z prochem...

Sanders nie patrzył na to wszystko. Jednym skokiem dopadł fałszyburty pochylonej karaweli i skoczył. Przez chwilę leciał w powietrzu, potem spadł na mokry śnieg i lód, uderzył barkiem w coś twardego, przekoziółkował z jękiem, pokrławiony, potłuczony.

Błysk rozdarł poszycie karaweli. Okropny huk ogłuszył Sandersa, podmuch sprawił, że poszorował po śniegu. A potem... Potem stało się coś jeszcze. Widocznie ogień dotarł do komory prochowej, bo nagle statek rozleciał się na strzępy w

gromowym huku i błysku jaśniejszym niż tysiące słońc. Połamane belki, wręgi i klepki poleciały na wszystkie strony, przemknęły nad głową na wpół żywego Sandersa z gwizdem i świstem...

Bartholomeu usłyszał nieznaną dźwięk. Nagle rozległ się głośny trzask, okropny, wwiercający się w głowę chrzęst pękającego lodu. Sanders dostrzegł, jak tuż obok po śniegu i lodowcu przemknęła jak błyskawica szara, rozszerzająca się szczelina - popędziła w kierunku poszarpanych brzegów góry lodowej, za którymi kotłowało się wieczorne morze...

Z hukiem i chrzęstem lodowa góra rozpadała się na dziesiątki, setki, tysiące lodowych drzazg. Pęknięcia sunęły we wszystkie strony, rozprzestrzeniały się, oplatając lodowiec niczym pajęczyna. A potem ogromne zbocza i białe tafle poczęły rozpadać się na kawały, pochylały się, obracały, zanurzając w oceanie, prezentując światu swą odwrotną stronę złożoną z fosforyzującego błękitnego lodu. Kataklizm zbił z nóg Sandersa, wzbudził wysokie fale na morzu. Minęła chwila i ogromne zwały lodowca, wieże, baszty, basteje, szkliste kazamaty runęły w dół, obróciły się w nicłość i pustkę, na zawsze grzebiąc w falach oceanu tajemnicę wyprawy Jamesa Lodge'a oraz buntowników z Liona i jego pokładowego kwatermistrza.

9. Przeklęte morze

I znów, tak jak poprzedniego dnia, dryfował po morzu skulony na potrzaskanym gretingu, sam jeden na bezmiarze oceanu, dygocący z porannego chłodu, ledwie żywy z wyczerpania.

Sanders żył. On jeden przetrwał kataklizm, cudem przeżył zniszczenie góry lodowej, chwile, gdy gigantyczne, lśniące odłamy lodowca waliły się do morza, a żywioł pochłonął ostatecznie resztki karaki i karaweli, ciała jego kompanów, tratwę i ostatnią szansę na przetrwanie.

Żył, lecz nie wiedział, co się dalej stanie. Nie miał wody, nie miał nawet jednego suchara, kołysał się bez szans na ratunek na wodach południowej Patagonii,

kilkaset mil od zbawczego brzegu. Lecz to nie miało już znaczenia...

Był poraniony, pokrwawiony. Krew sączyła się z rany na czole, z rąk i ramion, a Sanders zastanawiał się, czy wtedy, przed wybuchem prochu i kataklizmem, gdy dzierżył w ramionach złoty posąg demona z Patagonii, któraś z kropel jego posoki spadła na idola. Bo jeśli tak się stało, czekał go los, jaki stał się udziałem nieszczęsnego Phila, w którego ciało wstąpił duch potępionego Lodge'a.

Nie wiedział, czy nosił w sobie diabła, a ognisty demon utaił się w jego ciele. Aby przekonać się, czy to prawda, pozostawało tylko czekać. Czekać i czuwać. I wpatrywać się w odległy, przejmujący dreszczem nieboskłon w poszukiwaniu białego żagla nadziei.

Na szlaku chwały, krwi i złota

Francuski przekładaniec * Piracka rada * Rajskie piekło * Zbrodnicze porachunki * Nie trać głowy, brachu! * Duch zaginionej doliny * Przeprawa nad kaskadami * Prawdziwa bestia

1. Francuski przekładaniec

Podeszli do sterburty francuskiego ośmiodziałowego słupa od zawietrznej, tak szybko i niespodziewanie, że żabojady nie tylko nie zdołały skrócić na wiatr, ale nawet porządnie się uzbroić, nie wspominając już o wezwaniu na pomoc wiecznej dziewicy Maryi. Tego dnia i w tej walce Bóg okazał się Anglikiem i spuścił swój miecz pomsty na głowy nieszczęsnych majtków spod liliowej flagi.

Ludzie Dampiera wpadli na pokład jak sztormowa fala, złamali opór brutalną siłą i przewagą liczebną, pognali przed sobą wystraszonych, błagających o litość przeciwników, rozbiegli się po pokładzie, biorąc jeńców. A także rozwalając łby tym, którym nie starczyło czasu, aby cisnąć precz cutlasy i pałasze, po czym rozpaczliwie prosić pardonu.

Opór napotkali dopiero na rufie. Drzwi do kajuty kapitańskiej były zamknięte na głucho. Gdy Dampier i Selkirk dopadli do nich wraz z bosmanem Hogleym i częścią marynarzy, najpierw po przyjacielsku załomotali kułakami. A kiedy nie tylko nie doczekali się przyjaznej odpowiedzi, a nawet świsnęły im koło uszu kule z pistoletów, przebijając drzwi na wysokości pokrytego brodawkami nosa Hogleya, porwali za topory. Rąbali zaledwie kilka chwil. Wnet deski ustąpiły z trzaskiem, pękły na grube kawały, a że wsparli niszczycielską siłę toporów abordażowych kilkoma solidnymi kopniakami, runęły do wnętrza kajuty. Selkirk i Dampier, którzy zachowali jeszcze nabite pistolety, dali ognia poprzez pył, kurz i prochowe dymy. A potem rzucili się do środka z pałaszami.

Szyper słupa nie prosił o łaskę. Ten francuski galant w peruce długiej jak broda świętego Szymona Słupnika stawił im czoła w ciasnym wnętrzu z taką desperacją, jakby bronił przed piratami nie tylko swego statku, ale także cnoty siostry, która ofiarowała się do zakonu sióstr klarysek. Dampier wszakże nie bawił

się w żadne uniki, uskoki i inne pocieszne wygibasy, dobre może na śliskie posadzki Wersalu, ale zupełnie nieprzydatne na chwiejnym pokładzie statku. Zbił pchnięcie z wypadu, kopnął przeciwnika w kolano, zamarkował cios w prawo, w lewo, zbił ostrze wroga i z półobrotu wyprowadził mordercze pchnięcie zwane królewską kwartą. William znany był z tego podstępnego ciosu. W jego wyniku ostrze trafiło wroga w czoło - prosto między oczy - i jeśli Pan pobłogosławił tego dnia swemu wiernemu słudze - wychodziło gładko potylicą.

Tym razem udało się bez pudła. Zalany posoką szyper padł na deski. Reszty dzieła dokończył sapiący z utrudzenia Hogley i jego majtkowie, umazani krwią jak wilcy po napadzie na niewinne owieczki pozbawione pasterza. Toporami i cutlasami porąbali dwóch towarzyszy szypra, przeszli po ich trupach w stronę krańca kajuty, gdzie obok kapitańskiej koi przycupnęła postać w głęboko wyciętej sukni, z owalną rogówką i wysoko upiętymi, trefionymi na białe włosami.

- Na wszystkie członki Belzebuba! - wycharczał Hogley. - Jak pragnę zdrowia, korony anielskiej i kurewskiej piczy, to baba, bracia! Żywa baba!

- Prawdziwa! Młoda i świeża!

- Zęby ma wszystkie!

- Kapitanie - Hogley zerknął pro forma na Dampiera - jeśli chcecie być pierwsi...

- Nie, nie. - William nie zamierzał podziwiać wdzięków najnowszej zdobyczy swej załogi. Podważał właśnie wraz z Selkirkiem wieko kapitańskiej szkatuły. - Proszę bardzo, panie Hogley, jeśli łaska, wolno wam skorzystać z odrobiny uciechy. Ja w każdym razie protestować nie będę.

- Wy, panie Selkirk? - Bosman Hogley utkwiał przekrwiony wzrok w kwatermistrzu. - Jesteście drudzy wedle starszeństwa.

- Dziękuję pięknie, ale, hmm... niedysponowany.

Hogley i marynarze rzucili się ku nieszczęsnej niewieście, rycząc z uciechy niby stado diabłów, których zadki potraktowano święconą wodą. Cóż jednak się dziwić? Chłopcy Dampiera nie widzieli kobiety od trzech miesięcy, a jedyną krowę na Santa Glorii szyper przezornie zamknął w areszcie, aby nie kusila bogobojnych chrześcijan do sodomickiego grzechu. Ci szybko porwali kapitańską niewiastę w

czułe objęcia, poczęli szarpać ją, rwać suknię, bowiem daleko było im do consensusu, czy mają wspólnie zadrzeć ją do góry, czy też po prostu zdjąć z nieszczęsnej ofiary razem z rogówką.

Nieszczęsna niewiasta broniła się słabo, krzyczała coś cienkim głosem po francusku, wzywając na pomoc męża, wszystkich świętych i Przenajświętszą Panią. Niestety, nikogo z pomienionych nie było w zasięgu jej głosu, w związku z czym Hogley i jego kamraci bez zbędnych przeszkód i ceregieli rzucili ją na łożo, po czym jęli bezwstydnie dobierać się do wdzięków ukrytych pod gorsetem.

Uparta kłóda odskoczyła z brzękiem. Dampier z okrzykiem tryumfu porwał leżące w kufrze papiery, wyszarpnął spomiędzy listów ciężki trzos, a potem bez namysłu rzucił go Selkirkowi. Sam dalej przetrząsał zawartość szkatuły, szukając chyba swego utraconego rozsądku, bo cóż jeszcze mógł znaleźć wśród papierzyk, skoro złoto było już na wierzchu?

A jednak Dampier wyrzucał pisma i skrypty, łamał pieczęcie, zaglądał do kontraktów i ksiąg. Selkirk pochylił się nad nim zafrasowany.

- Chcesz więcej złota? - zapytał. - A może weksli?

- Szukam raportów Królewskiego Towarzystwa Geograficznego - odpalił kapitan.

Selkirk spojrział na kompana takim wzrokiem, jak gdyby Dampier właśnie sam postrzelił się z króciwy w tylną część ciała.

- Raportów? Towarzystwa? Geograficznego?

- Szukam opisu przejścia do Doliny Cuapacu.

- Co takiego?

Hogley z tryumfem zdarł suknię z dużych i ciężkich piersi kapitańskiej oblubienicy, docierając tym samym do ostatecznej i niepodważalnej prawdy traktującej o tym, iż natura ludzka jest ułomna, a *cogito* nie zawsze równa się *ergo sum*. Albowiem wraz z koronkami i gorsetem zsunęła się z ciała nieznajomej także koszula spodnia wypchana gałganami w miejscach wesołych krągłości. Które wcale, ale to wcale krągłościami nie były, przeciwnie - z bliska okazywały się bezwstydnie płaskie, jak deski na głównym deku statku. Zdumiony bosman sapnął, zawył jak wilk, a potem, chcąc przekonać się naocznie o swojej pomyłce, wsadził włochatą

pięść głęboko między nogi ofiary. Wymacał coś, czego się nie spodziewał, zatem najpierw jego oczy zrobiły się okrągłe jak dwa księżycy w marcu, a dopiero później wrzasnął na cały głos niby ranny buhaj:

- Mospanowie, kompani! To chłop, nie baba!

- Chłop? Jak to chłop?! - zakrzyknął kaprawy i ospowaty Spicer, zionąc tak wielką złością, że lilie czystości na francuskiej banderze uschłyby od samego jego oddechu. - To jakieś oszustwo! I śmiertelny grzech!

Sprawnie i szybko obmacali nieszczęśnika. W czasie szamotaniny jasne pukle włosów peruki zsunęły się z głowy, odsłaniając przyciętą krótko czarną szczecinę. Piraci rozdarli suknię i koszulę do końca, przecięli nożem sploty gorsetu. I nie mieli już żadnych wątpliwości. Rzekoma słodka trzpiotka zmieniła się w... mężczyznę!

- Gwałcimy ją czy nie?! - zaryczał Spicer wściekle.

- Chyba raczej jego - uzupełnił ktoś z tyłu.

- Mnie tam za jedno! - warknął wściekle Hogley. - Jeśli ma tyłek gładszy niż młoda przechodka, mogę pierwszy poświęcić w nim kapucyna!

- Dolina Cuapacu... - ciągnął tymczasem Dampier natchnionym głosem, potrząsając plikiem papierów. - Pisał już o niej sam Pierre d'Ailly w *Imago Mundi*, alegorycznej geografii, i dowodził, jakoby wznosiła się nieopodal czterech rzek wypływających z czarodziejskiego Szczytu Adama, który wyznacza granicę wschodu. Szukał jej na wyspie Florydzie Ponce de Leon, ostatni towarzysz Kolumba. Szukał jej Hernan Cortes, kiedy podbijał Meksyk, a potem Pizarro, który pogromił Atahualpę, pogańskiego władcę Cuzco...

- Gdzie tam! - przerwał oschle Selkirk. - Bujdy i bajania Hiszpanów! To było na Florydzie, gdzie prędzej zginie się od indiańskiej strzały, niż odnajdzie tę durną dolinę. O której nie łzyj mi, proszę, że cała jest ze złota!

- Mylisz się, mój drogi, gdyż Cuapacu znajduje się w zupełnie innym miejscu niż Floryda i położona jest na skraju królestwa dawnych Inków.

- Dalibóg, sądzę, że prędzej znajdę ją na dnie mego kielicha niż na południowych brzegach Karaibów!

- A zatem myślisz, że spostrzeżenia, które zawarł Samuel de Champlain w *Des Sauvages: ou voyage de Samuel Champlain, de Brouages, faite en la France nouvelle Van*

1603, to łgarstwa, kpiny i zwykłe bajania? Wszak opisuje on wyraźnie, że tajemnicza dolina położona jest w połowie drogi między Cartageną a Portobello, głęboko na południu, ukryta w meandrach rzeki Rio Cauca.

- Rewelacje Champlaina nadają się jako papier do podtarcia tyłka - zakonkludował Selkirk. - Mój zacny kompanie, albo to nie wiecie, że dawno już zweryfikował je nasz Walter Raleigh, który Anno Domini 1616 został pardonowany przez króla Jakuba, aby raz jeszcze wyruszyć w poszukiwaniu Eldorado. A owe potwierdzenie i weryfikacja nie wyszły mu na zdrowie, bo kiedy wrócił, jego głowa poszła pod topór w Westminsterze. A nie powiecie mi, że listy i sonety, które był spłodził, ślęcząc w Tower, staną wam za raporty i dzienniki okrętowe. Owszem, są zacne, zwłaszcza *Dispraise of Love*, który zaczyna się od słów: *If love be life, I long to die...* Jenó że jedyne wskazówki co do kursu i współrzędnych geograficznych, które w pismach Raleigha znajdziecie, to jak dobrać się do królewskiej łożnicy i tym samym zatrzymać swoją głowę na karku nieco dłużej niż tylko do kolejnego miesięcznego przyływu złego humoru Jego Wysokości Elżbiety!

- Dolina Cuapacu - rzekł po chwili zadumy Dampier - to nie tylko pospolite bogactwo. To także, a może przede wszystkim - bezcenny skarb dla nauki!

- Gwałcimy go czy nie?! - warknął Spicer. - Decydujcie wreszcie, tacy synowie!

- Wedle praw boskich i ludzkich - zakrzyknął rozwścieczony bosman - skoro w babskie ciuchy się ubrał, tedy będzie dla nas babą! Jego strata! Dawajcie miejsce, ja pierwszy zacznę!

Majtkowie ryknęli śmiechem jak wybuchający kartacz. Rzucili nieszczęśnika na koję, zdarli porwaną suknię z tyłka, a Hogley legł na nim jak na niewieście.

- Krzycz, kokocico! - zawarczał. - Niechaj pomyślę, że właśnie ujeżdżam klaczkę wartą dziesięć funtów za chwilę pochędózki, a nie francuskiego chabeciarza!

- Pomijając bowiem legendy o Eldorado i Fontannie Wiecznej Młodości, które rzekomo ukryte były w głębi tej doliny - ciągnął Dampier - nauka mogłaby zyskać wiele dzięki odkryciom nowych roślin i zwierząt, do których dotarlibyśmy pierwsi. Daję głowę, że nasze raporty byłyby warte więcej dla Królewskiego Towarzystwa Geograficznego niż złoto, które zgromadził Atahualpa jako okup za swoją głowę. Pomyśl, ile znaczyłyby dla świata nauki nasze spisane wspomnienia pod tytułem,

dajmy na to: *A Voyage to mysterious ravine Cuapacu*. Kim byłby przy nas Hook i ten głupi kmiot Newton ze swoją *Philosophia Naturalis Principia Mathematica*? Panie Selkirk, jeśli poczynilibyśmy poważne obserwacje roślin i zwierząt, to być może *Historiae Plantarum* Johna Raya można by śmiało powiesić w publicznym wychodku w Londynie z zaleceniem, aby pospółstwo i plebs mogli czerpać z jego wątpliwych nauk pełnymi garściami papieru.

- Mówię wam, chłopcy! - zakrzyknął bosman Hogley, typowy przedstawiciel angielskiego pospółstwa i plebsu, wstając z ciała nieszczęsnego Francuza i podciągając pludry. - Całkiem jak na babie było! Tyłkiem trzepie jak prawdziwa ladacznica!

- Moja kolej! - zawył Spicer i rozluźnił pas. - Teraz ja, kamraci!

- Mam! - zakrzyknął Dampier i niczym tryumfujący Cezar podniósł do góry rękę z plikiem listów i papierów oprawionych w skórę. Rozchylił okładki równie spragnionym gestem, co wyposzczony gach gładkie uda przechodniej niewiasty, po czym zatopił się w lekturze.

- A więc, panie Selkirk, znalazłem, co chciałem. Imaginuj sobie, waszmość, że miesiąc temu pewien francuski kapitan rozbił się w zatoce Darien razem ze swym statkiem. A kiedy przedzierał się przez góry do Cartageny, odkrył i opisał położenie pewnego miejsca, z którego łatwo dotrzeć do ukrytej doliny. Nadmienię, że na drodze stoi posąg inkaskiego diabła, który wskazuje drogę prosto jak strzelił do Cuapacu. Kamracie! To tak jakbyśmy znaleźli Złote Runo i pas cnoty naszej nieodżałowanej królowej Elżbiety - chociaż to pierwsze zadanie z pewnością byłoby o niebo łatwiejsze! A zatem - uśmiechnął się, chowając foliał w zanadrze - musimy omówić te sprawy z naszymi ludźmi. Rzecz jasna - dodał, uśmiechając się dyplomatycznie - kiedy już skończą i będą zvarci i gotowi do uprawiania uczciwego piractwa zamiast bezbożnej sodomii z francuskimi pludrakami.

- Za długo! - ryknął obszarpany majtek, spychając Spicera z tyłka nieszczęsnego Francuza. - Moja kolej, kamracie!

2. Piracka rada

- Znaczy jak? - zapytał ponuro Hogley. - Chcecie szukać jakiejś parszywej doliny, zamiast w imię Boże łupić Hiszpanów i uwalniać od ciężaru cnoty pobożne niewiasty?

- Chybaście oszaleli - Spicer krótko i zgoła nie po dworsku podsumował długą i uczoną mowę Dampiera. - Łajno wam do łba podeszło, panie szyper?

- Po cośmy w ogóle brali tego pryza? - odezwał się piskliwy, nikczemny głos z tyłu. - Jenośmy sińce z tej potrzeby wynieśli! Łupy wzięliśmy królewskie, taka wasza mać - Francuza odmieńca, co mu tyłek kartaczem rozerwało, garść liwrow, słup stary jak ladacznica ze statku Drake'a i przygarść papierów, co są za cienkie nawet na patrony! Tyle z twego dowodzenia, mości panie Williamie!

- A teraz mamy iść szukać skarbów? Liczycie na to, że Cortes i psie juchy hiszpańskie ostawiły w górach coś więcej niżli indiańskie ścierwa?

Dampier skrzywił się. No cóż, gdyby taka rada odbywała się na deku prywatnego statku, kazałby oćwiczyć Spicera na gretingu. Bo gdyby byli na wojennym okręcie Jego Królewskiej Mości, powiesiłby paru majtków na noku grotrei albo wysadził do morza tuzin krzykaczy, prosząc, by raczyli wrócić na ląd piechotą, i kłopot byłby z głowy. Ale Santa Gloria była statkiem pirackim, w którym szyper, wybierany wolą całej załogi, był ledwie cieniem prawdziwego pana i władcy, a tak naprawdę niewolnikiem własnych ludzi. Władzę dzierżył zaś nie na mocy morskiego prawa, ale kaprysów i widzimisię buntowników tudzież wichrzycieli, których poskramiał sprytnym słowem, rumem, winem, a czasem pochlebstwem lub dobrym przykładem. Tylko wybrany przez bardzo wyrozumiałą załogę kapitan, posiadający w dodatku nadludzkie szczęście w zdobywaniu przyzów i łupów, dostawał od swoich kompanów prawo do zabicia któregoś z marynarzy. A i to jedynie w czasie walki, w celu zapobieżenia zdradzie i tchórzostwu. Dampier wiedział dobrze, jak skończył nielubiany przez kompanów, zostawiony samopas po rozbiciu statku L'Ollonois, który pożerał serca wrogów, jak pozbawiono dowództwa Bartholomew Sharpa, zabrano władzę Samuelowi Burghessowi albo Thomasowi Howardowi, marunowanemu na Madagaskarze. Pamiętał, że za mniejsze

przewinienia niż nieudana wyprawa rąbano szablami, strzelano albo posyłano do piekła swoich niedawnych szyprów. Dampier był wprawdzie w dużym poważaniu, jednak nie mógł być pewien tego, czy nie pożegna się z własną kajutą i kapeluszem, gdy zacznie siłą nakłaniać swoich ludzi do wyprawy w Dolinę Cuapacu. A w dodatku martwił się, czy owego kapelusza nie zwieje mu za chwilę podmuch wywołany przez kule wylatujące z luf pistoletów zacnych kompanów.

- Rozumiem wasze opory, kamraci - rzekł pogodnie. - Wszak daleka tam droga i trzeba przedzierać się przez dżunglę całymi tygodniami. Jednak jestem w posiadaniu wieści, z których wynika, że w Dolinie Cuapacu znajduje się złoto. Dużo złota! Tyle, że każdemu z was starczyłoby na przekupienie całego złodziejskiego parlamentu!

Nikt się jakoś nie poruszył. Nikt nie krzychał, nie wiwatował. Jedynie Spicer strzyknął na pokład brązową śliną.

- A juści, cała góra złota. A raczej kłopotów. Kto kiedy znalazł na Antylach jakieś skarby? Chyba tylko takie, co jak łajno wonieją. Góry koło Rio Cauca roją się od Hiszpanów jak trup od robactwa. A mi, kamraci, niespieszno na szubienicę. Nie będzie mi do twarzy ani w powrozie, ani z garotą na szyi. Dlaczego tedy mielibyśmy ci wierzyć, że w tej podłej dziurze jest ukryte coś, co da nam większe profity niż obłuskanie hiszpańskich galeonów i miast stąd aż do Ziemi Ognistej?!

- Albowiem w tej, jak mówisz, podłej dziurze wzniesiono przed laty miasto całe ze złota. Tak, Spicer! Nie wytrzeszczaj na mnie oczu jak głodny kundel na świński gnata! Tam jest tyle skarbów, że moglibyśmy zasypać nimi tę łajbę od zęzy po wimpel na grotmaszcie! Tam w dawnych wiekach Inkowie wypędzeni przez Pizarra z Cuzco wnieśli Vilcabambę - swoją ostatnią, zapomnianą stolicę. Oto jest owe Eldorado, gdzie ukryto wszystkie kosztowności, których nie zdołali zagarnąć Hiszpanie.

- Kosztowności... Vilabomba... - wycharczał bosman. - To brzmi jak kazanie jezuita, który obiecuje ci gruszki na księżycu i złoty most prosto do raj. Może dałbym ci wiarę, panie szyper, gdybym był ze dwadzieścia lat młodszy, bo wtedy jeszcze wierzyłem w piekło i niebo, a na niewieścią piczę mówiłem: łaskawa pani markizo. Mawiasz, abyśmy teraz, w dwieście lat po Cortesie i innych rajdach

Hiszpanów, szukali Eldorado. To ja mówię - poszukajmy lepiej skarbu starego diabła Drake'a. Stawiam mój cutlas przeciwko starym pludrom, że zarówno jedno, jak i drugie znajdziemy równie łatwo, co diamenty w zadku naszego chłopaka okrętowego.

- Jakie będzie twoje zdziwienie - rzekł niezmiśnany Dampier - że kiedy zajmowaliście się deflorowaniem francuskiego sodomity, ja znalazłem to!

Wyciągnął rękę z zanadrza, ukazując duży złoty inkaski medalion wyobrażający słońce.

To wybudziło bandę z uśpiania. Majtkowie od razu zbliżyli się do kapitana, podchodzili zaciekawieni, oglądając, cmokając z zachwytu, sprawdzając na ząb, czy złoto, ciesząc się żółtym odblaskiem słońca na metalu.

- Tam, gdzie was zaprowadzę, będzie tego więcej. Kupisz sobie za to stu takich Francuzów jak ów, którego zadek zmieniliście dzisiaj w skład wybuchającego prochu, Hogley!

Piraci potrzęsali głowami, szeptali, mruczeli, naradzali się.

- A czy ty w ogóle wiesz, gdzie szukać tej doliny? Jak do niej dojść? I którą stronę świata obrać w czasie marszu? - zapytał Spicer.

Dampier pomachał mu przed nosem skórzanym folialem jak majtek banderą królewskiego liniowca zerwaną z flagliny.

- Tu wszystko jest zapisane. Oto raport członka francuskiego Królewskiego Towarzystwa Naukowego, który odkrył przypadkiem, gdzie znajduje się wejście do doliny. Tej samej, w której znaleźć można Vilcabambę. To właśnie dlatego chciałem wziąć tego pryza.

Piraci naradzali się przez chwilę. Wreszcie bosman zaklął siarczyście.

- Pokaż nam te papiery, kompanie!

- A umiesz czytać, kpie?

- Nie umiem - rzekł stropiony bosman. - Hej, stare diabły, który z was na literach się wyznaje? Kto umie nie tylko łby rozwalać, ale i litery składać? Zgłaszać się, hultaje!

- Ja umiem! - Z tłumu wystąpił Christiansen i skłonił się. - Dajcie, mości kapitanie.

Dampier zastanawiał się. Ale tylko chwilę. Rozłożył zapiski, wskazał kilka wersów po francusku. Majtek pochylił się nad nimi, przejechał palcem od prawej do lewej.

- Jest tu zapisane! Żeby tak rumu więcej nie pił, kamraci!

- Ale co jest, do stu diabłów? Cyrograf diabelski?!

- Droga do Vil...boby. Czarno na białym tu stoi, jakoby na łbie pałaszem wryte!

- Widzicie! - rzekł Dampier, uśmiechając się złośliwie. - Wszystko już wiecie. To co teraz? Na Vilcabambę?!

- Mości kamraci - rzekł bosman - widzi mi się, że chociaż niewiele wiemy, to przecież... Nie zawadzi sprawdzić. Ta cała Vilbomba nie jest duży kawał drogi stąd. Cóż nam szkodzi wysadzić paru ludzi na brzeg i sprawdzić, czy to prawda? Jak nie, to popłyniemy dalej. A jeśli znajdziemy dolinę, tedy wejdziemy w dżungłę i obaczmy one cudowności pogańskie.

- A zatem? - Dampier zachował tym razem kamienną twarz portowego kostery. - Zgadza się?

- Jestem za!

- Ja też!

- Co złoto, to złoto, kompani!

- Na Vilbombę! Ruszać się!

Wynik głosowania był dość korzystny. Większość zgodziła się, aczkolwiek z niechęcią. Dampier odetchnął z ulgą.

- Panie Naphy! - krzyknął do sternika. - Kurs na Cartagenę! Brasować liny, wybierać szoty!

- Ty oszalałeś - syknął doń Selkirk, podchodząc bliżej. Dampier uśmiechnął się i otarł pot z czoła.

- O nie, mój drogi kompanionie. Prawdziwe szaleństwo dopiero się zacznie!

3. *Rajskie piekło*

Zielony gąszcz pokrywający brzegi Darienu okazał się piekłem. Spoglądając z rufowego kasztelu na białe niczym śnieg plaże i wznoszące się za nimi wybrzeże zwieńczone koronami palm, przetykanymi tu i ówdzie wierzchołkami drzew, wśród których uwijały się papugi, skakały małpy, odzywały ptasie trele, można było odnieść wrażenie, że to dziewiczy ląd nietknięty stopą człowieka. Lecz kiedy Dampier, Selkirk i ich ludzie dopłynęli na ląd, a potem poczęli przedzierać się przez dżunglę na południe, okazała się ona kłębowiskiem lian, zarośli i kolczastych krzewów. Już wkrótce mała wyprawa musiała sięgnąć po cutlasy, aby żelazem wycinać sobie drogę. Piraci zgarbieni pod ciężarem sakw, tobołków i bagaży, wśród których wyróżniały się zwłaszcza sieci i klatki zabrane ze statku przez Dampiera, z mozołem przedzierali się przez chaszczę, klnąc na czym świat stoi, odsądzając swego dowódcę od czci i wiary, jego matkę zaś od cnoty i panieńskiego wianka. Rzecz jasna, tylko wtedy, gdy tego nie słyszał.

Dopiero późnym popołudniem trafili na łożysko rzeki rozlanej szeroko wśród kamieni niczym rum wśród okruchów na stole w marynarskiej tawernie. Błękitna woda sączyła się leniwie, a rzeka brała zapewne początek z ukrytych za widnokregiem gór, co pozwalało się domyślać, iż wyżej zmienia się w spieniony potok szaleństwa. Gdzie wodne furie kłębiące się wśród omszałych głazów splatają się w walce, by przebić na leżące w dole równiny.

Dotarłszy do rzeki, Dampier spoglądał na kompas, przerzucał francuskie zapiski zabrane z pokładu pryza, wreszcie po długich dywagacjach wskazał kierunek południowo-wschodni. Piraci poklęli trochę, ale radzi nieradzi - złapali za toboły, skrzynie i worki, po czym ruszyli wzdłuż rzeki. Szli długo, żuli suchary w marszu, rozglądali się dokoła, lecz nigdzie nie widzieli znaków świadczących o tym, że Dolina Cuapacu znajduje się w pobliżu.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, gdy zarośnięty teren począł wznosić się ku górze, rozdzielając się na skalne grzebienie, wzniesienia i pojedyncze iglice. Marsz, dotąd będący ciężką harówką, wyciskającą ze zgiętych ciał ostatnie krople potu, zmienił się w wędrówkę korowodu potępieńców przez piekielne turnie.

Prowadzeni nieomylnym instynktem Dampiera wspinali się na zbocza, schodzili w głąb mrocznych dolin, wypełnionych hałasem wodospadów. Przemykali szczytami i skalnymi półkami - czasem tak wąskimi, że ledwie zmieściłaby się tutaj lama.

- Co tak długo?! - zawarczał Spicer, gdy cienie się wydłużyły, a słońce zaczęło znikać za górami. - Zrobiliśmy już ze dwadzieścia mil, a nie widziałem nawet jednej zafajdanej indiańskiej wioski!

- To idź i powiedz o tym Dampierowi!

- Umawialiśmy się, że wejdziemy na jeden, góra dwa dni w dżunglę. A jeśli nic nie znajdziemy, wrócimy na Santa Glorię! Żeby tu było miasto Inków, to powinna prowadzić do niego droga - wycharczał Hogley. - Szeroki trakt kończący się schodami. Jak on chce znaleźć Vilbombę bez drogi?

- I po co kazał nam wlec to barachło?! - zawarczał Christiansen uginający się pod ciężarem pustych klatek. - Murwy indiańskie będzie w nie łowił? A może myśli, że znajdzie tu fruujące godmisze?!

- Jak to, nie wiesz? - zdziwił się bosman. - To są klatki na ptaki, sieci na motyle i inne paskudztwo. Znaczą się łągałeś, chłopie, kiedyś się chełpił, żeś jeździł z jakowymi cudakami z Anglii łapać pluskwy na Bahamach?!

- Byłem, byłem, ale mnie na statku ostawili. Kto by tam łowił karaluchy, żuki i robale. Ani chybi te umne ludzkie to do jedzenia zbierają, inaczej być nie może. Po co im łapać gadziny, żaby i krety? Co z tym zrobić potem?

- Bo to, psia mać, arystokraty! Oni nigdy nie zjedzą tego, co uczciwy, biedny człowiek. Ino udka żabie i sodomia im w głowie!

- Tak czy owak, trzeba kończyć naszą wyprawę. Doszliśmy do wieczora, a Vilabomby jak nie ma, tak nie ma.

- Hejże, skoczże tam który do Dampiera. Zwołaj chłopaków. Czas już wracać!

- Ja pójdę - zgłosił się bosman. - Czekać.

Szybko wyteżył siły, minął idących przed nim marynarzy. Zasapał się z wysiłku, pot zalał mu oczy, ale doścignął czoło kolumny, zrównał się z Andre, który był jego dobrym znajomym i torował reszcie drogę cutlasem. Chwilę przedzierali się razem przez gąszcze.

- Gdzie szyper?

- Poszedł na przód. Niby rozejrzeć się.

- Sam?

- A juści!

- Ha! - zatarł dłonie Hogley, bo właśnie przyszło mu na myśl, iż gdyby chłopaki podjęli decyzję o powrocie, wcale nie trzeba by zawiadamiać o tym szypra. Niechby sobie William Dampier sam szukał swojej Vilabomby, długo i namiętnie, choćby do usranej śmierci. - Andre, nie trzeba iść dalej. Tu nie ma żadnej doliny ani miasta ze złota.

- Myślę, że szyper nie byłby zadowolony z twojej gadaniny, Hogley.

- A ja myślę, że wcale nie musiałyby o niczym wiedzieć. Zwłaszcza gdyby zaginął w dżungli.

- Co ty knujesz?

- Zwołajmy radę, chłopie. Przeszliśmy ze czterdzieści mil, dusza ledwie trzyma się ciała w tym gorącu. Dość już, starczy.

- A co na to powie ten szkocki owcojebca Selkirk? Myślisz, że stanie po twojej stronie?

- Grzecznie go o to poproszę. A jeśli nie, zadbam, aby mu było wygodnie.

- W trumnie?

- Po co tyle zachodu. Spławimy go do rzeki.

- Hej, byyyyyywaj tuuu! - rozległo się przed nimi. - Byyyyyywaj! Wszyyyyyyscy!

- To kapitan! - krzyknął ktoś z tyłu. - Znalazł Vilbombę!

- Złoooooto! - zabrzmiało z zarośli przed nimi. - Złoooooto, kamraci!

- Złoto - jęknął bosman i sam pierwszy rzucił się przez paprocie i kolczaste gąszcze. Pędzili jak szaleni, potykając się, rozrywając kaftany i koszule na gałęziach. Kolczaste gąszcze smagały ich po głowach, ramionach i karkach, ktoś padł na ziemię, kogoś innego podeptano w zamęcie. Długo jeszcze wyzywał ich od zapluty chwiejów i syrenich mineciar.

Zdyszani i pokrwawieni wypadli do płytkiej doliny. Przytłumiony szmer strumienia dochodził zza kurtyny palm, lian i paproci, a w uszach piratów brzmiał jak milutki brzęk peset i dublonów przesypywanych do kabzy okrągłej niczym brzuch starego pijanicy.

Na środku stał Dampier, obok którego wznosił się omszały kamienny głaz przedstawiający czworonogie stworzenie. Posąg był prymitywnie wyłupany ze skały, w dodatku deszcze i wiatry zatarły jego kształty. Jedynie po sterczących w górę uszach można było poznać, że stwór przypominał wielkiego kota, czy może raczej jaguara.

- Gdzie złoto?!

- Patrzcie!

Dampier wyciągnął z rozwartej, pełnej kłów paszczy posągu dwa albo trzy złote medaliony przedstawiające słońce - takie same jak błyskotka, którą zaprezentował im na pokładzie Santa Glorii zaraz po zwycięskim abordażu francuskiego słupa. A potem, niby angielski król rzucający katu sakiewkę tuż przed ścięciem na szafocie, cisnął je majtkom pod nogi.

- Oto posąg inkaskiego diabła - rzekł, patrząc swoim ludziom prosto w oczy - który strzeże wejścia do Doliny Cuapacu. Znalazłem na nim trochę złota. Po drodze spotkamy więcej takich obelisków, ale to tylko przedsmak tego, co czeka nas w Vilcabambie, w prawdziwym Eldorado! Co teraz, kompani?! - zagrział. - Macie do wyboru: iść naprzód albo zawrócić. Cortes też mógł nie zapuszczać się dalej, ale poszedł i odkrył Tenochtitlan. Pizarro miał bunt wśród swoich ludzi, ale przewyciężył wszystko i podbił królestwo Inków, zdobywając skarby, przy których całe złoto Lewantu jest tylko garstką miedziaków rzuconych żebrakowi! Wyrokujcie, bracia!

- Wodzu, prowadź nas na Eldorado! - zakrzyknął bosman Hogley.

- Po złoto! Po sławę! - rozległy się okrzyki.

- Ruszajmy zaraz! Natychmiast! Szkoda czasu! - gorączkował się Spicer.

- Czy zatem wolną wolą naszego zgromadzenia jest podążać naprzód? - zapytał dla pewności Dampier.

Tryumfalny ryk wstrząsnął powietrzem. Zaraz po tym zabrzmiały gwizdy i strzały z pistoletów.

- A zatem ruszajmy na szlak chwały, krwi i złota, bracia! - zakomenderował Dampier. - Ale nim wyruszymy do Vilcabamby, mam dwa życzenia, od których uzależniam doprowadzenie was do celu.

- Aye, aye, sir! - zakrzyknął Christiansen.

- Najpierw, abyśmy złożyli całe złoto w tej oto okutej skrzynce, do której klucz będzie na mojej szyi, a którą nieść będzie dwóch najtęższych i najbardziej godnych zaufania spośród nas. Do czasu aż podzielimy łupy po równo między wszystkich.

Nikt się nie sprzeciwił. Chór głosów poparł ten pomysł od razu.

- A potem, abyście wzięli w tę podróż moje klatki, siatki i słoje, albowiem chciałbym dokonać na miejscu pewnych badań i obserwacji, które - wiercie mi na słowo - w niczym nie przeszkodzą wam w zdobyciu i złupieniu Vilcabamby.

Bosman i kilku majtków skrzywiło się nieco, ale pomysł przeszedł przez aklamację. Dampier zdjął kapelusz.

- A zatem ruszajmy, bracia, ku chwale. Przed nami długa droga, a odpoczniemy dopiero przed świtem. Brać kufry, skrzynie, worki i beczki i w drogę! Niechaj Opatrzność Boża prowadzi nas i oświeca nam drogę jak morska latarnia!

Znów rozległ się tryumfalny ryk zwycięstwa. Selkirk nie przyłączył się do niego. Wpatrywał się w grubo ociosany posąg jaguara i coraz mniej podobała mu się otwarta paszcza tej bestii.

4. Zbrodnicze porachunki

- Słyszeliście, kumotrzy - zagadał Christiansen do Hogleya i Spicera podczas porannego postoju - ponoć nie wszystkie pieniądze do kapitańskiej skrzynki trafiły.

- Jakie pieniądze?

- One pogańskie słońca, co je szyper wygrzebał z indiańskiego diabła.

- Jak to? - zakrzyknął Spicer. - Co ty gadasz, chłopie? Sam skrzynkę niosłem!

- Bo wiecie, kiedy Dampier poszedł przodem, ruszyli za nim Butcher, Naphy i Lay. I ponoć razem ten posąg odkryli. Jenó że więcej tam złota było, oj, więcej. Sam się Dampier dziwił przy mnie, że tak mało znalazł. Gadał, że czasem takie idole całe są złotem obwieszane, a tu tylko kilka sztuk znalazł. Nie wiecie dlaczego? A ja wiem

- bo je tamci trzej schowali do własnej sakwy.

- To trzeba sprawdzić - rzekł chmurnie Hogley. - Klnę się na Belzebuba, że takie plotki winniśmy likwidować w zarodku, aby komuś nie przyszło do głowy, że może wzbogacić się na Vilabombie bardziej niż nasze morskie bractwo. A my nie potrzebujemy bogaczy i tyranów. Nie po to, bracia, nadstawiamy karków, aby tuczyć jakieś złodziejskie świnię naszym kosztem!

- Co zamierzasz?

- Odkryć prawdę! Chodźcie!

Bosman wstał, a wyraz jego gęby był bardziej niż złowróżbny. Ruszył ku marynarzom siedzącym na ziemi lub na swoich tobołkach. Odnalazł wzrokiem Butchera, Naphy'ego i Laya, którzy przysiedli na uboczu.

- Posłuchajcie, chłopcy - rzekł ponuro, stojąc nad nimi jak gradowa chmura nad okrętem albo śmierć z kosą nad głową lichwiarza. - Chodzą słuchy, że już wczoraj odebraliście swoje party w łupach.

- Czego chcesz, Hogley? - warknął spocony i zły Butcher. - Wal prosto z mostu, o co ci idzie, zamiast owijać bawełnę wokół twego kapucyna! Bo jak szarpnę za nić, to do końca życia останiesz eunuchem!

- Chodzą słuchy, że zabraliście wczoraj trochę złota. Z tego diabelskiego posągu.

- Chodzą? - Butcher uśmiechnął się, że nie rozumie. - Gdzie chodzą? Między palmami? - Rozejrzał się złośliwie.

- Po całym obozie, kpie! Wszyscy już wiedzą, że zabraliście dla siebie część bogactwa!

- Powoli, powoli, bosmanie. - Lay wstał. - Nic nie wzięliśmy, ręczę za to gardłem. Nie wszczynajmy burdy, kamraci. Jeśli uważasz, że buchnęliśmy choć jeden z tych wisiorów, tedy gdzie, uważasz, je trzymamy? W zadkach? A może w żołądku?

- Stać! - głos Dampiera był cichy, ale zimny. - Co się tu dzieje? Czy ja już nie mogę spokojnie wysrać się w krzakach, aby nad głową nie świstały mi noże?

- Chodzą plotki - wyjaśnił Spicer - że ci tutaj zwędzili kilka złotych idoli, które były na posągu.

- Nie, to nieprawda - mruknął szyper. - Nie sędzę, aby coś takiego się stało. To fakt, widziałem Butchera i jego kumpli obok posągu, ale nie mieli czasu na złodziejstwo.

- Jako żywo! - zapewnił spieszenie Lay.

- Nic nie braliśmy!

- Tak też myślałem. A w dowód prawdziwości waszych słów pokażcie, co macie w tobołkach i w mieszkach, Butcher. Przecież skoro nic nie wzięliście - jak sami twierdzicie - tedy bez lęku możecie okazać ich zawartość. Tak dla zaspokojenia towarzystwa i mojej prywatnej ciekawości.

- Ano możemy - stęknął Butcher niechętnie. - Prawda, chłopaki?

- Prawda, prawda.

- Więc okazujcie!

Butcher sięgnął po swój worek. Rozwiązał sznur, przechylił, wysypał na ziemię...

Funt tytoniu zawinięty w skórę, fajkę, nóż, suchary i...

Trzy złote talizmany z podobizną słońca.

Butcher jęknął: złapał się za głowę, zadygotał.

- To nie... To nie ja, kompani... Ja tylko...

- Złodzieje! - ryknął bosman. - Wiedziałem wszystko z góry! Wy chwosty francowatego trytona! Na nich!

Ostrza wyskoczyły z pochew jak rój stalowych szerszeni. Kto tylko mógł, skoczył w stronę trójki oskarżonych, wywijając nożem, rapierem, pałaszem, cutlasem, szablą i czym tylko miał na podorędziu.

Skończyli spór szybko i zgoła niepomysłnie dla Butchera i dwójki jego kompanów.

Dampier zgarnął trzy złote amulety i schował je do zamykanej na klucz skrzynki.

W dalszą drogę wyprawa wyruszyła uszczuplona o trzech piratów.

5. *Nie trać głowy, brachu!*

- Do diabła! - zakrzyknął zdyszany Dampier. - Do stu czarcich ogonów! Gdzie jest Wilbur i ci, co szli z nim przodem?

- Nie wiem - stęknął bosman. - Myśmy zostali w tyle...

- Rzucić toboły i za mną! - Oczy kapitana błyszczą gorączkowo, a ręce dygotały, jakby wstrząsała nim febra. - Nigdzie ich nie widzę!

Szybko skoczyli za szyprem. Przez chwilę przedzierał się przez krzaki i gąszcze, idąc wąską ścieżką wyrąbaną przez zaginionych kompanów. A potem Dampier wskazał coś, co leżało za przegniłym pnem zwalonej palmy... Bose, zabłocone nogi człowieka. Stopy, które się nie poruszały.

O Panie!

Widzieli to wszyscy... Trzy zakrwawione trupy. Trzy ciała poszarpane na strzępy, rozrzucone bezładnie wśród wilgotnych paproci.

Hogley krzyknął, pozostali wrzeszczeli, przeklinali, rozglądali się dokoła. Wilbur i jego kamraci, którzy szli na przedzie, oglądali już rajskie ogrody Edenu, a poczet chętnych do dzielenia skarbów właśnie zmniejszył się o trzech kolejnych zuchów. Trudno jednak było nie dostrzec, że jednocześnie zmaląła liczba chętnych do niesienia zapasów żywności, klatek i tajemniczych przyborów Dampiera.

A najbardziej niesamowite było to, iż żaden z zabitych nie miał głowy...

- Kto to zrobił?! - zahuczał bosman. - Pokaż się, skurwysynu!

- Widzieliście, co tu się działo, kapitanie?! - zakrzyknął Spicer do Dampiera. - Przecież szliście z nimi na przedzie!

- Zostawiłem Wilbura... na chwilę. Aby sprawdzić, dlaczego opóźniliście pochód.

- To wy wysforowaliście się do przodu jak gończe charty!

- Do kroćset, nie mogę ciągle mieć was na widoku, kiedy jestem z przodu. Myślałem, że takich trzech chwackich zabijaków jak Wilbur i jego ludzie nie

potrzebuje niańki!

- Gorzej, jeśli tacy chwaccy kamraci leżą teraz porznięci jak barany! Kto to zrobił?! I gdzie, do wszystkich świętych, są ich głowy?

- Zabrał je diabeł! - zakrzyknął któryś z marynarzy i przeżegnał się. - Porwał do piekła trzy czerepy trzech głupców, co się wyprawili po przekłete złoto pogan i bezbożnych Inków. Zły morduje w tej dolinie, bracia! Po cośmy tu przyszli, pytam? Po śmierć i zagładę!

- Milczeć! - Dampier pochylił się nad trupem, odwrócił ciało na plecy i starannie obejrzał rany. Nie wyglądały na zadane żelazem. W milczeniu wskazał kompanom okrągłe, krwawiące ranki na plecach. Wydobył z podręcznej sakwy metalowy cyrkiel, coś zmierzył, obliczył i uśmiechnął się zimno.

- Ten wasz diabeł ma sześciocalowy rozstaw szczęk - rzekł po chwili. - Co daje w sumie jakieś cztery albo pięć stóp długości, nie licząc ogona.

Schylił się znowu i wyrwał coś z zaciśniętej dłoni zmarłego. To był kłęb włosów. Kapitan podniósł je do światła i obejrzał ze znawstwem.

- Panthera. Uciszcie się i przestańcie skamleć modlitwy. Pan musi się dziś zająć duszą Wilbura tudzież ukarać za grzechy jego kamratów i nie ma czasu wysłuchiwać waszych durnych prośb. To jest sierść. Sierść dużego zwierzęcia, brązowo-czarnego, może z odrobiną żółci. Tak, mości panowie, to uczynił drapieжник. Duży, wyrośnięty i zgłodniały jaguar. Albo kilka owych stworzeń.

- Jaguar? - Oblicze bosmana było blade jak kreda. - Co za zwierzę ośmieliło się napaść na trzech uzbrojonych ludzi? I po co zabrało ich głowy? Pokaż mi jaguara, który oderwie głowę od tułowia równie sprawnie, co katowski topór.

- Nauka zna różne dziwne przypadki, kamracie. Jaguary polują takim sposobem, aby rzucić się z góry na ofiarę i zmiażdżyć jej głowę lub kark kłami. Nie muszę zaś chyba dodawać, że ten tutaj to wyjątkowo imponujący... okaz.

- Czy one atakują ludzi?

- Jeśli są wyposzczone, łapią, można by rzec, każdą nadarzącą się okazję. Podobnie jak wy po długim rejsie.

- Dlaczego ich nie widzieliśmy?

- Jaguar ma wyczulony słuch. Usłyszał nas i zniknął z głowami.

- Sam jeden zabrał trzy łyby?

- Widocznie jaguarów było kilka. - Dampier wzruszył ramionami. - To bez znaczenia.

- To co mamy zrobić? Co z tym robić, kamraci?

- Musimy po prostu być ostrożniejsi. Tylko tyle i aż tyle. Pochowajcie ich! A potem ruszamy w drogę!

- W drogę?! - zaszemrał Spicer. - Po tym wszystkim, co tu...

Dampier bez słowa sięgnął w zanadrze. Wydobył garść złotych medalionów z oznaczeniem słońca, a potem podrzucił je na dłoni.

- Kiedyśmy się przedzierałi przez dżunglę, znalazłem kolejny posąg wskazujący drogę do Vilcabamby - rzekł. - I całą garść złota, którą za chwilę dorzucę do naszej skrzynki. Dalibóg, podnieście ją w górę i zważcie, jaki to ciężar! Tam, w tej dolinie, czeka na nas sława i złoto, kamraci. Złoto.

Spicer dźwignął okutą szkatułę. Fakt, trochę ważyła. Pomyślał, że gdyby nawet tajemnicza dolina okazała się fałszem i indiańskimi bajaniami, to jeśli codziennie znajdowali garść złotych medalionów, i tak po kilkunastu dniach takiego marszu wróciliby jako bogaci.

Dampier wydobył klucz, otworzył zamek, uchylił wieko skrzynki, w obecności i na oczach wszystkich piratów wrzucił do wnętrza medaliony, po czym zamknął na głucho szkatułę.

- Idziemy dalej, kamraci! - rozkazał. - Zbierać się! Po złoto i sławę!

6. Duch zaginionej doliny

- Visby! - głos Christiansena przeszedł w rozpaczliwy krzyk. - Gdzie jest Visby, Simpson i Carp? Szli za mną, bracia! Tak blisko, że czułem ich oddech na karku! A teraz ich nie ma! Nie maaaaaaa!

- Gdzie jest Dampier?! - zakrzyknął bosman. - Hola, panie szyper! Gdzie was

poniosło! Do piekła?

Dampier wynurzył się z półmroku za plecami Hogleya. W lejącym się z nieba przedwiecznym żarze stracił do reszty fantazję. Jego kapelusz był przemoczony, rondo obwisło, rękawy rozchełstanego kaftana były postrzępione i pokrwawione od przedzierania się przez gąszcze.

- Co się dzieje? Ktoś zachlał po drodze?!

- Obawiam się, że tamci - głos bosmana był lodowaty - piją własną krew, a nie rum, panie szyper. Nie widzę ich! Zginęli!

- To trzeba sprawdzić. Panie Hogley, zwołaj resztę. Tobały zostawcie na miejscu, weźcie tylko skrzynkę ze złotem! Broń na podorędziu! Mieć baczenie na wszystko!

Minęła długa chwila, zanim zebrali się do kupy i ruszyli z powrotem ścieżką wydeptaną wśród zarośli. Szli wolno, ostrożnie, bo cienie wydłużyły się, zapadała noc, a dżungla zaczęła gadać głosami ptaków, czasem też pobrzmiwała dalekimi rykami i wyciem, które jednak nie przypominały głosu wygłodniałego jaguara.

Serca piratów były mocno, zarośnięte gęby oblewały się potem. Skóra na knykciach Hogleya stała się biała jak mleko, tak mocno zaciskał palce na rękojeści pałasza.

Przeszli może pół mili, może trochę więcej, gdy nagle Spicer potknął się o wystający korzeń, zwałił z hałasem na kolana. A kiedy obejrzał się za siebie i pomacał ziemię, zaczął wrzeszczeć. To nie był żaden korzeń, ale zakrwawione ciało rosnącego, brodatego mężczyzny. Tak właśnie załoga zapamiętała Visby'ego, który, niestety, stracił prezencję srogiego wilka morskiego razem z oderwaną głową. Bez niej był już tylko strzępkim gnijącego ciała, wokół którego krążyły grube, tłuste muchy.

Na wrzask Spicera przybiegli wszyscy. Krzycząc, jęcząc i żegnając się nabożnie, poczęli przetrząsać krzewy, chaszczce, paprocie, zaglądać w wykroty świecące próchnem, szukając dziur i korzeni. Od razu natrafili na dwa pozbawione głów ciała. Potem na jeszcze jedno - oparte o zakrwawiony pień drzewa balsamowego, obejmujące go zakrwawionymi rękoma.

To była rzeź i klęska. Na pobojuwisku skupili się wszyscy, potrząsając bronią,

złorzeczając lub jęcząc, łypiąc dokoła groźnymi spojrzeniami. Niektórzy modlili się, inni dygotali, cisnąwszy broń, bo już zwątpili, że żelazo zdoła ich obronić.

Nikt nic nie mówił. Wszystkie spojrzenia kierowały się w stronę Dampiera. Kapitan zaś krążył między umarłymi, jakby chciał wysłuchać ich przedśmiertnej spowiedzi, oglądał rany, broń i ciosy zadane kłami bestii.

- Rzecz to dziwna i pamiętna - rzekł, unosząc w górę palec. - Nikt nie wystrzelił, kamraci. Mieli dwa pistolety i półhak. W żadnym nie odciągnięto nawet krzосki. Visby nie wyciągnął nawet swojego zza pasa.

- Co to znaczy? - zapytał Hogley.

- To znaczy, że bestia jest szybka. Szybsza, niż myślałem.

- A myślałeś w ogóle - wycharczał Spicer - że idąc do tej przeklętej doliny, obudzimy demona? Tak, towarzysze! Jeśli któryś z was miał jeszcze nadzieję w sercu, tedy niechaj padnie na kolana i odmawia modlitwy! Koło nas krąży diabeł. Indiańska bestia czyhająca na nasze głowy.

- Módlmy się, bracia! - zakrzyknął jeden z majtków! - Tylko szczere wyrzeczenie się grzechu wszetecznego kurewstwa może nas jeszcze ocalić!

- Jesteśmy zgubieni!

- Zabije nas! Ratuj, Panie!

- My ją wywołaliśmy - zakończył dygocący Spicer. - Wkraczając do tej przeklętej doliny, obudziliśmy czarta!

- Założmy nawet, że w tym, co mówisz, jest szczypta prawdy - Dampier przeciął jego gadaninę równie gładko, co dobrze naostrzony pałasz ludzkie gardło. - I że bestia naprawdę krąży wokół nas. Jednak jaki masz dowód na to, iż jest ona siłą nieczystą? *Je pense, donc je suis* albo w wersji bardziej zrozumiałej dla was: *cogito ergo sum*, mój przyjacielu. Udowodnij nam tu wszystkim, posługując się logicznymi wykładniami, iż naszych braci zabił diabeł.

- Loki... co? - wycharczał Spicer. - Do diabła z tobą, Dampier, i twoimi pastorskimi pierdołami! Czy to - zatoczył ręką koło - ci nie wystarczy? Czy nie widzisz, że już siedmiu naszych gryzie ziemię, zamiast obmacywać murwy w New Providence?! A Vilabomby jak nie ma, tak nie ma!

- Widzę na razie tylko tyle, że mamy tu cztery trupy. Jednak, pardon, mój

przyjacielu, nie znalazłem żadnego śladu świadczącego o tym, że w tym zabójstwie miał udział diabeł albo zły duch.

- Czy to, że trupy są bez głów, nie jest dla ciebie jasną i oczywistą... kładnią, czy jak to tam idzie?

- Owszem, ciała nie mają czerepów. Ale z tego, co widzę i co każdy może obejrzeć, nie ma na nich śladów działania magii. Głowy zostały po prostu oderwane od tułowi przez jakieś nieznanne stworzenie - wnosząc ze śladów sierści i ran - wygłodniałego jaguara. Nie widzę tu oznak diabelskiego ognia, nie czuję odoru siarki, zresztą choćby nawet unosił się w powietrzu, to nie przebije się przez przeraźliwy smród strachu dwudziestu żalonych nikczemników, którzy wołają modlić się i szlochać, zamiast jak mężczyźni zmierzyć się ze złem.

- Kto mógłby pozbawić ciała głów? - zahuczał bosman. - Przecież nie taki dobry chrześcijanin jak ja. To może być tylko czart zesłany jako kara za nasze grzechy.

- Nie dalej jak tydzień temu taki dobry chrześcijanin jak ty, Hogley, zrobił z tyłka drugiemu francuskiemu chrześcijaninowi gorsze pobojuwisko niż skład prochu po wrzuceniu tam granatu. Kłania się odwaga i Kartezjusz, moi mili. Nawiasem mówiąc, też poddany króla Francji.

- Wiedziałem, że jesteś czarownikiem, Dampier! - wybuchnął Hogley. - Teraz już wiem, kto czytuje bluźniercze i bezbożne księgi, gdzie ów... Kartes i inne papieżnickie diabły, heretycy i potępieńcy bluźnią Panu słowem tudzież złą wolą! Ty sprowadziłeś na nas demona! Ty namawiałeś nas na tę przeklętą wyprawę. Mamiłeś bogactwem!

Urwał, gdy Dampier cisnął mu pod nogi kolejne cztery medaliony z wizerunkiem słońca. Złoto zabrzęczało w blasku latarni, padło wprost na zakrwawioną ziemię. Leżało, kusząc ludzkie zmysły swym blaskiem.

- Tam, gdzie idziemy, jest tego więcej, Hogley - warknął Dampier. - Bo właśnie znalazłem w dżungli nowy posąg indiańskiego boga. Przebyliśmy już więcej niż połowę drogi, bracia! Więc jeśli się cofniemy, nie zobaczymy nigdy bogactw Vilcabamby!

Zapadła długa, lodowata cisza.

- W dodatku - dodał szyper - nikt nie może zaręczyć, że jeśli ruszymy z powrotem, demon zostawi nas w spokoju. A może ty sam chcesz sprawdzić to na własnej skórze i wrócić na statek? Proszę bardzo. Czeka cię jakieś cztery dni marszu przez dżungłę! Dobrej drogi, stary diable!

- Vilaboma to śmierć! - jęknął majtek, który klęczał i modlił się na kolanach.

- Vilcabamba to bogactwo - rzekł Dampier. - I życie w luksusie. Żaden z was nie będzie już musiał pracować! Będziecie mieli sławę i szczęście! I kobiety! Ruszajmy naprzód!

- Po śmierć?

- Cofnąć się już nie możemy, przebyliśmy ponad połowę drogi!

Piraci milczeli. Spoglądali jeden na drugiego.

- Jutro rano przejdziemy rzekę i znajdziemy się tuż obok doliny - ciągnął Dampier. - Cztery mile od bogactwa i sławy. Pochowajcie naszych kamratów, pozbierajcie zapasy i moje klatki. Ruszajmy w drogę i pokażmy temu przekłętemu jaguarowi, że nigdy nie wyrzekniemy się marzeń o Eldorado!

- Ja nie chcę! - wyjął rozmodlony majtek. - Nigdy, Dampier! Nigdy!

- Wstań i chodź z nami!

- Nigdy! - Przerażony zęgnął się bezustannie. - Idźcie, szaleńcy! Ja wracam! Nie oddam diabłu mojej duszy! Nigdyyyyyy!

Jak opętany zerwał się z kolan, a potem popędził w dżungłę drogą, którą wyrąbali wśród chaszczy i paproci. Biegł tak szybko, że nikt nie zdołał chwycić go za pludry czy koszulę. Wkrótce znikł wśród palm i krzewów.

Dampier pokiwał głową, zdjął kapelusz i otarł pot z czoła.

- Zbierać się! - rzekł. - Teraz nie ma już odwrotu!

7. Przeprowa nad kaskadami

Do rzeki dotarli następnego dnia, wczesnym rankiem, ledwie słońce

rozproszyło mgły zalegające w dolinie, okrywające mlecznym welonem szczyty górujące nad nimi niczym rozespiane olbrzymy.

Nienazwana rzeka była nią tylko z nazwy. Tutaj, w górach, przypominała wzburzony od złości potok ludzkich dusz porywanych ciężarem grzechów w głąb piekielnej czeluści i czepiających się każdej możliwości, aby choć odrobinę opóźnić swój upadek. Woda pieniała się z bezsilnego gniewu pośród kamiennych progów, opadała ze złowrogim hukem w dół na czterech kaskadach, a od jej ogromnego ciężaru drżały w posadach okoliczne skały.

A pikanterii dodawał fakt, iż jedyna droga prowadziła po ostrodze skalnej na szczycie najwyższego z wodospadów. Był tam głęboki prawie do pasa bród utworzony z piasku i zbutwiałych gałęzi, naniesionych przez prąd rzeki i osadzonych na zębatych skałach niczym stare kłaki na końskim zgrzeble. Można było próbować od biedy przedostać się tędy na drugi brzeg. Jednak wystarczała chwila nieuwagi, aby zafundować sobie przejażdżkę do wodnego piekła, które rozciągało się w dole, gdzie rzeka z głuchym hukem spadała z ponad stustopowej wysokości w otchłań pełną wycia wichru.

Hogley zajrzał tam, zmrużył kaprawe oczy, przesłonił je dłonią, aby nie raził go blask wschodzącego słońca i aż jęknął.

- Panie szyper! Jak wy chcecie tędy przejść? Na skrzydłach aniołów? Obawiam się, że jesteśmy w kompanii tak zacnych łotrów i obwiesiów, że cherubiny prędzej nasrają nam na głowy, niż użyczą rąk i pleców.

Dampier bez słowa cisnął na ziemię zwój liny.

- Najpierw przeprawią się najsilniejsi z nas. Ci przywiążą linę do drzewa po drugiej stronie. Potem wrócimy po zapasy i przejdziemy po grzbiecie, trzymając się sznura. To pewny i bezpieczny sposób. W Peru widziałem całe karawany, które tak się przeprawiały. Do roboty!

Wbrew obawom większości marynarzy poszło jak z płatka. Najpierw przeprawił się Spicer i dwóch najtęższych piratów. Przywiązali do drzewa grubą konopną linę zabraną z Santa Glorii, której drugi koniec szyper przytwierdził grubym węzłem do pnia strzelistej pinii po tej stronie rozpadliny.

A potem kolejno przechodzili przez bród, dzierżąc nad głowami worki,

pakunki i skrzynki. Najpierw Dampier nakazał przeprowadzić się ludziom z najbliższymi pakunkami, czyli - co wywołało wściekłość piratów - jego własnymi klatkami, sieciami i skrzynkami pełnymi szczypiec, noży i innych pogańskich przyborów do oporządzania węży, żab i ślimaków, jak powiadała załoga galeonu.

Dopiero potem wrócili po worki i baryłki pełne sucharów, suszonej ryby i solonej wieprzowiny. A potem poczęli brnąć wolno przez wodę ku drugiemu brzegowi, nad którym - kiedy powiał wiatr - pojawiała się tęcza z rozpryskującymi się kropelkami wody. Na grobli nie było głęboko. Woda sięgała im po kolana, czasem po uda i pachwiny, a tylko urodzeni pod złą gwiazdą zapadali się aż po same szyje, gdy piasek i zbutwiałe gałęzie ustępowały pod ich nogami. Prąd był niezwykle silny i gdyby nie lina, mieliby duże trudności z utrzymaniem się na nogach.

Byli w połowie kaskady, gdy wszystko potoczyło się źle, a potem poczęło iść już tylko ku gorszemu.

- Stać! - zakrzyknął Dampier, który szedł ostatni, ubezpieczając marynarzy niosących baryłki z prowiantem.

- Co się stało?

- Tak, sir?!

- Patrzcie tam! - wrzasnął, wskazując jednocześnie coś na brzegu, który właśnie opuścili.

- Co jest?

- Jaguar! Osiem stóp długości! Imponujący łeb ze szczękami. Doprawdy teraz nie dziwię się, że tak łatwo jest w stanie oderwać głowę człowiekowi...

- Gdzie wy go widzicie, kapitanie?

- Tam, w cieniu, obok drzewa, spójrz uważnie, Spicer! Pod liśćmi paproci!

- Boże święty! - jęknął Christiansen. - Widzę go! Widzę! Coś tam się rusza, naprawdę!

- Jezu Chryste, dobiega się do liny! Do naszej liny! Przegryza ją - wrzasnął Dampier. - Wszyscy na drugą stronę! Ruszać się, bo zaraz pofruniemy diabłu w paszczę!

Z wrzaskiem i krzykiem piraci rzucili się ku zbawczemu brzegowi. Ktoś cisnął ciężką beczkę wprost do przepaści, inny potknął się, przewrócił towarzysza, wdeptał

go w wodę, przedzierając się przez silny prąd. Poczuli, jak zbawcza lina, która odgradzała ich od wodnej otchłani, zadrgała silniej, niż mógłby rozbujać ją człowiek, poluzowała się, a potem nagle zwinęła ze świstem, padła w wodę, nie dając już oparcia strudzonym dłoniom i plecom.

Piraci ryknęli jak jeden mąż. Walili się z nóg, ślizgali na mokrym drewnie, zaplątywali w zgniłych pnączach. Burzliwy nurt wyszarpnął dwa ciała spośród żywych, powłókł je do wodospadu, rzucił na samą krawędź otchłani. Spicer w ostatniej chwili schylił się, wyciągnął rękę, chwycił za ramię zsuwającego się z progu kompana.

Na próżno! Choć majtek zaparł się nogami, wzburzona woda porwała ich obu, pociągnęła Spicera za marynarzem, któremu chciał pomóc, zagłuszyła okrzyki rozpacz, rzuciła w dół, w przepaść, nad którą śmigwały ptaki, a w dole kłębiły się potężne wiry.

- Uciekajcie! On tu idzie! - ryczał z tyłu Dampier. - Szybciej, kompani!

Biegli więc, a raczej biec próbowali. Rwąca rzeka zbijała ich z nóg; zanurzali się z głową pod ciężarem worków i pakunków, bezsilnie wyciągali ręce do tych, którzy jeszcze stali, usiłowali walczyć z nurtem, który niósł ich ku huczącej kaskadzie, otwierali usta do krzyku, ale wołania nie było już słyhać. I tylko czasem migał gdzieś wśród białych kłębow wodnych i pian zgubiony but, kolorowa chusta czy kaftan któregoś majtka z Santa Gloria. A u stóp wodospadu nie widać było już nic.

Nieliczni, zdyszani, zmęczeni, przerażeni, dobrnęli w końcu do drugiego brzegu. Wypelzli na piaszczystą łachę, łapiąc z trudem powietrze, jęcząc i złorzecząc sobie nawzajem.

Dampier. Christiansen. Selkirk. Hogley.

I jeszcze trzech marynarzy.

Christiansen szlochał. Hogley kłął. Selkirk wpatrywał się nieprzyjemnym wzrokiem w Dampiera. Pozostali modlili się.

Dampier nie mówił nic.

8. Prawdziwa bestia

- Musimy ją zabić - rzekł ochrypłym głosem Dampier. - Nie chcę dociekać, czy to jaguar, czy diabeł, ale przegryzł naszą linę szybciej, niż ostrze dobrze naoliwionej szkockiej dziewicy odcina głowę buntownika. Skąd on, do diabła, wiedział, że to nasza jedyna podpora?!

Siedzieli na rozległej polanie, w obozowisku, do którego przenieśli ocalałe bagaże i pakunki. Nabite pistolety i muszkiety mieli na podporządku. Podobnie jak pałasze, cutlasy i topory.

- Dlaczego po prostu nie zawrócimy? - zapytał Selkirk.

- A jeśli ten przeklęty jaguar będzie czekał na nas na przeprawie? Nie, bracia. Potrzeba w męstwie, nadzieja w zwycięstwie. I w tym, że będziemy mieli u naszych stóp łeb tego stwora, zanim on pierwszy nas dopadnie!

- To już nawet nie szaleństwo - rzekł Hogley. - Ale obłęd! Podobnie jak cała ta wyprawa. Powinienem cię zabić, Dampier. A jeśli tego nie uczyniłem, to wyłącznie dlatego, że ciągle jeszcze mam nadzieję, że wyciągniesz ze swojej łepetyny jakiś sposób na ratunek dla nas wszystkich.

- Ten sposób jest prosty: zmierzyć się z bestią. Pójdziemy wszyscy razem, uzbrojeni, i przeczesamy najbliższą okolicę. Jeśli jaguar naprawdę na nas poluje, tedy spotkamy go wreszcie.

- Przeklęty bies - jęknął Christiansen. - Zdało mi się, że widzę go na drugim brzegu, ale teraz to sam już nie wiem, czy to tylko gałęzie się ruszały.

- Kryje się w cieniu, wiem coś o tym - mruknął Dampier. - Tu, na otwartej przestrzeni, jesteśmy bezpieczni, bo jaguar lubi przemykać się wśród liści. Musimy go zabić jak najszybciej. Inaczej nigdy nie wyjdziemy z tego piekła. Dżungla pochłonie nas, a nasze ciała staną się strawą dzikich bestii.

- Lepiej zabijmy ciebie, a potem zostawmy truchło dla tego diabła! - warknął jeden z majtków. - Może wtedy zostawi nas w spokoju!

- Służę uprzejmie waszmości - mruknął Dampier. - Chcesz po kawalersku wyjść ze mną na ostre, czy też wolisz wypalić mi w plecy z pistoletu? A może wszyscy rzucicie się na mnie? Co, Hogley?! Pozwalam sobie wszakże przypuszczać, że zanim mnie zarąbiecie, zabiorę do piekła przynajmniej jednego z was!

- Możemy go zastrzelić! Dalejże, tchórz was obleciał?!

- Zabijecie mnie i co? - szydził Dampier. - Aby wrócić, potrzebujecie odczytać to. - Potrząsnął folią raportów zrabowanych Francuzom. - A tylko ja oraz Selkirk potrafimy czytać. Kłopot w tym - roześmiał się szelmowsko - że wasz kwatermistrz nie zna francuskiego. Prawda, panie Selkirk?!

Oficer skrzywił się niechętnie.

- Christiansen zna - wycharczał bosman. - Prawda, brachu?

- Ja...kto... znam? Nie, nie! - zaprzeczył marynarz.

- Do stu diabelskich kurew! Toż kiedy Dampier pokazał ci te pisma, mówiłeś, że potrafisz czytać i pisać!

Christiansen wycofał się rakiem w kąt obozowiska.

- Ja... kła...małem. Oszukiwałem was, bracia... Abyście nie pomyśleli. Ja ledwie składam parę liter, ale czytać? Po francusku? Chyba śnicie... Ja nigdy nie... Ja się nie nadaję!

- Dość tego! - wrzasnął Selkirk. - Ani wy jego nie zabijecie, ani on was! Koniec i kropka! Wszyscy razem na radzie zdecydowaliśmy, aby iść do Vilcabamby, i zdaje się, że jesteśmy całkiem niedaleko od celu, prawda, Dampier?

- Pół dnia drogi stąd dolina staje się bardziej przepaścista. Tam leży nasze Eldorado. Przekłęte miasto Inków zbudowane ze złota. Tam czeka na nas Fortuna. Jednakowoż chcę nadmienić, że to kapryśna pani. A jeśli nie pokonamy wcześniej wiadomego wroga, dojdziemy tam bez własnych czerepów na karkach!

- Co tedy radzicie?

- Chcę się bić! - rzucił Dampier. - Chcę rzucić mój żywot na szalę wagi Fortuny i zmierzyć się z tym jaguarem. Gdyby nam się poszczęściło, byłby to ciekawy okaz do mojej kolekcji. Poza tym wolę zginąć z bronią w ręku, niż zdechnąć tu z głodu!

- Nie ruszę się stąd na krok! - zaskomlał Christiansen. - Ona... Czeka na mnie, wbije mi pazury między oczy. Nawet teraz czuję, że obserwuje nas z dżungli!

Hogley splunął zamasyście, zatarł dłonie i porwał za topór.

- Nie będę tu sterczał - rzekł. - Idę z tobą, Dampier, choć Bogiem a prawdą powinienem rozwalić ci łeb tym obuszkiem! Tyś nas wyciągnął na tę przeklętą rajzę i tyś powinien zapłacić za śmierć kompanów. Ale póki co zdaję się na twój rozum. Pogadamy później, kiedy już wypatroszymy tego przeklętego szczura, co się chowa wśród drzew, a potem obaczmy wieżycę i mury tej całej Vilabomby. Tak więc powiadam wam, bracia, że jestem gotów iść w dżunglę po łeb tej padliny. I nie dlatego, że trzymam z tobą, Dampier, ale przez to, że nie będę siedzieć tu po próżnicy.

- Dzięki, Hogley.

- Podziękujesz później. Jak dojdziemy do tej przeklętej indiańskiej wiochy.

- Kto ma jeszcze jakąś radę?

- Ściągnijmy go w pułapkę - zaproponował Selkirk. - Wykopmy wilczy dół, zapadnię, bo ja wiem...

- Pierwsze słyszę, że ktoś chce zastawić paść na jaguara - prychnął Dampier. - Prawie nie mamy żarcia. Chcesz wykopać wilcze doły wokół obozu, a potem siedzieć i czekać, aż bestia łaskawie raczy w nie wpaść? A co będzie, jeśli sama okaże się tak łaskawa, że poczeka, aż będziesz żarł ziemię. Musimy sami poszukać szczęścia w dżungli. Kto jeszcze?

- Ja idę! - podniósł się kolejny majtek.

- Ja też.

- Skoroście się zdecydowali, to niech tam! Idę z wami! - zawołał trzeci.

Dampier uśmiechnął się promiennie.

- Ja też mogę iść - wzruszył ramionami Selkirk.

- Ty i Christiansen siedźcie tu lepiej na rzyci - mruknął Dampier. - Umocnijcie obóz, przenieście bliżej pakunki. Pamiętajcie, że jaguary lubią podkradać się, unikając ludzkiego wzroku, więc niech jeden pilnuje drugiemu pleców. Macie wodę i prochy?

- Tak.

- Wrócimy przed wieczorem. A jeśli nie, tedy nie czekajcie na nas. Postarajcie się iść do Vilcabamby. Tam. - Dampier wskazał na południe. - I nie szukajcie nas, bo

jeśli się spóźnimy, będzie to znaczyć, że jednakowoż bestia okazała się sprytniejsza.

- Tak jest!

- Powodzenia!

- Trzymajcie się.

Wymienili uściski dłoni, zabrali pistolety, linę, worki z kulami i prochem. A potem poszli kołyszącym się krokiem starych żeglarzy, szeroko rozstawiając nogi, zupełnie jakby byli na pokładzie statku. Patrząc na nich z daleka, można by mniemać, że nie idą na śmierć i niepewny los, lecz wesołą gromadą przyjaciół zmierzają do tawerny lub zamtuza.

Selkirk i Christiansen zostali sami. Siedzieli obrócenii do siebie plecami, z pistoletami na kolanach, wsłuchani w odgłosy dżungli, śpiew ptaków, porykiwanie zwierząt, pisk małych uganiających się po lianach. Czekali.

Nic się nie działo. Nigdzie nie przemknął ani cień bestii.

Wreszcie wstał Selkirk. Razem z kompanem ruszyli, aby poprzemnieść bliżej baryłki, pakunki i worki. Z klatek Dampiera uformowali coś w rodzaju wału wokół grubej sekwoi, potem związali je liną, ścisnęli.

Rozejrzeli się dokoła, ale dżungla była pusta i cicha. Nikt nie wyskoczył zza krzaków, nikt nie rzucił im się na karki.

Skoczyli po ostatnią skrzynkę - kapitańską szkatułę z dukatami. Była ciężka, obita żelaznymi pasami; a jednak zawiasy były rozchwierutane - widać któryś z majtków uderzył kufrem o kamień w czasie panicznej ucieczki znad wodospadu.

Aby ją przenieść, musieli przeleźć nad barykadą, podźwignąć skrzynkę ponad workami i baryłkami. Byli na szczycie improwizowanego wału, gdy Christiansen potknął się nagle i upadł na wznak między korzenie. Selkirk nie utrzymał ciężaru, wypuścił szkatułę z rąk. Ciężka skrzynka spadła w dół, osunęła się po baryłce z sucharami, a potem wyrznęła ciężko o pień drzewa. Jeden z zawiasów pękł, wyłamał się przy tym, wieko odskoczyło na boku, a wówczas w środku coś zagrzecotało...

Najpierw zamarli. Potem zerwali się na nogi. Tu już nie chodziło o bestię! Nie szło o jaguara czającego się wśród drzew. Na rany Chrystusa, w tej skrzynce powinno być złoto! Złote medaliony słońca zebrane w czasie ich wyprawy.

Selkirk zawahał się początkowo. Potem jednak chwycił topór. Jednym cięciem

odbił kłódkę, szarpnął za skobel, odrzucił wieko i...

Na wierzchu leżało kilkanaście złotych medalionów. Lecz spoza nich wylaniały się szare kamienie i okruchy skał.

Nie było złota! Nie było bogactwa! Nie było nic!

Spoglądali na siebie ze zdumieniem, z przerażeniem, potem z rozpaczą.

Do diaska, o co w tym wszystkim chodziło?! Przecież prawie codziennie znajdowali złoto, a Dampier przy wszystkich wrzucał je do skrzynki. Czyżby kłamał? Czyżby medaliony leżały tylko na wierzchu? A może szyper wyjmował i wkładał do skrzynki wciąż te same błyskotki?

Dampier wparował do obozowiska jak duch. Pokrwawiony, spocony, z pałaszem w dłoni. Stał pomiędzy nimi, spojrzął spod zmarszczonych brwi na swego kwatermistrza i Christiansena.

- No to załatwione! - rzekł. - Po sprawie.

- Co to ma znaczyć?! - Selkirk wskazał otwartą szkatułę. - Co mają znaczyć te kamienie?!

- Ach, prawda. - Dampier podrapał się za uchem. - Zapomniałem o jednym, mospanie.

Skoczył do Christiansena, zamachnął się pałaszem, zbił ostrze cutlasa w bok, zasłonił się, uchylił, a potem pchnął z półobrotu... Królewską kwartą, którą znał tylko on jeden z załogi Santa Glorii!

Wbił ostrze prosto między oczy marynarza, przytrzymał, a potem wyszarpnął. Począł, aż ciało pirata zwali mu się do stóp, a potem otarł zakrwawione ostrze o jego koszulę.

Selkirk czekał na niego z rapierem w dłoni. I powoli zaczynał domyślać się wszystkiego. Obrazy przemknęły przez jego głowę jak tabun rozhukanych koni. Dampier wydobywający raport ze szkatuły Francuza; Dampier przemawiający do piratów; Dampier zagrzewający do marszu...

Po co to wszystko, Dampier?

William schował broń do pochwy. Nie ruszył w stronę Selkirka. Nie uczynił żadnego wrogiego gestu. Po prostu stał i patrzył.

- Gdzie bestia? Ubiliście ją? - odważył się zapytać kwatermistrz.

- To ja jestem bestią, mój zacny przyjacielu.

- Łżesz. To... niemożliwe!

- Nie ma i nie było żadnego jaguara.

- A więc chciałeś...? Samemu zagarnąć skarby Vilcabamby?

Dampier parsknął śmiechem. Sięgnął w zanadrze i wydobyl zakorkowany bukłak. Wyciągnął go w stronę kompana.

- Jakiej Vilcabamby? Może jeszcze Eldorado i cudownej skały witalności, w pobliżu której odrastają zwiędłe kapucyny? Nie ma żadnego miasta. Gdzieżby zresztą miało być, tu, w Darienie? Tysiące mil od Cuzco? Co by tu robili pogańscy Inkowie? Bzdura!

- A raporty francuskiego towarzystwa? Czytałeś je przecież!

- Owszem. I były w nich wytyczne, jak dojść do doliny, w której nie powstała jeszcze ludzka stopa i gdzie znajdują się pewne rzadkie okazy zwierząt i roślin, za które Royal Society gotowe jest zapłacić fortunę, a sam piernik Newton będzie kłaniał się w pas tak nisko, że zamiecie peruką wszystkie mysie bobki w swoim parszywym kolegium.

- Jak to? - zapytał po prostu Selkirk. - Co ty gadasz? Dolina? Okazy? Znaczy co? Ty zabiłeś naszych ludzi?!

- Mogłem przekonać ich, aby towarzyszyli nam w ekspedycji, tylko wymyślając tę bajeczkę o inkaskim złocie. Wątpię, aby Hogley i ta cała parszywa banda chcieli wlec się przez dżungłę tyle mil tylko po to, aby zobaczyć, jak ich Stary łowi siatką motyle. A przecież ktoś musiał nieść te wszystkie klatki, sieci i narzędzia do preparatów. Ci ludzie mają dość... hm, ograniczone poczucie misji, rzekłbym. I nie uczynią nic za darmo dla nauki.

- I za to ich zabiłeś? Udając bestię?

- Cóż znaczną dwa tuziny angielskiego plebsu i hołoty, która pije, chędoży każdą dziuplę w napotkanym drzewie, a w portach bruka banderę korony brytyjskiej, wylegując się wśród ladacznic i błota? Cóż znaczy śmierć takiej bandy obwiesiów wobec możliwości zbadania tej doliny? Pomyśl, ile nowych stworzeń możemy odkryć, Jak wzbogaci się ludzka wiedza, po tym gdy przeprowadzimy tam szczegółowe obserwacje. Nie wspominając już o hojnym wynagrodzeniu za

preparaty i raporty.

- A więc uczyniłeś to wszystko tylko po to, aby... Prowadzić badania? Aby załoga Santa Glorii pomogła ci w dotarciu do doliny, którą chcesz zbadać? Nie, William, to zbyt straszne! Jak, do diaska, udało ci się zabić tylu ludzi? Czym?

- Królewską kwartę. Poza tym żaden nie spodziewał się ataku. Musiałem, niestety, potem pogubić ich głowy, aby po ranach nikt się nie domyślił, że zabito ich cięciem, z którego słynę w całym New Providence. W potyczkach trochę dopomogły mi pewne soki Indian, które podałem im z rumem. Zaręczam ci, że człowiek od razu traci po nich chęć do walki.

- Przecież na ciałach były ślady pazurów...

Dampier roześmiał się i wydobył z sakwy żelaznego kruka zakończonego trzema pazurami. Narzędzie pokryte było zakrzepłą krwią.

- Nie jestem głupcem, mój drogi. Nadmienię też, że to ja przeciąłem linę, wywołując wcześniej panikę wśród piratów. Co udało się tak wybornie, że niektórzy z nich naprawdę zobaczyli na drugim brzegu indiańskiego demona pod postacią jaguara. No, zbieraj się, mamy dużo pracy.

- Ty jesteś szalony! - jęknął Selkirk. - Klnę się na wszystkie diabły i demony, że nie ruszę się z tobą nawet na krok!

- Nie zamierzam cię skrzywdzić. Chyba że czujesz do mnie urazę za wyrznięcie plebejów. Jeśli tak - uderzył się po pałaszu - proszę na ubitą ziemię, a Pan pokaże, przy kim stoi racja!

Selkirk pokręcił głową. Dampier był stary, ale kwatermistrz zdawał sobie sprawę z tego, że za żadne skarby nie dałby rady temu diabłu w pojedynkę.

- Nie - mruknął. - Nie zamierzam się mścić. Zresztą co oni mi tam - krewni?

- Wykazujesz zdumiewający rozsądek, mój drogi. Słusznie, gdyż po przyjsciu na miejsce nie zostawiliby nas przy życiu. Już pierwszej nocy podsłuchałem, jak naradzali się, aby po dotarciu do Vilcabamby poderżnąć gardła kapitanowi i kwatermistrzowi. Tak, mój drogi, to byli źli, mali i nikczemni ludzie. Słusznie tedy spotkała ich kara z mojej ręki, która stała się w czasie tej wyprawy prawdziwym mieczem Bożym...

- A te błyskotki?

- Stale pokazywałem im te same wisiorki, a potem podrzucałem do kufra. Ha, wybornie udała się ta sztuczka, więcej nie powiem! Ci głupcy uwierzyli, że zgromadzili po drodze fortunę! No cóż, teraz to już nie nasza sprawa, a im przyjdzie spowiadać się z tego na Sądzie Ostatecznym.

Selkirk westchnął, otarł pot z czoła i opuścił rapier.

- Co będziemy robić?

- Musimy przed zachodem słońca przenieść te wszystkie skrzynie do doliny. A jutro skoro świt ruszamy na łowy!

- A jak stąd wrócimy? Kto znieś nam to wszystko na wybrzeże? O tym już nie pomyślałeś?

- Francuzi piszą, że jest dojście do rzeki poniżej wodospadów. Zbudujemy tratwę i popłyniemy do samej delty. Tak więc, mój drogi, jak widzisz, o wszystkim pomyślałem zawczasu.

Wysiadam na pierwszej bezludnej wyspie, którą spotkamy, pomyślał Selkirk. Nie odejdę teraz, bo musisz wyprowadzić mnie z dżungli. Ale potem nasze drogi ostatecznie się rozejdą!

Aż jęknął, gdy Dampier przyjacielsko poklepał go po plecach.

- Do roboty, panie Selkirk! - zakrzyknął. - Czekają nas całe masa pracy!